TWÓRCZOŚĆ

3

MARZEC

ROK IX 1953

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK IX ZESZYT 3

WARSZAWA, MARZEC 1953 ROK

Zakłady Graficzne i Wydawnicze Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 535/c z dnia 30.1.53 r. Nakład 5.500. Druk ukończono 12.3.53 r. 4-B-12457

OD KOMITETU CENTRALNEGO KOMUNISTYCZNEJ PARTII ZWIĄZKU RADZIECKIEGO, RADY MINISTRÓW ZWIĄZKU SOCJALISTYCZNYCH REPUBLIK RADZIECKICH I PREZYDIUM RADY NAJWYŻSZEJ ZSRR

Do wszystkich członków Partii, do wszystkich ludzi pracy Związku Radzieckiego.

Drodzy Towarzysze i Przyjaciele!

Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Rada Ministrów Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z uczuciem głębokiego bólu powiadamiają Partię i wszystkich ludzi pracy Związku Radzieckiego, że 5 marca o godzinie dziewiątej minut pięćdziesiąt wieczorem, po ciężkiej chorobie zakończył życie Przewodniczący Rady Ministrów Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i Sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Józef Wissarionowicz Stalin.

Przestało bić serce współbojownika i genialnego kontynuatora dzieła Lenina, mądrego Wodza i Nauczyciela Partii Komunistycznej i narodu radzieckiego — Józefa Wissarionowicza Stalina.

Imię Stalina jest bezgranicznie drogie naszej partii, narodowi radzieckiemu, masom pracującym na całym świecie. Wraz z Leninem towarzysz Stalin stworzył potężną partię komunistów, wychował ją i zahartował; wraz z Leninem towarzysz Stalin był źródłem natchnienia i Wodzem Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, założycielem pierwszego na świecie państwa socjalistycznego. Kontynuując nieśmiertelne dzieło Lenina, towarzysz Stalin poprowadził naród radziecki do historycznego w skali światowej zwycięstwa socjalizmu w naszym kraju. Towarzysz Stalin poprowadził nasz kraj do zwycięstwa nad faszyzmem w drugiej wojnie światowej, co w sposób zasadniczy zmieniło całą sytuację międzynarodową. Towarzysz Stalin uzbroił partię i cały naród w wielki i jasny program budowy komunizmu w ZSRR.

Śmierć towarzysza Stalina, który oddał całe swe życie ofiarnej służbie dla wielkiej sprawy komunizmu, jest najcięższą stratą dla partii, dla mas pracujących Kraju Rad i całego świata.

Wieść o zgonie towarzysza Stalina wzbudzi głęboki ból w sercach robotników, kołchoźników, inteligencji i wszystkich ludzi pracy naszej Ojczyzny, w sercach żołnierzy naszej mężnej Armii i Marynarki Wojennej, w sercach milionów ludzi pracy we wszystkich krajach świata.

W tych dniach pełnych bólu wszystkie bratnie narody naszego kraju jeszcze bardziej zespalają się w wielkiej zwartej rodzinie pod wypróbowanym kierownictwem partii komunistycznej, stworzonej i wychowanej przez Lenina i Stalina.

Naród radziecki żywi bezgraniczne zaufanie i przepojony jest gorącą miłością do swej ukochanej partii komunistycznej, bo wie, że służenie interesom narodu jest najwyższym prawem całej działalności partii.

Robotnicy, kołchoźnicy, inteligencja radziecka, wszyscy ludzie pracy naszego kraju nieugięcie realizują politykę, opracowaną przez naszą partię, odpowiadającą żywotnym interesom mas pracujących, zmierzającą do dalszego wzrostu potęgi naszej socjalistycznej ojczyzny. Słuszność tej polityki partii komunistycznej potwierdzona została przez dziesięciolecia walki, doprowadziła ona masy pracujące Kraju Rad do historycznych zwycięstw socjalizmu. Natchnione tą polityką narody Związku Radzieckiego pod kierownictwem partii niezachwianie kroczą naprzód ku nowym sukcesom budownictwa komunistycznego w naszym kraju.

Masy pracujące naszego kraju wiedzą, że dalsza poprawa dobrobytu materialnego wszystkich warstw ludności — robotników, kołchoźników, inteligencji, maksymalne zaspokajanie stale rosnących potrzeb materialnych i kulturalnych całego społeczeństwa zawsze było i jest przedmiotem szczególnej troski Partii Komunistycznej i Rządu Radzieckiego.

Naród radziecki wie, że wzrasta i krzepnie zdolność obronna i potęga państwa radzieckiego, że partia ze wszech miar umacnia Armię Radziecką, Marynarkę Wojenną i organa wywiadu, aby stale wzmagać naszą gotowość do udzielenia druzgocącej odprawy każdemu agresorowi.

Polityka zagraniczna Partii Komunistycznej i Rządu Związku Radzieckiego była i jest niewzruszoną polityką utrzymania i utrwalenia pokoju, polityką walki przeciwko przygotowywaniu i rozpętywaniu nowej wojny, polityką współpracy międzynarodowej i rozwoju stosunków handlowych ze wszystkimi krajami.

Narody Związku Radzieckiego, wierne sztandarowi proletariackiego internacjonalizmu, umacniają i rozwijają braterską przyjaźń z wielkim narodem chińskim, z masami pracującymi wszystkich krajów demokracji ludowej, więzy przyjaźni z masami pracującymi krajów kapitalistycznych i kolonialnych, walczącymi o sprawę pokoju, demokracji i socjalizmu.

Drodzy towarzysze i przyjaciele! Wielką siłą przewodnią i kierowniczą narodu radzieckiego w walce o zbudowanie komunizmu jest nasza Partia Komunistyczna. Żelazna jedność i niewzruszona zwartość szeregów partii — to główny warunek jej siły i potęgi. Zadaniem naszym jest strzec jedności partii jak źrenicy oka, wychowywać komunistów na aktywnych bojowników politycznych o wcielenie w życie polityki i uchwał partii, wzmacniać jeszcze bardziej więź partii z wszystkimi ludźmi pracy, z robotnikami, kołchoźnikami, inteligencją, albowiem w tej nierozerwalnej więzi z narodem tkwi siła i niezwyciężoność naszej partii.

Partia widzi jedno ze swych najważniejszych zadań w tym, aby wychowywać komunistów i wszystkich ludzi pracy w duchu wysokiej czujności politycznej, w duchu nieprzejednania i niezłomności w walce z wrogami wewnętrznymi i zewnętrznymi.

Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Rada Ministrów Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, zwracając się w tych bolesnych dniach do partii i narodu, wyrażają niezłomne przekonanie, że partia i wszyscy ludzie pracy

naszej ojczyzny zespolą się jeszcze bardziej wokół Komitetu Centralnego i Rządu Radzieckiego, zmobilizują wszystkie swe siły i energię twórczą do realizacji wielkiego dzieła budowy komunizmu w naszym kraju.

Nieśmiertelne imię Stalina żyć będzie zawsze w sercach narodu radzieckiego i całej postępowej ludzkości.

Niech żyje wielka niezwyciężona nauka Marksa — Engelsa — Lenina — Stalina! Niech żyje nasza potężna Ojczyzna socjalistyczna! Niech żyje nasz bohaterski naród radziecki! Niech żyje wielka Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego!

Komitet Centralny
Komunistycznej Partii
Związku Radzieckiego

Rada Ministrów
Związku Socjalistycznych
Republik Radzieckich

Prezydium Rady Najwyższej Związku
Socjalistycznych Republik Radzieckich

Dnia 5 marca 1953 roku.

Do Robotników, Chłopów i Inteligencji Pracującej!

Do Kobiet Polskich i Młodzieży!

Do Żołnierzy Polskich!

Do Narodu Polskiego!

Towarzysze i Obywatele!

Cała postępowa ludzkość z najwyższym bólem przyjęła tragiczną wieść o zgonie największego Człowieka naszych czasów — Józefa Stalina.

Wraz z narodami Związku Radzieckiego szczególnie głęboko i boleśnie przeżywa ten wielki cios naród polski, który Towarzyszowi Józefowi Stalinowi zawdzięcza swe wyzwolenie z ponurej hitlerowskiej niewoli, swe odrodzenie, odzyskanie prastarych Ziem Polskich, utrwalenie swej niepodległości.

Masy pracujące Polski wiedzą, że ich historyczne przeobrażenia społeczne, wyzwolenie z jarzma obszarników i kapitalistów, zdobycie władzy przez lud pracujący i umocnienie państwa ludowego, olbrzymie osiągnięcia w budowie nowego życia — wiążą się nierozerwalnie z braterską pomocą narodów radzieckich, z serdeczną troską i ojcowską opieką Wodza i genialnego Nauczyciela mas pracujących całego świata, Wielkiego Przyjaciela naszego narodu — Józefa Stalina.

W tej ciężkiej chwili z największą mocą odczuwamy serdeczną i nierozerwalną więź narodu polskiego z Wielkim Krajem Radzieckim.

W tej ciężkiej chwili głębiej niż kiedykolwiek odczuwamy niezwyciężoną siłę i zwartość całego światowego obozu pokoju, którego natchnieniem był, jest i będzie Józef Stalin.

Mocniejsza niż kiedykolwiek jest nasza spójnia ideowa i braterstwo w walce o pokój, wolność narodów i socjalizm, której wzór daje nam wielka bohaterska partia Lenina i Stalina.

Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Rada Ministrów i Rada Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wzywają masy pracujące i cały naród polski do złożenia hołdu nieśmiertelnemu Wodzowi ludu pracującego całego świata.

Wcielając w życie Jego nauki, wzmacniajmy nieustannie zwartość, siłę i jedność naszego narodu w walce o pokój i socjalizm!

Codzienną twórczą i ofiarną pracą rozwijajmy naszą planową gospodarkę narodową — podstawę wzrostu dobrobytu i kultury całego ludu pracującego!

Otaczajmy troską i miłością Wojsko Polskie — wierną straż naszych granic i wolności naszej Ojczyzny!

Wzmacniajmy nieustannie czujność wobec wszelkich nikczemnych zakusów imperialistycznych podżegaczy wojennych — wrogów Polski!

Pomnażajmy siły naszego państwa ludowego — ostoi naszej niepodległości, a zarazem ważnego i niezłomnego ogniwa światowego obozu pokoju, którego sztandarem jest Stalin!

Z imieniem Stalina, uzbrojeni w Jego naukę, łamiąc opór wrogów i zacieśniając więź braterstwa z narodami ZSRR kroczmy zwycięsko naprzód pod przewodem klasy robotniczej i jej partii do ugruntowania naszej niepodległości, pokoju i socjalizmu!

Komitet Centralny
Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

Rada Ministrów
Polskiej Rzeczypospolitej
Ludowej

Rada Państwa
Polskiej Rzeczypospolitej
Ludowej

Warszawa, dnia 6 marca 1953 r.

DO

KOMITETU CENTRALNEGO KOMUNISTYCZNEJ PARTII ZWIĄZKU RADZIECKIEGO

DO RADY MINISTRÓW ZWIĄZKU SOCJALISTYCZNYCH REPUBLIK RADZIECKICH

DO PREZYDIUM RADY NAJWYŻSZEJ ZSRR

Moskwa

Drodzy Towarzysze i Przyjaciele!

Łączymy się z Wami w bólu i żałobie z powodu zgonu ukochanego naszego Wodza i Nauczyciela, natchnionego kontynuatora nieśmiertelnej nauki Marksa, Engelsa i Lenina, genialnego Budowniczego komunizmu, niezłomnego Chorążego światowego obozu pokoju, Wielkiego Przyjaciela narodu polskiego, któremu masy pracujące Polski zawdzięczają swe wyzwolenie z jarzma niewoli narodowej i społecznej.

Nieśmiertelne życie i dzieło Towarzysza Stalina będzie dla narodu polskiego natchnieniem i gwiazdą przewodnią w codziennej pracy i walce o zbudowanie nowego, socjalistycznego ustroju, będzie sztandarem w walce o zwycięstwo idei pokoju, postępu i wolności wszystkich pracujących na całym świecie.

Skupieni w zwartych i czujnych szeregach pod sztandarem największego Bojownika i Geniusza współczesnej epoki — Józefa Stalina ślubujemy dochować wierności Jego naukom, strzec niezłomnie zasad internacjonalizmu i solidarności wszystkich ludzi pracy, stać na straży praw i zdobyczy ludu, których niezłomną i niezawodną rękojmią jest wieczysta przyjaźń i braterstwo ze Związkiem Radzieckim.

Zapewniamy Was, Towarzysze i Przyjaciele, że naród polski nie będzie szczędził sił, aby zwiększać i wzbogacać swój twórczy wkład do wspólnej walki o realizację wiecznie żywych idei, nauk i wskazań Wielkiego Stalina.

W imieniu Komitetu Centralnego
Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Rady
Ministrów i Rady Państwa Polskiej Rzeczypospolitej
Ludowej

Bolesław Bierut

Aleksander Zawadzki

Warszawa, dnia 6 marca 1953 r.

VI

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

ZE „SŁOWA O STALINIE"

*

„Rewolucja — parowóz dziejów"...
Chwała jej maszynistom!
Cóż, że wrogie wiatry powieją?
Chwała płonącym iskrom!

Chwała tym, co wśród ognia i mrozu
jak złom granitowy trwali,
jak wcielona wola i rozum,
jak Stalin.

Przeleciały watahy lotne
białogwardyjskiej konnicy...
Trwał, jak skała samotny,
Carycyn.

Parły niemieckie kolumny,
waliły stalowym gradem,
aż padły pod pięknym i dumnym
Stalingradem.

Pokój, pokój, pokój!
Pokojem oddycha świat.
Ty go strzeżesz, opoko,
Związku Republik Rad.

*

Miliony ludzi Związku Rad i krajów idących drogą socjalizmu tworzą świat nowy, niosąc w sercach i na ustach imię: STALIN.

Ludowa armia chińska wypędza ze swego kraju przemoc obcą i niewolę pieniądza i kroczy naprzód z imieniem STALINA.

W Vietnamie, Burmie, na Wyspach Malajskich bojownicy wolności, niepodległości i sprawiedliwości walczą przeciw kolonizatorom wołając: STALIN!

Górnicy francuscy trwają w strajkach i wyciągają dłonie na wschód z okrzykiem: STALIN!

Chłopi włoscy zajmują obszarnicze nieużytki i, odpędzani gwałtem, wołają: STALIN!

Poeta wypędzony ze swej ojczyzny za umiłowanie wolności i sprawiedliwości społecznej, piękny poeta chilijski pisze poemat o STALINIE.

Zmiażdżona okrutnie Warszawa dźwiga swe okrwawione cegły tym szybciej z imieniem STALINA.

Wszędzie na świecie, gdzie sięga przemoc pieniądza, bagnet żołdaka i pałka policjanta, ludzie walczą i będą zwyciężali z imieniem STALINA.

Setki milionów ludzi wołają: STALIN! STALIN! STALIN!

*

Piękne i groźne jest morze,
gdy pędzi po falach szkwał,
piękny jest w niebie orzeł
nad szczytami urwistych skał.

piękny jest napór i trwanie,
piękny jest lot i polot:
morze zatrzyma granit,
orła wyprzedzi samolot.

myśli wyprzedzą czyny,
czyny legną opoką...
Chwała imieniu Stalina!
Pokój światu, pokój...

Władysław Broniewski

JERZY PUTRAMENT

LIST DO STALINA

Jeszcze w oczy nam łyskał
artyleryjski łomot,
jeszcze z pożaru w miastach
mur rozpalony nie ostygł,
jużeśmy rumowiska
bili szpadlem i łomem,
pola plewili z chwastów,
ramieniem dźwigali mosty.

Twoja to dłoń na mapie
z Bugu przez Wisłę na Szczecin
kreśliła czerwone strzały,
którymi wolność nadciągnie.
Twój to nam kraj dał najpierw:
sny nie zmącone dzieciom,
sadom rumieniec dojrzały,
pociągom zielone ognie.

Ten wyklął nas i potępił,
tamten bombą zagrażał,
nocą w plecy zza węgła
strzelał obcy najmita.
My, zacisnąwszy zęby,
pot ocierając z twarzy,
rąbaliśmy bryły węgla,
po minach żęliśmy żyto.

Twoje dały nam słowa
drogę i wiarę w siebie.
Twój naród pokazał, jak ująć
kraj w ręce twarde i proste.
Umiemy serca hartować,
słabość uczymy się łamać,
robotnik domy buduje,
robotnik zbuduje Polskę.

Im własną niemocą maleć,
nam w trudzie i bólu rosnąć.
Ziemia rozdarta na dwoje
czyją przyszłość ogłasza?
Patrzymy śmielej i dalej
w twarz nadchodzącym wiosnom.
Wielkie jest życie. Twoje
zwycięstwo i nasze.

1949

Jerzy Putrament

RZEKA

Mądrość Stalina,
rzeka szeroka,
w ciężkich turbinach
przetacza wody,
płynąc wysiewa
pszenicę w tundrach,
zalesia stepy,
stawia ogrody.

W gmachu imperium
strop się ugina:
pękła kolumna.
Wstępuje z głębin
mądrość Stalina,
rzeka podskórna.
Góry wysokie
w kraju poety
Mao Tse-tunga —
zgryzła opokę,
panów zwaliła
i nawodniła
biedniackie grunta.

Ludzie zbudzeni
na ziemi swojej,
łamią się chlebem,
dzielą pokojem.
Ty ich opływasz,
rzeko rozumna,
ty wiejesz zdrowiem,
wiatrem urody;
przebijasz góry,
rzeko podskórna,
łączysz narody.

1950

Adam Ważyk

KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

STALIN, INŻYNIER NASZYCH MARZEŃ

Gdzie tajga była, dymią miasta,
lasy północne idą w step
i człowiek na bezpłodnych piaskach
dochodzi urodzajnych gleb.

Nie za górami jest komunizm,
rzeki zmieniają dawny nurt,
gdzie nadmiar słońca — woda szumi
i do pastuszych zmierza jurt.

Wola człowieka cuda czyni:
w upalne niebo rzuca obłok,
pszenicę sieje na pustyni,
skałom wyrywa kiść winogron.

Kto twardo w bitwie trwa upartej
przeciw ciemnościom i bezprawiu,
ten umie pokierować wiatrem,
ten słońcu wymagania stawia.

Kto strzegł jak oka rewolucji,
kto do zwycięstwa wiódł narody,
ten umie rzeki bieg odwrócić,
ten prawa stwarza dla przyrody.

To Stalin lasy w pochód śle,
rzekom w pustynie płynąć każe,
Stalin — towarzysz, Stalin — wódz,
Stalin — inżynier naszych marzeń.

1949

Krzysztof Gruszczyński

ZOFIA NAŁKOWSKA

MÓJ OJCIEC

Ojca mego zapamiętałam jako człowieka zamkniętego zwykle z mnóstwem książek w swoim pokoju. Pod drzwiami tego pokoju nie wolno było hałasować. Gdy jednak wyszedł stamtąd, sam hałasował chętnie, uczył nas różnych sztuk gimnastycznych, śmiał się głośno, ukazując dużo pięknych białych zębów. Nie bałyśmy się go wcale. Odpowiadał poważnie na nasze niemądre pytania, jakbyśmy już były dorosłe. I wtedy wiele było nam wolno. Nie wolno tylko było wątpić o tym, że ziemia jest kulista.

Jakże dziwnym wydawało się pomysłem, że obiegała naokół swego słońca po elipsie, jaką rzeczą fantastyczną! I to, że jej oś, której przecież nie ma, oś myślana — jest nachylona do ekliptyki! Dlaczego? I że dzięki temu właśnie możliwa jest wiosna. Podobno inaczej taka rzecz nie dałaby się wcale urządzić.

A wiosną na Górki przyfruwały wędrowne ptaki i przed oknami zakwitały pachnące bzy. Bociany na długich czerwonych nogach brodziły po zalanej wodą łące i rozglądały się za żabami, które rechotały na całe gardło późno w noc.

Dla nas, dzieci, widzenie gwiazd, które dawno zagasły, ich odległości, droga tysiącletnia ich promieni, ciemność między światami, ich niepojęte zadania i sprawy, żałosne tajemnice ich dalekiego bytu w mrokach — to był jednak świat nieprzyjemny, budzący nieufność, chęć, aby o tym zapomnieć. Pewnie i przyjemnie czułyśmy się tutaj, w domu, pośród najdroższych ludzi, serdecznych zwierząt, codziennych przedmiotów, które były prawdziwe i niewątpliwe.

U matki też nie było ucieczki przed tym światem. — Jakto, nie rozumiesz? — mówiła. I już w jednej ręce trzymała pomarańczę, przebitą drutem od roboty jak osią, a w drugiej mały kłębek. Lampa nad stołem, naftowa i zwana „wiszącą", miała być słońcem, pomarańcza ziemią, a kłębek odgrywał rolę księżyca.

Rozumiałam ostatecznie — ale przecież nie mogłam sobie wybrazić, biegając po ogrodzie między wielkimi drzewami, szukając ich cienia przed gorącym, dalekim słońcem, które wydawało nam się mimo wszystko od ziemi mniejsze.

Ziemia była u nas wszędzie — w atlasach, na mapach ściennych, na globusie — błękitna oceanami, zielona nizinami, kremowa na wznie-

sieniach, czarno-brązowa tam, gdzie są szczyty gór — dziwność dzieciństwa: Gaurizankar, Everest i nawet Popocatepetl albo Titicaca!

I wcale nie zawsze była kulista — przeciwnie. Już wtedy wyciągała się na pas w „rzucie Mercatora", robiła spiczasta — w „stożkowym". Było to jednak do czegoś ważnego potrzebne i trzeba się było jakoś z tym zgodzić. Podobnie raczej przez delikatność przystałyśmy na fakt, że słońce większe jest od ziemi i że to ona koło niego się kręci, nie odwrotnie.

Ziemia po prostu zmieniała się w oczach. Wydźwignięte przed wiekami pod niebo górskie łańcuchy wędrowały ze swego miejsca na odległą nizinę, rozkruszone wodą na miał albo unoszone jako pył przez wianie wiatrów. Oceany zielonymi wodami weszły na lądy i śnieżne wierzchołki ich gór opłynęły jako wyspy, kwitnące zwrotnikowymi kwiatami. Korzystając z epoki lodowej, lodowiec skandynawski jeszcze raz spłynął na nizinę Wielkich Dolin. A odchodząc, zostawił moreny i błękitne pośród nich jeziora.

Oto na ziemi pojawiło się życie — to była epoka paleozoiczna, na ziemi pojawił się człowiek — to był czwartorzęd. Człowiek wyrósł z tej ziemi, poruszył się w jej skałach i trawie jak dżdżownica, przeniknął do jaskiń jej i puszcz. Pomieszany z roślinami i zwierzętami, opasał jej powierzchnię łańcuchem życia, objął węzłami świadomości.

Wyrósł ze swej przyrody — tu jest brunatny, tam białoskóry, jego czaszka staje się szersza lub się wydłuża, szczęki są pro albo ortognatyczne. Na różne sposoby czci swoich bogów i co innego mu jest święte.

Jego różnorakie postacie wypełniają nasz dom. Twarz Eskimosa, okutana, wyglądająca babim sposobem z kaptura futer, i twarz czerwonoskórego, powiewająca diademem z piór — są mi dziś równie pamiętne i bliskie jak fotografie ciotek i wujów. O Humboldcie i Stanleyu słyszałam więcej niż o dziadku Pawle lub wuju Świętopełku. Zresztą ciotki jakoś łatwiej od wujów mieściły się między Lapończykami i plemieniem Onów na kulistej mimo wszystko ziemi.

Astronomia, geologia i antropologia były tylko wstępem do życia. Życie właściwe było już blisko — życie człowieka w ówczesnym społeczeństwie. Wacław Nałkowski był nie tylko geografem, był także pisarzem społecznym. Dla niego jutro świata nie miało swego kresu, a droga w jutro była drogą do sprawiedliwości. Wszystko, co stawało przeszkodą na tej drodze, było mu wrogie. Pragnął wciąż wyższych form walki o wartości wciąż wyższe. I z tych zmagań się, z tych nieustannych zapasów czerpał pewność niezniszczalności życia.

DZIECI Z WROTKOWA

Wacław Nałkowski urodził się na Podlasiu dnia dziewiętnastego listopada 1851 roku, we wsi Nowodworze, małej dzierżawie, leżącej w powiecie garwolińskim. Był jedynakiem. Rodzice Wacława przenosili się parokrotnie z dzierżawy na dzierżawę i kupili ostatecznie niewielki folwark Wrotków pod Lublinem. Z dziecinnych notatek Wacława widać, jak ciężko odczuwał te zmiany, z żalem opuszczał każdy ogród i dom, tęsknił długo za małymi przyjaciółmi, którzy zostawali na miejscu.

Charakter Wacława kształtował się pod działaniem łagodnej, uczuciowej, nawet piszącej poezje matki, Celiny z Rudnickich, i gwałtownego, zawiedzionego w swym zamiłowaniu do skrzypiec i rzeźby, a nie lubiącego wiejskiej gospodarki ojca, Michała. Jedynak, pieszczony przez matkę i surowo za drobne przewinienia karany przez ojca, wyrobił w sobie dużą wrażliwość uczuciową i niepohamowaną ambicję, domagającą się zadośćuczynienia za gorycze i krzywdy dzieciństwa.

Wacław nie lubił opowiadać. Zwłaszcza nie lubił czasów młodości i dzieciństwa. Pisząc o tej epoce zdana jestem prawie wyłącznie na sam papier, na listy, dokumenty i notatki.

W rzadkich wypadkach odwołuję się do własnej pamięci, z której mogę wyłowić zaledwie parę wspomnień. Tak zapamiętałam najdawniejsze opowiadanie ojca o burzy. Tak — niejako z samego powietrza, z samej nieuchwytnej mgły — zstępuje do mnie tych dwoje dzieci.

Burza była jeszcze w Wierzchowiskach. Jednego letniego wieczoru Wacław z młodym swym nauczycielem stali w sieni, podpierając wątłe drzwi wejściowe domu, który jak mówił był „prostą chałupą". Niezwykły wicher huczał na dworze, deszcz bił o ściany, pioruny padały jeden za drugim. Nagle gwałtowny napór wiatru wywalił drzwi i wybiwszy chłopcami drzwi następne, wepchnął ich obu na końcu sieni do spiżarni, gdzie potłukli faski i dzieże, a sami pokaleczyli się i powalali rozbitymi jajami i nabiałem. Jakąś „żelazną deskę", zerwaną znad ganku, znaleziono nazajutrz o pół wiorsty od domu w polu. Burza całe świeżo zebrane w stogi z łąk siano zniosła do rzeki, tak że można było przejść po nim w tym miejscu z jednego jej brzegu na drugi. Wynikłe podczas tej burzy szkody stanowiły z pewnością znaczną część strat poniesionych na dzierżawie Wierzchowisk.

Inne dwa szczegóły odnoszą się już do Wrotkowa. O zachodzie drogą od łąk ku domowi wracały z pastwisk konie. Wacław oczekiwał ich

siedząc na wysokim płocie i gdy przebiegały blisko, wskakiwał na grzbiet upatrzonego zwierzęcia.

Wynikało z opowiadania, że skoki te zawsze mu się udawały, że tylko raz zdarzyło się, iż upadł wraz ze spłoszonym wierzchowcem. Widać tu znów potrzebę odwetu za sponiewierane i bolesne dzieciństwo, chlubę ze zręczności fizycznej, chęć celowania w czymkolwiek.

O drugim zdarzeniu dowiedziałam się później znacznie. W czasie, gdy zaczęło się już między nami to, co było prawie przyjaźnią: rozmowy we dwoje.

Rzecz odbyła się na tym samym zboczu, między domem a łąkami nad Bystrzycą. We Wrotkowie dom stał wysoko i ścieżka do rzeki, z której nosiło się wodę, była stroma. Tą ścieżką szło pod górę dwoje dzieci: nieduża dziewczynka i mniejszy od niej chłopiec, niosący razem konewkę pełną wody. Ale nim doszli do wierzchu wzgórza, przystanęli jeszcze po drodze, postawiwszy konewkę na ziemi. I tak stali chwilę, odpoczywając.

— Długo nie mogłem o tym zapomnieć — powiedział. — Bo były takie małe. Były za małe na tę konewkę.

Ojciec mówił to niechętnie, z przymusem, nie patrząc w moją stronę. Było widać, że jest to dla niego ciężkie i pełne dużego znaczenia wspomnienie.

KRZYWDA WYRZĄDZONA

Myślałam nieraz o tym Wrotkowie. I dopiero na krótko przed wojną udało mi się wybrać do Lublina, aby zobaczyć miejsce, gdzie stał ostatni dom dziadków Nałkowskich.

Wiedziałam od ojca, że z okien domu widać było w dolinie rozległe łąki. Ich środkiem płynęła „rzeka rodzinna", Bystrzyca, a widnokrąg zamykały dalekie lasy.

Już w wagonie, gdy przebywszy most nad Bystrzycą zbliżaliśmy się do Lublina, ktoś pokazał mi z okna miejsce zielone i rozległe.

— O, tu jest Wrotków — powiedział — a tam dalej Zemborzyce.

W pokoju hotelowym w Lublinie pisałam pod datą 6.V.1937 roku:

Dzień wczorajszy, pogodny i majowy, rozpoczęłam około południa wyprawą do Wrotkowa. Jechałam sama drogą wzdłuż kolejowego toru. Odległość wydała mi się większa niż przez okno wagonu.

Z drogi idącej od miasta wzdłuż toru skręciłam na lewo. Wiejska ulica prowadzi przez długą wieś, rozciągniętą wzdłuż krawędzi zbocza. Chaty — podobne do domków, często murowane, niskie kamieniczki drobnych mieszczan i rzemieślników — pomieszane, poprzeplatane z sadami i ogródkami — wyznaczają tę dawną wiejską ulicę.

Miejsce układa się powoli według ram, wyznaczonych tamtymi wspomnieniami. Oto brzeg wyżyny dość stromy, oto w dole łąki rozległe i dnem doliny płynąca rzeka. Za rzeką znowu wzgórza, nie zbyt dalekie i zielone, w drzewach — chaty Rur, Majdanu i dalej na lewo — Zemborzyc.

Pachnie kwitnąca tu wszędzie tarnina południowym migdałowym zapachem.

Znajduję sobie starą kobietę. Ma siedemdziesiąt lat. Pamięta dawne czasy. Owszem, powie mi, co wie. Teraz dworu już nie ma, grunty rozkupili ludzie z miasta. Ale kiedy była dzieckiem, stał tu jeszcze ten dwór na miejscu, dotąd zwącym się Szlachetczyzną. Teraz rośnie tam jeszcze jedna tylko stara lipa. Było więcej, ale już za jej pamięci wymarzły.

Wchodzę za staruszką do zwykłej chaty. Wewnątrz jest kredens, jadalny stół, firanki w oknach, obrazy na ścianach, dzieci na podłodze. Jest też otomana. Na otomanie siedzi siostrzenica staruszki i gotowa jest oprowadzić mnie po okolicy.

Idziemy w stronę tych Zemborzyc. Mijamy wielki młyn, schodzimy nisko nad rzekę, od tamtych czasów ocierającą się swą wodą wciąż o te same brzegi, wodą płynącą bez przerwy w tę samą stronę.

Jest temu lat chyba z siedemdziesiąt, jak Michał Nałkowski z żoną Celiną z Rudnickich i synem Wacławem odeszli stąd na zawsze, przenosząc się do Lublina. Ale nie widząc tego, nie umiem w to uwierzyć. I dlatego tak szukam m i e j s c a, tak szukam ś l a d ó w, by sobie w tym dopomóc. Sobie — czy im, którzy w tej zmienionej, cząstkowej postaci wrócili tu oto po latach — m n ą.

Tuż koło toru pewno zaczynała się ta „kolonia". Wysoka krawędź wyżyny — w pamięci ojca ustronna i wiejska, teraz usiana mnóstwem budynków — niewątpliwie zmieniona jest do niepoznania. Ale u stóp wzgórza pasą się i teraz wśród łąk krowy i konie, a dnem doliny płynie jak niegdyś ojca „rzeka rodzinna".

Nad wodą jest zielono, maj. Wierzby słoneczne stoją jeszcze bez

konturów, białe tarniny pachną, w wodzie niebieskiej brodzą dzieci. Wielkie gęsi białe z żółtymi puchatymi pisklętami, zarozumiałe i złe, wyszczypują młodziutką trawę.

Dalej już nie idziemy. Gdzieś tu była granica. Jest upał, od którego się omdlewa. Wracamy brzegiem, uroda towarzyszy tej rzece nieustannie. Wchodzimy znowu zboczem na górę. Miejsce jest na pewno to samo i z niego widok ten sam. Łąka w dole, rzeka, w oddali pod niebem wzgórza zielone. Napatrzyłam się dowoli tego miejsca. O każdym domu myślę, że stoi na śladach tamtego, który w przeciwieństwie do „prostej chałupy" w Wierzchowiskach „miał aż pięć pokoi". W każdej ruderze podejrzewam ten „budynek dla czeladzi — bez podłóg i okien". Ale którą z tych dróg pod górę wracały konie z pastwiska, którą ścieżką dwoje małych dzieci niosło ciężką konewkę wody, tego nie wiem. Wiem tylko, że w obrębie widzianego dziś przeze mnie odbywało się tamto dzieciństwo zachwytów i udręczenia, urabiał się tamten charakter gorzkiej, pokrzywdzonej dumy, rodziła tamta myśl.

Wracając przypomniałam sobie, że ojciec jeszcze raz mówił o tych dzieciach z Wrotkowa, kiedy byłam już starsza i mogłam zrozumieć. Wówczas dopiero dowiedziałam się, jak było naprawdę.

Gdy dzieci, przydźwigawszy konewkę, stały w połowie wzgórza wypoczywając, Wacław zeszedł do nich i konewkę pełną wody kopnięciem nogi przewrócił.

Dzieci nie powiedziały nic, tylko patrzyły w milczeniu na wodę, spływającą po ścieżce. Wacław odszedł stamtąd, też nic nie powiedziawszy.

— Nie wiem, dlaczego to zrobiłem — mówił teraz ze wstydem. — Była to duża krzywda, bo przeszły już pod górę najcięższą część drogi. Gdy się obejrzałem, były znowu na dole, szły łąką. Schodziły z pustą konewką na powrót do rzeki.

Może się nawet nie poskarżyły w domu, bo nikt stamtąd nie przyszedł się o ich krzywdę upomnieć. Z tego domu dla czeladzi, w którym nie było podłóg ani okien.

W zdarzeniu tym zdaje się brać początek pojęcie o krzywdzie cudzej. I inne stąd ujrzenie świata, w którym ta krzywda zachodzi. Bezkarnie bowiem wylawszy dzieciom przydźwiganą pod górę wodę Wacław wziął udział w tym, przeciw czemu walka miała stać się motywem przewodnim jego życia.

Michał Nałkowski nie lubił wsi ani gospodarstwa. Folwarki i dzierżawy niszczały w jego rękach. Powodem były tu zamiłowania innej natury: muzyka, rzeźba w drzewie, matematyka.

Nie lubiąc gospodarstwa, lubił natomiast bawić się po amatorsku różnymi rzemiosłami. Wyrażał tym t ę s k n o t ę d o z a w o d u — znamienną dla klasy, która nie ma specjalności, której zadaniem jest pilnowanie pracy innych.

Długie godziny spędzał w swoim pokoju i przy ustawionym tam warsztacie piłował, heblował, z gorliwością naprawiając wszelki sprzęt gospodarski i domowy. A gdy zmrok zapadał, mały Wacław towarzyszył ojcu godzinami stojąc z lichtarzem w ręku, by przyświecać jego robocie.

Drugą pasją Michała były skrzypce. Gdy zrobił jaką przykrość żonie, muzyką wyrażał swą skruchę. Zdarzało się, że grywał późno w noc i zapałem w tej sztuce też zakłócał nieraz sen swym najbliższym. Z tym usposobieniem nie był zdolny oprzeć się biegowi rzeczy, nie próbował mu przeciwdziałać. W jego obyczajach wyrażała się niezgoda na los, niesolidarność ze swą klasą, niechęć do życia na wsi, do ziemiaństwa.

Drwiny z bogatych lub utytułowanych krewnych, z ich umysłowego ubóstwa i nieuctwa, weszły w obyczaj tamtego czasu, stały się jakby konwenansem. Ślady tego przetrwały w różnych domowych powiedzonkach. Z dzieciństwa zapamiętał Wacław przekręcone nazwisko Scipio del Campo na Scipio il Bombo. A jeden z wujów Rudnickich tak opowiadał scenę zawarcia nowej znajomości: „...i przedstawia mi się: Colonna Walewski jestem. A ja na to: Bardzo mi przyjemnie — Piramida Rudnicki".

Tak się stało, że od wczesnego dzieciństwa Wacław Nałkowski był nie tylko świadkiem, ale czynnym uczestnikiem i ofiarą tych przemian. Jego cierpienia osobiste, wszelkie smutki i żale, jego dziecinne dramaty wiązały się ściśle z procesem, który pogrążał w upadku jego środowisko. Tu bierze początek jego pragnienie siły, wielkie ambicje, marzenie o życiu wspaniałym, poświęconym nauce i przynoszącym sławę. Odziedziczona po matce duża wrażliwość uczuciowa wzmaga te pragnienia i każe tym bardziej cierpieć z powodu stojących na drodze do ich urzeczywistnienia przeszkód.

Uczony przez matkę francuskiego i innych przedmiotów szkolnych, a przez korepetytora, młodzieńca z trzeciej klasy liceum, łaciny i rosyjskiego, Wacław — niedostatecznie przygotowany — z opóźnieniem wstąpił do tegoż liceum w Lublinie, przy czym egzamin powiódł mu się, jak pisze, „dość dobrze". Mimo że zaraz w początkach zachorował ciężko na zapalenie płuc, pierwszą klasę ukończył z nagrodą. Nagrody powtarzały się w każdej klasie, chociaż i on od klasy drugiej zarabiać musiał korepetycjami. Rodzice jego, po sprzedaży Wrotkowa, mieszkali już wtedy w Lublinie, a ojciec został urzędnikiem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

„Zawsze z trudnością przychodziło mi nauczyć się rzeczy nie mających loicznego związku" — pisze Wacław w dziecinnych notatkach. „Jeografię lubiłem, bo ona nie była dla mnie przedmiotem pamięciowym. Wszystko, com się z niej nauczył, widziałem w umyśle. Miałem szczególne upodobanie nieraz po kilka godzin przyglądać się mappie..."

„Arytmetykę lubiłem dlatego, że nie potrzebowałem nic uczyć się na pamięć, a loiczne rozumowanie zawsze z łatwością pojmowałem".

Mimo że Wacław zarabiał korepetycjami więcej niż ojciec, do domu „wkradła się nędza". Nadmierna praca i niedostatek powodują nowe niezdrowie. Była to poważna choroba oczu, zagrażająca utratą wzroku. W późniejszych nieco notatkach znajdują się takie wyznania:

„Chęć wycelowania we wszystkim wychodziła mi zawsze na złe. Tak we Wrotkowie, żyjąc jak dziecię natury, dosiadałem najdzikszych koni — raz koń się ze mną wywrócił. Chciałem od razu pływać jak najlepsi nurkowie, o których czytałem. Pływałem do zupełnego opadnięcia z sił. Gdy dałem nurka, siedziałem długo pod wodą, choć mi tchu nie stawało. I mało com się nie utopił, gdym za wcześnie usta otworzył".

„Ta sama żądza napadła mnie w naukach i także złe wywołała skutki: zły wpływ na zdrowie fizyczne i nie wiem doprawdy, czy dobry wpływ na stronę moralną. Zaczęła się od połowy trzeciej klasy. Chciałem w nauce przejść profesorów, gdy mnie który na czym złapał, martwiłem się, traciłem sen i apetyt, a natomiast pracowałem w dwójnasób. Ta praca zmieniła mnie bardzo: gdy dawniej goniłem za zabawą śród grona kolegów, gdy umysł mój zwracał się prawie wyłącznie ku przedmiotom zewnętrznym, teraz przeciwnie, unikałem zabaw i towarzystw, polubiłem samotność. Czytywałem, a więcej nierównie myślałem. Był to stan przejścia z lat dziecinnych do wieku młodzieńczego. Siedząc nieraz sam wieczorem przy otwartym oknie mego pokoiku pa-

trzyłem w te miliony światów, jak w kartę otwartą rozprawy matematycznej.

A pracowałem nie tylko nad tym, co miałem zadane w szkole: aby nie zapomnieć swego języka pracowałem w domu nad literaturą i historią Polski. Mając zamiłowanie do matematyki i geografii, a będąc w gimnazjum filologicznym, gdzie te nauki nisko stały, musiałem swe wiadomości uzupełniać: zamiast czas wolny poświęcać zabawom, nieraz całe dnie świąteczne przepędzałem przed tablicą, rozwiązując zagadnienie za zagadnieniem. Tak przerobiłem kilka książek, mieszczących ponad tysiąc najtrudniejszych zagadnień. Umysł mój wzmacniał się, nie było zadania, którego bym nie rozwiązał, ale ciało słabło coraz bardziej. Toż samo przepędzałem całe godziny na przypatrywaniu się mappom — często z pomocą powiększających szkieł. Wkrótce okazały się dobre i złe tego skutki: uważali mnie w szkole za pierwszego matematyka i geografa, przedstawiali chlubnie wizytatorom. Lecz za to często, szczególniej w zimie, zapadałem na zdrowiu, a oczy odmówiły mi posłuszeństwa. Lekcji musiałem się uczyć w ten sposób, że chodziłem od kolegi do kolegi i przysłuchiwałem się, jak który czytał lekcje, a wywdzięczałem się uczeniem matematyki. Cóż za boleść dla człowieka, który całą przyszłość założył w pracy naukowej, naraz pozbawionym być możności pracy lub możność tę prawie jałmużną zdobywać".

UNIWERSYTET

Wacław ukończył gimnazjum w Lublinie ze złotym medalem. Zachęcony przez niezapomnianego nauczyciela, geografa Aleksandra Szumowskiego, który przepowiadał mu świetną przyszłość naukową, udał się na uniwersytet do Krakowa w roku 1871.

Ten wyjazd oznaczał rozstanie z rodzicami na zawsze. Wacław zobaczył ich jeszcze raz jesienią w Krakowie, na dworcu kolejowym w oknie pociągu, którym wracali do Lublina z kuracji w Szczawnicy. Było to widzenie ostatnie. Wkrótce potem odebrał depeszę z Lublina o śmierci matki, która zmarła nagle na serce. Nie zdążyłby nawet na jej pogrzeb, zresztą brak pieniędzy uniemożliwiał mu wyjazd. W paru listach wymienionych z ojcem widać rozpacz, w jaką pogrążyła go ta strata. Michał leżał już wtedy w lubelskim szpitalu chory ciężko na astmę. Umarł w niecałe dwa miesiące po śmierci żony. Brak pieniędzy nie pozwolił i tym razem Wacławowi pojechać do Lublina.

Śmierć rodziców spadła na Wacława u progu jego pracy naukowej,

rzuciła mrok żałoby na cały ten pierwszy czas młodości — pochmurnej, zawziętej, pełnej wyrzeczeń i zawodów.

Mieszkał gdzieś nisko nad Wisłą, później na przedmieściu Zwierzynieckim. Ze skąpych zwierzeń osobistych, bardziej z listów do przyjaciela i do dalszej rodziny — można sobie odtworzyć ten okres. Było to skrajne ubóstwo, brak żywności, brak opału. Latem zbierał przy drogach pokrzywy, które gotował sobie na jarzynę. Zimą w jednym z tych mieszkań zamarzała woda w wiadrze i atrament w buteleczce. Wynikł z tego parokrotny pobyt w szpitalu, a także przerwy dłuższe w studiach.

Stosunki panujące w ówczesnym świecie uniwersyteckim i naukowym Krakowa, wpływy kleru i arystokracji, budzą w Nałkowskim oburzenie, a los tych, którzy padają ich ofiarą — głębokie współczucie. Widok ciągłego marnowania się ludzi najzdolniejszych i niezależnych sprawia, że i los własny ukazuje mu się ściśle zależny od warunków społecznych. Wskutek silnego wstrząsu moralnego, wywołanego śmiercią rodziców, nastąpiła już przed tym utrata wiary.

W tych doświadczeniach bierze początek ustalenie się przekonań Nałkowskiego, których wyraz znajdujemy w ówczesnej korespondencji z rodziną matki, a także w pisanych później W s p o m n i e n i a c h k r a k o w s k i e g o s t u d e n t a.

Przyjaźń w okresie uniwersyteckim gra dużą rolę w twardym życiu Wacława. Jej warunkiem jest bliskość przekonań, wspólność „ideałów", jak mówiło się wówczas. I oczywiście także nędza. Pieniądze w ogóle wydają mu się wtedy czymś podejrzanym i niewłaściwym, ludzie bogaci, choćby należący do rodziny — światem wrogim, który należy zwalczać, gdyż — jak pisze — „tylko im i tylko kosztem innych dostępne są dobra życia".

Między przyjaciółmi znajduje się człowiek wybitnie zdolny, zmarnowany przez ciężkie warunki młodości, student medycyny, późniejszy lekarz powincjonalny Wincenty Tryczyński, jest poeta Hugo Wróblewski, prześladowany przez austriacką policję, jest młody kolega o nieustalonym nazwisku, który z nędzy popełnił samobójstwo, opisane we W s p o m n i e n i a c h k r a k o w s k i e g o s t u d e n t a.

Nałkowski studiuje w Krakowie geografię astronomiczną, kartografię i zwłaszcza matematykę. Zamówioną nieoczekiwanie przez księgarza Adolfa Dygasińskiego G e o g r a f i ę f i z y c z n ą, pisaną w najcięższych warunkach, młody uczony ukończył nadaremnie: Jako księgarz bowiem, wydający w Krakowie dzieła Darwina, dramaty Aleksandra Świętochowskiego, wreszcie B i b l i o t e k ę U m i e j ę t n o ś c i P r z y r o d n i c z y c h Dygasiński zbankrutował

i obrał sobie, jak wiadomo, inny zawód, pisząc sam piękne książki o ludziach i zwierzętach. Rękopis Nałkowskiego, częściowo zresztą zniszczony wskutek powodzi, która zalała jego nadwiślański pokoik, został później opracowany przezeń na nowo pod tytułem Geografia rozumowa. Jedynie tylko polemiczny wstęp ukazał się jako jego pierwszy druk w jednym z miesięczników krakowskich w roku 1876.

MIŁOŚĆ

Oprócz pięknie ilustrowanej książki o Krzysztofie Kolumbie, stanowiącej dokument dziecinnego triumfu Wacława, jako nagroda za pilność w klasie pierwszej lubelskiego liceum, ocalała jeszcze z Pożaru Warszawy inna książeczka — małe, czerwono oprawne wydanie Konrada Wallenroda. Na kartce tytułowej nieśmiało wpisane ołówkiem litery M. D. H. oznaczają, że jest to prezent dla „mojej drogiej Hani".W tekście książki podkreślony jest jeszcze tym samym ołówkiem jeden wiersz poematu:

„Trzy piękne córki było nas u matki..."

Anna była z nich średnią. Hugo Wróblewski jest tym, który poznał Wacława z rodziną Szafranków. Mieli mały domek i ogród na Zwierzyńcu, nad nie istniejącą już rzeczką Rudawą, i parę poza tym zagonów pola na stoku pochyłości pod Kopcem Kościuszki.

Anna była córką urzędnika kolejowego, zagnanego w strony galicyjskie z ojczystych winnic Morawii. Urodziła się już we Lwowie, ukończyła krakowską szkołę klasztorną na Zwierzyńcu. Gdy poznał ją Wacław, chodziła do seminarium nauczycielskiego, wybierała się jechać na kondycję.

Piękna i gorzka, nieufna i oporna wobec miłości, dwukrotnie zrywała zaręczyny, wreszcie wyjechała jako nauczycielka na wieś do Wschodniej Galicji i pozostała tam przez całe dwa lata. Dużą korespondencję, pozostałą z tamtego czasu, włożyła w wiele lat później, po śmierci Wacława Nałkowskiego, do jego trumny.

Przez całe życie pomagała mu w pracy naukowej, do której przygotowała się podczas wspólnego już po ślubie pobytu w Lipsku, gdzie on studiował geologię i etnologię, a ona była słuchaczką znakomitego Kirchhoffa. Napisała ponadto parę monografii geograficznych, jak Śląsk i Wisła oraz Geografia ziem dawnej Polski i wiele podręczników geografii powszechnej na różne klasy.

O niej właśnie — już po jej śmierci — wydrukowane zostały takie słowa:

„To jej usta były nadąsane od młodości, gorzkie od dumy. To ona odmówiła ręki człowiekowi, którego jednego w życiu kochała. I jej to twarz dziewczęca na ciemnym starym portrecie była pochmurna, jak oblicze bizantyjskiego anioła.

Dopiero po dwóch latach tęsknoty i udręczenia przystała na tę jego i swoją miłość.

W ubogim domu uczonego, pełnym książek i map świata, hodowała z cebulek hiacynty i ustawiała je zimą kwitnące na nagich sprzętach. Do gabinetu męża wsunęła niewielkie swoje biurko i przychodziła tam, gdy dzieci już spały, by na uboczu jego pracy, cicha i skupiona, pisać własne książki.

Przeżyła całe życie rozległe w powadze i trudzie tej jednej miłości. Zbytkiem jedynym był jej piękny, uczony głos altowy, gdy śpiewała — sama sobie akompaniując — zapamiętane pieśni swej dawnej ojczyzny, pięknej Morawii. A także wciąż nowe kopie, sztychy, rysunki z waz greckich, powtarzające poprzez epoki i stulecia jej nieskazitelny profil.

Po zgonie męża przepisywała notatki do jego nieukończonych dzieł, pilnowała jego domu i ogrodu, pielęgnowała jego grób.

Dziełami jego biblioteki obdarowała instytucje i stowarzyszenia naukowe. Nie odstąpiła nigdy od zasad jego wyznania wiary. W jej oczach świat był jednością, a energia promieniujących gwiazd nie rozpraszała się w próżni, tylko zasilała mgławice i wyłamywała z nich nowe gwiazdy. Wierzyła, że świat nie ma początku ani końca, wierzyła, że ludzkość wywodzi się z tworów niższych i oparta o prawa, jednoczące ją ze światem pozaczłowieczym, zdąża do czysto ludzkiej, przez siebie zamierzonej sprawiedliwości."

NASZE ŻYCIE

Namiętny i nieustępliwy w polemikach — z Kasą Mianowskiego o „zmarnowanie" jeszcze raz opracowanej G e o g r a f i i F i z y c z n e j, z księdzem Niedziałakowskim o napisanie zwalczającej równouprawnienie kobiet książki pod tytułem N i e t ę d y d r o g a, s z a n o w n y p a n i e!, z geologiem Siemiradzkim o lodowce, z profesorem Lutosławskim o logikę i zwłaszcza z Henrykiem Sienkiewiczem o R o d z i n ę P o ł a n i e c k i c h — Nałkowski był przy

zetknięciu osobistym człowiekiem uprzejmym w obejściu, wesołym i dowcipnym. Nie zachowałam w pamięci żadnej przykrej sceny, żadnego domowego sporu, niczyich przez niego spowodowanych łez. Anna zresztą odgradzała go od wszelkich przykrości domowych, czuwała nad potrzebnym mu do pracy spokojem.

W książce Heleny Boguszewskiej C z e k a m y n a ż y c i e znajdujemy taki jego opis: „Pan Nałkowski był wysoki, smukły, piękny, z ciemną chmurą włosów nad bladością twarzy pociągłej, o długim nosie, z połyskiwaniem szkieł nieodstępnych binokli, z błyskiem ślicznego uśmiechu nad czarnością brody".

Pracował w ścisłym odosobnieniu, czytał i notował późną nocą, światło w jego pokoju widać było do drugiej i trzeciej po północy. Pisał zawsze ołówkiem na małych kartkach papieru, po wykorzystaniu przechowywanych starannie w szufladzie. Następnie leżąc na sofie dyktował teksty swoich książek Annie albo mnie, gdy ledwie wyszłam z dzieciństwa.

Jedyną jego rozrywką były ćwiczenia w ówczesnej sali gimnastycznej Pieńkowskiego — wespół z krytykiem Ignacym Matuszewskim, Adolfem Dygasińskim, Ignacym Radlińskim, Cezarem Jellentą. Przez pewien czas — łyżwy, rower, do końca zaś dalekie spacery, podmiejskie, piesze wycieczki — zwłaszcza z Radlińskim, historykiem religii i badaczem literatur wschodnich, towarzyszem świetnych rozmów o sprawach dawno minionego i nadchodzącego świata. Jedynym zaś zbytkiem — książki, ustawiane na prostych, nie politurowanych półkach i w ogóle, gdzie się dało.

Poza książkami zbytków nie znał. Nigdy na przykład nie miał futra, a ciemne palto jesienne powtarzało się to samo przez wiele zim. Z jego to kieszeni wyjął kiedyś, w mroźny wieczór zimowy wróciwszy do domu, zmarzniętą mysz, odebraną dybiącym na jej znikome życie chłopcom na ulicy i położył na stole obok lampy naftowej.

— Dajcie no ciepłego mleka — powiedział. — Może jeszcze przyjdzie do siebie.

Zajęłyśmy się tym natychmiast, bardzo niespokojne, czy ożyje. Ach, cóżby to była za radość!

Mysz wróciła zwolna do życia. Wypiła mleko, długo czyściła sobie włochaty, ruchomy pyszczek łapkami zbyt krótkimi, jak u kaleki. Wreszcie z wahaniem ujęła nimi kawałek mięsa i powoli, z namysłem, zjadła.

Naprzód trzymaliśmy ją u siebie, w wysłanym watą pudełku z trawy morskiej po czekoladkach, karmiły z rąk, marzyły o jej oswojeniu.

Wypuszczona, chodziła po stole, próbowała różnych rzeczy do jedzenia. Była przez czas dłuższy naszym zwierzęciem domowym.

Ale raz znalazłyśmy pudełko puste z wygryzioną okrągłą dziurką z boku. Nie zjawiła się więcej. Przepadła gdzieś, zostawiając po sobie nadgryzione jedno ubranie w szafie i najlepsze wspomnienie.

DOM NAD ŁĄKAMI

Nastał czas, gdy życie nasze uległo dużej zmianie.

Dotąd stale mieszkaliśmy w Warszawie, przenosząc się kolejno z ulicy Kruczej na Wspólną, a z tej na ulicę Leopoldyny i wreszcie na Nowogrodzką. Tylko dwa krótkie miesiące wakacji spędzaliśmy niekiedy u babci na Zwierzyńcu pod Krakowem.

Wbrew przepowiedniom lubelskiego profesora Szumowskiego Nałkowski nie objął katedry, tylko zarabiał na życie nauczając geografii w szkołach średnich i to prywatnych — gdzie językiem wykładowym był polski — jak znana szkoła postępowa Hermana Benniego, w której wykładał też znajomy z Krakowa Dygasiński, albo pensja żeńska Anieli Hoene, która została później żoną poety i redaktora Chimery, Zenona Przesmyckiego, znakomitego tłumacza poezji francuskiej i czeskiej.

Toteż do babci przyjeżdżaliśmy zwykle dopiero pod koniec lipca, w czasie wakacji, powaby wiosny znając tylko z parków Warszawy, szczególniej z ogrodu Pomologicznego.

W ogródku babci nad już dziś nie istniejącą rzeczką Rudawą rosła kukurydza, o której powiedział Fryderyk Engels, że jest ze zbóż „najlepsza". Podzielałyśmy jego zdanie i też najbardziej nam smakowała. Lubiłyśmy poza tym agrest i porzeczki, wyznaczające kolącymi krzakami ścieżki ogrodu. Dwa zagonki truskawek leżały pod zielonymi sztachetami, dzielącymi ogród od szosy Zwierzynieckiej. Ale o tej porze były już zwykle wyzbierane. Wielką uciechą było dla nas znaleźć pod ich wielkimi ciemnymi liśćmi ostatnie, zapomniane, ciemnoczerwone owoce i z triumfem przynieść dorosłym do stołu.

Zajęty przez zimę lekcjami ojciec na wakacje zabierał ze sobą swoją robotę. I tutaj więc wiele godzin spędzał na pisaniu w małym pokoiku, gdzie prócz żelaznego łóżka, stołu i krzesła nie było nic, a książki i papiery mieściły się na podłodze. Mając do rozporządzenia cały ogród nie potrzebowałyśmy hałasować pod jego drzwiami. Za to za jego oknem, wychodzącym na podwórze, hałasowały głośno gdakające kury, piał

kogut i poszczekiwał bardzo miły, nieduży pies, który nazywał się Fidel. Ale to widać ojcu nie przeszkadzało.

Jednak wyjazd do Krakowa nazywał się jeszcze wtedy „wyjazdem zagranicę", wymagał starań o paszporty, był zbyt kosztowny.

Wówczas to rodzice zdecydowali się kupić na spłaty niedaleko Warszawy trzy morgi piaszczystego, porosłego sosnami wzgórza, które ojciec nazywał wydmą utrwaloną, i za pożyczone „na hipotekę" pieniądze postawić drewniany domek. Wiejski cieśla wybudował go w ciągu lata, które spędziliśmy w pobliskiej wsi jako „letnicy" zajmując jedną izbę chaty, gdy w drugiej mieszkali starzy gospodarze razem z synem, jego żoną i malutkim, płaczącym bez przyczyny dzieckiem na jej ręku. Z tej chaty co rano szliśmy na Górki i spędzali tam całe dni przy budowie, rozmawiając z robotnikami, którzy pozwolili nam heblować leżące na kozłach deski i wypytywać się o wszystko. Z tego czasu zapamiętałam, że „filongi" oznaczają prostokątne deseczki, wstawiane we drzwi dla ozdoby. I że takie drzwi nazywają się filongowe. Zrozumiałam też, że „hipoteka" oznacza, iż co jakiś czas trzeba płacić komuś pieniądze, zwane „procentami". I że to nie jest sprawa łatwa.

W domu na Górkach zamieszkaliśmy, zanim był gotowy. Łóżka nasze stały na stryszku, który jeszcze nie miał szczytowej ściany, tylko u dołu oddzielony był od powietrza czymś, co z kolei nazywało się „tremplem".

Budząc się widziałyśmy czerwone wschodzące słońce w ogromnym trójkątnym otworze, wysłanym ciemnymi gałęziami sosen. Gdy nastały chłody jesienne, mogliśmy już przenieść się do pokojów na dole.

Nie obmyślając nazwy na to miejsce ziemi, mówiliśmy o nim po prostu: Górki. I tak na długo pozostało. Dopiero w wiele lat później otrzymało nazwę Domu nad łąkami.

Nieznaczne zagłębienia dzieliły wzgórze jakby na trzy części. Najdalsze od domu i najwyższe wzniesienie, gdzie zakwitały pod sosnami pierwsze sasanki — duże kudłate kwiaty fiołkowe, okryte srebrnym puchem — nazwane zostało przez nas Kopcem Kościuszki — przez pamięć o spacerach podkrakowskich.

Wszędzie rosły tu stare sosny, a piasek porośnięty był seledynowym meszkiem. zwanym płucnicą islandzką, oraz kępkami trawy cienkiej, suchej jak włosie, raczej niebieskawej niż zielonej. Ale więcej niż trawy i płucnicy było tu brunatnego igliwia, po którym dość trudno było chodzić boso, bo kłuło.

Najbliższe znów od domu zagłębienie, okolone gęstym, niewysokim zagajnikiem sosnowym, nazwaliśmy Doliną Zoli. Tam bowiem jednego

dawnego lata, odpoczywając po kopaniu grządek czy podlewaniu drzew na tarasach, rozsiadaliśmy się w niedbałych pozach przed wieczorem i czytaliśmy na głos Zoli Lourdes i Germinal. Nazwa została, chociaż później na tym samym miejscu czytaliśmy wiele innych książek, jak Tkacze Hauptmana albo Ibsena Wróg ludu.

Ziemia na Górkach była nie tylko nieurodzajna, ale bardzo sucha. Woda deszczowa łatwo spływała z pochyłości po igliwiu, nie przenikając gruntu. Dlatego ojciec — kierowany wiedzą raczej geograficzną, niż rolniczą — postanowił na zboczu południowym, gdzie rosło mniej sosen, zrobić na sposób włoski tarasy.

To była nasze dziecinna robota — sypanie tych tarasów. Robiło się je w ciągu lata i sadziło na nich fasolę i pomidory, a także drzewa owocowe, zwłaszcza brzoskwinie, hodowane z pestek i odporne na mróz.

Już następnego roku mieliśmy własną fasolę i groch, własne kartofle, a nawet trochę truskawek, na niższych tarasach udawała się najlepsza kukurydza. Ale na owoce trzeba było poczekać dłużej, bo drzewa były jeszcze zbyt młode.

Po podwieczorku ojciec nie wracał już do swych książek i papierów, tylko z rowu, wykopanego nad samą łąką, dźwigał pod górę wodę w dwóch zielonych polewaczkach, gdyż susza była dla naszego ogrodu największym kłopotem. Pomagałyśmy mu w miarę swych sił, mając do tego małe lżejsze polewaczki. I wtedy właśnie po raz pierwszy powiedział nam o tych dzieciach z Wrotkowa.

Na Górkach spędziliśmy parę lat. Ojciec wyjeżdżał do Warszawy na posiedzenia w redakcjach, na rozmowy z wydawcami. Czasami przywoził pieniądze, częściej nie. Wracał zimą, w ciemne wieczory od stacji przez las w tym samym palcie, w którego kieszeni przyniósł kiedyś zmarzniętą mysz. I zasiadał przy biurku, by pracować do późnej nocy.

To było dość męczące, nawet przy jego zamiłowaniu do pieszych wycieczek i sportów. Przy tym i dla mnie nadszedł czas systematycznej nauki. Dotąd uczyłam się z matką geografii i niemieckiego, a z ojcem — arytmetyki, geometrii i logiki. Nie było to uzgodnione z żadnym programem szkolnym. Zdecydowano, że powinnam iść do szkoły żeńskiej prywatnej, zwanej wówczas „pensją", gdzie językiem wykładowym był polski. Wybór padł na pensję panny Hoene.

Przenieśliśmy się więc na zimę do Warszawy. Najprzód był to jeden pokój na Podwalu pod numerem czwartym, później dwa na Koszykowej, wreszcie trzy na Hożej 60, na czwartym piętrze w podwórzu.

Odtąd do Górek wyjeżdżało się tylko na lato.

Ojciec powrócił do lekcji w szkołach prywatnych i tak zwanych „kompletach", matka wykładała na pensjach ukrytych, później na uniwersytecie robotniczym. Nawet mała siostra, do której w domu nad łąkami przychodziły na naukę dzieci wiejskie, teraz uczyła geografii dzieci robotników.

Niektóre z tajnych wykładów ojca odbywały się w naszym mieszkaniu na Hożej. Przychodzili na nie prawie wyłącznie studenci.

Nałkowski był reformatorem geografii jako nauki, zarówno jak sposobu jej nauczania. W artykułach polemicznych zwalczał „kucie" pamięciowe, wyliczanie nazw gór, rzek i miast, żądał ujawniania w zjawiskach geograficznych ich przyczynowych związków. Wskazania te zawarł w książce Zarys metodyki geografii, a zasadę „rozumowości" przeprowadzał w swych dziełach, jak Geografia rozumowa, Geografia poglądowa, Geografia fizyczna. Opracował też na nowo według tej metody geografię Polski, ogłaszając ją pod dziwnymi dziś dla nas, a spowodowanymi przez wzgląd na cenzurę ówczesną tytułami, jak: Obraz geograficzny Polski historycznej albo Geograficzny rzut oka na dawną Polskę.

Poza tym pisał o zasługach dla geografii polskich uczonych, jak Michał Hube, Hugo Kołłątaj i Jan Śniadecki. Przez wiele lat prowadził kronikę geograficzną w czasopiśmie Wisła, współpracował w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej i w Słowniku Geograficznym, wiele artykułów naukowych i polemicznych zamieszczał w czasopismach.

W pracach swych dość wcześnie od zagadnień przyrody przeszedł do sprawy człowieka. Niesprawiedliwość społeczna, ucisk polityczny, straszny los ludów kolonialnych, gnębionych przez zdobywców, zwłaszcza imperialistów angielskich, budziły w nim oburzenie.

„Nawet publikacje naukowe nie były wolne od dygresji na tematy radykalno-społeczne" — pisał po jego śmierci geograf Stanisław Lencewicz.

Toteż i w swoich wykładach ojciec nie przestawał być, jak mówiło się wtedy, „człowiekiem przekonań".

Niektórzy spośród jego uczniów i słuchaczy stawali się później znajomymi, przychodzili do nas już jako przyjaciele.

Od jednego z takich słuchaczy ojca posłyszałam później żart, który krążył o nim pomiędzy studentami. Nałkowski wykłada: „...ziemia jest

bryłą kulistą, spłaszczoną u biegunów, co dzieje się z wyraźną krzywdą klasy pracującej".

Przejście od nauki o ziemi do zagadnienia człowieka wzbogaciło twórczość Nałkowskiego. Po wydaniu w roku 1901 zbioru prac pod tytułem Ziemia i człowiek powstała w trzy lata później Jednostka i ogół. Zebrane tam artykuły polemiczne, drukowane naprzód w czasopismach, przysporzyły mu wrogów. Ale zjednały też wielu przyjaciół.

Poza pensją, która zajmowała mi tylko godziny szkolne, pomagałam ojcu pisząc za jego dyktandem, albo chodziłam na tajne wykłady popołudniowe. Były to naprzód wykłady Jana Władysława Dawida, redaktora Głosu (historia filozofii i logika), później Ignacego Radlińskiego (historia języka francuskiego), wreszcie Cezarego Jellenty (historia sztuki). Wszyscy trzej byli przyjaciółmi ojca, ich rodziny bywały w naszym domu, dzieci też przyjaźniły się ze sobą.

Już wtedy — w tym mieszkaniu na Hożej — w jego tak zwanym „salonie", gdzie krótka różowa kanapka służyła mi za legowisko, a nieduży czarny stół z kręconymi nogami — za biurko, pisałam nie tylko pensjonarskie wierszyki i samodzielne drobne artykuły do Wielkiej Encyklopedii, ale przetłumaczyłam Gerlache'a Piętnaście miesięcy na Oceanie Antarktycznym i Karajewa Wskazówki dla samouków — po raz pierwszy mając lat szesnaście dostałam prawdziwe honorarium.

Uczestnikiem tej podróży, opisanej przez Gerlache'a, był Polak, Antoni Bolesław Dobrowolski, późniejszy autor świetnej Historii naturalnej lodu.

Kiedyś i on wybrał się do ojca w odwiedziny. I tak zaczęła się nasza wieloletnia przyjaźń z nim i jego żoną, panią Zofią.

Wszyscy oni latem przyjeżdżali w odwiedziny do nas na Górki i wraz z nami cieszyli się ich urodą.

Bo jednak co roku wracaliśmy do Górek na letnie miesiące. Czekały nas tam kochane zwierzęta, Morus i Półmordek, kury, mające też własne imiona, oswojony zając, przez czas niedługi oswojona wrona, wrzeszcząca o byle co, a później już niezapomniana sowa, zwana Wunią, i utrapienie wszystkich zwierząt, mały, ruchliwy i kolący jeż.

Nad domem i zwierzętami czuwał Władysław. Znaliśmy całą jego rodzinę, zamieszkałą w pobliskim Nadarzynie. Stary ojciec Władysława przychodził czasami na dłuższe rozmowy o polityce. „Bywałem na świecie — mówił — różnego zaznałem losu". I zapamiętał z tego, że „Włoch to chrześcijanin, a Turek to niedowiarek".

Jego żona, staruszka o wspaniałym siwym warkoczu, rumieniła się jak dziewczyna, gdy chwalono Władysława i inne jej równie udane dzieci.

Mieliśmy tam wielu przyjaciół. Była to dalej liczna rodzina niezapomnianej Magdy, której cały los ułożył się tak dziwnie tylko dlatego, że od dzieciństwa musiała kraść drzewo z lasu. Ludzie mówili, że ma złego ojca. To prawda. Ale i ten ojciec też był nędzarzem.

Żyli w tych czasach pradawnych smutnie i ubogo. Żyli z tego, co dała krowa, co zniosła kura, a kobieta dźwigała na sprzedaż do miasta. O tej swojej żonie, której wielki siwy warkocz ledwie mieścił się na jej głowie, mówił wtedy ojciec Władysława: „Zjem jajko na Wielkanoc, a już przez cały rok jajka nie oglądom. Nie do".

Mieszkał jeszcze w pobliżu dawny krakowski kolega ojca, Konstanty Woyciechowski, gospodarujący na niewielkim folwarku. Z kolei my z jego dziećmi związałyśmy się przyjaźnią. Ale Niutek, Witold i Mania umarli młodo.

Z wczesnego dzieciństwa zapamiętałyśmy staruszka, ich dziadka. Wiedziałyśmy o nim, że walczył w Powstaniu 1863 roku. Raz opowiadał nam, że dane mu było widzieć Mickiewicza, którego — jeszcze jako młodzieńca — pokazał mu ktoś w wileńskim kościele.

Tam w Domu nad łąkami powstało wiele ojca szkiców i studiów geograficznych, tam napisał część pierwszą G e o g r a f i i m a l o w n i c z e j, tam pracował nad P o d r ę c z n i k i e m d o n a u k i g e o g r a f i i p o w s z e c h n e j oraz G e o g r a f i ą F i z y c z n ą. Tam powstał wreszcie W i e l k i A t l a s G e o g r a f i c z n y ze skorowidzem nazw.

W jednym z pokojów domu nad łąkami stał fortepian długi i żółtawy, pamiętny jedną sonatą Mozarta i tym zwłaszcza, że na jego zamkniętym wieku układaliśmy jednego lata ściśle według alfabetu bezlik małych paseczków papieru do tego właśnie W i e l k i e g o A t l a s u G e o g r a f i c z n e g o. Z tak ułożonych papierków przepisywało się ów skorowidz nazw już w gotowej kolejności abecadła. Otóż jednego razu gwałtowny wicher otworzył nagle okna, zamknięte przed nadchodzącą burzą i zwiał wszystko z fortepianu, tak że uniesionych karteczek trzeba było szukać po całym lesie. Na szczęście nie zmokły, bo na burzę tylko „się zanosiło", a skończyło na paru grzmotach. I ani jedna kropla deszczu nie spadła.

Na tym samym fortepianie mała siostra rozkładała później rajzbrety i różne tajemnicze przybory, żeby rysować piękne figury do ojca G e o g r a f i i a s t r o n o m i c z n e j.

Pamiętam jeszcze ostatnią krótką bytność ojca na Górkach.. Pojechałam z nim późną jesienią załatwić tam jakieś sprawy z Władysławem, chyba po prostu zawieźć mu pieniędzy. Przy sposobności zabraliśmy też paczkę żywności dla Morusa i Półmordka.

Psy radowały się nami bardzo. Wyleciały do nas na ogród, skakały i życzliwie poszczekiwały. W ogrodzie było już pustawo, ostatnie liście na drzewach pożółkłe i suche, opadały wolno na ziemię, jakby się namyślając.

Oba psy zainteresowały się żywo treścią paczki i chętnie zabrały do jedzenia, rozesłanego na papierze nad ścieżką. Czas jakiś jadły w zgodzie, ale w pewnej chwili Morus warknął, Półmordek się obraził i nagle cienko zaszczekał. Morus skoczył do niego z zębami i zaczął go gryźć z niezwykłą zajadłością, chociaż różne kości i kawałki mięsa były jeszcze do zjedzenia. Ojciec usiłował je rozdzielić, jednak nawet ustępując, warczały jeszcze i porywały się do bitki.

Ojcu zrobiło to widoczną przykrość. Ale psy przez resztę dnia były ze sobą w zgodzie. I ta ostatnia bytność ojca na Górkach skończyła się pogodnie.

ROZSTANIE

Gdy dziś usiłuję przywołać pamięcią ściany, w których działo się tamto życie, widzę, że znaczna większość warszawskich naszych adresów stała się pustym miejscem powietrza.

Dom, w którym się urodziłam — i gdzie powstał zapewne ojca Geograficzny rzut oka na dawną Polskę, a może jeszcze Zmienność morskiego poziomu czy Afganistan wraz ze swym „stanowiskiem geograficzno-dziejowym" — ten dom stał kiedyś przy ulicy Kruczej, gdzieś w pobliżu Wspólnej czy Hożej.

Pierwsze widzenie życia — tamtejsze wnętrza, hiacynty, hodowane przez matkę, jej śpiew, książki na półkach z nie politurowanego drzewa, łóżko ojca, zasłane brunatnym kocem, niewielkie biurko z jedyną szufladą, na którym nie mieściły się rozkładane tomy i atlasy, mapy na ścianach, szerokie „napoleonki" w tak zwanym „salonie", wreszcie jedyny wówczas ocalały jakoś sprzęt z mahoniu: duża jednodrzwiowa szafa na ubranie, z pewnego względu zasługująca na wspomnienie. Mianowicie powlekający te jej drzwi fornir rozłożony był na nich

symetrycznie w taki sposób, że wyglądał jak dwa czerwono-złote skrzydła ogromnego motyla, pozbawionego zresztą głowy i odwłoku.

Zdarza mi się dziś przechodzić tamtędy lub przemykać autobusem — i nie wiem wcale, czy to miejsce powietrza, miejsce tych wnętrz i objętego nimi życia, zawisa nad pewnym parkanem, za którym coś budują, czy unosi się ponad miejscem otwartym, zasypanym poczerniałymi gruzami.

Później to jest sam koniec ulicy Wspólnej, sięgający niegdyś w głąb ogrodu Pomologicznego, którego też już prawie nie ma. Tylko rzecz cała odbywała się tutaj niżej, blisko ziemi. Były to dwa pokoje na parterze, z tych jeden zimą nie ogrzewany. Jak to mogło być, nie wiem. Jednak było. I na miejscu tego jedynego zimą pokoju, w którym mieściło się jakoś prócz nas biurko ojca i jego praca, jest już tylko sięgające do ziemi powietrze.

Tych powietrznych adresów jest dużo. Jest wreszcie Nowogrodzka 32 — piętro trzecie w podwórzu, gdzie właśnie przychodził Ignacy Radliński, jego pięknie grająca żona i córka Hela, która później zrobiła się Boguszewska i napisała tę śliczną książkę: C z e k a m y n a ż y c i e. Przychodził Ludwik Krzywicki, Zygmunt Heryng, Cezary Jellenta z żoną Albiną i synem Fredkiem, który zginął później na wojnie. I mieszkała z nami przez czas pewien Marynia Komornicka. Wtedy powstały F o r p o c z t y, książka zbiorowa, której partie odczytywali niekiedy jej autorzy — Komornicka, Jellenta i Nałkowski — przy stole w długiej jadalni.

To wszystko działo się w powietrzu. Nie ma tej podłogi, nie ma ścian. Nie ma tych ludzi.

Istnieje natomiast prawie nieuszkodzony adres ostatni z tamtej epoki — Nowowielka 14-a. Można jeszcze wejść na podwórze tego domu i przypominać sobie, jak to było. Schody jedne i drugie, piętro jeszcze raz czwarte. Bez windy. Znowu inne wnętrze — chyba już ocalałe — mimo dość znacznych zniszczeń. Poza dawnymi przyjaciółmi przychodzili tam jeszcze geografowie Wacław Jezierski, Antoni Sujkowski, Ludomir Sawicki, przychodził Antoni Bolesław Dobrowolski, Stefania Sempołowska, Maria Czaplicka, Janusz Korczak, Jadwiga i Władysław Dwidowie.

Jest jeszcze brama, przed którą w zimnym dniu 31 stycznia 1911 roku stały zastępy uczniów, słuchaczy i przyjaciół zmarłego. Zniesiono trumnę, wóz ruszył. Między wieńcami na trumnie był jeden od kogoś nieznanego, wieniec z cierni, związany długą wstęgą czerwoną. W cza-

sie pochodu żałobnego na cmentarz policja zażądała od rodziny zdjęcia tego wieńca. Wówczas ktoś z przyjaciół podszedł do trumny i zwinął wstęgę, podsuwając ją pod ciernie. Pochód ruszył dalej.

Jedna z jego uczennic, Miłkowska-Samotyhowa, drukowała we wspomnieniu o nim takie słowa:

„Wchodził do klasy, rzucając na nas szybkie jak strzała spojrzenie. Życzliwy, pełen szczerości, nieco drapieżny uśmiech, odsłaniał mu białe zęby. W spojrzeniu tym i uśmiechu była świeżość i nowość jakiegoś pięknego, nieznanego życia.

Gdy po wejściu do klasy zamykał za sobą drzwi, robiło się jaśniej i jakby czyściej; zapanowywała atmosfera ładu i ożywczego powietrza. W jego szybkich ruchach, w nagłych obrotach było coś z wichru, a w głosie metalicznym szlachetność pierwszej próby.

Jego swoboda, uprzejmość i grzeczność zbliżały, trzymając równocześnie w przyzwoitej odległości szacunku. Przy nim klasa prostowała się bezwiednie, siadała porządniej, nabierała fizjonomii uważnej i wykończonej.

O jakimkolwiek zatargu z tym profesorem nie mogło być mowy. Notatnik wychowawczyni leżał na jego lekcjach bezczynnie.

To co dawał Nałkowski, było rzadką w szkole średniej niespodzianką. Dawał czystą, szczerą i prawą emanację swojej osobowości. Stał przed nami jako człowiek śmiały, bezwzględnie wierny sobie.

Promieniował samą intensywnością umysłu i ducha, wytwarzając atmosferę zainteresowań najwyższego porządku. Tajemnica jego oddziaływania polegała na tym, że nie przestawał być wśród nas sobą. Świąteczny dzień myśli był jego dniem powszednim."

Aleksander Świętochowski w dzień 25-lecia pracy Nałkowskiego pisał:

„...umysł wielkiej, samorodnej mocy, duży i niepospolity, Wacław Nałkowski, który w społeczeństwie najoświeceńszym i posiadającym najbogatszy zasób sił naukowych szedłby w pierwszym ich rzędzie, między mistrzami, u nas jest prywatnym nauczycielem elementarnej wiedzy, wyrobnikiem podręczników, kruszącym marnotrawczo drogocenną bryłę swego mózgu dla zaspokojenia potrzeb codziennych, a mniej znanym ogółowi, niż wielu twórców piany literackiej, po której nie zostaną nawet echa jej szumu".

Zofia Nałkowska

KAZIMIERZ BRANDYS

OBYWATELE*)

3

Gmach szkolny był niegdyś obrośnięty dzikim winem, ale po wojennych przejściach, jakby nie mając już głowy do dawnej elegancji, poprzestał na czterech klatkowatych piętrach, wyznaczonych równymi rzędami okien; widniał między nimi szary mur, tu i ówdzie obnażając świeżą cegłę. Budynek palił się w czasie Powstania, na szczęście pożar zdołano ugasić; do stycznia 45-go roku mieściły się w nim koszary SS; hitlerowcy, wycofując się z Warszawy, nie zdążyli go doszczętnie zniszczyć.

Był jednak mocno spustoszony: prócz śladów pożaru pozostały nagie ściany i schody z rozwaloną poręczą. Przez puste okna dął wiatr, posadzki wyrąbano na opał. Profesor Jarosz, który przybył tu natychmiast po ucieczce Niemców, opowiadał, że na pierwszym piętrze, w dawnej sali rekreacyjnej, powitał go wypchany szympans w mundurze polskiego żołnierza, z napisem „Polen" przypiętym do piersi.

Przez kilka pierwszych miesięcy dyrekcja zdobywała środki na odbudowę gmachu, a jednocześnie własnymi siłami przeprowadzano najkonieczniejszy remont. Nauczyciele szklili okna, woźni i uczniowie zbijali z desek ławki; Komitet Rodzicielski powstał, by naprawić uszkodzoną poręcz schodów. Pracowano w dni powszednie po lekcjach, które odbywały się w tymczasowym budynku na Pradze, i w przedpołudnia świąteczne.

Dopiero na wiosnę Jarosz dopiął swego: po szeregu notatek w Życiu Warszawy, opisujących „ofiarne wysiłki młodzieży, która własnymi rękami odbudowuje swój stary, kochany gmach szkolny" — BOS zdecydował się przeprowadzić roboty do końca. Latem budynek był gotów.

W ciągu pięciu lat, które do tego czasu upłynęły, szkoła obrosła na nowo — co prawda nie dzikim winem — lecz mnóstwem codziennych spraw, kłopotów i wydarzeń. Przez klasy, schody i dziedziniec przewinęły się setki chłopców, pięć roczników opuściło jej mury, przybyło pięć nowych, zmieniali się rodzice, woźni, wykładowcy... Kilkakrotnie całe gimnazjum szło za trumną kolegi, a w roku 47 zmarł stary nauczyciel fizyki, którego żegnano przy dźwiękach szkolnej orkiestry. Gmach

*) Patrz Nr poprzedni Twórczości

zdawał się już zasiedziały, solidnie wrosły w ziemię. Co roku, latem, w odświętnie przybranej sali gimnastycznej dyrektor Sznej wręczał nagrody i dyplomy przodownikom nauki, którzy kolejno wśród oklasków wstępowali na podium; co roku również, wczesną jesienią, po przerwie wakacyjnej, w tej samej sali odbywał się wstępny odczyt jednego z członków Rady Pedagogicznej, wytyczający wspólne zadania i obowiązki szkolnego społeczeństwa; delegat zetempowski zagajał dyskusję — po czym chór gimnazjalny śpiewał młodzieżowe pieśni i w oknach dzwoniły szyby.

Morawiecki znalazłszy się w przedsionku, starannie wytarł zabłocone buty o słomiankę. W gmachu było cicho, z drugiego piętra dolatywał tylko głos klarnetu, wygrywającego gamę: popołudniowe ćwiczenia orkiestry. Zbliżył się do tablicy z gazetką ścienną: artykuł Antka Kuźnara o sytuacji międzynarodowej, kronika szkolna, wiersz o górnikach departamentu Nord, fotografia Markiewki wycięta z Przekroju. Do tablicy przyczepił ktoś zawiadomienie o prelekcji: „Plan 6-letni a walka o pokój". Obok widniała kartka z nabazgranym zdaniem: „Koledzy! Nie opluwajcie ścian!", na której dopisano ołówkiem: „Tomala dziś plół na ścianę". Morawiecki wyjął machinalnie wieczne pióro i poprawił „ó" na „u".

W szatni okazało się, że jego zegarek śpieszy się o pół godziny: przyszedł za wcześnie. Mimo to zauważył kilka wiszących płaszczy, między nimi skórzaną kurtkę Agnieszki Nieborzanki, z kraciastym szalikiem wetkniętym w kieszeń, i czarną jesionkę Jarosza. „Narada aktywu?" zastanowił się Morawiecki. Obok wisiało szare okrycie Siwickiego i lodenowy paltocik Postyłły.

— Dzień dobry, panie Reśkiewicz — powiedział do woźnego, który się podsunął na swoich krzywych nogach.

Reśkiewicz przyjrzał mu się z dyskretnym współczuciem i zapytał o zdrowie żony.

— Jest już w szpitalu — odparł Morawiecki — dzisiaj ją tam odwiozłem.

Reśkiewicz potrząsnął głową:

— Niech pan profesor przynajmniej uważa na siebie. Żeby nerwów nie zdzierać. Żona wyzdrowieje — a pan profesor zmarnieje.

— Byleby ona wyzdrowiała, panie Reśkiewicz — mruknął Morawiecki — to już wszystko będzie dobrze... A co tutaj słychać?

Reśkiewicz westchnął i opowiedział, że tego dnia po lekcjach chłopcy znowu go zamknęli w klozecie. — Czwarty raz w tym miesią-

cu, panie profesorze. Żyć nie dadzą człowiekowi. I co ja im zrobiłem złego?

— Nie ma się czym przejmować — pocieszył go Morawiecki — płatają panu figle, bo pana lubią. Pamięta pan, jak w zeszłym roku zrobili ze mnie balona?

Obaj zaczęli się śmiać na wspomnienie, jak ostatniej wiosny Morawiecki wyszedł ze szkoły z różowym balonikiem przyczepionym z tyłu do marynarki.

Z drugiego piętra znowu zabrzmiał przenikliwy głos klarnetu.

— Ćwiczą — wyjaśniał Reśkiewicz — ale coś im nie idzie. Od pół godziny w kółko jedno i to samo. Żeby jaką melodię — ale nie: titiliti! titiliti! Nerwów już nie mam, panie profesorze.

— Zajrzę tam — powiedział Morawiecki. — Czy biblioteka otwarta?

Biblioteka znajdowała się na czwartym piętrze. Od tygodnia doprowadzano do porządku zaniedbany katalog i teraz pełnił tam podobno dyżur uczeń Arnowicz z IX-ej klasy.

Morawiecki powoli wstępował po schodach. Spokój panujący w gmachu przywracał mu równowagę. Czując pod stopami wytarte linoleum, z każdym krokiem jak gdyby upewniał się o trwałości świata, w którym miał miejsce od dawna wyznaczone i niezbędne. Na pierwszym piętrze przystanął, by obejrzeć ryby pływające w akwarium. Wyjął ostrożnie z wody kawałek starego sznurowadła i schował go do kieszeni. Na ścianach wisiały tablice statystyczne i wykresy, przedstawiające osiągnięcia planu 6-letniego; biegły między nimi napisy z cytatami przemówień Prezydenta. Morawiecki przesunął po nich wzrokiem, by stwierdzić, że są na swoim miejscu. Przypomniał sobie rozmowę z Jaroszem, gdy kwestionował pożytek wizualnej propagandy na korytarzach szkolnych, która — jego zdaniem — prowadziła do przytępienia wyobraźni. „Czy nie wystarczy lektura prasy codziennej?“ uśmiechnął się wtedy wzruszając ramionami. Jarosz nic nie odpowiedział, spojrzał tylko na niego spod swoich nawisłych, jakby obrzękłych powiek. I Morawiecki znowu odniósł niejasne wrażenie, że uraził go tymi słowami, rzuconymi w gruncie rzeczy po to, by usłyszeć rzeczowy argument, który by mu wyjaśnił, iż nie ma racji.

Szedł teraz za głosem klarnetu, który po chwili ciszy podjął przerwaną gamę. Przez oszklone drzwi zobaczył dwóch uczniów: młodszy, blondynek o czerwonych odstających uszach, trzymał w rękach klarnet; drugi, w którym Morawiecki poznał dużego zetempowca z XI B, Szrama, układał mu palce. Na widok Morawieckiego malec podniósł się

z krzesła. — Nie przeszkadzajcie sobie — skinął ręką Morawiecki — ja tylko przyszedłem posłuchać.

— Nie ma czego słuchać, panie profesorze! — roześmiał się hałaśliwie Szram — on jeszcze nic nie umie. Szkolę go dopiero. Zobowiązanie zetempowskie — mruknął marszcząc brwi.

— Aha — zrozumiał Morawiecki — szykujesz sobie następcę. — Szram, wieloletni klarnecista w orkiestrze szkolnej, w tym roku miał zdać maturę. — A co dalej? Wyższa szkoła muzyczna?

Szram potrząsnął przecząco głową: — Nie, panie profesorze. Agrotechnika. Na klarnecie można sobie pograć w wolnych chwilach, ale czy to jest zawód?

— No — zauważył Morawiecki — o tym można by podyskutować.— Przyglądał się uważnie blondynkowi, który stał z klarnetem w ręku, smutno mrugając bladoniebieskimi oczami. — A jak ty się nazywasz?

— Widek... — szepnął mały i schował za siebie klarnet.

— Acha, Widek — powtórzył Morawiecki. — Dotychczas jakoś cię nie spotykałem. Chowałeś się przede mną?

— On dopiero w tym roku wstąpił — wytłumaczył Szram — do VIII A. No! — klepnął go w plecy — nie bój się, pan profesor cię nie zje.

— Ja się nie boję — szepnął Widek.

Morawiecki wziął z jego ręki klarnet i przysiadł bokiem na pulpicie. — Aha — mruknął oglądając skomplikowany instrument — to ty teraz będziesz klarnecistą?... Doskonale — bo ja bym się tego nie podjął. Diablo trudna rzecz... — pokręcił głową próbując przebierać palcami po błyszczących blaszkach — daję słowo, diablo trudna...

— No — rozkazał Szram — pokaż panu profesorowi, co umiesz! —

Widek przestąpił z nogi na nogę i przełknąwszy ślinę wyciągnął rękę po klarnet. Morawiecki patrzył nań ciekawie zza szkieł.

— Źle! — wrzasnął Szram — do niczego! Mówiłem ci, żebyś nie pluł w ustnik! — Widek przestraszony cofnął się między ławki.

— Ty go, zdaje się, targałeś za uszy, Szram — odezwał się półgłosem Morawiecki — a tego chyba zobowiązanie zetempowskie nie wymaga, co?

— Kiedy on ma drewniane paluchy, panie profesorze — tłumaczył się zmieszany Szram — i nic nie rozumie...

Morawiecki dobrodusznie zamigotał szkłami: — Na moje wyczucie — rzekł głośno — było wcale nieźle! Wcale nieźle, Widek. Chodź-no tutaj bliżej. W której szkole dotychczas się uczyłeś?

— Pod Białą Podlaską... — wyszeptał Widek, zerkając nań spomiędzy ławek.

— Fiuu! — gwizdnął Morawiecki — toś ty z daleka przyjechał. Pewnie ojciec tam pracował?

Widek skinął głową.

— A teraz go przenieśli do Warszawy? — ciągnął Morawiecki nie widząc znaczących spojrzeń Szrama — i cóż? Podoba ci się tutaj?

— Tatuś nie żyje — odpowiedział Widek — banda go zabiła na szosie.

Morawieckiemu wydało się, że źle usłyszał. Poczerwieniał i spojrzał pytająco na Szrama.

— Ojciec Widka był tam sekretarzem Komitetu PZPR — wyjaśnił cicho Szram.

Widek stał ze spuszczoną głową, jakby zawstydzony, że tyle mu się poświęca uwagi. — Ach to tak... — myślał Morawiecki ciężko złożywszy ręce na kolanach. Chciał coś powiedzieć, ale nie znajdował odpowiednich słów. Jak zwykle w takich chwilach zdjął okulary i zaczął je pocierać o rękaw. Usłyszał, że Szram mówi coś szeptem do Widka.

— No, spróbuj jeszcze raz, zobaczysz, że teraz ci wyjdzie...

Przestali zwracać uwagę na Morawieckiego i Widek znowu przytknął klarnet do ust. Rozległy się szybkie, piskliwe dźwięki; Morawiecki drgnął i spostrzegł ze zdziwieniem uśmiechniętą twarz Widka, który odejmował od ust klarnet.

— Może z ciebie coś będzie — poklepał go Szram. — Wal, żłobie, jeszcze raz.

— Kiedy znowu ustnik się zatknął... — westchnął Widek — za dużo mam śliny, czy co?

— Chowaj wargi, mówię! Policzki wciągnąć! O tak...

Nie zauważyli, jak Morawiecki wyszedł z klasy, ostrożnie zamykając drzwi.

Biblioteka mieściła się na najwyższym piętrze, w długiej, wąskiej salce, przedzielonej barierą, za którą siedziała bibliotekarka. Zamiast niej Morawiecki zobaczył teraz ciemny łebek Arnowicza, pochylony nad pudłem katalogu.

— Dużo braków? — spytał przysuwając sobie krzesło.

Arnowicz podniósł znad stolika swą twarz zmartwionej łasiczki i oznajmił, że zginęła „Historia chłopów polskich" Świętochowskiego.

— Kto ją ostatnio wypożyczał? — zaniepokoił się Morawiecki.

Arnowicz wyciągnął metryczkę i wskazał chudym palcem datę: wypożyczona w zeszłym miesiącu; czytelnik zwrócił ją po dziesięciu dniach, dalej — ani śladu.

— Biorą z półek — mruknął Morawiecki — to wina bibliotekarki. Nikt nie powinien sam sięgać po książki.

Arnowicz kiwnął potwierdzająco nosem. Śledził wyraz twarzy Morawieckiego swym smutnym, domyślnym wzrokiem, za który koledzy czasami go bili.

— Wiesz co, Arnowicz — odezwał się po namyśle Morawiecki — mam taki pomysł: żeby organizacja zetempowska przejęła odpowiedzialność za bibliotekę. Co ty o tym myślisz?

— Dobrze, panie profesorze — zgodził się posłusznie Arnowicz.

— Bo inaczej za rok nie będziemy mieli ani jednej książki... Powiedzmy, że na najbliższym zebraniu ktoś wystąpi z takim wnioskiem. Na przykład ty... Wyłonicie trójkę, no, powiedzmy piątkę, która podzieli się odpowiedzialnością za poszczególne działy... Tak?

— Tak — szepnął Arnowicz — ale...

— Przedtem trzeba będzie oczywiście pogadać z Kuźnarem albo ze Święckim. Żeby ustalili skład takiej komisji. A ty na zebraniu wystąpisz z wnioskiem. Dobrze, Arnowicz? Więc kiedy z nimi porozmawiasz?

Arnowicz podniósł oczy znad katalogu.

— Panie profesorze — rzekł niespokojnie — ja nie należę do ZMP. Może pan profesor sam porozmawia z Kuźnarem...

Morawiecki uniósł brwi i przyjrzał mu się uważniej. Arnowicz był synem sędziego, który przed wojną zasłynął surowymi wyrokami w procesach politycznych. „Prawda — przypomniał sobie Morawiecki — zetempowcy odrzucili jego deklarację członkowską..."

— Czy próbowałeś zgłosić się powtórnie? — zapytał.

Arnowicz potrząsnął przecząco głową.

— Dlaczego? — zdziwił się Morawiecki. — Moim zdaniem powinieneś to zrobić. Jeśli uważasz się za ich towarzysza.

— Ojciec mi zabronił, panie profesorze — szepnął Arnowicz.

„Masz tobie", pomyślał Morawiecki, „walka polityczna w domu..." Zastanawiał się przez chwilę. Diabli wiedzą, kto tu miał słuszność. Z jednej strony wyrządzili chłopcu krzywdę, bo przecież nie był winien temu, co przeskrobał ojciec, a z drugiej — chłopak nie miał widać mocnego charakteru, zbyt łatwo, zdaje się, ustąpił. „Buntownik — pokiwał w duchu litościwie głową — to chyba z ciebie nie najpierwszy..."

— Nie próbowałeś dyskutować z ojcem? — zagadnął ostrożnie.

Arnowicz zerknął na niego swym frasobliwym spojrzeniem i wcisnął główkę w ramiona. Morawiecki zrozumiał, że ojciec Arnowicza jest trudnym człowiekiem. Bębniąc palcami po stole, wahał się, co mu doradzić.

— Za moich czasów — rzekł niby do siebie — robiło się to i owo na własną rękę... Stawiało się starszych w obliczu, że tak powiem, faktów dokonanych. Mój ojciec na przykład chciał, żebym został dentystą... Bezpieczny, pewny fach. A ja postanowiłem studiować historię. No i masz — wskazał na siebie palcem.

Arnowicz słuchał, poruszając z zaciekawieniem długim, cienkim noskiem.

— A czym się zajmował ojciec pana profesora?

— Był ogrodnikiem — odparł Morawiecki. — Znasz Nowe Miasto nad Pilicą? Był ogrodnikiem w Nowym Mieście. Kiedy miał złoić mi skórę, dobrze wiedział, z czego wyciąć witkę. Równo, powiadam ci, puchło... A jednak na dentystykę nie poszedłem.

— I jak to pan profesor urządził? — dziwił się Arnowicz.

Morawiecki zwrócił ku niemu twarz i chrząknął z godnością.

— Miałem kolegę, który się uczył na wyrwizęba w Instytucie Stomatologicznym. Przez dwa lata pożyczałem od niego przerobione podręczniki i skrypty — przed każdym wyjazdem na ferie letnie do domu... Rozumiesz?

— Rozumiem — przytaknął Arnowicz z fachową znajomością rzeczy. — I długo to się udawało?

— Do czasu, kiedy ojciec kazał mi sobie wyrwać ząb — wyjaśnił spokojnie Morawiecki. — I w dodatku ogrodniczymi obcęgami. Lubił oszczędzać. A ja już wtedy zrobiłem pół dyplomu na wydziale historii.

Umilkł i spojrzał z ukosa na Arnowicza, który marszczył czoło, zapewne wyciągając z tej opowieści jakieś osobiste wnioski. Morawiecki mu nie przeszkadzał, lecz widząc po chwili niepokojące błyski w jego oczach, rzekł pedagogicznie:

— Tylko ty, Arnowicz, nie rzucaj się zaraz na ojca z obcęgami. Takie sprawy lepiej załatwiać delikatnie. Pomyśl nad tym sam. Ja ci nic nie podsuwam...

— Ale co mi pan profesor radzi? — szepnął Arnowicz z podnieceniem. — Ja chciałbym być zetempowcem... A oni mnie nie chcą przyjąć. Pan profesor wie, dlaczego...

Morawiecki milczał, błądząc oczami po półkach.

— Ja ich przez to zaczynam już nie lubić — zająknął się rozpaczliwie Arnowicz — pan profesor rozumie? A nie chcę tego, bo przecież ja... ja nie jestem...

— Nie jesteś ich wrogiem, rozumiem — mruknął Morawiecki. — I ja mam ci w tym poradzić?... — Bawił się przez chwilę okularami mrużąc oczy od światła lampki stojącej na stoliku. — No cóż, oni przecież nie znają twoich myśli, trudno od nich wymagać takiego stosunku do ciebie, jaki masz ty sam, Arnowicz. Cóż ja ci mogę poradzić? Po pierwsze: walcz do końca. Powinieneś poprosić jednego z członków zarządu szkolnego ZMP o rozmowę. Najlepiej Antka Kuźnara. Powiedz mu tak: „Słuchaj, Kuźnar. Ja od dawna czuję się zetempowcem..." Czujesz się, czy nie? — spojrzał nań bystro, nałożywszy szkła.

— Czuję się — rzekł mężnie Arnowicz.

— No, więc: „Ja od dawna czuję się zetempowcem. Waszym obowiązkiem jest rozstrzygnąć moją sprawę. Co do mojego pochodzenia — tak mu powiedz — nie ponoszę za nie odpowiedzialności. Mam czyste sumienie, Kuźnar. Czy nie widzisz, że droga, po której wy idziecie, jest także moją drogą?... Dlaczego nie chcesz mi ufać? Ani razu nie zawiodłem waszego zaufania... Nie powinniście mnie obciążać błędami drugiego człowieka, który... Który znalazł się w moim życiu właściwie przypadkiem..."

Morawiecki urwał, gdyż nagle spostrzegł, że Arnowicz przypatruje mu się ze zdziwieniem. Zmieszał się trochę i wstał, odsuwając krzesło.

— No, powiesz mu coś w tym rodzaju. Może nie dosłownie, ale z grubsza... I przede wszystkim — szczerze. A później się zastanowimy.

Podszedł do półek z książkami i stał przed nimi chwilę, odwrócony tyłem do Arnowicza, który wodził za nim oczyma.

— Przysuń-no mi drabinkę — odezwał się po minucie Morawiecki— zobaczymy, jak wygląda nasz dział historyczny.

Wspiął się na trzeci szczebel i przesunął dłonią po grzbietach kilku książek. „Acha!" odetchnął z ulgą odnalazłszy chlubę księgozbioru, „Historię Francji" Micheleta, którą sam był ofiarował w zeszłym roku, uszczuplając swoją domową bibliotekę. Poszukał „Wielkiej Rewolucji Francuskiej" Kropotkina — była na właściwym miejscu. Dalej: Mehringa „Karol Marks", „Przewrót umysłowy" Smoleńskiego, „Początki polskiej klasy robotniczej", „Dekabryści"... Przyjaźnie macał palcami znajome grzbiety: wprawdzie nie były to białe kruki, ale jak na księgozbiór szkoły ogólnokształcącej sosnowe półki dźwigały godne pozazdroszczenia bogactwo. Morawiecki pogratulował sobie w duchu: był założycielem biblioteki i jej opiekunem z ramienia Rady Pedagogicznej.

— Sprawdź-no, Arnowicz — rzucił ze swej wysokości — kto wypożyczył książkę Aszkenazego o Łukasińskim — nie widzę jej na półce.

Arnowicz zaszeleścił metryczkami w katalogu i odpowiedział po chwili, że książka powinna być na swoim miejscu. — Powinna, ale nie jest — stwierdził Morawiecki z niepokojem. Wypadki kradzieży zdarzały się coraz częściej, prawdopodobnie książki kradli szkolni bikiniarze, by je sprzedawać na wózku ulicznym. „Trzeba będzie przesunąć barierę bliżej wejścia — zanotował w pamięci — żeby nikt prócz bibliotekarki nie miał dostępu do półek..."

— Została posłana do oprawy, panie profesorze — poinformował z dołu Arnowicz, który znalazł spis książek, znajdujących się w introligatorni.

— No to w porządku — odpowiedział Morawiecki i zszedł z drabinki, otrzepując ręce.

Nieco zasępiony przespacerował się wzdłuż półek i przystanął przy oknie, wychodzącym na ulicę. Deszcz przestał już padać, kałuże świeciły gładkim, tłustym połyskiem, odbijając światło lamp palących się za ażurowym płotem, który osłaniał nieukończoną budowę po drugiej stronie jezdni. Morawiecki przypatrywał się niskim, mocnym zrębom ścian konstrukcyjnych, podciągniętych zaledwie pod pierwszą kondygnację i pieczołowicie obetkanych ciasnym ostrokołem pali, nad którymi powiewała czerwona chorągiew. „Bodajby tam pracować" pomyślał chmurnie Morawiecki. Przez chwilę pozazdrościł ludziom, wznoszącym ów gmach. Czy nie było to prostsze, niż wychowywać gromadę chłopców od I-ej do XI-ej klasy? Proszę: parę tygodni temu widział tu dopiero prostokątny dół, wykopany w glinie... Łatwiej kłaść fundamenty, niż ugruntować zasady myślenia i charakteru w owych małych, zagadkowych istotach, zjeżdżających co dzień po poręczy szkolnych schodów. Arnowicz, Widek, Szram... Chłopcy, których ojców zabijano na szosie, i chłopcy, których rodzice uczą nienawiści... I tacy, co kradną książki na sprzedaż, by kupować wódkę... I Stefan Święcki, co zjadł wszystkie rozumy... A wśród nich — on, Jerzy Morawiecki, który się szarpał i miotał, by im przekazać „nadrzędną miarę ocen, czynów i myśli" — eliksir, gdzieś tam zapewne istniejący, ale wciąż niepewny i właściwie — nie odnaleziony. Czy ich nie oszukiwał? Cóż im mógł dać, prócz wyrozumiałej, koleżeńskiej przyjaźni, za którą prawdopodobnie lubili go więcej od Postyłły czy Szreniawskiego? Cóż w ogóle mógł dać komukolwiek... Gdy żegnał się z Krystyną, przebiegło mu przez głowę, że w ciągu lat, jakie wspólnie przeżyli, nie zdołał jej dać rzeczy naj-

ważniejszej: zasadniczej myśli o życiu, pojęcia o najwyższym obowiązku ludzkim, po którego spełnieniu nie odchodzi się do nikąd. Mimo iż dzielnie potrafiła to ukrywać, musiała bać się śmierci, nie uchronił jej od tego: kres sprawy niepojętej jest równie niepojęty, i niepojęta, straszna — trwoga przed nim. Milczeli oboje przez piętnaście lat — aż do dziś, kiedy zabrakło mu słów w przedsionku szpitalnym. To była jego wina. Wina mężczyzny.

Nie wiedzieć czemu, przypomniał sobie twarz Jarosza i jego niechętne spojrzenie ukryte pod wypukłym, guzowatym czołem. „Nie wszystko znajduje się w księgach, drogi kolego" zażartował kiedyś, gdy Jarosz wystąpił na sesji z zaleceniem, by wykładowcy pogłębiali swą wiedzę teoretyczną z zakresu marksizmu. Wydało mu się to wówczas niepotrzebne — stary klerykał Horzela i teoria wartości dodatkowej! Ale teraz, licho wie dlaczego, nagle się zastanowił, co by powiedział Jarosz śmiertelnie choremu człowiekowi, co by mu rzekł o życiu i o śmierci, gdyby to rzeczywiście uznał za swój obowiązek, na przykład u progu sali szpitalnej, przypuśćmy — odprowadzając żonę...

Morawiecki ciężko poruszył ramionami, jakby chcąc strząsnąć absurdalne myśli: ludzie tacy jak Jarosz nie rozprawiają o śmierci w żadnej zapewne sytuacji, a rozmyślania o życiu zastępuje im raz przyjęty światopogląd. Zresztą wiedział o tym człowiek niewiele, prawie nic: nie wiedział nawet, czy Jarosz ma żonę.

— Arnowicz — rzekł odwracając się od okna — w VIII A jest nowy uczeń, nazywa się Widek. Czy zetknąłeś się z nim?

— Nie — zaprzeczył Arnowicz, umoczywszy pióro w kałamarzu.

— Taki mały blondynek — Szram uczy go na klarnecie. I ojciec niedawno mu umarł. Może byś się nim zajął w wolnej chwili? Zajdź kiedy do VIII A, pogadaj ze smarkaczem, dowiedz się, jak mu idzie... Zrobione?

— Zrobione, panie profesorze — potwierdził Arnowicz.

Morawiecki gwizdnął z zadowoleniem i zaglądając mu przez ramię dorzucił: — Powinieneś to potraktować jako pierwsze zobowiązanie zetempowskie... Będziesz panną młodą z posagiem. A teraz pokaż-no, jak ty wypełniasz metryczki...

I Morawiecki zaczął się grzebać w tekturowych pudłach, rugając Arnowicza za niedbały charakter pisma. Tak zastał ich woźny Reśkiewicz, który przybiegł oznajmić, że sesja rozpoczęła się już przed kwadransem.

4

Kiedy Morawiecki pojawił się w drzwiach sali konferencyjnej, Agnieszka uśmiechnęła się do niego, podniósłszy wzrok znad rozłożonych przed sobą papierów. Siedziała w końcu długiego, okrytego zielonym suknem stołu; zapewne tego dnia na nią przypadał kolejny protokół zebrania. Przeciskając się między rzędem zajętych już krzeseł a oszkloną szafą, gdzie na półkach widniały wykonane przez uczniów modele i makiety nowych gmachów stołecznych, Morawiecki kiwnął jej przyjaźnie głową; po czym usiadł na wolnym miejscu koło nauczyciela gimnastyki, który posunął się i rzekł półgłosem: — Jak się macie, cześć. — Naprzeciw siedział Działyniec; oparty na łokciach, trzymał przed sobą zaplecione ręce, przyglądał im się z nieco znudzoną uwagą. Morawiecki nieznacznie przesunął wzrokiem po jego twarzy i stwierdził z lekkim zdziwieniem, że Działyniec musiał istotnie chorować: rysy mu się jeszcze bardziej zaostrzyły, podobny był teraz do wychudłego ptaka, może nawet do orła, jak utrzymywały zakochane w nim — w dawnych radomskich latach — pensjonarki, z czego Morawiecki w cichości trochę się natrząsał. Teraz skinął mu oczami przez szkła, odpowiadając na jego krótki powitalny gest.

W sali słychać było skrzypienie krzeseł i pokaszliwanie: w Warszawie dawała się we znaki doroczna epidemia grypy, a ponadto w drodze na sesję wiele osób przemokło. Dyrektor Sznej odczytywał okólnik kuratorium. Morawiecki zapalił papierosa i posłał Agnieszce kartkę wydartą z notesu, na której skreślił: „Dzień dobry. Niech mnie pani podpisze na liście obecności.“ Spostrzegł, że przeczytała. W moment później otrzymał odpowiedź: „W porządku. Załączam pozdrowienia“.

Przypadkiem zahaczył spojrzeniem o historyka Postyłłę, siedzącego po lewej ręce Szneja. Napotkawszy wzrok Morawieckiego, Postyłło odwrócił oczy. „Nie dość, że mi depcze po piętach“ sarknął w duchu Morawiecki „jeszcze udaje, że mnie nie zna!“ Postyłło spoglądał na Jarosza. Ludzie dzielili się na tych, od których Postyłło wzrok odwracał, i na tych, na których patrzył. Ci na ogół niechętnie spotykali spojrzenie jego ruchliwych, bystrych źrenic. Jarosz, przygarbiony za stołem, pochylał się nad swym słynnym notesem, w czarnej, ceratowej oprawie. Jak zwykle nie było wiadomo, czy słucha. „Mądry karp“ pomyślał Morawiecki. Zaczął go niecierpliwić bezbarwny głos dyrektora, informującego z kolei o kursach dokształcających dla nauczycieli szkół podstawowych i licealnych. Miały się rozpocząć w przyszłym miesiącu — pod kierunkiem profesorów wyższych uczelni. Morawiecki spostrzegł z nie-

pokojem, że Działyniec zwrócił twarz ku Sznejowi: słuchał. „Znowu gotów z czymś wyskoczyć...“ przeczuwał, obserwując ów dobrze sobie znany profil siwiejącego blondyna o suchym nosie i ciasno zwartych ustach. Zauważył szerokie, porozumiewawcze nozdrza Szreniawskiego. „Wesz-olbrzymka“... nasunęło mu się bezwiednie.

Od paru chwil głos miał Postyłło. Wysuwając głowę ku Jaroszowi, opowiadał się stanowczo za obowiązkiem uczestniczenia w kursach. — Poziom niektórych naszych wykładowców — mówił dźwięczną, dokładną dykcją — pozostawia wiele do życzenia. Zarówno pod względem wiedzy fachowej, jak i — na to położyłbym najmocniejszy akcent — jak i poziomu ideowo-politycznego. — I rzeczywiście położył na te słowa najmocniejszy akcent. „Ciekawe — zastanowił się Morawiecki uniósłszy brwi ponad szkłami — czy nikt nie widzi, że on to mówi dla Jarosza?“ Spojrzał wyczekująco na zastępcę dyrektora, chcąc wyczytać w jego oczach, co myśli o Postylle. Ale Jarosz nawet nie drgnął. Ciągle szperał w notesie. Morawieckiemu przyszło do głowy, że Postyłło mówi rzeczy słuszne: miał rację, poziom wykładów, na przykład takiego Horzeli — czasami urągał zasadniczym wymaganiom współczesnej pedagogiki; prawdę mówiąc stary dawno powinien był pójść na emeryturę. Gdyby oczywiście stan liczbowy kadr nauczycielskich przedstawiał się lepiej niż obecnie. Ale nie o to chodziło. Najsłuszniejsze uwagi Postyłły zawsze wywoływały w Morawieckim wzburzony odruch sprzeciwu — właśnie przez to, że wyrażał je Postyłło. „Dlaczego on? Dlaczego — zanim kto otworzy usta — on już wie co i jak powiedzieć?“ W bezbłędności poglądów Postyłły krył się nieodmienny akcent: słuchajcie, mam więcej do powiedzenia niż wy wszyscy razem — prócz oczywiście towarzysza Jarosza — proszę zaprotokółować moje słowa...

— Proszę zaprotokółować mój wniosek — zwrócił się Postyłło do Agnieszki Nieborzanki. — Proponuję, by każdy z członków Rady Pedagogicznej zobowiązał się do stałej prenumeraty miesięcznika Nowe Drogi. Zauważyłem, proszę kolegów — rzekł grzecznie — iż lektura tego pisma, należy w naszym gronie do rzadkości.

Morawiecki spostrzegł przez sekundę skierowane na siebie spojrzenie Jarosza. Wspomniał ich zeszłoroczny spór w tej samej sali. Jarosz— co prawda nie w formie wniosku — zalecał wówczas czytanie Nowych Dróg. Morawiecki wyraził wątpliwości: „Kolego — zażartował — jesteśmy już w tym wieku, że każdy sam dochodzi do swoich dwunastu tablic.“ „Nie macie racji — odparł sztywno Jarosz — naszym obowiązkiem jest nadążać za postępem nowoczesnej wiedzy o społeczeństwie.“

Morawiecki nic wtedy nie odpowiedział. Mógł odpowiedzieć tylko jedno: „Nie pozbawiaj mnie swobody dobrowolnego sięgnięcia ręką po rzecz, którą sam uznałem za słuszną — nie narzucaj mi jej..."

Wniosek Postyłły przegłosowano jednomyślnie, wyjąwszy księdza Leśniarza, który zapadł w przelotną drzemkę. Morawiecki uśmiechnął się do Agnieszki — czuł na sobie jej baczny, troskliwy wzrok — i podniósł do góry dłoń, myśląc z humorem, że Nowe Drogi kupuje co miesiąc od dwóch lat w kiosku na Puławskiej. Jarosza zapewne nieco by to zdziwiło.

Znowu łysnął na przeciwległy skraj stołu. Tym razem z niespokojną ciekawością: Działyniec poprosił o głos. Ku zaskoczeniu i uldze Morawieckiego, Działyniec umotywował swoje poparcie dla wniosku Postyłły: — Między nami są ludzie różnych światopoglądów — mówił w ogólnej ciszy. — Mimo to sądzę, że lektura marksistowskiego miesięcznika pomoże każdemu, przynajmniej w zrozumieniu dialektycznej metody poznawczej. Nawet jeśli ona sama nadal nie przestanie mu być obca... — I dorzucił sucho, przyglądając się swym rękom złożonym na stole: — Dlatego głosowałem za wnioskiem kolegi Postyłły.

W tym akurat momencie przebudził się ksiądz Leśniarz. — W Nowym Targu szalała wczoraj burza śnieżna — rzekł — a u nas plucha... — Przebiegł po twarzach bystrymi oczkami i schował je pod brwi.

Morawiecki poczuł nagle znużenie. Wydało mu się, że jego mózg źle pracuje, postradał zdolność pojmowania rzeczy prostych. Zapadł się w krześle i usiłował przeniknąć sens usłyszanych zdań. Zwrócił twarz ku Działyńcowi: „Gra fałszywymi kartami?" — zbierał powoli myśli. Nie odrywał wytężonego spojrzenia od twarzy Działyńca. I po chwili uzmysłowił sobie, że właściwie nie ma prawa go o to posądzać. Dawno ze sobą nie rozmawiali. Działyniec — w okresie choroby lub pod wrażeniem zatargu z chłopcami — mógł zrewidować swoje dotychczasowe poglądy.

Na takie przypuszczenie przejęła Morawieckiego zdumiona nieporadność: jak się o tym przekonać? Odczuł nagle niezmierny trud poznania cudzych myśli, odważenia prawdy od nieprawdy, szczerości od oszustwa. Działyniec naraz wydał mu się zagadką, można ją było rozwiązać źle lub dobrze. Czy człowiek może w ciągu miesiąca zmienić zasadę swych myśli, przeobrazić się? Morawiecki wierzył, że tak; prawdopodobnie dlatego — iż wierzył w człowieka.

Koszty remontu kotła do centralnego ogrzewania... zakup dwóch mi-

kroskopów... Nieporozumienia z Komitetem Rodzicielskim... Sesja się wlokła w zadymionej nudzie. „A jeśli to był manewr z jego strony?" zastanowił się Morawiecki. „MANEWR OSŁANIAJĄCY..." przypomniał sobie nagłówek przeczytany w gazecie. Rozgniótł w popielniczce któregoś z rzędu papierosa. Znowu za dużo palił, mimo ostrzeżeń i próśb Krystyny. Krystyna nie ufała Działyńcowi. Miał jej to trochę za złe, przekonywał ją: „Zobaczysz, on się zmieni, życie go wyprostuje". Dużo dałby teraz za chwilę rozmowy z Krystyną. „Widzisz, a jednak nie myliłem się, człowieka nie wolno przekreślać jednym machnięciem ręki..."

Znowu był prawie pewny uczciwości Działyńca. Zaczął sobie wyrzucać niesłuszne podejrzenia. Matematyk Szreniawski przysłał mu zwiniętą karteczkę: „Działyniec spryciarz, co?". Morawiecki niechętnie poruszył ramionami i zgniótł papierek w ręku. Widział kątem oka nos Szreniawskiego, zwrócony ku niemu pytająco, a zarazem czelnie. Nie chciał w tę stronę patrzeć. „Łajdak..." zmiął w ustach odrazę. Metoda domysłów i insynuacji odpychała go zawsze, zarówno u Postyłły, jak u tamtych. Wszędzie dopatrywali się podstępu, matactwa, oszukańczych, wykrętnych sposobów... Wydarł nową stroniczkę z notesu i napisał: „Krystyna cię pozdrawia". Podsunął ją Działyńcowi. Działyniec uśmiechnął się i kiwnął głową. W tej samej chwili Morawiecki spotkał zaniepokojony wzrok Agnieszki; ogarnęło go zmieszanie, gdyż zauważył, że wszyscy patrzą w jego stronę.

Przypadkiem natrafił spojrzeniem na wypchanego borsuka, który stał na biblioteczce ponad głową dyrektora Szneja. Ostre, długie ząbki szczerzył w złym grymasie, jakby krzyczał. Krzyk rozwścieczonego borsuka. Kto to powiedział i o kim? Jakiś polityk o przemówieniach Hitlera... Ciekawe, jak go złapali — na wnyki?...

Zaczął słuchać uważniej. Zażalenie grupy uczniów klasy XI A. Chropowaty głos Jarosza. Było teraz cicho, nikt nie kaszlał. — Mamy powody, żeby nie przejść nad tym do porządku — mówił Jarosz. Zaakcentował fakt, że skarga na Działyńca wyszła od zetempowskiego aktywu; należało również wziąć pod uwagę, że jest to pierwszy w dziejach gimnazjum wypadek skierowania przez uczniów politycznego zarzutu pod adresem wykładowcy. Zwrócił obrzmiałą, jakby pozbawioną naturalnego zarostu twarz ku Działyńcowi: — Słuchamy waszych wyjaśnień, kolego. — Po czym znowu przygarbił się nad stołem.

Morawiecki spod półprzymkniętych powiek śledził twarz Działyńca. Słuchając jego słów, czuł jak wstępuje weń głębokie, spokojne przeko-

nanie: nie omylił się wówczas, kiedy tłumaczył chłopcom ich błąd. Wyjaśnienie Działyńca było zwięzłe i wywarło na obecnych wrażenie właśnie swą zwięzłością: zdania, które uczniowie uznali za wrogie politycznie, można znaleźć w krytycznym komentarzu do „Przedwiośnia", napisanym przez marksistę.

— Nie rozumiem — mruknął Jarosz wśród nagłego milczenia — bądźcie uprzejmi uzasadnić to jaśniej.

Działyniec uśmiechnął się kątem cienkich warg. Przytoczył dosłowny cytat. Motywował następująco: krytyk ukazał błąd ideologiczny autora; wykładowca posłużył się tezą krytyka; uczniowie zrozumieli, że solidaryzuje się z błędem, a nie z tezą.

— Jeśli marksista napisze: scena pochodu na Belweder jest rzuconym przez autora ostrzeżeniem przed rewolucją — tłumaczył spokojnie Działyniec — będzie to zdanie marksistowskie. Jeżeli natomiast powtórzy to człowiek, któremu się nie ufa — będzie to zdanie reakcyjne. Wszystko zależy od tego, kto otwiera usta.

W sali zaległa zwarzona, ciężka cisza. Morawiecki bystro rozglądał się po twarzach; zauważył, że rusycysta Siwicki, który dotychczas obracał z wyraźnym znudzeniem stary globus, teraz podniósł swą konopiastą czuprynę, przypatrując się Działyńcowi z podejrzliwym namysłem. Morawiecki był również uderzony słowami Działyńca. „Jakbym przewidział..." pomyślał. Uzasadnienie wydało mu się nieodparcie oczywiste. Chciał stuknąć się w czoło i zawołać: „Koledzy! Że też wcześniej nie wpadło nam to do głowy!"

Sprawa była tak jasna, że gdy znowu usłyszał oschły głos Jarosza, nie mógł powstrzymać odruchu niechęci: cóż tutaj jeszcze pozostało do wyjaśnienia?

— Ze skargi uczniów XI klasy — mruknął Jarosz — wynika, że to nie wszystko. — Czekał, spoglądając na rozłożony przed sobą papier.

— Nic więcej sobie nie przypominam, kolego — odparł zimno Działyniec. I również czekał.

Wszyscy patrzyli na Jarosza. Nos Szreniawskiego pochylił się do ucha Horzeli, który źle słyszał. — O co właściwie chodzi? — szepnął nauczyciel gimnastyki, słabo zorientowany w całej sprawie. Morawiecki nic nie odpowiedział. — O co chodziło? — zgadywał.

— Użyliście podobno — mówił ociężale Jarosz — obraźliwego zwrotu w stosunku do ucznia Weissa. Mieliście mu wypomnieć jego pochodzenie. Cytuję tekst.

— Powtarzam, że tego sobie nie przypominam — rzekł z uprzejmą stanowczością Działyniec — pochodzeniem uczniów nigdy się nie interesowałem.

— Zaraz... — Jarosz pochylił się nad papierami: — „Gdy kolega Weiss zaprotestował przeciw tej szkodliwej interpretacji, profesor Działyniec odparł, że kolega Weiss ma o tych sprawach najmniej do powiedzenia. Można się było domyśleć, że profesor Działyniec wytknął mu obcość narodową. Kolega Weiss nie zasłużył na to, bo jak wiadomo..." I tak dalej... — rzucił Jarosz, patrząc z ukosa na Działyńca.

Działyniec powoli zwrócił ku niemu wzrok. Przyglądał mu się chwilę.

— Moglibyście byli, kolego, oszczędzić mi tej lektury — pokiwał głową — mnie i sobie. Nie chciałbym gorzej sądzić o naszych uczniach, niż na to zasługują.

— Prosimy o rzeczową odpowiedź — rzekł z naciskiem Postyłło.

— Jak najchętniej, kolego — odparł uśmiechając się Działyniec — jak najchętniej. Kiedy uczeń Weiss przerwał mi wykład, zrobiłem to, co zrobiłby na moim miejscu każdy nauczyciel: przywołałem go do porządku. „Weiss, ty masz na ten temat najmniej do powiedzenia, bo nie uważałeś w czasie mojego wykładu." Tylko tyle, kolego Jarosz. Nie jestem zwolennikiem stawiania do kąta lub wyrzucania za drzwi uczniów XI klasy. To chyba zrozumiałe.

— Nie do wiary... — warknął Szreniawski. — Trudno by nawet sobie wyobrazić...

Ksiądz Leśniarz skinął potakująco. Nie drzemał już, lecz przytomnie rozglądał się po obecnych, rzucając szybkie, ukradkowe spojrzenia spod krzaczastych brwi.

— Obydwaj z profesorem Morawieckim — mówił cicho Działyniec, — przewidywaliśmy od dawna mniej lub więcej podobne skutki szkodliwej atmosfery, jaką się tutaj wytwarza — wokół grupy wykładowców. Atmosfery braku zaufania, nieuzasadnionej podejrzliwości. Cóż dziwnego, że uczniowie wykorzystali ją przy pierwszej lepszej okazji?

— Skończyliście? Dziękuję — rzucił pośpiesznie dyrektor Sznej. — Czy ktoś z kolegów ma uwagi w tej sprawie?

Zabrało głos kilka osób, między innymi kulawy fizyk, doktór Gelertowicz w wełnianym szalu na szyi, z pod którego sterczały strzępy brudnawej ligniny, oraz nauczycielka niemieckiego, panna Braun, ru-

miana, siwa i uczesana po męsku. Zdania padały niepewnie, nikt nie umiał zająć określonego stanowiska. Na ogół uważano incydent za wyczerpany. — Należałoby sobie życzyć — mówiła nieśmiało panna Braun — ażeby na przyszłość stosunki między kolegą Działyńcem a uczniami XI klasy układały się lepiej. I myślę, że kolega Działyniec pierwszy powinien zrobić krok w tę stronę...

— Całkowicie się z tym zgadzam — potwierdził doktór Gellertowicz.

Szreniawski przechylił się ku niemu i spytał z grzeczną wściekłością: — Przeprosić, co? Uważacie, że powinien ich przeprosić za błoto, którym go obrzucili, panie kolego? Gratuluję...

Wszedł woźny Reśkiewicz z herbatą dla profesora Horzeli. Przez chwilę słychać było tylko brzęk łyżeczki w szklance. Morawiecki, zirytowany słowami matematyka, chciał przemówić w obronie chłopców, ale dyrektor Sznej nie dał mu głosu: Postyłło prosił przed nim. Już brzmiały jego argumenty, przemawiał cicho, wyraźnie, i Morawiecki znów musiał stłumić w sobie protest przeciw trafności zdań Postyłły. „Może on ma rację — rzekł sobie — może on nawet zawsze ma rację, a jednak chłopcy go nie lubią..." Ale słuchał, gdyż w słowach Postyłły odczuł to, co jego samego trochę niepokoiło:

— Wszystko się zadziwiająco składa, proszę kolegów, mówił przystojny historyk — powiedziałbym, że aż zbyt logicznie. Marksistowski wstęp, i szkodliwa atmosfera, i arcydokładna pamięć kolegi Działyńca... Często najlepiej pasuje do nogi — cudzy but. Czy koledzy nie sądzą, że okoliczności wymienione przez profesora Działyńca cokolwiek za ściśle do siebie przylegają?

„Jakbym przewidział..." powtórzył w myśli Morawiecki, tym razem z przygnębieniem. I odczuł, że większość obecnych przyznaje w duchu Postylle jakąś niezbyt wyraźną, ale oczywistą słuszność. Dyrektor Sznej wymienił z kolei jego nazwisko; Morawiecki potrząsnął przecząco głową; zrezygnował z głosu. Lecz Jarosz określił bliżej to, o co musnął był Postyłło:

— Pozostaje pytanie — mówił z oszczędnym namysłem — z czego wynikło zażalenie uczniów. Z niczego? Z łańcuszka nieporozumień? Nie byłbym skłonny w to wierzyć, proszę kolegów. Czyste przypadki — to rzadkość. Wielka rzadkość. A ponadto — wchodzi w grę osoba profesora Działyńca.

Morawiecki zaplótł ręce na brzuchu. Czekał i usiłował zagłuszyć rosnący niepokój.

— Nieraz dawaliście nam już powody do nieufności, kolego! —

oświadczył donośnie Siwicki — nie dziwcie się, że nie możemy ot tak przyjąć waszych wyjaśnień. Zbieracie owoce z drzew, któreście, że tak powiem, sami zasadzili! I po co świecić w oczy marksizmem? Wiemy, co o tym sądzić, kolego Działyniec.

Działyniec zwrócił się doń z uprzejmą prośbą, by sprecyzował jaśniej, o co właściwie mu chodzi. — O ile pamiętam — rzekł — przed chwilą domagano się tutaj rzeczowych argumentów...

Morawiecki poczuł na sobie celny, dokładny wzrok Postyłły. Opuścił powieki i zobaczył swoją własną rękę z palącym się papierosem. Dym szczypał mu oczy.

— Rzeczowe argumenty? — usłyszał głos Postyłły. — Nikt chyba z obecnych nie przygotował ich tak skrzętnie jak kolega Działyniec. I nikt, być może, nie miał tak wytrawnych współpracowników jak kolega Działyniec w osobie profesora Morawieckiego...

„Mów dalej — pomyślał Morawiecki nie podnosząc oczu — ja słucham spokojnie".

— Czy mam to protokółować? — dobiegł do niego stłumiony głos Agnieszki.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, ale Postyłło nie przestał się uśmiechać. Wysunąwszy swą gładką, starannie ostrzyżoną głowę o przylegających uszach, zwrócił z kolei uwagę obecnych na charakterystyczny fakt, iż kolega Działyniec powołał się właśnie na kolegę Morawieckiego jako na świadka i współuczestnika swej krzywdy.

— Krzywdy — powtórzył ze szczególnie wymownym naciskiem — zwracam uwagę kolegów, że miała tu jakoby miejsce krzywda, której ofiarą padli dwaj całkowicie bezbronni członkowie naszego zespołu....

— Ja tego nie mówiłem — poruszył się ciężko Morawiecki.

— Ale nieraz mówiliście, kolego, inne rzeczy — sprostował Postyłło. — Czy nie przypominacie sobie waszych drwiących uwag na temat nowych metod wychowawczych, zalecanych przez partię i rząd?

Morawiecki milczał, przygnieciony ciszą, jaka zapadła po tych słowach, i zdumieniem, że nikt nie zabiera głosu w jego obronie. „To niemożliwe — mignęło mu w myśli — przecież chyba rozumieją, że nie mówiłem tego ze złej woli."

— Obydwaj z kolegą Działyńcem — ciągnął coraz pewniej Postyłło — tak jest: obydwaj z kolegą Działyńcem stworzyliście panowie bazę opozycji w szkole. Opozycji być może nie wyrażanej całkowicie jawnie, ale opozycji. Czy mam przytaczać fakty?

Siwicki odsunął hałaśliwie krzesło i zaczął się przechadzać wzdłuż stołu z rękami w kieszeniach. „Niemożliwe — tępo powtarzał w duchu Morawiecki — to jest niemożliwe". Czuł, jak krew powoli odpływa mu od głowy, bladł z bezwładnej niemocy zaprzeczenia słowom Postyłły. Postyłły, który swymi nieuchwytnymi gestami kreślił ponad stołem sylwetkę obcego człowieka, z pozoru tylko podobną do niego, Morawieckiego. Czemu Jarosz milczał? Dlaczego nie wyrzekł ani słowa? Przyjąłby z jego ust nawet zarzuty — z ust uczciwego człowieka, któremu ufał. Spotkał ukradkowe spojrzenie Działyńca i nagle wydało mu się, że krótki błysk w jego oczach nie ma nic wspólnego z przyjaźnią.

— Jeśli chodzi o fakty, to pozwolę sobie przytoczyć następujący — brzmiał melodyjny głos Postyłły. — Jak wiadomo, w początku października dyrekcja postanowiła rozwiązać kółko historyczne, pozostające pod opieką kolegi Morawieckiego. Otóż, doszła mnie wiadomość, że kolega Morawiecki nie zrezygnował z działalności na tym terenie. Mimo zalecenia dyrekcji uparł się prowadzić kółko historyczne poza jej plecami.

— Kłamstwo — odezwał się Morawiecki wzruszając ramionami.

— Kolego... — szepnął wystraszony dyrektor Sznej.

Postyłło przybladł zlekka i spojrzał na Jarosza.

— Przypadkiem — rzekł — dowiedziałem się, że jeszcze w październiku, a więc po rozwiązaniu kółka, kolega Morawiecki powierzył uczniowi Weissowi do powtórnego opracowania jego referat o Rewocji Francuskiej.

Morawiecki podniósł głowę i położył na nim ciężki, znużony wzrok.

— Decyzja o rozwiązaniu kółka — powiedział cicho — wydała mi się niesłuszna, to prawda. Należało mi wytknąć błędy w inny sposób, jeśli je rzeczywiście popełniłem. Uczeń Weiss sam się do mnie zwrócił z prośbą, ażebym opatrzył uwagami jego referat. Poprawiał go kilkakrotnie i włożył w to wiele pracy. Czy uważacie za zbrodnię, że się na to zgodziłem?

— Należało o tym zawiadomić dyrekcję — stwierdził sucho Jarosz.

— Uważam ten fakt, proszę kolegów — dorzucił Postyłło — za pierwszą próbę wszczęcia nielegalnej akcji wśród uczniów. Akcji o charakterze politycznym. Proszę zaprotokółować to, co powiedziałem.

— Kolego! — zawołał Siwicki — czy wy się jednak nie za daleko posuwacie? Pozwólcie, że zabiorę głos w tej sprawie...

Ale okazało się, że przedtem byli zapisani do głosu Szreniawski i ksiądz Leśniarz. Morawiecki, przytłoczony absurdalnym oskarżeniem

Postyłły, siedział za stołem jak sponiewierany, niepotrzebny wór, odsunięty nogą, i nie potrafił nawet zebrać myśli. Po chwili doszły go słowa Szreniawskiego — i zrozumiał, że go bronią. — Kolegów Działyńca i Morawieckiego znamy od wielu lat... — Wzdrygnął się w duchu, jakby dotknięty czyjąś brudną ręką. Szreniawski... Czemu wszystko działo się na opak? Nie bronił go Jarosz, ale właśnie Szreniawski. Szreniawski, którym w głębi duszy gardził za obskuranckie prostactwo, za bezmyślne plotki polityczne, za tępą nienawiść mieszczucha, co watą w uszach chronił się od przeciągów. Lecz właśnie Szreniawski wyciągał teraz po niego ręce: — Szanujemy kolegę Morawieckiego jako zacnego człowieka o nieskazitelnej uczciwości i szerokich poglądach, których nie zmienił z soboty na niedzielę... Obydwaj, wraz z kolegą Działyńcem, reprezentują postawę...

„Ohyda..." pomyślał Morawiecki. Poczuł nagle chęć trzasnąć pięścią w stół i przerwać wreszcie potok fałszu, który sięgał mu już po usta. Ale nie miał sił unieść dłoni; zdawało się, że na mocy niewidzialnej zmowy odwracali go do góry nogami i chwalili ów opaczny kształt, wiszący głową na dół. Powoli zaczęła w nim wzbierać długo tłumiona furia, krew przypływała mu do mózgu gorącymi falami, zacisnął pięści. Niechże ktoś przerwie wreszcie! Czyż nie widzieli jego zmęczenia? Nie spostrzegali nadużycia? Niechże ktoś przemówi..

Przemówił ksiądz Leśniarz. I oto znowu Morawiecki ujrzał parę rąk, wznoszącą się ku niemu, by go dobrotliwie przyciągnąć.

„Kolega Morawiecki... Kolega Działyniec..." Przywiązywali mu Działyńca jak kamień do nogi. „Co za bzdura!" urągał w duchu Morawiecki. „Ja i Działyniec? Co najmniej trzy razy w tygodniu kłóciliśmy się o poglądy; Krystyna mogłaby zaświadczyć..." Patrzył spode łba na katechetę, który od dawna w nim pobudzał starą, młodzieńczą jeszcze odrazę do kleru. I słuchał z osłupiałą zgrozą swego kolejnego obrońcy. Jeszcze raz rozejrzał się po twarzach: nikt? Spotkał pilny, twardy wzrok Jarosza, zobaczył pochyloną głowę Agnieszki, zakłopotaną twarz Siwickiego... Zdjął szkła i przymknął oczy.

— A ponadto — kończył ksiądz Leśniarz wymacując salę szybkimi, umykającymi spojrzeniami — powinniśmy pamiętać o miłosierdziu. Jest to nasz obowiązek, wobec którego maleją sprawy polityczne, jak zawsze — przemijające, ulotne... Wiedzą zapewne koledzy, jak ciężko doświadcza Pan Bóg profesora Morawieckiego, którego żona...

Morawiecki nałożył szkła i zwrócił je na katechetę.

— Ja nie wierzę w Boga, księże dobrodzieju — rzekł spokojnie. Po czym wstał, niezręcznie potrącając krzesło, i wyszedł z sali.

ROZDZIAŁ ÓSMY

1

W Warszawie trwały listopadowe słoty. Tej jesieni w całym kraju dały się we znaki trudności aprowizacyjne, mężczyźni i kobiety godzinami mokli w długich ogonkach po żywność. Była to jesień prawdziwie ciężka; nad miastem wisiało zimne, ołowiane niebo. Kurz i pył cementowy, pomieszane z deszczem, wyciekały przez ogrodzenia placów budowlanych, pokrywając niektóre ulice warstwą grząskiego, ciamkającego błota brudno-żółtawej barwy. O zmroku tłumy wylewały się z biur i fabryk, na jezdniach powstawały zatory, walczono o miejsce w tramwaju oblepionym ludźmi uczepionymi buforów i poręczy; wiele było wypadków. W wilgotnej ciemności nieruchome, cierpliwe gromady czekały na przystankach. Czekano również przed punktami rozdziału węgla i koksu. Na oczekiwanie tracono długie, nie kończące się godziny. Tłumy ludzi w zbitych, kilkakroć skręconych ogonach, czekały przed kinami i przed kasami teatrów. W restauracjach i kawiarniach tłum siedział przy stolikach i tłum cisnął się w przejściach, czekając na opróżnione miejsca. Na placach budowy megafony ochrypłym głosem donosiły ostatnie wiadomości: w całym kraju przebiega planowo skup zboża, najlepsze wyniki zanotowano w województwach katowickim i krakowskim; białostockie i gdańskie nie dotrzymują im kroku... W szarej i dżdżystej przestrzeni miasta, pośród pieszej i kołowej wrzawy, z żółtawych rozpadlin ziemi i betonowych łożysk dźwigały się czerniejące zarysy nowych dzielnic, w których ponad barakami warsztatów roboczych świeciły się już okna w mieszkaniach; przed ukończeniem budowy rozpoczynano tu osiadłe życie, w kiosku przycupniętym u stóp rusztowań można było dostać gazetę codzienną z komunikatem o obradach paryskiej sesji ONZ, gdzie delegaci amerykańscy zgłosili projekt sprzeczny z zasadami rozsądku, gdyż zamiast zakazu produkcji atomowej — popierał jej dalszy rozwój. „Jest to zaiste obraz godny bogów!" wykpił ów projekt minister Wyszyński.

Przemówienie komentowało radio; słowo „zaiste" spiker wymawiał w sposób szyderczo-patetyczny, jak Hamlet w amatorskim teatrze; komentowali je również autorzy prasówek w zakładach i instytucjach, artykułów w gazetkach ściennych, referatów na zebraniach partyjnych. Ważne wieści ze świata przekładano na język niezliczonych narad pracowniczych, toczonych nieustannie, co dzień, mimo zmęczenia. Takich

narad o każdej godzinie dnia trwało w Warszawie tysiące, głęboko weszły w życie miasta.

Gazetę z przemówieniem Paweł przeczytał stojąc w zatłoczonym korytarzu 3 klasy, gdzieś między Skierniewicami a Warszawą. „Jest to zaiste obraz godny bogów!" — to zdanie mu się spodobało. Pociąg przystawał na stacyjkach wypełnionych oczekującymi ludźmi, ruszał wśród zgiełku, pozostawiając za sobą rozgwar i tupot nóg, mijał biało-czarne tablice z nazwą miejscowości; pole, zagajnik, łąki. „Polska..." myślał Paweł, przebijając się wzrokiem przez szybę; i rozdymał nozdrza pod wpływem spokojnej pewności, że władza ludowa i partia wszędzie tutaj dotarły, nawet do najmniejszych miasteczek i wsi.

Wracał z kilkudniowego wypadu w okręg przemysłu energetycznego; kilkanaście fabryk maszyn elektrycznych wykonało przed terminem roczny plan. Wyprodukowano szereg nowych silników, których konstrukcję i działanie objaśniali Pawłowi inżynierowie; legitymacja Głosu Popularnego miała również swoją elektryczność. Paweł wzbudzał uznanie fachowców szybką orientacją i bystrością zadawanych pytań. Starzy brygadziści uśmiechali się na widok jego surowego skupienia, z jakim słuchał skomplikowanych wyjaśnień z zakresu seryjnej produkcji watomierzy na zakładzie A-3. Zdobył opinię „fajnego gościa". Dyrektorzy znajdowali czas, by z nim rozmawiać; podkreślał, że z daną dziedziną produkcji styka się po raz pierwszy, prosił o podstawowe, elementarne informacje, notował odpowiedzi, wypytywał o szczegóły. Gdy na zakładzie M-2 zapoznawano go z tajnikami niedawno uruchomionej produkcji silników do ładowarek górniczych — przyznał się, że nic nie rozumie. I ślęczał w pracowni projektów tak długo, aż w końcu coś zrozumiał. W zakładach wytwórczych transformatorów wygłosił dwugodzinny odczyt o budownictwie warszawskim, opowiadając za zapałem o rekordach murarskich, architektach i przodownikach, o Sigalinie i Krajewskim. Wtedy jego z kolei zasypywano pytaniami. Rysował na tablicy schematy przyszłych dzielnic, opisywał ich obecny wygląd, przytaczał cyfry kubatury i nazwiska projektodawców. „Czy to prawda, że Prezydent interesuje się tym osobiście?" — „Każdym drobiazgiem!" zapewniał Paweł, potrząsając głową z takim przekonaniem, jakby sam brał udział w belwederskich naradach budowniczych Warszawy z Prezydentem. Czuł się wysłannikiem Stolicy, propagatorem jej osiągnięć, i nie pamiętał już, że sam nie tak jeszcze dawno wlókł się z walizką na Elektoralną, przybysz z prowincji, oszołomiony tempem warszawskiego śródmieścia.

Teraz odbywał tę drogę przynajmniej kilka razy w miesiącu.

I kiedy stał u wylotu Towarowej, z walizką owiązaną tym samym sznurem, w tej samej kusej kurtce i czapce z grubego samodziału, spod której wymykał się czarny kosmyk, można było przypuszczać, że jest to ten sam Paweł Czyż zagubiony w stołecznej wrzawie, niezdecydowany, którego z przechodniów zapytać o kierunek. Ale w istocie było zupełnie inaczej. Czuł się tu jak u siebie. Przynajmniej kilka razy w miesiącu w Głosie Popularnym ukazywały się jego reportaże: „Jak powstawał piec „B" w Hucie Kościuszko...", „Nie będzie ślepych koni w kopalniach węgla!", „Motory nadziei buduje zakład M-2..." Lubił takie tytuły, przykuwające oko czytelnika.

Nawet w pociągu nie zapominał o swych zadaniach agitatora. Gdy pasażer stojący obok, zajrzał mu przez ramię, by zerknąć na przemówienie Wyszyńskiego, Paweł natychmiast wdał się z nim w polityczną dyskusję. Mały człowieczek psioczył na ogonki i nie uznawał argumentów Pawła. — Co tam droga do socjalizmu! — urągał — im dłuższe ogonki, tym dłuższa droga! A żryć nie ma co! — Zapominacie, na jakim jesteśmy etapie — tłumaczył Paweł z podnieceniem — rolnictwo nie nadąża za rozwojem przemysłu... — Ale pasażera nie obchodziły etapy ani rozwój przemysłu, pokazywał Pawłowi swoje zelówki i spluwał: — Wiesz pan, ile za nie dałem? A wiesz pan, ile mi płacą? A żona i dzieci, to co? — Rozstali się na dworcu i mały człowieczek zmieszał się z tłumem opuszczającym peron. Paweł najchętniej pobiegł by za nim: czy wolno było puścić na ulicę tego rozzłoszczonego karzełka, który za chwilę powtórzy swoje w tramwaju czy autobusie? Odstawił walizkę i odprowadzając go wzrokiem pomyślał: „Zaczekamy, aż ciebie żółć zeżre, a twoje dzieci przez ten czas podrosną..."

Przez redakcję Głosu przewijały się dzień w dzień dziesiątki ludzi, lokal redakcyjny był jednym z centrów rozrządczych miasta; przypływały tu i wypływały wiadomości, opinie, hasła, wskazówki; na błyskawicznych odprawach dyskutowano ostatnie wydarzenia; nowy fakt obiegał pokoje, korytarze i piętra, brzęczał w telefonach, trafiał na zawalone papierami biurko Łękota — który wzywał Pawła na krótką konferencję, by „ustawić problem" lub „dać nastawienie".

Paweł był obecnie prawą ręką Łękota. Po reportażu o Warszawie zastępca redaktora podwyższył mu stawkę i zaproponował kierownictwo działu współpracy z terenem. Wyjazdy i diety, z obowiązkiem dostarczenia przynajmniej trzech artykułów w miesiącu. — Reportaż o Warszawie ogólnie się podobał — mówił Łękot chrząkając z namysłem — i zwrócił na was uwagę instancji partyjnych. — Spojrzał na

Pawła swym starannym, rzeczowym wzrokiem, po czym dodał: — Wasza współpraca może się okazać bardzo pożyteczna.

Paweł uśmiechnął się i potrząsnął czupryną: — Dziękuję wam, towarzyszu Łękot. — Przerwał i poszukał papierosów. Łękot nie palił. Paweł zaciągnął się głęboko dymem, poczuł lekki zawrót głowy i przyjął propozycję. — Jutro mogę jechać — mruknął. Bystro spoglądając w twarz Łękota, zapoznawał go ze swoim planem. — Słusznie — potakiwał Łękot — bardzo słusznie. — Nie przerywał mu i gdy terkotał telefon mówił półgłosem do słuchawki: — Jestem zajęty, ważna konferencja. — Paweł z satysfakcją zanotował to w pamięci. — Proszę, mówcie dalej — podejmował Łękot. Zgadzał się całkowicie z każdym poglądem Pawła: oczywiście, przede wszystkim skuteczność bezpośredniego oddziaływania, najzupełniej słusznie; ukazywać doraźne cele i zadania, przedstawiać w konkretnych szczegółach obrazy nowego życia, nie ukrywać trudności, ale zachować właściwą proporcję i perspektywy. — Byłoby celowe — zauważył Łękot — abyśmy każdy dostarczony przez was materiał przedyskutowali we dwóch. Sądzę, że dojdziemy do porozumienia. — Chciałem was nawet o to prosić! — podchwycił Paweł — zależy mi na waszych uwagach krytycznych. — Łękot skłonił głowę; wydawał się całkowicie zadowolony. Odradził mu tylko wspólnych wyjazdów ze Zbrożkiem. — Nie uważam, żeby to było konieczne — rzekł po zastanowieniu — powinniście w sobie rozwijać zmysł samodzielnej obserwacji. — Może i słusznie — zgodził się Paweł, ściskając mu rękę. Był również zadowolony.

2

Kiedy w niedzielę zastał Zbrożka u Agnieszki, chciał się w pierwszej chwili cofnąć i wyjść. Nie spodziewał się tego i z trudem odpowiadał na jej pytania: czemu nie przyszła Bronka? Czy była rada z upominku? Bronka nie przyszła po prostu dlatego, że jej nic o zaproszeniu nie powiedział, zasłyszawszy przypadkiem, że w niedzielę ma całodzienny dyżur w szpitalu dziecięcym na Kopernika. A z puderniczki bardzo się ucieszyła; Paweł pamiętał, jak spuściła oczy, zarumieniona: „Dziękuję — szepnęła — jakie to ładne...“ Żal mu było się przyznać, że nie on ją wybrał, więc nie wspomniał o spotkaniu z Agnieszką.

— Czytałam pana reportaż o Warszawie — mówiła Agnieszka — Wiktor mi przyniósł z redakcji niedzielny numer Głosu z zeszłego tygodnia. A wtedy na Chmielnej, pary z ust nie puścił! — opowiadała ze śmiechem Zbrożkowi. — To bardzo po męsku.

Postawiła przed nim filiżankę, potem zaczęła się krzątać po pokoiku,

nie większym od redakcyjnej klitki Pawła, i spod tapczanu wylazł mały jamnik, który go obwąchał.

Ale Paweł siedział ze wzrokiem utkwionym w talerzyku i nie mógł się zdobyć na uśmiech. Kątem oczu widział zarys twarzy Zbrożka, przeglądającego książki, ustawione na półeczce obok tapczanu. Przywitał Pawła bez zdziwienia, Agnieszka musiała go o tym uprzedzić, zachowywał się tu jak zadomowiony, codzienny gość. „Więc to on..." wirowało Pawłowi w myślach. I czuł piekący wstyd za swą naiwność: jakże mógł przypuszczać, że taka ładna dziewczyna czekała, by spotkać jego, Pawła Czyża, u Kuźnarów...

Bał się na nią oczy podnieść, bo był niemal pewny, że odgadła jego myśli: na pewno wydawał jej się teraz żałośnie śmieszny ze swą durną, zawiedzioną nadzieją, musiała się domyślać, że przemilczał zaproszenie przed Bronką i że przyjechał tu, aby zastać ją samą. Czuł się oszukany i upokorzony. Mówiła do Zbrożka „Wiktor", ile lat już się znali? „Może on tutaj mieszka?" przeraził się Paweł. Ale chyba nie, bo pamiętał, że kiedyś w redakcji posłano gońca Lipkę do mieszkania Zbrożka na Słupecką.

Tymczasem Zbrożek nie zwracał uwagi ani na niego, ani na Agnieszkę. Zagłębił się w książce, jakby zapominając o ich obecności. Gdy na chwilę zostali sami, uśmiechnął się do Pawła z roztargnieniem i powiedział: — Wiesz, znalazłem tu ciekawą rzecz... — po czym znów zaczął przebierać kartki, mrucząc na przemian pod nosem:: „to interesujące..." albo „co za bzdury..." Paweł rozglądał się spod oka po sprzętach: stolik pod oknem, przy którym pewnie pracuje... zostawiła tam otwarty notatnik, a obok leży stos zeszytów... fotografia kobiety w ramce, chyba jej matka... korale wiszące na klamce okiennicy, na parapecie słoje z hodowlą jakichś mchów czy pleśni... zasuszone polne kwiaty w wazonach... Kiedy jej nie mógł spotkać, tutaj spędzała długie godziny, i tutaj zasypiała, gdy on widział w ciemności jej twarz.

A jeśli nie była wtedy sama? — przebiegło Pawłowi przez głowę. Czy mógł się spodziewać czego innego? — wolna, mądra dziewczyna, na pewno pozbawiona przesądów... Po cóż miałaby się wyrzekać uczuć czy przeżyć, po co i dla kogo? Może nie jeden Zbrożek tu przychodził, Paweł znał i takie dziewczyny, czemu nie mogła być jedną z nich...

Kiedy Agnieszka wróciła do pokoju, siedział zmartwiały od wszelkich podejrzeń i patrzył z głuchą rozpaczą na jej dłoń nalewającą herbatę do filiżanki. — Nie, dziękuję — potrząsnął głową i niezbyt dokładnie rozumiał, za co właściwie dziękuje. Ale dłoń Agnieszki nie mogła na-

leżeć do nieuczciwej dziewczyny; prawdziwie prosta i ładna ręka o pewnych, spokojnych ruchach, trudno było oderwać od niej oczy. Paweł poczuł coś w rodzaju ulgi, lecz natychmiast zaczął cierpieć od nowa: jeśli kobieca dłoń może o czymś świadczyć, znaczyło to tylko tyle, że Zbrożek nie miał rywalów. Serce w nim upadło, gdy Agnieszka wyjęła Zbrożkowi książkę z ręki, mówiąc z drwiącym zgorszeniem: — Nie, Wiktor, nie będziesz czytał przy jedzeniu, tym razem nie ma mowy. — „Tym razem..." pomyślał Paweł z goryczą „tym razem..."

Odtąd jej każde słowo, a nawet poruszenie czy gest — zadawały mu ból. Podczas zeszłego spotkania zauważył kilka jej charakterystycznych ruchów i spojrzeń, zapamiętał na przykład śliczny sposób, w jaki poprawiała rozsypane włosy, i uważny, nieco surowy, a jednocześnie troskliwy wyraz jej oczu, gdy patrzyła nań słuchając, co mówił, albo oczekując, że coś powie. Wszystko to teraz zwróciło się jakby przeciw niemu: jej gesty i spojrzenia, uśmiech, wesoły dźwięk jej głosu — wszystko to zostało oddalone i odsunięte, przestało do niego należeć; tyleż miał z tego udręki, co pierwej radości. „Cierpię..." pomyślał Paweł, ze wzrokiem wbitym w posadzkę. Pierwszy raz w życiu przyszło mu to do głowy. Przedtem — jeżeli cierpiał, nie zdawał sobie z tego sprawy. Ale teraz cierpienie było zbyt dotkliwe, aby go nie spostrzec. Odczuł na tę myśl dziwnie przyjemny smutek: siedział oto i cierpiał. I z chwilą gdy o tym pomyślał, zaczął cierpieć jeszcze bardziej.

— Dziękuję — powtórzył, gdy przysunęła mu popielniczkę. Słyszał jej głos blisko siebie, w skroniach mu szumiało, bo przez chwilę poczuł na policzku jej ciepły oddech. Opowiadała, zdaje się, o swoich kłopotach w komitecie blokowym, tak — była zastępcą przewodniczącego bloku: — Trudno się rozeznać — mówiła w tutejszych ludziach. Wiktor, jakbyś ty postąpił na przykład w takim wypadku...

Paweł ani razu dotychczas nie spojrzał na Zbrożka. Obawiał się, że tamten wszystko wyczyta z jego oczu: zazdrościł mu każdej sekundy i z każdą sekundą czuł się coraz śmieszniejszy, coraz mniej potrzebny pośród nich dwojga, których łączyło tyle spraw, dla niego niedostępnych.

Zerknął ukradkiem i stwierdził, że Zbrożek nie wygląda na szczęśliwego zwycięzcę: błądził po ścianach swym zamyślonym wzrokiem, marszcząc szerokie, zbyt wypukłe czoło, i jak zwykle Pawła uderzył niespokojny, trudny do uchwycenia wyraz jego twarzy. „Brzydki i smutny" pomyślał ze zdziwieniem.

— Tobie się zdaje, Agnieszka — mówił Zbrożek — że ludzie wszystko widzą tak jak ty. Ty myślisz, że wystarczy ich zebrać i powiedzieć:

słuchajcie, jesteśmy na takim i takim etapie, za tyle a tyle lat wykonamy plan, a za ileś tam lat przeoramy psychikę burżuazyjną. I dziwisz się, że oni tego nie rozumieją! Nie rozumieją, bo właśnie oni są najtrudniejszą pozycją w naszym planie. To tak, jakbyś się dziwiła, że w gmachu, pod który położono dopiero fundamenty, jeszcze nie działa centralne ogrzewanie.

— Wiktor — kręciła głową Agnieszka — ale to są ludzie, nie cegły. Powinni przecież myśleć.

— Myślą, Agnieszka, myślą... — wzruszył ramionami Zbrożek — tylko jak? Czasem łatwiej zbudować dom niż światopogląd jednego człowieka! Cegła to jest cegła! A w jednej myśli ludzkiej, w jednej myśli — rozumiesz? — tkwi nieraz tysiąc lat stęchlizny i ciemni... Tysiąc lat, nie przesadzam! Niech ci Paweł powie. A tybyś chciała załatwić to w jeden dzień. Nie, nie przesadzam — w jeden dzień!

— Teraz to na pewno przesadzasz — protestowała Agnieszka ze śmiechem. I mówiła do Pawła: — Wiktor inaczej nie potrafi.

Paweł próbował się uśmiechnąć. Nie mógł jednak teraz myśleć o tysiącletniej ciemni, widział tylko oczy Agnieszki. „Wyjdę stąd" postanowił. Ale siedział dalej.

Agnieszka opowiadała o swoich sąsiadach. Mieszkanie składało się z trzech pokojów: jeden zajmowała ona, w dwóch pozostałych żyła pięcioosobowa rodzina Siniewiczów: urzędnik Banku Narodowego z żoną i dwiema córkami, w dodatku stara matka Siniewiczowej.

— 700 złotych miesięcznie — tłumaczyła — nie licząc jej drobnych zarobków na swetrach, które utka przez miesiąc, no i chyba tego, co sprzedadzą. Do dzisiaj nie mam pojęcia, jak ci ludzie myślą. Może nie mają do mnie zaufania? Zachodzę do nich dosyć często, ot, tak, żeby porozmawiać. Oboje kiwają głowami, jakby wszystko rozumieli. A babka czasem się nawet odezwie, że Chrystus był komunistą. Starsza dziewczynka jest w ZMP. I mają kanarka w klatce. No i wychodzę stamtąd tak, jakbym rozmawiała z tym kanarkiem. Nic nie wiem. Chyba porządni ludzie, ale co mówią między sobą po zgaszeniu światła?

Zbrożek wstał i zaczął szybko chodzić po pokoju. Paweł przypatrywał mu się z ukosa obserwując jego niezborne, nerwowe poruszenia. Schwycił spod rzęs spojrzenie Agnieszki: także patrzyła na Zbrożka. „Ona go kocha..." stwierdził Paweł z rozpaczą.

— Co mówią? — odezwał się szyderczo Zbrożek — na pewno nie o przodującej roli klasy robotniczej! Ani o zagadnieniach leninizmu! Mówią prawdopodobnie o tym, że ciężko żyć. A może o tym, że jakiś nadgorliwiec albo oportunista zrobił głupstwo, czy świństwo. Widzą

świat okiem kury. Kura widzi przed sobą kawałek ziemi nie większy od twojej chustki do nosa. Albo znajdzie tam ziarno, albo nie. I z tego wysnuwa wnioski. Tak samo ci twoi Siniewiczowie.

Paweł podniósł głowę. W głosie Zbrożka nie podobał mu się rozdrażniony akcent, gniewny, obraźliwy ton, jakim mówił o ludziach. „W partii by cię za to bili" pomyślał z niechętną satysfakcją.

— Jak z nimi rozmawiać? — ciągnął Zbrożek, zacinając się nieco z podniecenia. — A czy wy myślicie, że ja nie próbowałem? Z takimi czy innymi? Co jak co, ale gardło zdzierać — to umiem. No, ale cóż mu odpowiesz, kiedy on ci pokaże artykuł jakiegoś na przykład Łękota, który pisze, że wszystko jest jak najlepiej w tym najszczęśliwszym ze światów? Znowu kurze gdakanie! Inne — bo Łękot — to kura, która dziobie ziarno. Zadowolona z siebie kura. Gdacze z godnością: jest ziarno! jest ziarno! I żyj tu między kokoszkami! Nie dogadasz się, Paweł, ja ci mówię.

— Wiktor — pokręciła głową Agnieszka — nie przemawia mi to do przekonania. Jeśli się ludzi porównuje do kur, nic dobrego z tego chyba nie wyjdzie.

Zbrożek uśmiechnął się i jego płaskie, rozciągnięte wargi poddarły mu jakoś nos w żałosnym grymasie.

— Agnieszka — mruknął dotykając ręką zasuszonych kwiatów — to nauczycielka. Kocha rośliny i zwierzątka. I wydaje jej się, że ludzi trzeba kochać w ten sam sposób. Ale my nie mamy warunków, żeby zakładać oranżerie. Nie spodobało ci się porównanie z kurami? No to wyobraź sobie, Agnieszka, że to jest las. Wycinamy w nim spróchniałe drzewa, żeby inne zdrowo rosły. Ot, pomyśl sobie: prócz młodych dębów i jesionów, są tam karłowate krzaki, które zabierają sok. Na przykład taki krzak, który nazywa się łękot. Jałowy krzak łękotu...

Zaczął się śmiać, odrzucając głowę w tył, nagle rozbawiony własnym pomysłem. — Jałowy krzak łękotu! — powtarzał ze śmiechem. Kiedy się śmiał, był rzeczywiście brzydki i niewesoły.

Paweł przypatrywał mu się ze zmarszczonymi brwiami.

— Co do Łękota — przerwał — nie masz racji. To trzeźwy, uczciwy gość. Całkiem dobrze ma w głowie.

Zbrożek przestał się śmiać. Spojrzał na niego bystro i nie od razu odpowiedział. Oglądał go ze zdziwieniem, a jednocześnie z przenikliwym namysłem, jakby dopiero teraz się zastanowił, z kim ma do czynienia.

— Poznasz go lepiej — odparł po chwili. Spochmurniał i znów zaczął przeglądać książki, stojące na półce.

Zapadło skrępowane milczenie.

— Zdaje się, że w tym wypadku — usłyszał Paweł głos Agnieszki— Wiktor się nie myli. Łękot od kilku miesięcy nie puścił mu ani jednego reportażu. Zresztą i mnie — roześmiała się — zatrzymał niedawno artykuł o szkolnictwie. Dziwny człowiek: we wszystkim węszy szkodliwą robotę.

Paweł wstał. — Muszę już iść — powiedział niezręcznie. Miał uczucie, że jeśliby jeszcze chwilę został, znienawidziliby go oboje.

Tymczasem jednak, gdy znalazł się za drzwiami i wciągał pośpiesznie kurtkę, spotkał niespokojne, zatroskane spojrzenie Agnieszki. Stała oparta plecami o ścianę, w przedpokoju było ciemno. Znowu wydała mu się najbliższa na świecie i nagle ogarnęła go chęć, żeby jej o tym powiedzieć. Ale zabrakło mu odwagi i kiedy wyciągała doń rękę na pożegnanie, uśmiechnął się krzywo, patrząc w bok. Przez chwilę czuł jej palce w dłoni. Gardło miał ściśnięte i nie mógł wykrztusić słowa. Poprawiła mu kołnierz kurtki. Stał przed nią z opuszczonymi rękami.

— Do widzenia — powiedziała. — Przystanek jest zaraz na lewo.

„Po co ja wyszedłem?“ pomyślał znalazłszy się za drzwiami.

Wracał pieszo przez pustawy niedzielny Żoliborz i mijał odświętnie ubrane pary. Tego dnia nie padał deszcz, przeschło trochę, przegniłe liście, sklejone starym błotem, leżały na skrajach chodników; wokół było spokojnie i szarawo, spod wiaduktu dochodził tylko syk parowozu. Paweł szedł ciężko i z każdym krokiem czuł, jak zwiera mu się w piersi twardy, kłujący ból, podobny do kamyka, leżącego na samym spodzie serca. Przystanął u wiaduktu i widok pociągów przypomniał mu jego niedawny przyjazd do Warszawy. Po raz pierwszy poczuł się w tym mieście nieszczęśliwy. A parę tygodni temu wyśmiałby każdego, kto by spróbował powiedzieć, że można być nieszczęśliwym w Warszawie... Jakiż był głupi, gdy jadąc w wagonie widział się już wszechwładnym panem swoich przyszłych losów, niechybnym, bezbłędnym zdobywcą! Oto mógł teraz swoje zdobycze oglądać, gdy wlókł się z rękami w kieszeniach i z gorzkim smakiem rozczarowania na wargach. Czy nie tak błąkał się kiedyś po ulicy, gdy na podwórku pobili go koledzy za to, że chciał się z nimi bawić w „noża“? To była wprawdzie ulica Brukowa, ale ten sam ostry kamyk gniótł mu wtedy serce, gdy szedł zapłakany, pobity, przysięgając zemstę.

„Paweł Czyż“ — myślał — „głupi, nieszczęśliwy Paweł Czyż...“ Doświadczał okrutnej satysfakcji, że w tych kilku słowach mieści się cała jego warszawska kariera, a jednocześnie przejął go gniewny żal,

że to właśnie on tak się dał oszukać, on a nie Zbrożek, lub tylu innych, którzy wybrali swoje dziewczyny prosto i łatwo, bez wahań, i których one tak samo prosto i łatwo kochały.

Przystanął przed plakatem, na którym, w błękitnym tle, widniała ręka murarza wznosząca na kielni plan przyszłej Warszawy. Plakat przyciągał wzrok, ale Paweł na niego nie patrzył. Przeciwnie, przymknął oczy, chcąc sobie wyraźniej przypomnieć serdeczny gest Agnieszki, jakim poprawiła mu kołnierz u kurtki, kiedy się z nią żegnał. Cóż mógł właściwie znaczyć taki troskliwy, czuły ruch ręki, poprawiającej zawinięty kołnierz? Czy zrobiła to żartem, czy też z kobiecej staranności? „Jak siostra..." westchnął Paweł. Czy gdyby był kto inny na jego miejscu, także by to zrobiła?

Stał przed plakatem i serce mu waliło od wzburzonych wątpliwości: czy Agnieszka uczyniłaby to samo wobec każdego innego, czy też ów czuły, tkliwy gest był przeznaczony tylko dla niego? I nie umiał tej wątpliwości rozstrzygnąć.

Nie wiedział, którędy zaszedł na Plac Teatralny i zdziwił się, że tyle drogi przebył pieszo. Wkroczył już w dobrze znajome dzielnice, gdzie nieraz chodził patrzeć, jak budują. Było tu ciemniej, szedł jezdnią, auta oświetlały go reflektorami. Myślał, że jest to droga Agnieszki, tędy musiała iść czasami do szkoły, w jakiś ładny dzień, kiedy przyjemnie przejść pieszo przez miasto. I znowu, jak tyle już razy, gdy za nią tęsknił, spojrzał na ziemię pod nogami, gdzie mógł pozostać jeszcze ślad jej stóp z zeszłego dnia.

Na rogu Krakowskiego Przedmieścia omal że nie wpadł pod nadjeżdżający trolleybus. Przystanął pod drzewem na skraju chodnika i gapiąc się w ciemny portal kościoła Wizytek, poczuł się jak nigdy przedtem samotny. Nie miał i dawniej wielu bliskich ludzi, to prawda, ale nie uważał tego za samotność. Teraz zaś ujrzał się nagle odarty nie tylko z bliskości ludzkiej, lecz z czegoś jeszcze, co do owego dnia było w nim samym: z ciepłej treści, ogrzewającej serce jak znajoma lampa o łagodnym, przyćmionym świetle. „Lampa w domu rodziców..." pomyślał bezwiednie. Zdawało mu się, że zgasło w nim jakieś światło, że pozostał zimny, pusty załom. I może właśnie to była samotność.

Resztę wieczoru spędził w barze na Nowym Świecie, niedaleko rogu Ordynackiej. W piwniczce, pod kręconymi schodami, zbierali się zazwyczaj dziennikarze z Głosu. Mieli swój stolik w kącie, przy którym najczęściej można było zastać Walerego Babicza, redaktora kroniki miejskiej, słynnego speca od wyłapywania nadużyć i nieporządków

w warszawskich sklepach, instytucjach i lokalach. Siedział zwykle w otoczeniu młodszych członków redakcji, którzy lubili słuchać jego monologów. — Po co się wychylać? — było to znane powiedzenie Babicza. Kelnerzy obsługiwali z szacunkiem ten hałaśliwy postrach WSS-ów, gruby, powalany popiołem, zaflegmiony, o zadartym nosie i lwiej, kompozytorskiej grzywie. Na widok Pawła zawołał: — Czołem, Czyż! Kogoż to widzimy? — i zagarnąwszy go do stolika, postawił przed nim stopkę „Starowinu".

Tyle mniej więcej Paweł zapamiętał. Pamiętał jeszcze, że z kimś się obejmował i wypił z Babiczem „na ty", że ciągle przed nim stawiano napełniony kieliszek, który wypijał jednym haustem, z całkowitym przekonaniem, iż jest to rzecz zbawienna i słuszna. — Po co się wychylasz? — wołał Babicz, którego twarz rozlewała się w błyszczącą, czerwonawą plamę — poczekaj, aż przeoramy psychikę pokoleń! — Tak, oczywiście, Walery — potakiwał Paweł, zadziwiony trafnością jego sądu. Kłujący kamyk w sercu jak gdyby się przepalił na mrowie rozżarzonych węgielków; Paweł zalewał je tak długo, aż przestały doskwierać — i obudził się wreszcie.

Obudził się na własnym łóżku, leżąc pod kołdrą w ubraniu, z ciężką, jakby przyśrubowaną do karku głową i mdłym niesmakiem w ustach. Było już południe. O zmierzchu siedział w przedziale pociągu, który go wiózł do „Zarzewia", fabryki narzędzi mechanicznych w okręgu górnośląskim, którą Łękot polecił mu jako ciekawy obiekt dla reportażysty. Przyjechał tam nazajutrz rano. Ale po dwóch dniach, ledwie był zdążył nawiązać pierwsze kontakty, nadeszła depesza z redakcji, żeby wracał natychmiast; podpisano „Łękot".

Znów więc tłukł się do wieczora w zapchanym korytarzu 3-ej klasy. W Warszawie udał się wprost z dworca do redakcji, gdzie Łękot, który wyjeżdżał na tydzień w pilnych sprawach, związanych z prowincjonalną mutacją Głosu, powierzył mu rewizję numeru na czas swej nieobecności. Śremski zajęty w Stowarzyszeniu Dziennikarzy, rzadko bywał w redakcji. — Poza nim i wami nikogo nie jestem pewny — tłumaczył Łękot swym nudnawym głosem — wszystkie ważniejsze sprawy przekażę wam na piśmie.

„Niech będzie i tak" pomyślał Paweł bez zapału. Dni, kiedy byłby to uznał za oszałamiający skok naprzód w swej karierze — odpłynęły daleko.

Ale znalazłszy się przed drzwiami mieszkania na Elektoralnej, poczuł nagle tak wielkie wzruszenie, iż nie mógł trafić palcem na guziczek dzwonka. Wydało mu się, że słyszy głos Agnieszki. Cofnął rękę i nad-

stawił uszu. — Zachodź częściej, Agnieszka — słyszał w zupełnym nieładzie myśli — nie dawaj na siebie czekać miesiącami... — Potem czyjś śmiech i zbliżające się kroki. Gdy Bronka otworzyła drzwi, żegnając Agnieszkę, obydwie natknęły się na Pawła, stojącego z walizką u stóp. Przez szeroko rozchylone drzwi buchnęło nań światło i ciepło; z początku nie mógł wykrztusić słowa.

Odprowadził ją do przystanku na Plac Dzierżyńskiego. W ciągu niedługiej drogi niewiele sobie powiedzieli. Agnieszka nie wspomniała o jego niedzielnej wizycie, a Paweł nie zapytał o Zbrożka. Milcząc przystanęli na betonowej wysepce i zanosiło się na to, że znowu go pożegna, jak wtedy, pierwszym razem, bez żadnej obietnicy. Dopiero gdy z daleka zaczął dzwonić nadjeżdżający tramwaj — Pawła ogarnął raptowny niepokój, że już jej nigdy nie zobaczy, i pod wpływem tej myśli, właściwie ze strachu, poprosił ją o spotkanie.

W sobotę o 6-ej miała załatwić sprawę jakiegoś odczytu w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. O pół do siódmej będzie zapewne już wolna. Więc może w sobotę o pół do siódmej na Kredytowej. — Przyjdę punktualnie — powiedział cicho.

Gdy tramwaj znikł za zakrętem, Paweł stał jeszcze sporą chwilę, nasłuchując jego echa, po czym puścił się pędem przez pusty plac. Wbiegł do mieszkania i zrzuciwszy kurtkę, zamknął się w pokoju. Do świtu siedział przy rajzbrecie pisząc w gorączkowym uniesieniu reportaż o FNM „Zarzewie". Przeczytał go, gdy za oknem zaczęło już szarzeć, i odetchnął głęboko, aż do dna serca, ledwie w sobie mieszcząc potężną, radosną ulgę. Zerwał się z krzesła i potrząsnął śpiącym Antkiem. Gdy się dobudził go wreszcie, kazał mu słuchać. I szybkim, porwanym głosem, przeczytał mu, co napisał przez noc. Reportaż nosił tytuł: „Prędzej przewracajcie kartki kalendarza..."

Ale, ku niemiłemu zdziwieniu Pawła ani tytuł, ani sam reportaż nie spodobały się Antkowi.

3

Antek Kuźnar rzadko rzucał słowa na wiatr. Był wprawdzie podobny do ojca, po którym odziedziczył krępą, muskularną budowę i twarde włosy — ale mówił od niego dużo mniej. Zwykle, gdy miał się odezwać, wbijał wzrok w ziemię i ściągał brwi, jak gdyby zagniewany na rozmówcę; oczywiście, był to tylko namysł. Chłopcy milkli wtenczas, nawet Stefan Święcki spoglądał nań z zaciekawionym respektem.

Reportaż Pawła wydał mu się zbyt powierzchowny. Czy na fabryce „Zarzewie" wszystko szło aż tak gładko? Antek miał w duszy tyleż zapału, co ostrożnego rozsądku. — To jest ładnie napisane — mruknął przeczesując dłonią potargane we śnie włosy — fakt. — I ściągnął brwi w pochmurnym zastanowieniu: — Ale ja mam zastrzeżenia co do treści. Czy tam nie toczy się żadna walka? Właściwie co: zupełny spokój? Chyba nie.

— Słuchaj — tłumaczył rozgorączkowany Paweł — piszę to, co widziałem. Jest tam jeden inżynier, Hibniewicz, powiadam ci — pierwszorzędny gość. Dwie godziny siedziałem w jego gabinecie.

— Tak — namyślał się Antek, szczelniej zgarniając koc, gdyż w pokoju nad ranem było chłodno — a ilu tam jest ludzi?

— Sześciuset... Może siedmiuset.

— Siedmiuset ludzi — pokręcił głową Antek — i żadnych trudności? Żadnych problemów poza produkcyjnymi?

Paweł obruszył się z rozdrażnieniem. Żadnych, zaraz „żadnych"... — tego przecież nie napisał. Dał ogólny obraz osiągnięć, atmosferę...

— Atmosferę... — powtórzył Antek. — No, ja tam nie jeździłem, tylko ty. Ale wiesz, u nas jest taki historyk, profesor Postyłło. Specjalista od pokazówek dla delegatów Kuratorium. Wszystko wtedy idzie jak po maśle. Najgorsze bażanty recytują całe stronice na pamięć. Bo wiedzą z góry, o co Postyłło będzie pytał.

— Mnie nie tak łatwo nabić w butelkę — burknął niechętnie Paweł.

— To nawet nie jest nabijanie w butelkę. Weźmy na przykład naszą szkołę: wiele rzeczy idzie u nas dobrze. Ale jasne, są jednocześnie braki. Ludzie — proszę ciebie — bardzo różni. Bardzo różni... — powtórzył Antek, surowo zaciskając szczęki.

Paweł milczał, jak gdyby urażony. Po chwili zaczął się rozbierać, ostentacyjnie ziewając. Po zgaszeniu światła nie powiedział Antkowi „dobranoc". Może dlatego, że w pokoju było już szarawo i noc mieli za sobą.

W drodze do szkoły Antek jeszcze raz solidnie rozważył w myślach swoje zdanie i doszedł do wniosku, że postąpił uczciwie. Mimo że nie wiązały ich bliższe stosunki, poza wspólnym pokojem, lubił Pawła Czyża. Gdyby nie powiedział mu szczerze, co myśli o reportażu, czułby się nie w porządku jako zetempowiec. Lubił Pawła również za to, że lubiła go Bronka. Antek na ogół wprawdzie zachowywał w stosunku do siostry obojętną rezerwę, ale nie umiałby jej zrobić przykrości. Nie

znosił z całego serca ludzi, których podejrzewał o fałszywe uczucia dla Bronki, a jej prawdziwych przyjaciół przyjmował z pełną wiarą. Mimo swej małomównej powolności, był dosyć spostrzegawczy i widział od razu, który z odwiedzających ją kolegów przychodził na Elektoralną ze szczerej potrzeby zobaczenia Bronki. Tych traktował z milczącą sympatią. Współczuł nawet w głębi duszy chudemu i blademu Jankowi Zientali, studentowi medycyny, który się w Bronce kochał od gimnazjalnych lat i podobno wstąpił na wydział lekarski, żeby się z nią nie rozłączać. Co drugi dzień pojawiał się w mieszkaniu na Elektoralnej i uśmiechając się nieśmiało od progu zapewniał szeptem: — Tylko na minutkę, w bardzo pilnej sprawie... — Stary Kuźnar mówił o nim „cicha biedaczyna" i trochę z niego pokpiwał, twierdząc, że Zientala musiał w dzieciństwie przestraszyć się krowy. „Znałem takiego jednego — przysięgał — przez cztery lata nic nie mówił, a kiedy się odezwał, to tak z niemiecka zagdakał, chociaż to było pod Rawą! W późniejszym wieku wapno u mnie nosił i także się nazywał Zientala".

Antek nad Zientalą się litował, zwłaszcza od czasu, gdy na Elektoralną przybył Paweł Czyż. Pewnego wieczoru, gdy gawędzili we czwórkę przy stole, Antek zauważył przypadkiem spojrzenie Bronki na Pawła. Patrzył przez chwilę uważnie na nich oboje, a potem szybko ukrył wzrok. Nazajutrz, kiedy Zientala wychodził od Bronki, Antek zagadnął go mimochodem, czy by nie wybrał się z nim na zawody bokserskie Kolejarz — Gwardia, które miały się odbyć w niedzielę. Zientala zgodził się od razu i troszkę zdziwiony zamrugał białymi rzęsami.

Gdzieś tam, w głębokich zakątkach serca, Antek był po stronie Zientali, który od sześciu lat przychodził o jednej i tej samej porze, co drugi dzień, nigdy się nie spóźniwszy ani o minutę. Paweł, ze swymi niespokojnymi oczami i szybkim, dźwięcznym śmiechem, wkroczył w ich życie z dnia na dzień, i jakby w roztargnieniu od razu zagarnął ręką to, co Zientala mozolnie wydeptywał przez długie miesiące, w słoty, śnieżyce i skwary.

Wszystko to wydawało się nieraz Antkowi skomplikowane i cokolwiek niepokojące. Przez parę następnych dni po dyskusji nad reportażem Pawła, sprawy te mocno zaprzątały mu głowę. Ale odpędzał je od siebie: były zbyt delikatne, a przede wszystkim — cudze. Czy miał prawo się do nich mieszać?

Zresztą wydarzenia i problemy, piętrzące się o tym czasie w burzliwym życiu szkolnym, skierowały jego myśli w zupełnie inną stronę.

Antek Kuźnar miał na ogół umiarkowane uczucia. Nie kochał się dotychczas w żadnej dziewczynie, nie zerwał z nikim przyjaźni; wśród

kolegów był popularny, nikogo nie zawiódł. Należał do przodujących uczniów w klasie, chociaż trzech czy czterech było od niego zdolniejszych. Lubił sport i kreślarstwo. Sam sporządził sobie rajzbret i w gimnazjum mówiło się, że Kuźnar po maturze wstąpi na architekturę. Lubił także pracę organizacyjną: fakt, że od dwóch lat pełnił funkcję przewodniczącego w zarządzie szkolnym ZMP, wszystkim wydawał się najzupełniej oczywisty: trudno byłoby sobie na tym stanowisku wyobrazić kogo innego niż Kuźnara. Nie odznaczał się burzliwymi namiętnościami: wiele rzeczy lubił, do ludzi miał zrównoważony stosunek, osobista nienawiść była mu całkowicie obca. Oczywiście, nienawidził imperialistów, reakcji, szkodnictwa. Ale nawet wobec szkolnych reakcjonistów, jak na przykład Grześ Knake, pupil księdza Leśniarza, lub szczurkowaty Janek Tyborowicz — potrafił zachowywać tylko powściągliwą niechęć, oględnie kontrolując każde w stosunku do nich posunięcie.

Od pewnego czasu wszakże Antek Kuźnar jednego człowieka w głębi duszy nienawidził. Myślał o nim z mściwą, nieubłaganą pogardą. Bladł, ilekroć miało mu przejść przez usta jego nazwisko. Człowiekiem tym był Działyniec.

Wieści z sesji Rady Pedagogicznej szybko dotarły do zetempowców. Rozniosła się wiadomość, że Działyniec swoją argumentacją zamknął wszystkim usta. I że otwarcie zadał kłam zetempowskim aktywistom. Antek dowiedział się o tym oficjalnie od młodego rusycysty Siwickiego, który z ramienia Rady Pedagogicznej miał odtąd objąć opiekę nad kołem szkolnym ZMP. Przy ich rozmowie byli obecni tylko Święcki i Weiss.

— Komu wierzycie — jemu czy nam? — zapytał krótko Antek, patrząc twardym wzrokiem w zakłopotaną twarz Siwickiego.

Siwicki zamachał rękami.

— Słuchajcie! — zawołał — tylko nie z tego konia! Wam się zdaje, że nasza sytuacja jest łatwa? A już!... Profesor Jarosz — dodał półgłosem — także nie umiał sobie wyrobić jasnego stanowiska. Paskudna sprawa. A w Kuratorium powiedzieli: czekać. Oczywiście, zaufania do Działyńca nie mamy. Ale stanowczych dowodów przeciw niemu — także. Trudno — rozłożył ręce — musieliśmy przyjąć do wiadomości jego wyjaśnienia.

— Wyjaśnienia... — wycedził drwiąco Święcki i kopnął pod ławką Weissa.

Weissowi drżały wargi.

— Więc wyszliśmy na oszczerców... — szepnął.

— Właściwie tylko tak możemy to rozumieć — mruknął posępnie Antek.

Święcki pękał ze złości.

— Ładnie wyglądamy wobec niezorganizowanych — wybuchnął. — Wyobrażacie sobie gębę Knakego?

Siwicki skubał w zmieszaniu swój jasny puch na policzku.

— Przeklęta sprawa... — mamrotał — spróbuj się tu rozeznać: Działyniec, kto wie co on za jeden? Czy ja siedzę w jego duszy? A w dodatku — Morawiecki. Z nim, proszę was, także kłopot... Właściwie — wzruszył ramionami — nie mam prawa z wami tak rozmawiać...

Antek przerwał mu, kręcąc głową:

— Wydaje mi się, że z profesorem Morawieckim to nie zupełnie taka sama sprawa — zauważył.

— My go cenimy — wtrącił cicho Weiss, spoglądając na Stefana. Święcki siedział nadęty, ale nie protestował.

Siwicki skinął potakująco. I jego zdaniem tych dwóch spraw nie należało ze sobą wiązać w jedno.

— Ale nie wszyscy są co do tego zgodni — tłumaczył chmurnie, chodząc wielkimi krokami po klasie i machając rękoma — na przykład towarzysz Jarosz ma poważne zastrzeżenia wobec jego postawy. Na sesji, proszę was, profesor Morawiecki zachował się — źle. Tylko wy tego nie powtarzajcie — mruknął. — No, po prostu: wyszedł w środku zebrania... A w tym, co mówił — akcentów samokrytycznych ani śladu. Czort wie, co to za człowiek.

— Inteligent z obciążeniami indywidualistycznego liberała — zdefiniował obojętnie Święcki. — A poza tym niezły gość — dorzucił pod nosem.

— Spróbujcie o tym przekonać profesora Postyłłę — chrząknął z irytacją Siwicki. Ale nic więcej nie dał z siebie wyciągnąć. Pod koniec rozmowy stał się oficjalny; sądził widocznie, że trochę za dużo powiedział. Po jego wyjściu zostali we trzech w pustej klasie. Spojrzeli tylko na siebie. Antek milczał, patrząc przez okno na dziedziniec szkolny.

Od tego dnia na lekcjach Działyńca panowała zimna, przygniatająca cisza. Zetempowcy narzucili całej klasie nową dyscyplinę: poprawną, czujną obojętność, spod której trudno się było wyłamać. Kiedy Działyniec swym spokojnym, sprężystym krokiem zbliżał się do katedry, klasa wstawała w milczeniu. Takie same milczenie towarzyszyło mu, gdy wychodził po skończonej lekcji. Na jego pytania odpowiadano patrząc w okno; ale nikt żadnych pytań nie zadawał. Knake i Tyborowicz nie mieli odwagi robić wyłomu w niewidzialnym murze. Gdy spotykali

wzrok Działyńca, jednocześnie czuli na sobie skupione spojrzenia zetempowców. Knake wolał nie zadzierać z Kuźnarem; wbijał oczy w pulpit z wymuszonym, wzgardliwym uśmiechem. Działyniec zachowywał się ze swym zwykłym chłodem, jakby niczego nie dostrzegał. Czasem tylko spod przymrużonych rzęs wybiegało jego ostre, dokładne spojrzenie. Mały Zboiński ostrożnie wykręcał wtedy głowę, by zerknąć na Kuźnara. I wszyscy zetempowcy kierowali wzrok śladem Antka: w punkt na posadzce między katedrą a pierwszym rzędem ławek; jak gdyby przyglądając się rzuconej tam rękawicy, której nikt jeszcze otwarcie nie podjął.

Antek budził się nieraz w nocy, widząc we śnie twarz Działyńca. Zasypiał potem z zaciśniętymi pięściami; nienawistna odraza i poczucie ciągłej obecności wroga trzymały go w nieustannym napięciu. Za dnia rozmyśliwał o tym spokojniej. Co należało przedsięwziąć? Czy słusznie postępował? Idąc do szkoły, garbił się jakby pod brzemieniem odpowiedzialności. Nie chciał popełnić błędu. Czuł, że zawisło coś nad nim; dręczyło go uczucie źle spełnionego obowiązku. Szukał w pamięci odpowiednich cytatów z Lenina i Stalina. Musieli chyba znać podobne sytuacje. „Wróg się tylko cofnął" myślał „czeka, przyczajony, na nasz błąd..." Nie popełnić błędu. Nie tracić z oczu wroga.

Miał pewność, że w szkole działały szkodliwe siły, nie miał tylko jasnej świadomości ich wzajemnych powiązań. Czy między zamaskowaną, prawie nieuchwytną robotą Działyńca a postawą Knakego lub Tyborowicza istniały jakieś związki? A „bractwo różańcowe", które po cichu propagował ksiądz Leśniarz? Tak przynajmniej mówiono. Jeśli to była prawda, czy należało patrzeć na nią przez palce? Kilkakrotnie starał się o tym pomówić z profesorem Jaroszem. Ale Jarosz nie wydał się tym wszystkim zaskoczony. Wytłumaczył, nie podnosząc głowy znad notesu, że nie należy sądzić, by na obecnym etapie wróg łatwo zrezygnował z prób utajonej działalności. I przy okazji zwrócił mu uwagę, że w kole zetempowskim praca powinna być przede wszystkim zwrócona w kierunku uświadamiania chłopców.

— Radę Pedagogiczną pozostawcie nam — rzekł powoli przypatrując mu się spod grubych powiek — profesor Siwicki poinformował was o waszych obowiązkach. ZMP nie powstało po to, by kontrolować wykładowców. Ostatnio nawarzyliście nam piwa.

Antek musiał tego wysłuchać ze ściśniętymi zębami. Zanosiło się na to, że dyrekcja i organizacja partyjna przykrócą cugle zetempowcom. Leszek Zboiński wpadł na ową wiadomość w oburzenie i zawołał, że

należy machnąć ręką na dyrekcję i poinformować o ostatnich faktach Urząd Bezpieczeństwa. Ale Kuźnar i Święcki odrzucili stanowczo ten pomysł. Z czym pójść do Bezpieczeństwa? Z tym, że Działyniec fałszywie zinterepretował „Przedwiośnie"? I że się tego zaparł. — Kruszyno — zaśmiał się Święcki — oni mają ważniejsze kłopoty na głowie!

Słowa Jarosza stropiły Antka, tym bardziej że kryło się w nich sporo racji. Wśród uczniów często miały miejsce wypadki chuligaństwa. W klasie X B zanotowano fakt alkoholizmu. Z biblioteki nieustannie ginęły książki: statystyka wykazała, że w ciągu miesiąca przeciętnie znika ich pięć, przeważnie trudnych do odkupienia: kradnący byli bibliofilami na opak, nie brali byle czego. Wśród podejrzanych o kradzież znalazło się dwóch zetempowców. Pewnego dnia gimnazjum zatrzęsło się ze zgrozy: woźny Reśkiewicz znalazł rano zwęglonego czyżyka w klatce. Spłonął zapewne żywcem: klatkę napchano papierem i przykryto mokrą szmatą do wycierana podłóg. Mały Widek z VIII A powiedział Antkowi, że poprzedniego dnia słyszał rozmowę trzech uczniów, z których jeden śmiejąc się mówił: „jak się upiecze, to zakropimy go wódą!" Wzięty na rozmowę przez Antka i Święckiego, przyznał się i wskazał dwóch innych: między nimi zetempowca Gańca...

Po tym wypadku zwołali koło szkolne i Antek wygłosił przemówienie. Głos zabierali po kolei wszyscy aktywiści, wskazując, że zbrodnia okrywa hańbą całą organizację zetempowską. Siwicki obecny na zebraniu zarzucił zarządowi niewystarczającą działalność oświatowo-kulturalną. — Zajmujcie się tym, co do was należy! — grzmiał zza pulpitu sali odczytowej. — Każdy zetempowiec ponosi odpowiedzialność za wszystkich pozostałych, zorganizowanych i niezorganizowanych!

Antek do reszty stracił odtąd spokój. Jeśli każdy ponosił odpowiedzialność za wszystkich, to on — przewodniczący zarządu szkolnego — dźwigał na barkach więcej niż ktokolwiek inny. Knake w parę dni później powiedział mu, gdy zetknęli się w szatni: — Winszuję ci wychowanka, Kuźnar. Czy znowu powiesz, że to nasza wina? — Wasza — potrząsnął głową Antek — wszędzie rozsiewacie zarazki. — Odwrócił się do niego plecami i odszedł.

W niedzielę oddał małemu Widkowi bilet do Teatru Nowego na „Swobodny wiatr" i cały dzień przesiedział w domu. Grzebiąc w szufladzie znalazł przypadkiem wycięty kawałek gazety z listem do Prezydenta, przesłanym przez niedawną naradę krajową szkolnego aktywu ZMP: „Będziemy ulepszać swoją pracę, aby zwiększyć nasz wkład w wychowanie nowego pokolenia Polaków — budowniczych i obywateli socjalistycznej Ojczyzny..."

Lecz w następnym tygodniu zwaliły się nowe kłopoty. Musiał odbyć rozmowę z Arnowiczem, który oświadczył, że nie może dłużej pozostawać poza organizacją zetempowską. — Nie macie prawa obciążać mnie winami ojca — mówił uroczyście, dygocząc z podniecenia. Antek nie mógł mu dać stanowczej odpowiedzi: Arnowicz się rozpłakał. Sprawa stanęła na zarządzie i Stefan Święcki wystąpił z ostrym sprzeciwem: z uwagi na niedawne wypadki należało zagęścić sito. Antkowi było żal Arnowicza, ale wstrzymał się od głosu. Żałował tego nazajutrz i w drodze do gimnazjum, przed gmachem, zwolnił niechętnie kroku: Arnowicz na pewno już czekał na odpowiedź.

Okazało się jednak, że przyszedł dość wcześnie: na korytarzu było jeszcze cicho, w oszklonym wykuszu kilku licealistów przepowiadało sobie lekcje. Reśkiewicz dzwoniąc kluczami otwierał pokój nauczycielski. W gmachu unosił się zapach linoleum pomieszany z czymś nieokreślonym — od wielu lat przekraczając próg szkoły Antek wciągał go w nozdrza.

Drzwi klasy XI A były przymknięte; nacisnął klamkę i zgodnie z obowiązującym fasonem wyrzucił krótkim, celnym ruchem teczkę z ręki, tak aby przefrunąwszy ponad ławkami spadła na jego pulpit. Chybiał rzadko: rozległ się głuchy łoskot i Antek dopiero w tym momencie spostrzegł, że klasa nie była pusta. Grupka uczniów skupiona na ostatniej ławce odskoczyła od siebie, odsłaniając wystraszoną twarzyczkę Tyborowicza. Ściągał ukradkiem pod pulpit jakiś papier.

— Cześć... — powiedział Antek, patrząc na rękę Tyborowicza. Zbliżył się ku nim powoli, tamci trzej odsunęli się niepewnie. Przysiadł na skraju ławki. W zapadłej ciszy słychać było dreptanie Reśkiewicza, schodzącego zapewne z kluczami do kancelarii. Tyborowicz skurczył się za pulpitem, nie mógł jednak oderwać swych mysich oczków od twarzy Antka.

— Co ty... co ty, Kuźnar? — wyjąkał, cofając rękę.

Ale Antek bez słowa wyjął mu z dłoni papier. Był to szorstki arkusz z nieco zatartym tekstem, niedokładnie odbitym na powielaczu. Antek pochylił się nad nim. Widzieli jego grube, ściągnięte brwi i niskie czoło pod zgarniętymi na bok włosami.

— Kto ci to dał? — spytał, nie podnosząc głowy.

— Nikt... — szepnął Tyborowicz. — Znalazłem pod ławką...

Zatknął się nagle, bo spotkał jego spojrzenie.

I mimo że Antek Kuźnar nigdy — odkąd go znali — na nikogo nie podniósł ręki, Tyborowicz uczynił obronny ruch, jakby chcąc osłonić ramieniem swoją ostrzyżoną do skóry główkę.

4

Po sobotnim spotkaniu z Agnieszką Paweł przez parę dni czuł mocną potrzebę szlachetnych uczynków. Wstąpił weń ów rodzaj spokojnej wzniosłości, cechującej zazwyczaj ludzi szczęśliwych. Wprawdzie widzieli się tylko godzinę, ale to wystarczyło, żeby zawiązać wzajemną bliskość, która dotychczas się rwała, ledwie zadzierzgnięta. Tego dnia w Warszawie zapachniało zimą. Po długotrwałych szarugach powietrze schwyciła sucha ostrość; miasto jakby zaczerpnąwszy w piersi głębokiego chłodu, wstrzymało oddech: liście opadłe z drzew ulicznych leżały nieporuszane powiewem, wraz ze światłami latarni po zmroku na niebie ukazały się blade gwiazdy. Sobotni tłum wyległ na ulice przeniknięte szarawą, zimną mgiełką; w domach towarowych trudno się było docisnąć do lady, w ogonkach przed sklepami rozcierano ręce, a usta wydychały białą parę.

Paweł nie zapamiętał dokładnie, którędy szli. Natomiast bardzo wyraźnie odczuł, że dobrze mu było iść obok Agnieszki. I tym razem rozmawiali niewiele, często zatrzymując się przed wystawami i oglądając nowowybudowane domy. Ale w ich milczeniu nie było już przymusu; szli bliżej siebie i Paweł czuł dotyk jej ramienia; nie usuwała go, a w pewnej chwili, przy przejściu przez jezdnię, wzięła Pawła jakby bezwiednie pod rękę. Wzruszył się wtenczas i czekał z niepokojem na moment, gdy Agnieszka się spostrzeże i pożałuje swej odruchowej serdeczności. Rozłączył ich mały chłopiec, który biegnąc chodnikiem, wpadł pomiędzy nich oboje.

Doszli aż na Stare Miasto. Agnieszka rozpoznawała dawne miejsca, przypominając sobie jakieś dni sprzed wojny, o których Paweł słuchał z bolesną tęsknotą: tęsknił za jej przeszłością, której nie znał.

— Tutaj byłam kiedyś na długim spacerze z ojcem — opowiadała w zamyśleniu — o, tu kupił mi lalkę z prawdziwymi włosami...

Paweł spoglądał w tę stronę ze smętnym podziwem: w miejscu, gdzie niegdyś ojciec kupił jej lalkę, teraz wisiał złom starego muru podobny do urwiska, a przez otwór, jakby u wylotu pieczary, widać było świeże rusztowania i czerwone światło latarni, przytwierdzonej do kozła. Musieli zawrócić, ponieważ dalej było ciemno, gdzie niegdzie tylko błyszczało oświetlone okno; przeczytali napis na tablicy: „Wstęp tylko dla pracowników budowy", a obok, na ocalonym kartuszu: „Anno Domini 1730..." — Tu mieszkała jedna moja koleżanka — szepnęła Agnieszka— ale nikt stąd nie wyszedł. Wracajmy.

Gdy zatrzymali się przed jej domem na Żoliborzu i gdy spytał: —

Czy będzie jeszcze można kiedyś panią zobaczyć? — Agnieszka roześmiała się, wzruszywszy ramionami: nie ma sensu mówić sobie „pani" i „pan". — Na „ty" będzie prościej — orzekła. I wyciągając rękę do Pawła, od razu przypieczętowała nową formę: — Zatelefonuj do mnie do szkoły, w przyszłym tygodniu.

Wrócił do domu, idąc powoli i ostrożnie, jakby się obawiał, że może stłuc w sobie kruche, drogocenne szkiełko — wspomnienie tej przechadzki. Na schodach minął się z Jankiem Zientalą, który nieśmiało przemykał pod ścianą. W mieszkaniu była tylko Bronka. Uczyli się zapewne, bo kiedy Paweł zaszedł do jej pokoiku, siedziała obłożona skryptami. Nie chciał jej przeszkadzać, ale powiedziała, że zaraz skończy. Usiadł na krzesełku i zamyślił się, spoglądając w kilim wiszący nad tapczanem. W pewnym momencie poczuł na sobie pilne spojrzenie Bronki. — Mówiłeś coś? — spytała cicho. Paweł potrząsnął głową: nie, zdawało jej się tylko. — Ależ tak — szepnęła Bronka — mówiłeś coś i uśmiechałeś się do siebie. — Patrzyła nań uważnie i jakby z wyrzutem. Paweł poczuł, że się czerwieni. Gdy Bronka, znów pochylona nad skryptem, zagadnęła go, co porabiał, odpowiedział niby od niechcenia: — Ot, tak, łaziłem po mieście... — I przez sekundę pożałował, że tu przyszedł.

*

Nazajutrz pomarzły kałuże, a w poniedziałek rano prószył drobny śnieżek i na ulicach zaroiło się od ciepłych okryć; stwardniały warstwy błota i rozmokłej gliny na wielkim, nieporządnym boisku MDM; zdawało się, że to już zima. Robotnicy przyszli w watówkach, konduktorki tramwajowe pracowały w rękawiczkach o obciętych palcach, tłum czekający na przystankach przytupywał nogami. Ale we wtorek znowu powrócił listopad i plucha. Paweł przyjechał do redakcji wprost z budowy żerańskiej, przemoknięty, z zaschłą żółtawą skorupą na butach. Od sekretarki dowiedział się, że Łękot chce się z nim widzieć. Zastał go w redaktorskim pokoju za biurkiem. Chodziło o referat w Stowarzyszeniu Dziennikarzy: Łękot miał go wygłosić, ale stanęło mu coś na przeszkodzie, prosił więc Pawła o zastępstwo, temat uzgodniony. — Wasz reportaż o „Zarzewiu" — oznajmił mu dotykając końcem palców wygolonego podbródka — jest rzeczywiście interesujący. Właśnie tego nam trzeba. A jak tam na Żeraniu?

Słuchał, nieustannie mrugając oczami. Lubił wzywać do siebie Pawła, czasem nawet w drobiazgach. Okazywał mu pełne zaufanie i zasięgał jego opinii o niektórych współpracownikach. Mówił wprawdzie niezbyt wiele, lecz patrzył na Pawła uważnie. Pewnego dnia zapytał go, czy

jest żonaty, po czym dodał, że jego żonie bardzo się podobają artykuły Pawła. — Ten o Warszawie wycięła — rzekł z uśmiechem — i nosi w torebce. A nawet pod waszym wpływem trochę się zaktywizowała społecznie w komitecie domowym. — Zamyślił się, a po chwili wyznał Pawłowi, że niewiele ma z życia. Milczał chwilę, poruszając wargami, jakby obliczał, ile ma z życia, podczas gdy Paweł przyglądał mu się ciekawie. — Należymy do ludzi — mówił monotonnie Łękot — którzy się życia prywatnego właściwie wyrzekli. Moje osobiste sprawy są tutaj. Wiecie, co to za orka i jak trzeba walczyć. — Pochylił nieco głowę, ukazując przerzedzone włosy na ciemieniu. Pawłowi wydało się przy tym, że drgnął mu nieco podbródek i ogarnęło go współczucie dla Łękota. „To oddany człowiek" pomyślał.

— A w zamian za to — odezwał się Łękot błądząc wzrokiem po papierach na biurku — spotykam się z objawami braku zaufania ze strony własnych współpracowników. Intrygują przeciw mnie — podniósł wskazujący palec. — Czy myślicie, że to nie boli?

Spojrzał na Pawła i znów poruszył wargami. A po chwili spytał, co Paweł sądzi o Zbrożku.

O Zbrożku Paweł chciał z Łękotem dawno porozmawiać. Po sobotniej przechadzce z Agnieszką było mu wstyd swojej niechęci do Wiktora. Miał prawie pewność, że się mylił w swych zazdrosnych podejrzeniach i z całej duszy pragnął je odkupić jakimś bezinteresownym uczynkiem.

— Słuchajcie, towarzyszu — powiedział kładąc usilny wzrok na twarzy Łękota — co właściwie macie do zarzucenia Zbrożkowi? Według mnie, to wartościowy i stuprocentowo pewny człowiek. Czy nie dzieje mu się krzywda?

Łękot poruszył się na krześle. Spoglądając ponad ramię Pawła wytłumaczył, że kierowanie się osobistymi antypatiami nie leży w jego zwyczaju. Mimo iż Zbrożek nie jeden raz dotkliwie go uraził.

— Jest to człowiek niezdolny do samokrytyki — wyjaśnił — nie tylko, że nie przyjmuje moich uwag, ale traktuje je jako materiał do oskarżeń. I podkopuje mój autorytet w zespole redakcyjnym. Gdyby nie wy, byłbym tutaj całkowicie osamotniony.

Opowiedział Pawłowi, że niedawno, gdy posłał gońca Lipkę do mieszkania Zbrożka z propozycjami przeróbek i skreśleń w jednym z jego reportażów, Zbrożek przyjął go w łóżku i rzuciwszy okiem na proponowane skreślenia zaczął biegać po pokoju w koszuli. Po czym napisał na kartce zdanie dla Łękota obraźliwe i kazał Lipce mu doręczyć.

— Nie pozostało mi nic innego — szepnął — jak poinformować o tym fakcie odpowiednie instancje. — Zamyślił się i dodał po chwili: — To człowiek, z którym trzeba rozmawiać przez łańcuch. Z czasem, kiedy poznacie go lepiej...

— Ale o co właściwie chodzi? — przerwał żywo Paweł — czy to, co on pisze jest szkodliwe?

Łękot nie od razu udzielił odpowiedzi, chcąc ją zapewne sformułować z całkowitą precyzją. Szkodliwe? Nie miał zwyczaju używać aż tak jednoznacznych określeń. Granica między szkodliwym a pożytecznym bywa czasami nieuchwytna. Jedno mógł stwierdzić z niezbitą pewnością: że reportaże Zbrożka stanowią przykład zachwiania pożądanej proporcji między negatywami a pozytywami życia naszego kraju.

— Więcej pisze o brakach niż o osiągnięciach. A w dodatku ma przykrą skłonność do ataków personalnych. Potem telefony się urywają i oczywiście pretensje skierowane są do mnie.

Łękot spuścił oczy i znowu musnął podbródek końcami palców.

— Jeśli macie wątpliwości... — rzekł sięgając do szuflady.

— Ja was rozumiem — odparł Paweł — mnie idzie o co innego. Czy wy go nie odpychacie? Zdaje mi się, że w takich wypadkach rozumowanie powinno iść w jednym kierunku: partia. Czy partia na tym straci, czy zyska. Zbrożek to człowiek z talentem, towarzyszu Łękot.

— Talentu mu nie odmawiam — pochylił głowę Łękot.

Paweł milczał, ważąc w myślach wszelkie możliwości rozwiązania tego konfliktu. Po czym zapytał, czy inni towarzysze wypowiedzieli się na temat reportaży Zbrożka: może należałoby je przedyskutować na zebraniu partyjnym?

— Bardzo słusznie — zgodził się Łękot odwracając oczy — właśnie miałem zamiar wystąpić z takim wnioskiem. — Zastanowił się na moment, a potem zaproponował, żeby Paweł wziął na siebie zreferowanie tej sprawy. I wyciągnął z szuflady spory plik pokreślonych maszynopisów. — Przejrzyjcie to w domu. Moje uwagi są na marginesach, zielonym ołówkiem.

Szybko przeszedł do innych spraw. Paweł był, jego zdaniem, publicystą o gorącym, prawdziwie bojowym piórze. Czy by nie spróbował, przynajmniej od czasu do czasu, poruszyć jakiegoś zagadnienia z kręgu polityki międzynarodowej? — Według mnie — zauważył — możecie dużo z siebie dać w tej dziedzinie. Upoważniono mnie — zniżył głos — by z wami o tym porozmawiać, towarzyszu Czyż. Na przykład wydarzenia w Grecji...

Podsunął Pawłowi biuletyn PAP-u i oznaczył palcem ustęp. Paweł błyszczącymi oczami śledził jego powolne, oględne ruchy. Zgarnął ręką włosy opadłe na brwi i pochylił się nad biuletynem: wiadomość dotyczyła skazania na śmierć przez sąd ateński 12 patriotów greckich, z Belojannisem na czele.

*

Następne dni wciągnęły go w młyn warszawskiego życia. Jeździł na Żerań, przepychał się przez zatłoczone tramwaje, wisiał na schodkach uczepiony jedną ręką czyjegoś ramienia, brał udział w robotniczych naradach wytwórczych, wysiadywał w biurach planowania i pracowniach projektów, mókł na przystankach, przemawiał na lotnych masówkach w drukarni, dyskutował z kolegami w stołówce, dzwonił do Agnieszki i dowiadywał się, że jest zajęta albo nie można jej znaleźć... Wieczorem brał się do pisania, wertował notatki i zwykle świt zastawał go nad papierem.

W redakcji stał się niezastąpiony. Łękot odsyłał do niego interesantów i przekazywał mu większość bieżących spraw. W pokoju Pawła drzwi otwierały się i zamykały równie często jak w gabinecie zastępcy redaktora. Łękot przydzielił mu swoją dawną sekretarkę, tę samą, która przyjęła Pawła, gdy po raz pierwszy zjawił się w redakcji Głosu. Kiedy wchodził do stołówki, lub przebiegał korytarzem, zatrzymywano go: „Towarzyszu Czyż, pozwólcie...“ Babicz mówił do niego „Pawełku“ i serdecznie oblewał mu twarz kwaśnym oddechem. W niektórych oczach Paweł odczytywał niechęć, w innych podziw, w jeszcze innych— ukrytą obawę. Uczył się rozróżniać spojrzenia. Paru ludzi w redakcji cierpiało na skutek jego powodzeń. Ci zbliżali się doń najczęściej, jakby przyciągani do źródła swej cichej udręki.

Nad jego biurkiem wisiał portret Prezydenta. Była to pierwsza twarz, którą spotykał, gdy wchodził do pokoju. Starał się uczyć z jej spojrzenia skupionej, mądrej siły i skromności. W owym czasie często zwilżał włosy i nie pojawiał się bez krawata. Gdy pewnego dnia spotkał wreszcie Agnieszkę, otworzyła szeroko oczy: — Coś się w tobie zmieniło, Paweł. Ale co? — I obrzuciła go zaciekawionym wzrokiem. Wytłumaczył spokojnie, że to zapewne przeciążenie pracą i odpowiedzialnością. Stał w progu jej pokoju, wydawał się tego dnia wyższy i ciemniejszy niż zwykle; uśmiechał się do Agnieszki, w jego oczach można było dostrzec błysk czujnej przenikliwości, a zarazem ledwie uchwytnego znużenia. Brwi miał teraz prawie zawsze przymarszczone, jakby nie chciał się rozstać z wyrazem stanowczej uwagi.

Nad reportażami Zbrożka spędził dwa wieczory. Przyznał w duchu Łękotowi część racji: niektóre fragmenty cechowała gniewna napastliwość i pasja graniczące z rozmiłowaniem w ludzkich przywarach i kalectwach. Zbrożek wysuwał na pierwszy plan typy szkodliwe lub ułomne, stawiał je w pełnym, jaskrawym świetle swego szyderstwa, wskazywał po imieniu. Tkwiła w tym wprawdzie troska o sprawy najlepsze, ale głęboko ukryta w warstwach odrazy do zła, trudno dostrzegalna. Te fragmenty należało, zdaniem Pawła, skreślić. Lecz zastrzeżenia Łękota szły dalej i niektórych jego wykrzykników, znaków zapytania lub zielonych falistych linii obejmujących nieraz całe stronice — Paweł nie mógł zrozumieć. Gdy wyraził mu swoje wątpliwości, Łękot odparł półgłosem, że ocenia materiały w myśl bieżących zaleceń „właściwych instancji", które na obecnym etapie kładą największy nacisk na pełną mobilizację psychiczną społeczeństwa. — Prześledźcie to uważniej — radził ukręcając w palcach kuleczkę z bibuły — w m y ś l c i e się w to, a przyznacie mi rację. Zbrożek r o z b r a j a przynajmniej w co drugim zdaniu.

Wysłuchawszy argumentów Pawła, zgodził się w końcu na drobne ustępstwa i przymknąwszy przez chwilę oczy rzekł, iż dobrej woli nigdy nikomu nie skąpił, lecz wątpi, czy Paweł znajdzie ją u Zbrożka. — Spróbujcie go przekonać, proszę — uśmiechnął się wyrozumiale, kładąc dłoń na słuchawce telefonu, który zaterkotał w tym momencie.

Paweł odnalazł Zbrożka w sekretariacie, nad makietą świątecznego numeru. Siedział za dużym stołem zaśmieconym skrawkami i wycinkami, na widok Pawła skinął głową: — Zaraz będę wolny.

Ale po pierwszych słowach Paweł poczuł na sobie jego surowy, nieufny wzrok. Odniósł wrażenie, że Zbrożek nie słucha tego, co on mówi, lecz zastanawia się, po co to mówi. Zmieszał się, zbity z tropu.

— Wiktor — powiedział najserdeczniej jak mógł — powinieneś się zgodzić na te propozycje...

Zbrożek odsunął rozłożone maszynopisy.

— Rozmawiałeś z Łękotem? — mruknął nie patrząc na Pawła.

I nie chciał dalej słuchać. Potrząsał głową ze swym upartym grymasem, jakby nazwisko Łękota wystarczało mu w zupełności.

Paweł stracił cierpliwość.

— Słuchaj — rzekł twardo — uważam ciebie za dobrego towarzysza. A widzę, żeś ulęgałka. Łękot jest odpowiedzialny za pismo, utrudniasz mu robotę.

Przysiadł na skraju stołu, śledząc spod oka jego ruchy.

— Nie — odezwał się Zbrożek przystając przy oknie — ja z Łękotem nie mogę już się porozumieć. Tu nie chodzi o poprawki czy skreślenia. Ten facet wzbudza we mnie wstręt. Czuję mdłości na dźwięk jego głosu. Nie, lepiej dajmy temu spokój. Przekroczył jakąś granicę, poza którą nie jestem zdolny nawet do sprzeciwu. Sam wstręt, rozumiesz?

— Osobiste antypatie... — wzruszył ramionami Paweł.

— Doszedłbyś do tego samego. Znasz ten jego krótki biały palec, którym wskazuje „niejasne sformułowania"? Rzygać mi się chce na samą myśl. Tkał mi go w każdy akapit. Czułem się jak szczenię, któremu pokazują: o, tu zrobiłeś kupkę... a tu nasiusiałeś.

Zbrożek zaczął się śmiać, jakoś niemile i cicho, po czym powtórzył — Nie. Mam tego dosyć.

— A czyś ty się choć raz zastanowił, może on ma trochę racji? — spytał Paweł.

— Kiedyś może się i zastanawiałem — odparł Zbrożek — ale od jakiegoś czasu nie mogę. Widzę tylko ten palec i przełykam ślinę. Dał mi radę. Owszem, on czasem ma rację. W tym, co mówi. Ale nie ma racji w tym, kim jest. Dla niego rewolucja i socjalizm, to letni strumień zwolna puszczonej wody. Gładka, równiutka tafla, w której się lubi przeglądać. Najmniejszy wir go przeraża, bo widzi wtenczas swoją zamąconą twarz. Najchętniej zamieniłby pismo w stojącą sadzawkę. W każdym artykule by oglądał odbicie swego pyska. Solenny, pedantyczny tchórz... W rewolucji chce zobaczyć potwierdzenie swej małości. A ja powiadam: nie! Ja nie będę ci służył za lustro! Wtykaj biały paluch, wtykaj: u mnie zobaczysz swój wykrzywiony pysk oportunisty, lukrowatą gębę zamazywacza konfliktów, małpi grymas biurokraty!... Siebie! Prawdziwego Łękota!...

Zająknął się, jak zwykle w chwilach podniecenia, i umilkł machnąwszy ręką. Paweł patrzył na niego walcząc między niechęcią a odcieniem podziwu.

— No, jak uważasz... — mruknął. Uczynił niezdecydowany gest, nie wiedząc, czy zabrać maszynopisy, czy zostawić je na stole.

Zbrożek uśmiechnął się i podszedł do niego bliżej.

— Paweł — powiedział — jestem tu trochę dłużej od ciebie. Mnie Łękot dał radę i chyba już niewiele zrobię. Ale ciebie byłoby szkoda. — Spojrzał nań z poprzednią surowością i dorzucił półgłosem: — Uważaj, Paweł... Ja — znam „Zarzewie"... Byłem tam w swoim czasie. Inaczej to wygląda, niżeś ty napisał... Twój ostatni reportaż ma już lu-

strzany połysk. Ja to znam. Łękot ci go poprawiał. Nie pisz dla niego, Paweł.

Paweł żachnął się z niechęcią.

— Piszę dla czytelników — uciął krótko.

— W ostatnim twoim reportażu — mówił Zbrożek ze smutnym, zamyślonym uśmiechem — widać twarz Łękota.

5

W piwniczce pod schodami, gdzie co wieczór zbierała się grupka dziennikarzy z Głosu Popularnego, rozmawiano nie tylko o osiągnięciach huty Bobrek. Przedmiotem dyskusji prowadzonych przy stoliku Walerego Babicza były również sprawy międzynarodowe. Lecz i do nich się nie ograniczano, mając na uwadze wezbrany potok drobnych faktów życia osobistego członków redakcji.

Garstka skupiona wokół Babicza (który sam o sobie mawiał, że przepił swą inteligencję) byli to przedwojenni profesjonaliści redakcyjni, pamiętający wielkie czasy dancingu „Oaza" na Placu Teatralnym i sensacji Ikaca. Dyskutowano więc o nieporozumieniach małżeńskich, o cudzych zarobkach i cechach charakteru, rozszyfrowywano ukryte ambicje i motywy postępowania. Powikłane losy ludzkie były stałym daniem przy stoliku Babicza, wraz z zimnym schabem w sosie tatarskim, grzybkami w occie i ćwiartkami „Starowinu". Przeważnie mówił Babicz, a inni słuchali. Babicz należał do ludzi, którzy lubili smakować życie. W jego dużych, tłustych wargach nabierał szczególnej wagi zarówno kęs soczystej cielęciny, jak i nieznaczny na pozór fakt z ostatniego posiedzenia kolegium Głosu. Uważał się za naturę filozoficzną, co podkreślał niedbałym ubiorem. Mówił dużo, ale w najciekawszych momentach czynił pauzę: wtedy jego bufiaste policzki poruszały się uroczyście i treściwie — spożywał. Nieśmiały, czarny Lefel z działu miejskiego zamieniał wówczas spojrzenie z redaktor Pachucką: czekali, aż Babicz popije piwem i podejmie tok swych rozważań.

Ostatnio — ulubionym przedmiotem monologów Babicza był temat Zbrożek — Czyż. Wzrost aktywności Pawła w redakcji nie uszedłby oczom ślepca, a cóż dopiero tak wytrawnym widzom jak tutejsi bywalcy. Komentowali to na swój niezależny sposób. Babicz niewiele rzeczy szanował: jedną z nich była gorzka i odarta ze złudzeń wiedza o życiu. Zazwyczaj przedstawiał świat, jako zbiorowe podstawianie nogi, coś w rodzaju angielskiej gry w rugby. Że Paweł Czyż podstawił nogę Zbrożkowi — to nie ulegało wątpliwości. Ciekawe było na-

tomiast, co z tego wyniknie i czy Zbrożek do końca okaże się frajerem. Na ogół uważano, że Paweł rozgrywa mecz w sposób prawidłowy, aczkolwiek nieco zbyt ostro.

— Oczywiście, to jest chłopak wybitny — mówił Babicz, zwolna podnosząc do ust widelec z płatem zimnej polędwicy — ale może skręcić kark przez nadmiar ambicji. Inna sprawa ze Zbrożkiem.

Przełknął i skinął na kelnera, wskazując znużonym wzrokiem pustą butelkę.

— Zbrożek — rzekł po chwili — to również arcyciekawa jednostka. Tego może wykończyć nadmiar uczciwości. Obydwaj — jak zresztą my wszyscy, mają swoje słabe strony. Różnica polega tylko na tym, że oni się wychylają, a my nie.

Nikt z obecnych nie zażądał wyjaśnień, albowiem wszyscy wiedzieli, że „wychylać się" w ustach Babicza znaczy: działać, kształtować rzeczywistość, mobilizować czy organizować — krótko mówiąc, szereg rzeczy niepotrzebnych i ryzykownych, którymi zajmowali się maniacy albo frajerzy.

— A trzecia sprawa — uniósł znacząco brwi Babicz — to Łękot. Łękot spełni tu rolę bili roztrącającej.

Przy stoliku zapanowało poruszenie. — Co on mówi? — szepnęła Pachucka do Lefla — kogo bili? — Nikt nie zauważył, że kelner zmienił butelkę. Redaktor Kalina z działu sportowego zmarszczył czoło w intelektualnym wysiłku i powiedział: — Ciekawe...

— Powiedziałem: bili roztrącającej — powtórzył spokojnie Babicz i lekko mlasnął wargami. — Zastanówmy się, kto to jest Łękot? Jest to facet, który się boi odpowiedzialności. Dlaczego? To jasne: ponieważ nie ma ideologicznego kręgosłupa. No cóż, to się zdarza: jeden ma słaby kręgosłup, drugi chore nerki. Kto ma słaby grzbiet, ten się boi worka, który nosi na plecach. A Łękot chce robić karierę i wziął na plecy redakcję Głosu. Bagatela, sami rozumiecie: trochę za dużo na tego muła. Jeden fałszywy krok — i leży. Koniec kariery! Łękot tego się boi najbardziej. Zdaje sobie sprawę, że jedno może go uratować: gładka droga. Dlatego, moi kochani, każdy artykuł, który przechodzi przez jego ręce, musi być jak powierzchnia bilardu. Bóg zapłać... — rzucił kelnerowi, który mu napełnił kieliszek.

— Człowiek — zamyślił się Babicz — jest to istota, która się czegoś boi. Jeden boi się samotności, drugi końca świata; trzeci, powiedzmy, klęski ideologicznej. Tacy też się zdarzają. Każdego można zmierzyć tym, czego się boi. Na przykład Tadzio Kalina boi się nawalić w raidzie motocyklowym. A Łękot? Łękot po prostu boi się o siebie. Ma skalę

swego strachu: niewielką skalę Łękota, pozbawionego biurka i trzech telefonów.

Zapadło milczenie, gdyż każdy przez chwilę się zastanawiał, czego najbardziej się boi. — Ciekawe... — mruknął Kalina. Ziewnął, a potem nie wiedzieć czemu zmarkotniał.

— Ja? — zaśmiał się Babicz jakby w odpowiedzi na pytające spojrzenie Lefla — ja wam już powiedziałem: nie lubię się wychylać. Póki przeciętna psychika nie zostanie przeorana, jak się to mówi, pługiem socjalizmu, czekam. Póki co, lubię wypić kieliszek, przekąsić, pogadać... Gdyby mi to odebrano, no to *adieu,* moi kochani. Jest to jedyna rzecz, jakiej się boję. Mówiłem wam już nieraz — powtórzył poważnie — ja jestem mały człowiek. W skali grzybka — dodał z surowym naciskiem, przebijając wykałaczką marynowany grzybek w occie.

— Ale są z tą bilą? — spytała redaktor Pachucka, o której mówiono, że podkochuje się w Babiczu, przez co Lefel po cicho cierpiał.

Babicz nie od razu odpowiedział. Żuł grzybek, przymknąwszy powieki. Po czym strzepnął popiół na spodnie i rzekł:

— Ja jestem stary bilardzista, moi kochani. Przed wojną grywałem codziennie u „Lourse'a". Dawne czasy, byłoby co wspominać, wiwat... — mruknął posępnie wychylając kieliszek. — Otóż w bilardzie, jak wam wiadomo, jest taki sztos, gdy jedną bilą roztrącasz na boki dwie inne. I to się w tym wypadku może zdarzyć.

Nikt nic nie zrozumiał i wszyscy zaczęli wypytywać Babicza, co miał właściwie na myśli.

Ale Babicz jakoś sposępniał. Wytłumaczył mamrocząc pod nosem, że środkowa bila to Łękot, a dwie pozostałe — to Zbrożek i Cyż. Po czym zapadł w drzemkę nad stolikiem, z ogarkiem w przyżółconych palcach.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

1

Od pewnego czasu Michała Kuźnara prześladował przykry, dręczący sen. Powtarzał się niemal co noc, i co noc Kuźnar, zlany zimnym potem, zrywał się z pościeli. Sen był krótki, rozpoczynał się w samochodzie: jechali z Kurnatką na budowę przez puste, wyludnione ulice; gdy mijali wiadukt, jakiś mały człowieczek o twarzy trudnej do zapamiętania, stojący na chodniku, wskazywał Kuźnara palcem — jakby mu groził.

Potem Kurnatko wjeżdżał przez szeroko otwartą bramę i Kuźnar czuł się nieswojo, gdyż przed barakiem Zarządu „A" stał ten sam mały człowieczek. Znowu wskazywał coś palcem. Naokoło było pusto, Kurnatko — licho wie jak — nagle znikał, Kuźnar biegł przed siebie, potykając się o żelastwo, aż wreszcie stawał jak wryty: rozciągała się przed nim pustynia gruzu, olbrzymie klepisko — wzgórza rumowisk i kopce zwalonych ścian zamiast gotowych lub rozpoczętych bloków, a wokół czarna, wygorzała ziemia. Kuźnar chciał krzyczeć, ale głos wiązł mu w gardle. Stał bezwładny, przejęty zgrozą, i po chwili dostrzegał inżyniera Szelinga, który obojętnie spacerował wśród rumowisk, grzebiąc w nich pogrzebaczem czy laseczką. Jednocześnie ukazywali się inni: Bojarski, Hnacki, Czelis, Iłżek, zetempowiec Wielborek, przodownik Zwierzyński, murarze, cieśle, zbrojarze, mechanicy... Nikt nie zwracał uwagi na Kuźnara. Od strony pustych łąk wyłaniali się nagle towarzysze Rusin i Tobisz, prowadzeni przez owego małego człowieczka, który wskazywał Kuźnara palcem i mówił smutno: — Zawalił robotę...

— Nie! — wołał wówczas Kuźnar smagnięty nieludzkim bólem. Chciał ku nim biec, lecz nie mógł oderwać nóg od ziemi. Słyszał własny krzyk — i budził się. Za oknem szarzało, po Elektoralnej dudniły wozy.

Mimo że mocno się już sprzągł z budową — szmat czasu upłynął od dnia, gdy po raz pierwszy tu przyjechał — nie opuszczał go strach przed zawaleniem roboty. Na tę myśl dreszcz łaskotał go w krzyżach. Nienawidził i bał się tego gorzej śmierci. Że „Nowa Praga III" istniała nadal, że nowe bloki rosły, a ludzie się nie rozpierzchli — uważał w głębi duszy za niezasłużony cud. On się przecie tutaj tylko miotał, zdzierając gardło przez telefony, przekonując, błagając i grożąc! Kimże był w gruncie rzeczy? Wsiowym wypędkiem, murarzem, z rękami zgrubiałymi od trzonka kielni, a jeszcze wcale nie tak dawno piasek woził w taczce jak Iłżek. Nie z wygodnictwa opierał się wówczas, gdy Rusin wabił go w sidła! Przeczuwał ów toporny, zapotniały trud: nie zawalić roboty — nie zawieść zaufania — nie narobić szkody...

Czuł się proletariuszem z krwi i kości i wiedział, że klasa robotnicza objęła rządy w kraju. Ale co innego czytać o tym w gazetach, a rzecz całkiem inna spełniać to własnymi rękami. Kuźnar stękał nieraz w duszy na myśl o swej ułomnej wiedzy, o brakach w swoim wykształceniu, które widział podobne do czarnych błotnistych dołów. Ciągle się w nie obsuwał, jak ślepy koń. Rozwój nowoczesnego budownictwa wydawał się Kuźnarowi przemyślnym systemem zasadzek, przeznaczonych na

jego osobistą zgubę i chłopski wstyd. Nie znał nazw nowych prefabrykatów, nie rozumiał skomplikowanych wzorów technologicznych, słowo „modernizacja" odczuwał jako wyrzut sumienia. Ostatecznie, gdyby przyszło co do czego, mógłby pokierować budową bloku, no, powiedzmy — odcinka. Temu dałby radę. Na tyle orientował się w rysunkach roboczych i rzutach technicznych, by prosto postawić ścianę. Ale budowa „Nowej Pragi III", to był sąd ostateczny, na którym sto trąb czy megafonów huczało: plan!

Kuźnar wkuwał po nocach jak sztubak, ślęcząc nad obliczeniami statycznymi lub ucząc się na pamięć zastosowania płyt spilśniowanych, czy zasad nowoczesnej organizacji pracy. W ironicznych soczewkach inżyniera Szelinga dostrzegał ów drażniący błysk wyrozumiałości, który go napełniał grobowym podziwem dla tego inteligenckiego diabełka, dyplomanta zagranicznych politechnik, indywidualisty od trzech pokoleń. „Pęknij, czorcie..." życzył mu nieraz, gdy Szeling ze swym szyderczym uśmieszkiem wydrwiwał brak kompetencji niektórych ludzi z awansu, zerkając złośliwie na Kuźnara. „Poczekaj, aż Antek podrośnie" krzepił się w duchu ojcowską dumą, którą miał zawsze w pogotowiu. „Mnie łatwo zjeść w kaszy, nauki nie lizałem..." I wyobrażał sobie Antka pochylonego nad rajzbretem, gdy będzie cierpliwie objaśniał temu mądrali w okularach swój projekt socjalistycznego osiedla, przy którym zgasną wszystkie inne, jak gwiazdy przy słońcu.

Dla Szelinga żywił sprzeczne uczucia. Czasami Kuźnar tracił język w gębie z zadziwienia nad niemożebną naturą tego człowieczka. Rezonerstwo Szelinga na przemian go oburzało, śmieszyło i wprawiało w osłupienie. Jednego dnia go lubił, nazajutrz odwracał na jego widok oczy z tłumioną pasją.

— Wodzu — mówił Szeling, wtykając palce za wykrój kamizelki — czy wiecie, co to jest Polska Ludowa? To skrzyżowanie technologii z polityką.

Kuźnar milczał, łypiąc nań okiem zza biurka.

— Tak jest — zapewniał Szeling — daję wam słowo, wszyscy od tego zwariujemy. Cźy żeby postawić filarek, koniecznie trzeba wiedzieć, co to jest dialektyka materialistyczna? Tobisz ma fiksa z tym swoim szkoleniem, a wy także w końcu dostaniecie zajączków.

„Wróg?..." myślał Kuźnar, wpatrując się z ukosa w niewielką, ruchliwą figurkę inżyniera. Wstępowała weń głucha obawa, że Szeling pozaraża mu ludzi. „Udusić go czy jak?" wściekał się na widok aroganckich połysków jego szkieł. Ale w chwilę później, śledził go spod brwi z niezmierną ciekawością.

Gdyby Szeling został uduszony, przestałby dręczyć Kuźnara swoją bezczelną filozofią, budowa jednak by na tym ucierpiała: inżynier Szeling był jednym z trybów rozrządu w mechanizmie „Nowej Pragi III".

Zdarzało się nieraz, że pracowali z Kuźnarem we dwóch, zamknięci w pokoju dyrekcji, stykając się głowami pochylonymi nad stosem wykazów, sprawozdań, zestawień i obliczeń. Zupa, którą im przyniesiono w czasie przerwy obiadowej, stygła na skraju biurka. Kuźnar z ciężką, oporną pilnością śledził szybkie poruszenia oksydowanego ołówka, którym Szeling wskazywał mu najcharakterystyczniejsze momenty w analizowanych materiałach. Pomrukiwał przytakująco, chrząkał, gdy czegoś nie rozumiał, słuchał nieufnie, wydmuchując z nosa podwójne kłęby dymu, a czasem dostrzegał jakiś ważny szczegół, który uszedł oczom inżyniera. W tych razach porozumiewali się łacno, gdyż Szeling jakby zapominał o swej dokuczliwości: mówił rzeczowo, z obojętnym spokojem zawodowca, używał zwyczajnego języka i mądrze radził. Skoro spotykał niepewny wzrok Kuźnara, nie kpił, nie szydził — lecz udzielał fachowych wyjaśnień. Kuźnar obserwował go wówczas z życzliwym respektem: czuł przy sobie człowieka.

Ale wystarczyło, by złożyli papiery do teczek i zasiedli naprzeciw siebie, nad dwoma talerzami stężałej, mącznej grochówki — a Szeling znowu przemieniał się w diabełka. Ciągnął Kuźnara za język, błyskał szkłami wypytując go, co sądzi o walce klas, i czy sekretarz organizacji partyjnej Tobisz odróżnia mężczyznę od kobiety. O „Nowej Pradze III" mówił: wasza budowa. „Udław się..." myślał Kuźnar i milcząc jak kamień, zerkał spode łba na łyżkę Szelinga. Czasem jednak próbował mu się przeciwstawiać, wytaczał argumenty i mówił doń „obywatelu inżynierze" ku wielkiej uciesze małego okularnika, który odrzucał łyżkę i zaczynał się kręcić po pokoju, furkocząc jak bąk. Wysypywał przy tym z siebie tak wszeteczne uwagi, że Kuźnar albo milkł oniemiały z oburzenia, albo wrzeszczał trzęsąc się ze złości. Szeling mu nie przerywał, przeciwnie, wydawał się całkowicie zadowolony, jakby mu tylko o to szło, i przekrzywiając głowę z satysfakcją, sycił się gniewem Kuźnara.

Po takich rozmowach Kuźnar długo nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok, i jakby na urągowisko dopiero wtedy przychodziły mu do głowy celne, druzgocące argumenty. Palił w ciemności papierosa za papierosem i przypierał Szelinga do ściany. Kiedy miał go już w garści jak szczygła, gdy inżynier całkowicie pokonany cofał wszystkie swe sztuczki, pokornie prosząc o wybaczenie, Kuźnar spostrzegał się

w złudności odniesionego zwycięstwa: przecie nazajutrz bestia znów go zatka swoim mędrkowaniem! „Czujność ze mnie wypełzła" — dręczył się po ciemku.

Ażeby rozwiać wokół siebie inteligenckie opary, Kuźnar spędzał w owych dniach większość czasu wśród robotników, osobiście wizytując odcinki i poszczególne bloki. Znów więc, jak przed laty, pojawiał się wśród murarzy w swym kapeluszu zsuniętym na kark, schodził na dno wykopów, gwarzył wesoło, pokazując własnoręcznie, jak jednym ruchem wyładowuje się taczkę, częstował papierosami, rozpytywał o stosunki rodzinne, chwalił, przyganiał i radził. W takich okresach częściej odbywały się narady produkcyjne, podczas których w długim baraku-świetlicy rozstrząsano zatargi z majstrami, zażalenia młodzieżowców, wypadki pijaństwa i bumelanctwa. Kuźnar podsumowywał dyskusję, a potem schodził z trybuny, prosto w gromadę robociarską, która go ciasno otaczała, by słuchać jego rubasznych, hałaśliwych żartów. Czuł się tu w swoim sosie: obmacywał barki Czelisa, pytając go wśród ogólnego śmiechu, czy to prawda, że przeskrobał coś w swojej wsi, zanim się zgłosił na budowę? (Czelis z uporem potrząsał głową, że nie, ale oczy miał okrągłe ze strachu); potem wyławiał z tłumu bystre źrenice Iłżka, patrzące nań zza czyichś pleców, i wołał, że odda go do szkoły budowlanej, bo chłopak ma „ciąg do klocków", tęgi wyrośnie z niego inżynier! Uspokajał Ozimka, murarza starej daty, który narzekał, że młodzieżowcy rozpychają się łokciami: — Chłopie miłosierny, w Polsce Ludowej dla wszystkich starczy roboty! — Wysłuchiwał skarg podręcznego: już 2 miesiące uczy się fachu, sam mógłby rzucać cegły w mur, a tu kierownik każe mu wziąć się za łopatę! — Pogadam z nim, synu — obiecywał Kuźnar i nadstawiał już uszu w inną stronę: ktoś się żalił na kierownictwo odcinka za częste przestoje. — Nie przygotowują frontu pracy, towarzyszu dyrektorze! Jak ma ruszyć robota, kiedy transport nawala, budulec nie dowieziony, a rysunki — w lesie!

Po skończonej naradzie Kuźnar czuł się nieco spokojniejszy i w czasie powrotnej jazdy zagadywał Kurnatkę, czy ma zdrowe piersi, na co rumiany szofer odpowiadał cierpliwie: — Jak miechy, towarzyszu dyrektorze. Pobieda torowała sobie drogę wśród tłumów cisnących się do tramwajów, ulice były pełne chmurnej, wilgotnej szarości, przez szybę wozu Kuźnar widział zmęczone twarze, ręce czepiające się krawędzi wagonów, zabłocone trzewiki na stopniach... Tracił wtedy humor i wciskał głowę w ramiona, jakby nie rad, że siedzi oddzielony szkłem, w wygodnej szybko mknącej klatce. — Uważajcie — mruczał,

gdy Kurnatko nie zwalniał na przystanku — oni mają pierwszeństwo. W tych momentach pogwarki z murarzami zdawały mu się wymuszone i klął w duchu na owe lata, które spędził za biurkiem w wydziale transportu. Czy mały Iłżek, Zwierzyński albo Pobieży, lub taki na przykład Miś — uważali go za swojego? Był proletariuszem z urodzenia, ale by słuchać głosu mas, nie wystarcza mieć grube kości wypełnione żylastym szpikiem. Ilu z takich, co wyrastali na ziemniakach bez okrasy, chudziny karmione za młodu rzadkim żurem — ilu potem dało się zepchnąć w rów, ilu się oderwało od proletariatu? Ilu po prostu zdradziło?

„A ja? — urągał mściwie Kuźnar — co ja o nich wiem? Ja przecież urzęduję i jeżdżę Pobiedą. A raz na tydzień urządzam taką klasową udawankę w świetlicy..." I zalewała go złość na siebie, za owe braterskie gawędy z robociarzami, które mu służyły, by zagłuszyć niepokój sumienia. Pocił się ze wstydu na myśl o swoich „murarskich" żartach i poklepywaniach: zgrywał się przed nimi jak inteligencik udający swojaka! I kto? On, Michał Kuźnar, ulepiony z ugornej gliny dwumorgowców, twardy, niegiętki pęd, wyrosły z nędzy chłopskiej, a okrzepły w robotniczym znoju... „Oderwałem się" — myślał z ponurym zdumieniem — „a wrosnąć z powrotem — trudno".

*

Plan roczny został wykonany w końcu listopada: 731 nowych izb. Jak tego dopięto, Kuźnar niezbyt jasno pojmował — ale fakt był faktem. W świetlicy odbyła się masówka, odczytano nazwiska przodowników, po czym wygłosił przemówienie delegat Centralnego Zarządu Budownictwa Miejskiego. Gdy na trybunie pojawił się Kuźnar, powitano go burzą oklasków. Stał mrugając nieco oczami od światła, po czym machnął ręką i powiedział: — Sobie klaskajcie... — Mówił krótko, głosem trochę ochrypłym od wzruszenia. Wspominając o osiągnięciach wskazywał ruchem głowy za okno, gdzie widniały świeżo wykończone bloki i gmach bursy; dziękował aktywistom, wymieniał przodujące brygady. Pod koniec urwał na chwilę, by przejść do niedociągnięć i braków. Czując w kącie powieki oschły profil sekretarza organizacji partyjnej, Tobisza, siedzącego w prezydium, wytknął sobie szereg popełnionych błędów. — Główne zadanie, towarzysze — zakończył — wciąż leży przed nami. — I przestrzegł przed samozadowoleniem.

Zeszedł z trybuny rozgrzany i ściskał czyjeś ręce. Wyświetlono potem film krótkometrażowy, ale Kuźnar patrząc w ekran nie mógł się wyr-

wać z zadziwienia nad niezwyczajnym zbiegiem okoliczności, który doprowadził do wykonania planu. Ciągle od nowa się rozsądzał, odważał swoje i cudze wysiłki — lecz orzec, czyja w tym była najpierwsza zasługa, ani rusz nie umiał. Zdrzemnął się w końcu, a po skończeniu filmu odjechał z Kurnatką i kupił po drodze do domu butelkę bułgarskiego wina.

Główne zadanie leżało na „polach Rusina". Tak Kuźnar nazywał w myśli płaską, brunatno-szarą o tej porze równinę, ciągnącą się bez kresu w stronę Wawra i linii kolejowej, skąd wkrótce miała wybiec ku „Nowej Pradze III" dawno oczekiwana bocznica.

Od paru tygodni na temat „pól Rusina" odbywały się konferencje w Zjednoczeniu i Centralnym Zarządzie. Początek robót wyznaczono na dni przedwiośnia, ale już teraz zarysowały się potężne zagadnienia organizacyjne, materiałowe i ludzkie. Kuźnar w czasie owych narad wytężał całą swoją przemyślność, by uklepać wyjściowy grunt: żądał gwarancji i zobowiązań, rozszerzenia bazy technicznej, zwiększenia zespołów, zasilenia kadr specjalistami... Targi bywały zajadłe. Głuchł jak drewno na nieodparte, zdawałoby się, argumenty; wylewano nań zimny strumień najoczywistszych racji, bito w głowę obuchami konieczności: inne budowy warszawskie nie mogą przecież stanąć, szybkościowce zabierają większość bazy sprzętu, Fabryka Narzędzi Mechanicznych „Zarzewie" wyprodukowała o połowę mniej transporterów niż przewidywał plan, ludzi wciąż brak, trzeba nieraz rozrywać stare zespoły, by zapełnić lukę na MDM czy Młynowie, „a wybyście chcieli zagarnąć dla siebie całe ćwierć miliona polskich budowlanych, wszystkie koparki i stalińce, no i najlepszych specjalistów, może samego Krajewskiego, co? „Kuźnar słuchał z kamienną twarzą. Gdy zalegała cisza, otrząsał się tylko ciężkim ruchem barków, powtarzając swoje: bez ludzi i sprzętu budowy nie rozpoczniesz. Przymknął przy tym oczy, jakby nie chcąc nic innego widzieć, prócz owej rozległej płaszczyzny o przymglonym widnokręgu, który za parę miesięcy najeży się wieżami wind, lasem rusztowań, szyjami żurawi... Coraz częściej, zwłaszcza w pogodniejsze dni, zachodził w tamtą stronę, i przystanąwszy z rękami założonymi na grzbiecie, długo błądził wzrokiem po pustym obszarze. Rusin zaraził go swoją wyobraźnią. „Kuźnar znów patrzy na kozy" szła wtedy wieść po budowie.

W końcu listopada dyrekcję zaproszono do „Miasta — Projektu Stolicy". W niewielkiej sali widniały rozpięte plansze z rysunkami, na długim niskim stole — białe makiety. Młody architekt wskazywał pałeczką

rysunki, spokojnie zaznajamiając obecnych z kształtem przyszłej dzielnicy. Kuźnar siedział po środku, między inżynierem Hnackim a Szelingiem, z głową wysuniętą naprzód, mrużąc oczy jakby od wielkiego blasku. „Pola Rusina" architekt nazywał „Nową Pragą IV". Wodząc pałeczką po planszach, zwracał się do Kuźnara i tłumaczył zwięzłymi zdaniami społeczny sens tej części osiedla. Bloki miały się tam ciągnąć w podwójnym pasie zieleni, wśród ogrodów i parków, aż do centralnego ronda, z którego wyrośnie wieżowiec — Dom Młodzieży, dziesięć pięter betonu, piaskowca i szkła; z ronda wybiegną drogi połączeń z koncentrycznym pierścieniem, złożonym z ogniw kultury fizycznej: stadion sportowy, pływalnie, hale, korty tenisowe... Z trzeciego, zewnętrznego wieńca „Nowej Pragi IV" rozwinie się drugi szpaler dzielnicy mieszkalnej, rzędy domków jednorodzinnych, biegnących równolegle do autostrady — osi wylotowej osiedla.

Kuźnar wszystko rozumiał. Śledził pałeczkę architekta, wskazującą dwukondygnacjowe prześwity między budynkami, przenosił z wytężeniem wzrok ku elewacjom odbitym na światłoczułym papierze, słuchał szczegółowych wyjaśnień na temat usprawnień funkcjonalnych i nowych doświadczeń pracowni pomocniczej terenów zielonych. Potem oprowadzono go po kilku pokojach, gdzie wśród gęsto ustawionych rysownic przeciskał się za architektem między rajzbretami, stosami kalki i papieru, szkiców perspektywicznych i projektów, uważając, żeby czegoś nie szturchnąć mimo woli i na podłogę nie strącić. Stąpał cicho, ostrożnie i pilnie notował w pamięci zasłyszane słowa. Pracownia wydała mu się jakby kliniką, w której przychodziło na świat jego dziecko; spoglądał na młodego architekta z nieśmiałym szacunkiem, z jego przecie rąk otrzyma wkrótce swoją przyszłą dumę i trud, które już ukochał upartym, trwożnym uczuciem. Długo stali z inżynierem Hnackim przed małym modelem Domu Młodzieży, otoczonym drzewami wielkości dmuchawców.

Tego wieczoru wrócił na Elektoralną rozpierany powściągliwą dumą. Opowiadał długo i dokładnie, sycąc się błyszczącym spojrzeniem Bronki i pytaniami Antka. Narysował — nawet zupełnie przyzwoicie — plan „Nowej Pragi IV" na kartce wydartej z zeszytu. Wszyscy skupili się nad stołem, a Kuźnar naśladując gesty architekta pokazywał końcem ołówka miejsce, gdzie stanie Dom Młodzieży, wodził ołówkiem po arteriach przelotowych, zatoczył kółko przy rondzie i twierdził, że jak Bronka wyjdzie za mąż, to już on tam się dla niej postara o domek jednorodzinny z ogródkiem. Łyskał ukradkiem na Bronkę i Pawełka Czyża, pomrukując w duchu z uciechy, wiedział przecie, że mają się

ku sobie. Diabelsko przepadał za tą małą! Swarzyli się wprawdzie co drugi dzień, ale myśl, że Bronka po ukończeniu Akademii Medycznej wyjedzie na praktykę, doskwierała mu jak ból zęba. Antek to już była inna sprawa: ten krzepki Kuźnarek od dawna chadzał własnymi drogami...

Rozmawiali do późna, co raz oglądając rysunek na kartce, ciągle dopełniany nowymi komentarzami, które około północy Kuźnar haftował już z czystej fantazji. — Może ja jestem chłop od kielni! — zawołał na koniec — ale pamiętajcie: tymi łapami to wam postawię! — I wyciągnął nad stołem grube, włochate ręce.

Lecz gdy Paweł wyjął notes i oświadczył, że o „Nowej Pradze IV" napisze reportaż, Kuźnar nagle zmroczniał i umilkł.

— Ty jeszcze nie opisuj — mruknął twardo — tam są gołe pola, nic więcej. Dopóki ostatniego drzewka nie zasadzę na rondzie, ty, bracie, nic nie opisuj...

2

— „Inspektorat Nadzoru zwraca ponadto uwagę na częste wypadki nieporządku oraz marnotrawstwa. Na przykład: przed budynkami leżą nie uprzątnięte rury kamionkowe i beczki po smole ....sterty rozbitych pustaków Ackermana, popękane belki DMS, płyty dachowe ...części grzejników, maty słomiane..."

— Taak... — Kuźnar bębnił palcami po stole i patrzył na zegarek. Inżynier Hnacki był pedantem, a na domiar zająkiwał się przy niektórych spółgłoskach. Zegarek wskazywał 15.55.

— To już byłoby wszystko?

— Jeszcze sprawa zwałki i dróg dojazdowych — odparł Hnacki, nie widząc niecierpliwych poruszeń Kuźnara: — „Inspektorat Nadzoru zwraca również uwagę, że zwałka skierowana na teren osiedla prowadzona jest w sposób chaotyczny i nieskoordynowany: gruz i ziemia zwożone są i wysypywane według uznania kierowców..."

— W porządku — przeciął Kuźnar — resztę odłożymy na jutro.

Inżynier Hnacki spojrzał nań z wyrzutem: od jakiegoś czasu nie mógł wyjednać od Kuźnara wysłuchania do końca codziennych sprawozdań. Westchnął lekko i zaczął składać papiery.

Kuźnar jedną ręką narzucał na siebie płaszcz, a drugą stukał w widełki telefonu. — Z towarzyszem Tobiszem!... — zawołał do słuchawki, szukając po omacku zaplątanego rękawa. — Tobisz? Słuchajcie, już szesnasta! Trzeba zaczynać. Żeby się tylko po kościach nie rozlazło!

Będziemy z Hnackim za minutę. Cześć .... Cześć! — powtórzył odrzucając słuchawkę.

W lokalu partyjnym miała się o godzinie 16-ej odbyć dawno zapowiadana narada agitatorów i mężów zaufania. Kuźnar na posiedzeniach egzekutywy obstawał przy natychmiastowym rozwinięciu działalności mającej na celu przygotowanie załogi do pełnej mobilizacji — przed skokiem na „pola Rusina". — W ciągu zimy — twierdził — każdy brygadzista musi być dowódcą! Ludzi trzeba podciągnąć do wysokości przyszłych zadań, bo inaczej nie ruszymy z miejsca... — Wysłuchiwał jednym uchem opinii Tobisza, który powtarzał z uporem, że akcję należy rozpocząć od szkolenia ideologicznego — a szkolenie wciąż utykało, gdyż Kuźnar mu przeszkadzał. Istotnie, dotychczas nie opracowano planu zebrań, Komitet Dzielnicowy przysłał nawet w tej sprawie za pytanie, na które Kuźnar odpowiedział uspokajającym telefonem. Gdy Tobisz stanowczo wreszcie zażądał zebrania organizacyjnego, Kuźnar nie zaoponował; mruknął tylko: — Róbcie.... — Sekretarz wyznaczył termin: początek listopada. Ustalono dzień i godzinę. Lecz w wyznaczonym dniu do świetlicy przyszło zaledwie parę osób: ludzie byli przemęczeni, wykańczano w tym czasie ostatnie obiekty rocznego planu, na budowie trwał pełen zażartego wysiłku pośpiech, nogi grzęzły w rozmokłej glinie, padały deszcze... Termin więc przesunięto. W następnym terminie jednak do zebrania również nie doszło: dyrekcję wezwano tego dnia do Centralnego Zarządu, a Tobisz utknął na konferencji w Komitecie Warszawskim. Zebranie szkoleniowe prześladował pech: w tydzień później — na skutek niedopatrzenia — termin zbiegł się z uprzednio ogłoszoną naradą wytwórczą. Kuźnar natrząsał się w cichości z zatroskanej miny Tobisza: ot, umyślił sobie, biedaczek, wydłubać dwa wolne dni w miesiącu wypełnionym po brzegi opętaną harówką!

Sprawa szkolenia miała ponownie stanąć na naradzie agitatorów: Tobisz uparł się przy tym punkcie porządku dziennego. Gdy 5 minut po 16-ej Kuźnar z Hnackim weszli do lokalu Podstawowej Organizacji Partyjnej, w dużym, parterowym pokoju świeżo wykończonego budynku bursy siedziało już kilkudziesięciu ludzi. Właściwy porządek zebrania jeszcze się nie rozpoczął, ale dymu było pełno. Przodownik Zwierzyński śmiał się ochrypłym głosem z indywidualnego murarza, Ozimka, który nie wierzył w system dwójkowy. Ozimek miał wysuszoną twarzyczkę starej Indianki i bielmo na lewej źrenicy; w młodości widział podobno wiele obcych krajów. — Dużych niespodzianek nie ma — dowodził skrzekliwie — w Brazylii byłem, i w Prusach, i we Francji. W mieście Lią... Tu lepiej — tam trochę gorzej, gdzie indziej

krztynę lżej... Ale żeby wedle duszy było — to nigdzie. Takiego miejsca nie znajdziesz. Nie — kręcił głową — dużych niespodzianek nie ma...

Po zagajeniu Tobisza, który położył nacisk na konieczność podniesienia poziomu pracy zespołowej, rozszerzenia współzawodnictwa i racjonalizacji, zapadła krótka cisza, po czym odezwał się Pobieży, sekretarz II-ej egzekutywy oddziałowej, wysoki, chudy murarz w okularach, sponad których patrzyły wypukłe, bladawe oczy.

— Ja, proszę towarzyszy — mówił powoli i nosowo, jestem za uświadomieniem. Najgorsza rzecz to ciemna masa. Z człowiekiem oświeconym przyjemność współpracować. Nie prawda, Miś?

Krępy, czarniawy Miś skinął głową. Stanowili z Pobieżym nieodstępną parę przyjaciół, aczkolwiek dzieliła ich znaczna różnica usposobień: Miś nie lubił mówić; był prędki, popędliwy, ale mrukowaty.

— No więc — ciągnął flegmatycznie Pobieży — najpierwsza rzecz to uświadomienie. Dlaczego pracujesz? i dla kogo? Co od ciebie Polska Ludowa wymaga? Każdy budowlak o tym powinien wiedzieć. Nie prawda, Miś? No więc... A u nas, na II-ej oddziałowej są tacy, co tego nie rozumieją. Na przykład tu obecny towarzysz Zwierzyński.

Pobieży wytarł spokojnie nos, i patrząc sponad okularów na Tobisza udawał, że nie słyszy wściekłych pomruków Zwierzyńskiego, który wychylił się z krzesła, czerwony ze złości:

— Czego on? ..... Wrzuć tyle w mur co ja, a potem szuraj! ... Mam wstęgę, czy nie? Gadaj Pobieży — mam, czy nie?

— Rzeczywiście — szepnął zaniepokojony Kuźnar do Tobisza — po co on się czepia Zwierzyńskiego? Przecie to rekordzista, w gazetach o nim pełno...

— Nie szkodzi — uciął Tobisz — niech mówi.

„Acha! — połapał się w myśli Kuźnar — woda na jego młyn..."

W chwili milczenia słychać było teraz naszeptywanie, z którego się wyrwał suchy i ostry głosik Ozimka: — Nie ma o co się kłócić, jeden wart drugiego! Znałem już takich w Lią...

— Wstęgę to ty masz — mówił spokojnie Pobieży — owszem, i rekordy bijesz. Ale człowiek jesteś nieuspołeczniony.

— Nieuspołeczniony! — wrzasnął Zwierzyński, walnąwszy się pięścią w udo — może na dachu leżę, jak inni pracują, co?!

— Spokój, towarzysze — upomniał Tobisz — to jest narada budowlanych...

Pobieży odczekał moment, po czym spojrzał na Zwierzyńskiego sponad drucianej oprawki:

— Nie. Na dachu nie leżysz. Tego to ja przecie nie powiedziałem,

prawda Miś? Ale ty sobek jesteś, Zwierzyński. Ludzi — nie uczysz... Współzawodnictwa — nie rozszerzasz... Tobie się zdaje, Zwierzyński, żeś ty świecący przykład — i szlus. Pobijesz rekord, załapiesz premię, na 1 Maja wstęgę nałożysz i przemaszerujesz przed trybuną. A uświadomienie twoje, to proszę — gdzie?

— Dużych niespodzianek nie ma — rzekł Ozimek, nakrywając powieką bielmo; po czym zaczął uspokajać Zwierzyńskiego, który zsiniał ze wściekłości.

Z tyłu poderwało się kilka głosów za Pobieżym: — Niech mówi! — wołano. Miś wstał z krzesła i utkwiwszy oczy w Tobiszu, mruknął: — Solidaryzuję się...

— Mówcie, towarzyszu Pobieży — rzucił szybko Tobisz, stukając ołówkiem; i dodał pod nosem, jakby dla swojego użytku. — Krytyka jest dźwignią naszej działalności...

Kuźnar, najeżony i pochmurny, złożył ręce na stole, kręcąc młynka wielkimi palcami. „Ciągnie w swoją stronę — myślał lekceważąco — ot, bakałarzyna"

Pobieży przeczekał zamieszanie.

— Ze wszystkim dobrze nie jest — rozpoczął po chwili z rozwlekłym namysłem, poruszając wystającą grdyką — a bez uświadomienia — współzawodnictwa nie będzie. Ja jestem, proszę towarzyszy, człowiek uważny. Patrzę i — że tak powiem — wyciągam wnioski. I co widzę?

Umilkł na moment, gładząc się po łysiejącym ciemieniu. W izbie słychać było skrzypienie i ciężkawe oddechy.

— Co widzisz?... — warknął Zwierzyński.

Kuźnar zawisł wzrokiem na ustach Pobieżego. Czuł irytujący niepokój, jakby stary murarz przeciw niemu przemawiał; ale szybko odgonił tę myśl: podobnych narad toczyło się w owej chwili zapewne więcej niż sto w samej Warszawie, nie mogły być wszystkie zwrócone przeciw niemu... Pobieży wyciągnął przed siebie chudy palec i mierząc nim w niewidzialny cel wyliczał wypadki pijaństwa i chuligańskich awantur na budowie. Kuźnar zapisywał w notesie nazwiska, które nazajutrz zostaną ogłoszone na czarnej tablicy u wejścia do Zarządu. „Prędzej, chłopie", popędzał w duchu. Słuchał niecierpliwie o bumelancie Wyrzyku, który rozpijał młodych.

— Ale kto z nim próbował rozmawiać? — pytał Pobieży, zwracając się ku obecnym.

„Pewnie to także do mnie należało — obruszył się Kuźnar — brać każdego pijaka za guzik i tłumaczyć, że gorzałka mu szkodzi..." Widział kątem oczu podbródek Tobisza. Drażniło go wrażenie, jak gdyby se-

kretarz rękę trzymał w pogotowiu, by mu nią ramię przycisnąć i powstrzymać przed jakimś nieoględnym ruchem. „Bakałarz...“ powtórzył w myśli.

Pobieży, jakby surowo ku niemu spoglądając, wskazywał również na to, że na budowie niedostateczną opieką otacza się młodych. Słychać skargi, że młodzi się pchają. — A może się pchają do roboty?

—Słusznie! — przytaknął Kuźnar — dobry murarz powinien nie tylko sadzić pod sznur, ale i nauczyć fachu pomocnika...

Spojrzał na zadymioną salę: twarze, czupryny, oczy, czapki... Ludzie, za których ponosi odpowiedzialność. Sądzili go co dzień. Czuł się teraz w ich władzy, powściągali go swoją ciężką powolnością, przyszli tutaj radzić. Nie wolno mu wysadzać się naprzód, wiąże go z nimi wspólny sznur, na którym razem ciągną „Nową Pragę III...“

— Na nas świat się nie kończy, proszę towarzyszy — wystrzelił palcem w górę Pobieży, niby przestrzegając czy grożąc. „Oj, filozofie turecki...“ pokręcił głową Kuźnar, rad, że stary już skończył. Kto następny?

— Solidaryzuję się... — sapnął Miś, ciężko powstawszy z krzesła. I zaczął mówić szybkimi, urywanymi zdaniami, ciskając spode łba nieufne spojrzenia:

— Robię na 21-C... ludzi znam... Jest tam taki jeden. Iłżek. Ze wsi przybył. Wziąłem go od taczki... Spodobał mi się. Ja ludzi znam... Teraz jest u mnie za podręcznego. Pobieży zaświadczy... Nazywa się Iłżek. I co? Niech mi kto powie!... Słusznie — czy nie słusznie? Za dwa miesiące wykształcę. Będzie nowy murarz... i co? Źle?

Odwrócił się, srogo tocząc wzrokiem po obecnych; po czym usiadł.

— Proszę o głos! — zakrzyknął z końca izby zetempowiec Wielborek. — W sprawie młodych.

Ale z boku, spod ścian, wołano chórem o Iłżku.

— To ten, co pobił chuliganów! Sam jeden rozgonił całą bandę.

Kuźnar wsparł się na łokciach i słuchał ciekawie opowiadania o mężnym postępku Iłżka, który odparł napad chuliganów na hotel robotniczy, zamieszkały przez zetempowców. „Iłżek — przypomniał sobie — to ten podobny do mnie“.

— Widzicie? — nachylił się do Tobisza — a wy powiadacie, że ludzie nie rosną...

— Ale Czelisa nie nauczył czytać! — zaśmiał się ktoś spod okna.

— To tępe chłopisko.... — wzruszył ramionami Zwierzyński i wskazał palcem na czoło: — Solitra ma w głowie...

— Na sumieniu, nie w głowie! Czelis się boi milicji! To wszyscy wiedzą! Iłżka by tylko się trzymał! A odkąd ich rozdzielili...

Tobisz spochmurniał i pochylił się nad notatkami.

— Na budowie mamy jeszcze analfabetów — powiedział sucho do Kuźnara.

„Czelis? — zmarszczył się Kuźnar — acha, to ten buldożer — safanduła z brygady kopaczy..."

Wielborek długo przemawiał o młodych. Z początku sypnął garścią zażaleń na majstrów, przytaczając wypadki fachowego egoizmu, ale potem — jakby jednym zamachem pięści, którą wyrzucił w górę — podniósł nastrój zebrania. Stał pod ścianą, ciemny i mały na tle płaszczyzny świeżego tynku, i gestykulował zaciśniętą pięścią. Kuźnar spoglądał nań spod brwi błyszczącymi oczami, czując jak ogień zwolna pełga mu po żyłach. Wielborek umiał przemawiać. Wskazywał ręką na gołe pola ciągnące się za oknami i krzyczał: — One czekają na nas, towarzysze! My, zetempowskie szeregi, własnymi rękami pchniemy tam budowę! A wy nam pomożecie! Przełamiemy wszystkie trudności, towarzysze! Bumelanci i pijacy precz! Pod przewodnictwem partii zewrzemy się ramionami! Niech żyje plan 6-letni! Niech żyje honor polskiego budowlaka!

Skończył potrząsnąwszy wiechą kędzierzawych włosów. Kuźnar zacisnął szczęki ze wzruszenia i kątem oka patrzył z satysfakcją na klaszczące dłonie Tobisza. Przemawiało potem jeszcze kilku mówców, a na koniec wstał przodownik Zwierzyński i gniotąc czapkę w ręku złożył uroczyste zobowiązanie, że będzie szkolił podręcznych po godzinach pracy. Jako ostatni punkt porządku rozważano sprawę szkolenia ideologicznego i akcji oświatowo-kulturalnej. Na wniosek Tobisza wyłoniono trzyosobową komisję organizacyjną w składzie: Pobieży, Tobisz, Wielborek.

— Tęgoście przemawiali, Wielborku! — zagarnął go Kuźnar serdecznie, gdy opuszczali zebranie. Otoczyła ich grupka murarzy. — Owszem — skrzeczał Ozimek, przysłaniając bielmo nawisłą fałdką powieki — zupełnie jak jeden, co go znałem w Lią... Nadął się, nadął — tylko czekać, aż pierdnie... — Odciągnięto go na bok, szturchając.

— Ja wiem, towarzyszu — uśmiechał się Wielborek, gdy wyszli z budynku — że wy ciągle na te pola patrzycie. I nie myślcie, że tylko wy. Inni także patrzą...

Przystanęli za narożnikiem; spoglądając w stronę płaskich opustoszałych terenów „Nowej Pragi IV" Kuźnar milczał, założywszy ręce za siebie na grzbiet.

— Patrzą... — powtórzył pógłosem Wielborek. — I wiecie, jak o nich mówią? „Pola Kuźnara...“ Pola Kuźnara! — zaśmiał się z ukontentowaniem kręcąc głową.

3

Po naradzie Kuźnar został na budowie i odbył rozmowę z Tobiszem. Z mieszaniną niechęci i szacunku obserwował tego drobnego człowieka, o twardym, niemiłym spojrzeniu. „Czego ty właściwie chcesz“ niecierpliwił się w duchu, spoglądając litościwie na jego spodnie, obstrzępione i przydeptane piętami. Tobisz spacerował między oknem a biurkiem. Garbił się i przyczesywał dłonią żółtawe włosy, spadające mu w strąkach za uszy. „Towarzysz — myślał Kuźnar — i dobry towarzysz... A serca przecie dla niego nie mam...“

— Mówi: ludzie rosną — odezwał się Tobisz przystając koło biurka. — Ja taką rzecz mogę powiedzieć, jeżeli wszystko zrobiłem, żeby rośli. Dopiero wtedy.

Kuźnar wbił w niego rozdrażniony wzrok.

— A kto za wszystko ponosi odpowiedzialność? — burknął. Przecie nie duch święty — tylko my...

— Odpowiedzialność nie robi człowieka mądrzejszym — odparł Tobisz półgłosem. Odsunął nogą pognieciony papier i przypatrywał mu się z niechętnym namysłem.

Kuźnar nie zrozumiał. Uniósł brwi z miną: tylko mi drogi nie myl, chłopie miłosierny, jedź prosto, powiadam — jedź prosto...

Tobisz uśmiechnął się. „Patrzajcie, ludzie...“ pomyślał Kuźnar ze zdziwieniem.

— Z odpowiedzialnością to jest tak — mówił Tobisz nie przestając się uśmiechać — ot, ciężar, co wam przyciska kark... Jak macie taki ciężar na karku, to już nie machniecie ręką byle jak. Każdy ruch się wtedy liczy. Widzieliście, jak wiadra noszą na wsi? Pod górę i w dół, i po wybojach. Ani kropelki nie wyleją! Czy mądrzejsi od innych? Nie. Tyle tylko, że coś dźwigają. Człowiek jest wtedy cięższy, mniej ruchliwy... Uważa.

— Jak już o tym mówicie, Tobisz — mruknął Kuźnar — to trzeba wam wiedzieć, że niejedno wiadro w życiu przeniosłem. W obozie też nosiłem... — odwrócił od niego wzrok z urazą.

— Ja tego nie mówię tylko przeciw wam — odparł sucho Tobisz. Znów zaczął spacerować.

— Obsunąć się łatwo — powiedział jakby do siebie. — Wy uważacie na mnie, ja na was. Raz ja was podeprę — drugi raz wy mnie. Partia...

— Dzisiaj to żeście mnie nie podpierali — przerwał drwiąco Kuźnar.

— Dzisiaj — uśmiechnął się Tobisz — za prędko chcieliście biec z wiadrami, towarzyszu Kuźnar. A wewnątrz — Iłżek, Czelis, Wielborek... inni... Ani kropli nie wolno uronić.

„Phi! — zakpił Kuźnar w duszy — jaki z niego literat.

Rozpłaszczył ręce na powierzchni biurka i rzekł głośno:

— Ludzie jak złoto! Wy tego nie doceniacie, towarzyszu Tobisz. Słyszeliście, co mówił Wielborek? A o Iłżku słyszeliście? Z takimi ludźmi pół świata można zawojować. Rosną! Rosną! Kto tylko palcem taczki czy kielni naszej tknie, kto garść piachu przesypie — ten jest nasz. I już nie odstanie, Tobisz. Nie odstanie!

Tobisz zatrzymał na nim poważne spojrzenie i milczał.

— Wy jesteście nierówny człowiek — powiedział po chwili.

— Jak? — zdumiał się Kuźnar.

Tobisz nie odpowiedział.

— Może wy macie swoją rację.... — szepnął, znowu przystając. — ale tu jest budowa.

Kuźnar aż usta rozdziawił z zadziwienia.

— Co wy mówicie? — zatrząsł się za biurkiem — A ja myślałem, że cyrk!

— Nie żartujcie — uciął oschle Tobisz. — Tu jest budowa. My nie tylko bloki budujemy, ale i ludzi. Sami nie rosną. A wy byście chcieli ot tak: bez dokumentacji, bez planu i bez rusztowań... Sami nie rosną — powtórzył, jakby ze zmęczeniem. — Nie doceniacie roli organizacji partyjnej na budowie.

Kuźnar wzruszył ramionami. Tłumiąc irytację patrzył, jak Tobisz naciąga swoje kuse paletko.

Sekretarz stał przez chwilę z kapeluszem w ręku, zastanawiając się nad czymś. Po czym podszedł trzy kroki i zapytał cicho:

— Czy wy się uczycie, towarzyszu Kuźnar?

Kuźnar cofnął się za biurkiem.

— Pięćdziesiątka mi trzasła, chłopie miłosierny — sapnął złowrogo.

Tobisz spoglądał nań pilnie i zdawało się, że jeszcze chce coś powiedzieć.

Ale zapiąwszy płaszcz rzekł krótko:

— Na mnie już czas, a wy?

— Ja jeszcze zostaję... — mruknął Kuźnar.

Gdy po godzinie opuścił biuro, budowa była pogrążona w ciemnościach. Na niebie tłoczył się tabun zwalistych chmur, niespokojnych jak końskie kłęby, czasem tylko spośród nich przeglądał ubogi rąbek księżyca, i natychmiast ginął, tratowany. Sztandarek zatknięty na niewidzialnej wieży dźwigu łopotał wysoko w małym kręgu światła.

Kuźnar szedł przystając co kilka kroków. O tej porze lubił wałęsać się po budowie. Liczył widniejące w ciemności zarysy budynków, przełaził przez warstwy gruzu i żelastwa, by dotknąć ręką chropowatej powierzchni ścian. Uśmiechał się do siebie: tęgo wyrosły, zaorana ziemia odpłacała się pięknie. Poprzez cegły wyczuwał ukryte przewody, instalacje, wiązania... skrobał palcem zaschłe spojenia zaprawy; wspominał dzieje budynku, który powstawał z uporu i zamętu, z codziennych kłótni i telefonów, cal po calu, piętro po piętrze. Tę oto ścianę stawiał Zwierzyński, a tamtą Miś, tu pracowała brygada zetempowska, stropy skrzynkowe robił Ozimek, kłopoty z instalacją trzeciego pionu, zatarg z lastrikarzami, złe wykonanie podciągów żelbetowych... W każdej cegle, w każdym przewodzie czy załomie muru tkwił uwięziony głos Kuźnara, wołający o transport, o lepszy budulec, pomstujący na margiel i wapień, zdarty, ochrypły głos, który codziennie brzęczał w słuchawkach Przedsiębiorstwa Zaopatrzenia, Głównego Dispeczera, Centralnego Zarządu Budowy Miast i Osiedli, Miasto — Projektu Stolicy...

Rozpiął płaszcz mimo chłodu, gdyż w całym ciele czuł głębokie, ociężałe ciepło zmęczenia. Szedł powoli wzdłuż głównej osi starej budowy (tak teraz nazywał w myślach „Nową Pragę III"), biegnącej szeroko, od bramy wjazdowej, między bielejącymi w mroku blokami z pianobetonu; walały się tu jeszcze resztki oszalowań, rury oblepione gliną, kawałki starej papy... odtrącał je nogą i zatrzymując się, by zapalić papierosa, przemyśliwał rozmowę z Tobiszem. Ćmiło mu w głowie poczucie swojej niepełnej słuszności — mglisty, mętnawy niepokój, podobny do niemiłego smaku na końcu języka. O co chodziło Tobiszowi, tego dokładnie nie pojmował — czuł tylko, że sekretarz zamieszał w nim, niby łyżką, wszystkie fusy, którym od pewnego czasu Kuźnar pozwolił spokojnie opaść na dno.

— „Za prędko chcieliście biec z wiadrami..." przypomniał sobie słowa Tobisza. I jakby w prawdziwej obawie, że niepotrzebnie się śpieszy, przystanął koło szopy magazynu.

Rachunek sumienia sporządzał prawie co dnia, a oglądać się za siebie — umiał. Nie należał w swoim rozumieniu do ludzi lekkich i niepomnych; znał również pewną właściwość życia, która sprawia, że po-

pełniony błąd nie od razu jest dla człowieka widzialny, lecz idzie wraz z nim jakby fałszywa ścieżka — towarzyszy, prowadząc w złą stronę. Wiedział także, iż częstokroć człowiek popada w błąd z obawy, aby go nie popełnić; lub strzegąc się jednego, czyni inne.

Czy to miał na myśli Tobisz?

Kuźnar przepatrywał jego zarzuty, z wnikliwym niepokojem dopasowując je do siebie, jak cudzy kombinezon. Nie, nie na jego miarę skrojony, czyste przywidzenie. Ściany, które on wzniósł, stoją prosto, wystarczy rzucić wokół wzrokiem. Minął nowiutki budynek bursy i obszedł go dokoła, chrzęszcząc stopami po wywalcowanym żwirze. Płyty prefabrykowane na elewację cokołu... Rusztowanie, które pewnego dnia zaczęło się odchylać... Transport rozlasowanej cegły... Potężny brylasty kształt, teraz namacalny i znajomy, jak stok codziennie mijanego wzgórza. Przesunął dłonią po grzbiecie narożnika. Ten blok dźwignął w górę przynajmniej stu ludzi.

Z daleka, sponad pętli, wytrysł blask iskier elektrycznych i oświetlił niską ławicę chmur. Przez chwilę widać było windy szachtowe bloku 36-B, nad którym powiewał sztandar.

„Co ja jestem za jeden?“ myślał odchodząc od budynku bursy w stronę, gdzie onegdaj rozpoczęto trzy świeże wykopy. „Taki jestem jak to, com zrobił. Odwalona robota — masz całego człowieka“.

Szybko powiódł pamięcią po swoim życiu i przypomniał sobie krępego chłopaka z dużą głową, uczesaną na jeża, owego Michałka Kuźnara, który pojawił się na budowie kamienicy Rychtera w Łodzi, róg Przejazd i Mikołajewskiej, wiosną roku 1916; wprost z ziemi rawskiej wyrosły... Kuźnar głęboko wciągnął w nozdrza przyszronione powietrze. Rzadko wspominał początek swego życia, ale teraz wydało mu się, jak gdyby od wykopów powiał zapach siana. Między tym, kim był wówczas, a drugim Kuźnarem, który dźwigał na sobie ciężar „Nowej Pragi III“— leżał niezgorszy kęs solidnie wykonanej roboty. „Tobisz z książką za mną nie chodził — stwierdził z gorzką dumą — a filozofować nie miałem czasu“. Czas w jego życiu był rzeczą twardą i niewygodną, jak uchwyt taczki — im śpieszniej go się pchało, tym mocniej się na rękach odciskał. Myśli? Ile było myśli w dniu człowieka? Kuźnar cenił rozwagę i namysł, miał również kilka ulubionych przypowiastek, ale w swoim mniemaniu myślał na ogół rzadko. Kiedyś przeczytał zdanie, że człowiek jest „myślącą trzciną“, i trochę się zaniepokoił: ani on trzcina, ani nad książkami nie ślęczy...

Może to właśnie odgadł Tobisz? Dotknął go swym ostatnim pytaniem: czy wy się uczycie, towarzyszu Kuźnar? Jakby nie wystar-

czało uczciwie przeżyć pięćdziesiąt lat. Czego chciał ten człowiek? Czemu patrzał mu wciąż na ręce, jak chłopakowi, co pierwszy raz lejce pochwycił? Ludzie! Ludzie!... Nie zostawiał ich przecie. Dawał im cegłę, i drewno, i zaprawę. Sam mur ciągnął ich w górę.

Niedawno, gdy wóz Tobisza się popsuł, odwiózł go „Pobiedą" na Pańską. Sekretarz mieszkał w dwóch izdebkach, do których wchodziło się wprost z ruin, od ceglanej posadzki wiało chłodem. — Nie dają wam innego mieszkania? — zdumiał się Kuźnar. Tobisz machnął ręką: — Podobno mają dać... — Kuźnar zdziwił się jeszcze bardziej na widok wielkiej ilości książek stojących na półkach i ułożonych stosami po kątach. Sekretarz pochwycił jego wzrok i uśmiechnął się nic nie mówiąc.

„Skąd on na to czas bierze?" zastanawiał się Kuźnar. Macał nogami nierówny grunt, uważając, by nie wpaść do wykopu. Przyrzekł sobie w duchu pożyczać książki od Antka i czytać nocą. „Przynajmniej raz w tygodniu — ustalił oględnie — z soboty na niedzielę, nie co dzień, bo grób bym sobie wyczytał".

Zatrzymał się i usiłował przebić wzrokiem ciemności. W twarz plasnął mu wilgotny powiew· Stał na wysuniętym flanku budowy, dalekie światełka to Wawer, pola rozlewały się szeroko spod jego stóp. „Pola Kuźnara"... zaświtało mu w myśli. Poszedł do samego ich brzegu, odgadł ich bezmierną ciszę i nieruchomość, tak jak się odgaduje ciszę i nieruchomość wody, chętnie zanurzyłby w nich ręce...

„To będzie moja nauka..." pomyślał. Roztarł w palcach drobinę mokrawej ziemi i otrzepał je o połę płaszcza. Po czym skierował się na lewo wciąż idąc skrajem pól, w zupełnej ciemności, jakby badając miejsca rychłej przeprawy, i kurcząc ramiona od wiatru nasłuchiwał świstu kolejki przelatującej w stronę Wawra.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

1

Mimo iż zbliżał się Nowy Rok, w Warszawie trwał pochmurny listopad. Miasto budziło się w szarym, jakby osiwiałym powietrzu, przymrozek sklejał nozdrza ludziom biegnącym rano do pracy — ale około południa niebo mętniało osiadając nisko ponad dachami; o tej porze zazwyczaj spadał deszcz i płaty mokrego śniegu. Place budowy, łożyska wykopów, ulice przyległe do terenów robót znów pokrywały się błotnistą papką.

Ostry, chłoszczący wiatr wydymał purpurowe transparenty widniejące na budynkach fabrycznych, marszczył namokłe flagi, wyginał czarne różdżki drzew przed Uniwersytetem, zalewał strugami deszczu przednie szyby samochodów. Szoferzy zgarbieni nad kierownicami klęli śliskie jezdnie. Czerwono-białe pudełka autobusów toczyły się z ostrożnym szumem po lśniącej gładziźnie Nowego Światu, z daleka machając zapalonymi kierunkowskazami; ludzie wewnątrz stali ciasno ze sobą zbici, pomięci, nasiąkli milczeniem; na przystankach słychać było monotonny pisk wycieraczek. Żółtawe niebo, czerwone i zielone światła, ciemne zwierciadła asfaltów. Przez wilgotną mgłę codziennie przedzierał się głos megafonów. Meldunki o wykonaniu rocznego planu w licznych gałęziach przemysłu. 122 powiaty przekroczyły 90% planowego skupu zboża. Prezydium Rządu powzięło uchwałę o dodatkowej pomocy dla hodowców trzody chlewnej.

Głęboki baryton spikera zagłuszał zgrzytanie tramwajów. Brzmiał poprzez stukot maszyn i syk aparatów tlenowych. W Pan-mundżon trwają rokowania o zawarcie rozejmu. Bombowce amerykańskie dokonały nalotów na ludność cywilną rejonów Wonsan i Sukczon...

Około 4-tej miasto napełniało się śpiesznym tłumem i Morawiecki, zjadłszy na stojąco jedno danie w Barze Rybnym na Nowym Świecie przepychał się do tramwaju, lub stawał w długim sznurze ludzi czekających na autobus. Przez zapotniałe szkła przyglądał się twarzom, obserwował zatory przy sygnałach świetlnych, przepraszał, kiedy go pchano z tyłu, i cierpliwie posuwał się naprzód. Parę minut po 4-ej był już w przedsionku szpitalnym. Pytał pielęgniarki o zdrowie Krystyny, potem rozbierał się w szatni, wyjąwszy przedtem z teczki przyniesione zakupy.

W pierwszych dniach grudnia Krystyna powróciła do szpitala, tym razem na dłuższe leczenie. Doktór Stein z początku odradzał operacji, twierdząc nadal, że nowoczesna medycyna powinna do ostatka wspierać naturalną obronę organizmu — ale po tygodniu położył Morawieckiemu rękę na ramieniu i rzekł półgłosem: — Mój stary, bądź przygotowany... — Nie dokończył zdania, lecz pochyliwszy się nad receptą wymienił sucho nazwisko znanego chirurga.

Tego dnia Morawiecki przyniósł Krystynie pomarańcze. Jak zwykle zatrzymał się onieśmielony w progu sali szpitalnej i usiłował odwracać wzrok od leżących kobiet. Łóżko Krystyny stało przy ścianie, w przeciwległym końcu. Szedł na palcach, uśmiechając się do niej z daleka i widząc kątem oczu zaciekawione spojrzenia pacjentek. Przy łóżkach siedziały już garstki odwiedzających. Ukłonił się sąsiadce Krystyny,

starszej kobiecie, do której raz w tygodniu przychodziła córka i wnuczki. Ostrożnie zajął swoje miejsce, przytrzymując w obu rękach torebkę z pomarańczami.

Oczywiście i tym razem musiał odpowiedzieć na szereg jej pytań. — Co dzień — zapewniał — obiady jadam co dzień w Barze Rybnym, i to zupełnie smaczne... Wszystkie rachunki zapłaciłem. Skarpetki ceruje mi dozorczyni... Możesz być spokojna, całkiem dobrze sobie radzę...

Przyglądała się z troską wilgotnym, czarnym plamom na jego kolanach; zakrótką jesionkę rozwiewał mu każdy podmuch wiatru. Cofnął pod krzesłem przemokłe buty i jednocześnie ukrył w rękawie podarty mankiet koszuli.

— Straszna plucha... — powiedział z uśmiechem — najstarsi ludzie nie pamiętają takiej zimy.

— Daj dziś wieczór spodnie dozorczyni — mówiła Krystyna — przeprasuje ci na jutro rano. Powinieneś troszkę dbać o siebie, Jerzy.

Morawiecki skinął pokornie głową. Potem nastąpiły wyrzuty z powodu pomarańczy. Spodziewał się ich z góry i przygotował sobie kłamliwą obronę, w której głównym punktem miał być jakiś zapomniany artykuł o ruchu ariańskim w Polsce: — Nawet nie wiedziałem, że wydrukowali. — Unosił po aktorsku brwi ponad okularami — i kiedy listonosz przyniósł mi honorarium, w pierwszej chwili byłem pewny, że to jakaś omyłka... — Znowu się uśmiechnął, odpędzając myśl o swoim czarnym garniturze, za który wypłacono mu godną politowania sumkę w sklepie komisowym na Marszałkowskiej.

Ukradkiem przesunął wzrokiem po jej twarzy: chyba uwierzyła... Przyglądała mu się jakby z roztargnieniem, trzymając rękę na torebce z pomarańczami. „Znów schudła..." pomyślał patrząc na jej dłoń. Zaczął opowiadać o drobnych wydarzeniach w mieście, wyjął z kieszeni Nową Kulturę i Przekrój, położył je na kołdrze.

— Jutro przyniosę ci „Dzieciństwo" Tołstoja — obiecał — dotychczas było w czytaniu, ale przyrzekli na dzisiaj odłożyć.

— Dobrze — szepnęła Krystyna — przynieś... Bardzo dużo tu czytam.

Spytała o szkołę. Czy nie ma żadnych przykrości?

— W porządku — odparł krótko — wszystko się jakoś utarło.

Przyjrzał się jej uważniej, gdyż leżała teraz z głową na poduszce. Starał się w jej twarzy odnaleźć dawne rysy — i nie umiał. Dopiero gdy przymknął oczy widział ją taką, jaką była naprawdę, Krystynę.

Przez moment ogarnęła go zgroza, że siedzi tuż koło niej, lecz żeby zobaczyć jej twarz, musi oczy przymknąć. Znów na nią spojrzał: do kogo jest teraz podobna? Przyszedł mu na myśl obraz Gierymskiego,

który kiedyś razem oglądali: stara kobieta sprzedająca pomarańcze. — Namalował zmęczenie... — powiedziała wtedy Krystyna, gdy przystanęli przed nią. — Zmęczenie? — poprawił ją wówczas — nie. Po prostu, życie..." Nie mogli odejść od tego płótna. „Namalował śmierć" pomyślał teraz bezwiednie Morawiecki i przeląkł się, gdyż spotkał wzrok Krystyny.

— Siostra Józia Weissa — powiedział przecierając szkła — pisała z państwa Izrael. Podobno tęskni za Polską.

Było to wydarzenie szeroko omiawiane w szkole. Zosia Weissówna zapadła w Tel-Avivie na ciężką nostalgię. Chciała wracać do kraju. Józio za radą Antka Kuźnara i Stefana Święckiego odpisał jej, żeby się zwróciła do Prezydenta Bieruta z prośbą o zezwolenie na powrót. — Ona ma 15 lat, panie profesorze — opowiadał Weiss — wyjechała z mamą, i bardzo się tam źle czuje. — Pokazał Morawieckiemu list siostry, który zaczynał się od słów: „Kochany Józiu! Wczoraj mi się śniły Aleje Ujazdowskie i obudziłam się zalana łzami... Mama nic nie wie, że do Ciebie piszę i że jestem bardzo nieszczęśliwa".

— „Zalana łzami' ... — uśmiechnął się Morawiecki do Krystyny. — Podobno co noc śni jej się inna ulica. I proci o książki Orzeszkowej.

Pomyślał ze współczuciem o małej, czarnej dziewczynce, która płakała z tęsknoty za dzwonieniem tramwajów na rogu Marszałkowskiej i Jerozolimskiej. Zalana łzami... Nie dalej jak wczoraj tamtędy przejeżdżał i denerwował się, że czerwony sygnał zbyt długo przetrzymuje tramwaj na skrzyżowaniu.

Krystyna leżała z przymkniętymi oczami. Morawieckiemu zrobiło się przykro: ona także dawno nie była w Alejach Ujazdowskich. Obejrzał się w stronę okna, zobaczył kawałek szarej ściany, błyszczący dach i skrawek mglistego nieba.

— W Alejach jest teraz mokro i zimno — powiedział — ale jak wyzdrowiejesz i przeschnie, to pójdziemy tam kiedyś w niedzielę przed południem.

Zaplótł ręce i wyobraził sobie taką niedzielną przechadzkę z Krystyną. Może śnieg już będzie leżał na drzewach. Nagle zatęsknił za owym dniem tak mocno, jak pewnie siostra Józia Weissa tęskniła w państwie Izrael. „Wcale nie trzeba aż tak daleko wyjeżdżać"... przebiegło mu przez myśl. Wiedział, że Krystyna patrzy teraz na niego spod rzęs. Opuścił wzrok na kołdrę; dobrze już znał to milczące, znużone spojrzenie. Choroba stawała się coraz bardziej jej własnością, zaczynała ich dzielić od siebie. Coraz częściej zdarzały się momenty, gdy Morawiecki siedząc naprzeciw Krystyny, nie potrafił odgadnąć jej

myśli. Twarz miała teraz drobniejszą, a oczy jej wypiękniały; były większe niż dawniej, patrzyły nań jakby z dalekiej odległości, z głębi nieznanych mu spraw. Czasami odnosił wrażenie, że Krystyna odchodzi od niego — bardzo powoli, łagodnie i nieznacznie; jakby malała z każdym dniem, odsuwając się coraz dalej i dalej, tylko jej oczy, dziwnie wyraziste, wciąż spoczywały na nim.

— Marceli wspominał wczoraj o operacji. Czy rozmawiałeś z nim, Jerzy?

Morawiecki potrząsnął przecząco głową. Zajdzie do Steina wychodząc, teraz podobno jest zajęty.

— Operacja — powiedział spokojnie — byłaby najrozsądniejszym wyjściem. Za parę tygodni mogłabyś wrócić do domu.

Umilkł, bo ogarnęło go niejasne uczucie, że obydwoje się oszukają. Marceli Stein był wybitnym lekarzem. Czemu dotychczas zwlekał z operacją? Morawiecki słyszał o wypadkach, gdy po rozcięciu zaszywa się z powrotem: operować nie ma już po co. Doktór Stein badał Krystynę kilkakrotnie; musiał zapewne mieć jakiś obraz jej chorego ciała, inny niż Morawiecki, który widział tylko jej wychudłe dłonie i zaostrzoną, poszczuplałą twarz. Co widział Stein? Może odkładał operację z obawy, żeby się ów obraz nie potwierdził? Wróżenie z oczu i rąk bywa często zawodne, lecz wróżba z wnętrzności ludzkich na ogół się sprawdza. Morawiecki ciężko złożył dłonie na kolanach. Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że Marceli boi się prawdziwej diagnozy; przejął go podwójny lęk — swój własny i jego, Steina. „Co będzie p o t e m? błysnęło mu przez sekundę.

— Jerzy — szepnęła Krystyna — to byłaby wielka ulga...

Morawiecki pochylił się ku niej, niepewny sensu tych słów, i milczał przez chwilę, jakby chcąc je lepiej usłyszeć.

— Oczywiście — powiedział — masz zupełną rację. Przecież nie ma celu leżeć tutaj całymi tygodniami.

Zapewnił ją, że nie powinna się martwić o pieniądze, bo właśnie parę dni temu otrzymał propozycję stałej współpracy z pismem, które wydrukowało mu artykuł. — Prócz tego obejmę pewnie lektorat na Uniwersytecie — ciągnął, sam nieco zdziwiony swoją królewską wyobraźnią. — Po zabiegu wyjedziesz na rekonwelescencję do Karpacza. Albo może do Krynicy.

Wolał teraz uniknąć jej wzroku i nie czekać na odpowiedź. Milczała zresztą. Morawiecki czuł, jak mu wilgotnieją ręce splecione na brzuchu. Pomyślał z udręką, że Krystyna pewnie jest zmęczona jego obecnością. Przychodził co dzień, odsiadywał przewidziany czas i mówił słowa,

w które nie wierzyli, ani ona — ani on sam. Omijali najważniejszą rzecz, nie porozumieli się co do niej. Opowiadał o drobiazgach, tkał sieć z misternych kłamstewek, uśmiechał się z dobrodusznym spokojem — a owa jedyna rzecz wiążąca spoczywała nietknięta w głębi spojrzenia Krystyny, jakby czekając tylko na sekundę ciszy, by naglić swoją obecnością. „T o“ nazywał ją w duchu Morawiecki — „p o t e m“... Nie miał odwagi używać ściślejszych określeń. Chwilami czuł wstręt do siebie, że oto siedzi i milczy, niezdolny do jednego gestu w „t a m t ą“ stronę. Powinien wziąć ją za rękę i wytłumaczyć jej sens owego obowiązku umierania, który może wkrótce ją czeka. Kto miał ją na to przygotować, jeśli nie on? Mężczyzna, doświadczony przyjaciel, najwierniejszy towarzysz. Ileż razy podawał jej ramię, gdy szli obok siebie, a teraz przed najtrudniejszym progiem nie umiał wyciągnąć ręki... Nie potrafił znaleźć najprostszych słów, od których by zapewne rozpoczął byle katecheta w rodzaju księdza Leśniarza: moja córko... siostro... „Żono...“ poruszył wargami Morawiecki i wstrząsnął się z niemiłym poczuciem wstydu. Aby takie słowa wymawiać, trzeba wpierw stępieć na ich dźwięk. Stać się Leśniarzem, który wyjmował je z zanadrza, jak chustkę do nosa ukrytą w fałdach sutanny. Albo mocno wierzyć. Gardził płaską wzniosłością katechety. „Ale w co ja właściwie wierzę?“ szukał z niepokojem w myślach. I wówczas, jakby mu nagle zabrakło okularów, widział przed sobą mglistą, mętnawą plamę. „Wyższa reguła życia...“ myślał z żałosną ironią. Niewyraźny zarys kilku prawd, których szukał zmęczonymi oczami krótkowidza, był zbyt ulotny, by posłużyć za oparcie Krystynie.

Rozmawiała od kilku chwil z pacjentką, którą odwiedziły wnuczki. Mały chłopczyk z konopiastą grzywką przyglądał się uważnie, jak Krystyna obiera pomarańcze; dziewczynka z różową kokardką we włosach siedziała cichutko na skraju łóżka, machając nóżkami. Wlepiła oczy w Morawieckiego. Uśmiechał się do niej trochę zmieszany.

— Przedstaw się, Jerzy — powiedziała Krystyna. Morawiecki uścisnął ostrożnie pomarszczoną rękę sąsiadki i mruknął swoje nazwisko.

— A bo to ja nie wiem? — roześmiała się stara kobieta — przecie my z panią profesorową jesteśmy zaprzyjaźnione! Jak na wspólnym korytarzu... — wskazała wąski przesmyk między łóżkami.

— Babciu, ja chcę pomarańczę — rzekł chłopczyk, marszcząc brewki.

— Ignaś jest łakomy — powiedziała dziewczynka do Morawieckiego.

Krystyna rozdzielała pomarańczę, zapewniając, że każdy dostanie swoją część. — Pani Pobieżyna za tydzień wychodzi ze szpitala — mówiła — i nie wiem, jak sobie bez niej dam radę.

Były doprawdy zaprzyjaźnione, łączyło ich mnóstwo drobnych spraw szpitalnych i miały sobie wiele do powiedzenia. Morawiecki przysłuchiwał się z ciekawością, jak wymieniają uwagi o innych pacjentkach, żartując po cichu z ich dziwactw lub wzdychając ze współczuciem. Pobieżyna czuła się tutaj jak u siebie, personel otaczał ją szacunkiem, była żoną przodownika murarskiego z osiedla „Nowa Praga", którego w zeszłym tygodniu odznaczono Srebrnym Krzyżem Zasługi. Królowała na sali swoją siwą, gładko uczesaną głową i siedząc prosto, oparta o poduszki, pełna spokojnej godności, robiła na drutach wełnianą czapeczkę dla Ignasia. Morawiecki z zazdrosnym podziwem obserwował jej szpitalne szczęście. „Matrona proletariatu..." pomyślał słysząc, jak Pobieżyna, złożywszy druty na kołdrze, opowiada wnuczkowi o domu z czerwonym dachem, który dziadek buduje dla niego na Nowej Pradze.

— Szkoła tam będzie — tłumaczyła. — Jak urośniesz, to dziadek cię do niej zaprowadzi i pokaże, które ściany stawiał. A pan profesor — uśmiechnęła się do Morawieckiego — będzie w tej szkole uczył.

— Czy mnie także? — zapytała dziewczynka.

— Oczywiście — skinął poważnie głową Morawiecki — ja dziewczynki też potrafię uczyć.

— Dziadek ma takie same okulary — oświadczył Ignaś, wskazując na szkła Morawieckiego.

Kobiety zaczęły rozmawiać o wadach i zaletach pielęgniarek, Krystyna była jakby weselsza, zaróżowiła się trochę, i obydwie przestały zwracać uwagę na Morawieckiego. Poczuł się naraz niepotrzebny: miała już tutaj swój dom, swoje życie, a on przyszedł z daleka, przelotny gość z miasta, który naniósł tu trochę ulicznego błota.

Odczekał chwilę, a potem wstał z krzesła i niezręcznie pogłaskał ramię Krystyny.

— Jutro znowu przyjdę — powiedział.

Przypomniała mu o spodniach, które miał dać do prasowania, i żeby od jutra nosił ciepły sweter zamiast kamizelki. Stał patrząc z zawstydzeniem na kałużki błotnistej wody, które zostawił pod krzesłem. Pochylił się nad ręką Pobieżyny, spotkał jej niebieskie, życzliwe oczy, patrzące z sieci zmarszczek, i wyszedł na palcach. Od progu obejrzał się, chcąc jeszcze dać znak Krystynie, ale zasłoniła ją pielęgniarka w białym czepku, która podeszła do łóżka strząsając termometr.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kazimierz Brandys

BOHDAN CZESZKO

ŻOŁNIERZ GOSPODARZEM

Przestronny, czarno-biały pejzaż towarzyszył naszym dniom. Padały na przemian śniegi i deszcze, dęły wiatry tęgie i przenikliwe. Batalion szedł poprzez przyfrontową strefę ku swoim wojennym przeznaczeniom. Przed zmrokiem żołnierze mijali martwe żelastwo wojenne, rozdęte trupy zwierząt, puste domy. Na ulicach miasteczek szeleściły pod butami batalionu rozrzucone papiery, pełne przebrzmiałych spraw, opisanych zadziornym gotykiem i przypieczętowanym znakiem swastyki.

Kiedy słońce znów wyprzedzało batalion bezustannie goniący za nim i zachodziło przed oczyma, rzeczy stawały się znośniejsze. Schodziła łaskawa noc. Nocami bolały już tylko nogi zdarte w marszach. Nie ma odpoczynku na wojnie.

Na Wielkanoc zapadliśmy w małej wiosce zatulonej pomiędzy lasami, wzgórzami i jeziorami. Było to miejsce aż niepotrzebnie urocze. Wioska została opuszczona przez mieszkańców. Wyprzątnęliśmy dom, sporządziliśmy prycze i stojaki na broń, po ćwiczeniach piekliśmy placki kartoflane, chłopcy nazywali je „blinami". Rozmowy nie kleiły się, w plutonie nie było ani jednego opowiadacza. Parowało ze wszystkich zmęczenie. Wieczorami siedzieliśmy kręgiem przy kopciuszku wydłubując piasek z automatów. Ręce były ciężkie jak po żniwach, w brzuścach palców boleśnie pulsowała krew, piekły policzki ścięte wiatrem. Buczał wiatr na strychu, skwierczały placki na patelni. Odwracał je niemieckim bagnetem zapobiegliwy Żmurko, plutonowy, w cywilu rzeźnik z Lublina. Rozdzielał placki niesprawiedliwie, nie dbając o to, że pogłębia w ten sposób uczucie pogardy i wrogości, jakie obudził wśród kolegów i podsycał z wrodzonym sobie chamstwem. Był wulgarny, przepełniony pychą, opowiadał głupie dowcipy i drwił bezmyślnie z ludzi rozumnych i spokojnych, którym godność nie pozwalała na podjęcie głupiej pyskówki; on uznawał to w swej zwierzęcej głupocie za zwycięstwo. Służbista natrętny, lizus nieposkromiony, podoficer jak mawiał o sobie — przedwojenny.

Większość plutonu byli to chłopi — Polacy z zachodniej Ukrainy i Białorusi. Ludzie spokojni i powolni, obdarzeni bezmierną cierpliwością. Panowało wśród nich dobre, milczące koleżeństwo.

Ręczny karabin maszynowy waży dobrych kilka kilogramów i nie jest wygodny do noszenia na ramieniu. Jego ciężar po dziesięciu kilometrach staje się natrętny jak ból zęba. Bez słowa ktoś idący za mną dotykał dłonią mojego ramienia i odbierał ciężar, wtedy gdy już nie pomagało ani przerzucanie z ramienia na ramię, ani wszystkie zmiany pozycji niosące złudę ulgi.

Tak tedy Żmurko piekł placki i gotował sarninę. Sarn nikt tu nie płoszył, ciężarne samice nie skore były do biegu. Żmurko strzelał dobrze. Ogniem pojedynczym z pepeszy nie chybiał do osiemdziesięciu metrów. W spokojny zamglony poranek odgłos strzału tonął wśród oczeretów i zagajników. Szef kompanii milczał ułagodzony porcją combra.

Żmurko patroszył zwierzynę na gumnie z wprawą właściwą jego zawodowi. Paliłem moją pierwszą fajkę poranną i patrzyłem, jak to czyni. Ważył w dłoniach płód pływający w pęcherzu pełnym cieczy. Gesty rzeźnika nosiły cechy pieszczoty. Odszedłem. Patrzył za mną z uśmiechem i mówił: „Hartuj się, sierżancie, hartuj, wojna jest..."

Był także inny człowiek w plutonie, nazywał się Dymidko. O nim niewiele można powiedzieć, ponieważ milczał. Był to tęgi, zwalisty chłop o niedźwiedziej postawie, niezmordowany w marszu. Nie wiadomo nawet, czy miał ziemię, czy był fornalem. Umiał naprawiać buty. Posiadał w swych grubych i nieporadnych dłoniach toporną nieco skrzętność majstra-klepki. On klecił na kwaterach prycze i stojaki na broń, on utrzymywał ten śmierdzący machorą, świecący surowymi deskami biwakowy porządek żołnierski. Był to człowiek jak bochen chleba. Musiał mieć dobrą, pożywną duszę, a że nie umiał wyrazić słowami swoich uczuć, więc wyrażał je czynnościami. Jak na wojnę — wystarczy.

Wieczorami czyściliśmy broń siedząc kręgiem przy kopciuszku. Niektórzy pisali listy na ćwiartkach papieru, które składali później przemyślnie w trójkąt i oznaczali numerem poczty polowej.

Lubiłem godzinę przed snem. Sen napływał powoli do czaszki, jak gęsta smoła. Brałem kożuszek, wychodziłem przed dom, siadałem na ławie pod ścianą i paliłem moją ostatnią w ciągu dnia fajkę. Czułem się stary i dobry w moich dwudziestu latach.

Jak szybko tworzą się przyzwyczajenia! Po trzech dniach postoju już wiadomo, że zaraz z obory wyjdzie Dymidko z wiadrem mleka, a później wytrząsnę z fajki rozżarzone okruszyny, wystukam ją o obcas i popatrzę chwilę na to, co widać przy księżycu. Księżyc wydaje mi się tu groźniejszy niż nad Warszawą, tutaj jest surowy, zimny

i zmarszczony. Ziemia oto zaczyna kisnąć ku wiośnie. Później pomyślę o tym, czy też ja wrócę z wojny i już nie broniąc się zalewowi snu wejdę z powrotem do ciepłej izby.

Stuknął metalicznie skobelek przy drzwiach obory. Dymidko zdmuchnął lampę i podniósł z ziemi wiadro.

W tej chwili zza węgła beknął swym natrętnym głosem (wszystko było mi wstrętne w tym człowieku) Żmurko, który wyszedł przed snem na stronę: „No co, pastuszku, podkarmiaj krowę, Cieplicki się jej kłania (Cieplicki to był nasz kucharz batalionowy)... Trafi ona na mój scyzoryk" — dodał szamocząc się z garderobą.

Dymidko podszedł ku mojej ławce, zaczerpnął kwartą pienistego, ciepłego mleka i podał mi jak co wieczór. Powierzchnia płynu drżała lekko, gdy odbierałem naczynie z jego dłoni.

— To złota krowa — powiedział, gdy piłem. — Plutonowy Żmurko jest złym gospodarzem — dodał tonem, w którym drżała nuta badawcza. Chodziło mu o moje zdanie.

— Ja nie mam rady na takich ludzi, Dymidko — powiedziałem. — Idziemy na wojnę. Gdyby nie to, można by go przecież nie znać.

Kiedy wszedłem do izby, każdy już dostał swoją kwartę mleka, a resztę postawiono w wiadrze przy drzwiach dla chłopców z drużyny wartowniczej, którzy nocą będą wychodzić na służbę.

Nazajutrz wieczorem siedzieliśmy kręgiem przy lampie, syconej byle jakim tłuszczem. Jak zawsze szczękały zatrzaskiwane i otwierane zamki, lecz poza tymi dźwiękami, podbitymi skwierczeniem sarniego łoju w lampce i na Żmurkowej patelni, panowała cisza pełna oczekiwania.

Przyszedł rozkaz, aby cięższy sprzęt saperski uporządkować i ułożyć na wozy. Oznaczało to przygotowanie do odmarszu.

Żmurko odwrócił zaczerwienioną twarz od płyty i rzucił nagle przez ramię słowa oczekiwane.

— Jutro do dnia zarżnę krowę — powiedział. — Cieplicki się jej kłania.

Zapanowała skwierczącа łojem cisza. Dymidko siedział spokojnie trzymając w poprzek na kolanach swój długi snajperski karabin. Odstawił broń na stojak nie wstając z zydla, a kiedy Żmurko zerknął w jego stronę, pokręcił głową — zaprzeczał. Po czym w upartej ciszy, podpierany zewsząd spojrzeniami, odwrócił się do plutonowego plecami.

Ktoś chrząknął ze zdenerwowania. Wśród tych ludzi tak oszczędnych w słowach i gestach, ważących wszystko nie lekko, czyn Dymidki wy-

wołał konsternację. Dla nich wiele znaczyło — odwrócić się do kogoś tyłem.

— Do podoficera tyłem się obracasz, kmiotku? — zawarczał rzeźnik.

Dymidko dobył kapciuch i skręcał spokojnie papierosa.

— Kmiotku... — zaczął Żmurko.

— Spokój — powiedziałem. — Ma być spokój.

— Na postronku będzie ją prowadził na front... — burczał Żmurko nad plackami, ale nic mu już nie mogło pomóc wobec Dymidkowego gestu pogardy.

Mocny wiatr biczujący wszystko pomiędzy niebem a ziemią wydmuchiwał z mojej fajki drobiny rozżarzonego tytoniu, kiedy odprawiałem swoje wieczorne rekolekcje.

Stuknął skobelek przy drzwiach obory.

— Jest jedna sprawa — powiedział Dymidko. — Chciałbym do dnia odprowadzić krowę. Na kolonii, dwa kilometry stąd są ludzie. Mówią jakby po naszemu, tylko inaczej: gulgoczą. Na apel powrócę. Proszę pozwolić.

— Niech sami przyjdą — powiedziałem.

— Nie mają śmiałości. A czas jest krótki.

— Nie mogę pozwolić — powiedziałem.

— Szkoda bydlęcia. Taka krowa daje dobrą rasę.

— Mogę tylko o niczym nie wiedzieć — bąknąłem stare jak świat, obłudne sformułowanie dowódców, postawionych w trudnej sytuacji.

Dymidko sapnął z ulgą i poprosił o pozwolenie odmeldowania się.

Tego wieczoru nie napływał do mojej czaszki smolisty sen. Obracałem się jak pies w wygniecionej w słomianym barłogu kotlinie. O drugiej w nocy obudził mnie służbowy, wyszedłem sprawdzić warty.

Wiatr wzmógł się, ciął po uszach i podrywał poły szynela. W podwórku krążył stary Szmurło z dłońmi wtulonymi w rękawy płaszcza.

— Jest w oborze Dymidko — powiedział.

Stuknąłem skobelkiem. W nozdrza uderzył słodkawy zaduch gnoju i zastarzały zapach mleka. Było tu czarno i zacisznie. Kiedy źrenice moje rozszerzyły się dostatecznie, aby pokonać mrok, dostrzegłem zarys tęgiego cielska krowy i sylwetkę Dymidki przewieszonego przez grzbiet zwierzęcia. Drzemał czujnie, pilnował.

— Jaką masz pewność — zapytałem — że ludzie, którym oddasz krowę, nie zarżną jej sami?

— To ludzie gospodarni. Mówiłem im, że jak będę wracał z wojny, sprawdzę i będę sądził. Krowa jest niczyja, dlatego jest wspólna, a takiej nie można zarżnąć jak byle barana. Krowa jest wysokiej rasy, da dobre pokolenie, a tu przecież— drogami idziesz — gadzina pobita leży.

Począł się krzątać, brzęknął łańcuchem, pomrukiwał głosem nie człowieczym zgoła. Krowa powąchała moją dłoń, sapnęła głośno i ruszyła za Dymidką, stukając racicami o próg obory. Wyszedłem na dziedziniec i patrzyłem w ślad za nim. Zniknął za węgłem stodoły i później dostrzegłem jego wielki cień, kiedy szedł grzbietem wzgórza parając się z wiatrem wiosennym, ciągnąc krowę na łańcuchu. Wiatr przyniósł jego monotonny pasterski okrzyk: „hoo... hoo...“

Tego dnia batalion ruszył poprzez przyfrontową strefę ku swoim bliskim już, frontowym przeznaczeniom.

Bohdan Czeszko

ZOFIA BYSTRZYCKA

ASTRY

Na katedrze stał gołąb. Kiedyś na początku swej pedagogicznej kariery był biały, teraz w szczelinach skrzydeł osiadł smugami kurz, jak osiada patyna na srebrze. Stał bokiem do ławek i patrzył bez wyrazu w okno, na niebo też brudne, tego samego co on koloru. Jadwiga wytarła go przed lekcją gałgankiem, ale nie potrafiła przywrócić piórkom bieli i połysku, ani życia jego obojętnym, szklanym oczkom. Stał więc, przytwierdzony do drewnianej deseczki, a dwadzieścia trzy pary dziecięcych oczu patrzyły na niego w skupieniu twórczym.

Na tablicy okrągłym, nauczycielskim pismem Jadwigi wykaligrafowany był temat lekcji: „Ptak pokoju".

Jadwiga spojrzała na zegarek. Zaraz koniec lekcji. Weszła między ławki. Poprzez małe, pochylone plecy zaglądała do arkuszy, na których ptak z katedry przybierał różne, często osobliwe kształty. Dominował niewątpliwie jeden element: ogon. Dość sfatygowany u tamtego na katedrze, na rysunkach był wspaniały i rozłożysty, chwilami przypominał nawet ogon pawia i ogromnymi rozmiarami nadrabiał inne braki ptasiej postaci. Jadwiga zacisnęła wargi, aby nie dać się ponieść wrodzonej skłonności do śmiechu. Kiedy jednak zatrzymała się przy ławce Staszka Dziechciarza poczuła od razu, jak wesołość topnieje w niej, topnieje do ostatka.

Staszek podparłszy kułakiem brodę patrzył na piec, w najciemniejszy kąt klasy. Kiedy stanęła nad nim, nie poruszył się, nie odwrócił głowy, tylko trzepnął rzęsami dwa razy, w odruchu samoobrony. Arkusz papieru rysunkowego leżał przed nim bez jednej kreski.

— Staszek — powiedziała Jadwiga.

Nie odwrócił głowy. Tylko pięść zacisnął silniej, aż pod smagłą skórą wystąpiły białe piętna stawów.

— Staszek, wstań, kiedy mówię do ciebie.

Staszek podniósł się powoli. Był mały, może najmniejszy w klasie. Znała tę twarz dobrze: czoło z bruzdą pośrodku, wielkie czarne brwi, silne, jak u dorosłego mężczyzny i jak u dorosłego zrośnięte nad dziecinnym, okrągłym noskiem.

— Pani może będzie zła, ale ja tego rysować nie chcę.

— Dlaczego?

Na korytarzu zabrzmiał dzwonek. Dzieci od razu jakby przybyło, kiedy powyskakiwały z ławek. Zrobiło się pełno i głośno, potem zakotłowało pod drzwiami i w klasie zostali tylko Jadwiga i Staszek.

— Dlaczego? — powtórzyła surowo nauczycielka.

— Bo nie.

— Tak się nie odpowiada, Dziechciarz. Co to ma znaczyć? Będę musiała porozmawiać z ojcem.

Dostrzegła od razu, że groźba nie chwyciła.

— Niech pani mówi.

— Co się z tobą dzieje! Staszek, dlaczego zmarnowałeś lekcję?

— Bo to propaganda! — krzyknął, po czym od razu rzucił się do pakowania książek. Pchał je do szmacianej teczki, pociągając nosem z ulgą i po chwili zadudnił obcasami po naoliwionej podłodze.

Jadwiga stała nie zmieniając pozycji, ze złożonymi na piersi rękami. Patrzyła przed siebie. Za oknem niebo koloru starego srebra skłaniało się do parkanu szkoły. Wielkie sześcioszybowe okno, kremowe, upstrzone wycinankami ściany, zamazane przez ciemny, jesienny ranek. I jaśniejsza plama ptaka na katedrze. Ptak. Gołąb. „Ptak pokoju". Propaganda. Staszek ma dziewięć lat. Jest synem spółdzielcy, przedtem fornala bez ziemi. Dwa lata temu Staszek przychodził do szkoły boso, Jadwiga pamięta jego sine stopy o popękanych piętach. Chłopak uparty i wrażliwy, chociaż na pewno zdolny. W dodatku poza szkołą chowa się trochę samopas.

Narzuciła welwetową kurtkę, podniosła kołnierzyk. Dwa kroki przed progiem zagarnął ją wiatr. Poszła nie przez podwórze szkolne, tylko bokiem, koło kilku grządeczek z kwiatami, doglądanych przez same dzieci. Grządki były rozmokłe i zapadnięte, pełne już pożółkłych i wyschniętych pędów. Tylko jedna z nich trwała pyszna i zielona. Rosły na niej astry. Były ciemno-złote, aż miedziane, miały ostre, twarde płatki. Siedziały w grządce gromadą, rozparte na szerokich, niedźwiedziołapych liściach. Deszcz, który zabijał inne, tym kwiatom dodawał tylko połysku i życia. Jadwiga kochała astry za tę ich wytrwałość, za ich — jak mówiła — charakter.

Była już prawie przy bramce, kiedy z krzaków przy ogrodzeniu wyskoczyła mała znajoma sylwetka i popędziła ku głównej bramie. Chłopiec czekał widocznie, aż Jadwiga wyjdzie ze szkoły i teraz biegł na przełaj, przez grządki, łamiąc z trzaskiem badyle. Jadwiga zawróciła, popatrzyła na zniszczenie i zawołała, choć nie było przy niej nikogo:

— Staszek, Staszek!

Potem pochyliła się nad stratowanymi kwiatami.

2

Na drugi dzień niebo nie zmieniło koloru, zsunęło się tylko niżej, prawie na wysokość dymów chat. Zaczęło też prószyć mgłą, bo trudno nazwać deszczem te kropelki, których nie czuje się na twarzy, a które nasycają wilgocią ubranie i ziemię.

Jesienne wykopki dobiegały końca. Ku spółdzielni sunęły rzędem wozy, podobne do ogromnych koryt; na wozach siedziały dziewczęta okręcone w chustki i męskie kapoty.

Na polu nogi grzęzły w kleistej ziemi. Lepiły się do butów kilogramy błota, jak kajdanami obciążały stopy. Świat pachniał deszczem i dymem. O wczesnym zmierzchu jak ogromne gwiazdy rozpaliły się na płaskim horyzoncie ogniska. Poryte motykami pola lizał dym, mrok szary jak futerko myszy polnych przeplatał się z rudym światłem ognia, dym i blask dochodził aż do wsi. Aż do wsi dochodziły także z pola pieśni, szerokie i smutne jak jesienny pejzaż.

Furtka czworaków skrzypiała przeraźliwie, potem była kałuża na ścieżce, aż po łydki, potem trzy kulawe schodki, metalowy brzęk wiadra w ciemności, smuga światła pod drzwiami i izba, oślepiająco jasna i ciepła po szarówce za progiem.

Jan Dziechciarz siedział przy stole bez marynarki, twarz miał rozgrzaną od wiatru i jedzenia. Na gęstych, wypłowiałych od siwizny włosach widniał jeszcze odciśnięty krąg czapki, którą zdjął przed chwilą po całym dniu pracy. Ujrzawszy Jadwigę wytarł wierzchem dłoni wąsy i podniósł się z krzesła.

Jan Dziechciarz był kowalem spółdzielni, jednym z pierwszych jej członków. Pracował dobrze. Był samoukiem; lata swej młodości spędził jako fornal we dworze i tam poduczył się rzemiosła. Nauka chwytana ukradkiem była niełatwa, każdego dnia groziło mu wyrzucenie z pracy za wykradanie się do dziedzicowej kuźni. Po wyzwoleniu przyszła reforma rolna i wielka zmiana. Dostał trzy hektary i nie miał czasu myśleć o kowadle. Trzeba było zająć się ziemią, do której w końcu zdobył prawo.

Zaczęło się dla niego życie przeciętnego, trzyhektarowego chłopa: więc niepewność urodzaju, nieznane przedtem kłopoty z podatkami, praca od ciemnej godziny do ciemnej godziny i to przeświadczenie, że i tak się wszystkiego na czas nie zrobi. Dzieci poszły do szkoły. A że były to już gospodarskie dzieci, więc i buciki i ubranie jakie takie trzeba im było dać. Prawda, że na stole pojawiły się kluski z omastą i serem, a nawet pierogi z mięsem, że żona nie chodziła już z dziećmi

„na kłoski". Że jednym słowem głodna nędza poszła sobie precz. Ale to wszystko nie dawało Dziechciarzowi poczucia pewności, że dobił do brzegu.

Ciągnęło go rzemiosło, białe żelazo uległe jego woli. Więc kiedy zaczęto tworzyć spółdzielnie, Dziechciarz chodził kilka dni zamyślony. Wiedział, że w spółdzielni kowal jest potrzebny, a przecież bogaty Kwiatkowski do spółdzielni nie pójdzie ze swą kuźnią i nienawiścią. Co innego on, Dziechciarz, bo co ma do stracenia? Krowę, trzy świnie? Członkowie spółdzielni mogą trzymać chudobę, a działka przyzagrodowa zostanie dla przyjemności żony i córki. Na wszystko inne zarobi przecież dniówkami, dokładnie się dowiedział, sprawdził w okolicy, zanim poszedł do biura na zebranie. I zaczęło się dla niego to, o czym myślał tyle lat, że już nigdy się nie stanie. Był kowalem, już praktykantów dwóch miał, ukradkiem ucząc się także, nieraz po trzy razy wracając do tej samej roboty. Miał uczucie, że weszła mu w ciało młodość. Może, żeby samemu się upewnić w dość chwiejnym jeszcze poczuciu własnej wartości — nieraz podkreślał, że jego zajęcie wyróżnia go od reszty spółdzielców. „Was jest trzydziestu, a kowal jeden i wszyscy go potrzebują" — mówił, kiedy mu zarzucano, że niczego nie widzi poza robotą. „Nie mam czasu na zebrania, co uchwalicie, to przyjmę. Przecież to dla nas wszystkich, więc chyba kłamać nie będziecie" — mówił i szedł do kuźni, kiedy inni głowili się nad trudnościami, przez które — jak dziecko przez różne choroby — musiała przejść młoda spółdzielnia.

Dziechciarz lubił po pracy wieczory w domu, kiedy mógł zdjąć przepoconą kurtkę, włożyć czystą koszulę i usiąść nad dymiącym talerzem, słuchając brzęku mytych garnków, muzyki drzew za oknem, słuchając własnego zmęczenia, ciepła i ciszy, i później, w ciemności, oddechu żony przy swej twarzy.

Przyjaźnił się z Balcerkiem. Balcerek mieszkał w środku wsi w wielkim, szarym domu z czerwonym dachem. Przez jego podwórze przebiegały betonowe ścieki, obora była z czerwonej cegły, a od domu do bramy wiódł ułożony z płyt chodnik. Znali się z Balcerkiem od dzieci: razem chodzili do szkoły, razem pasali krowy. Dziechciarz oczywiście pasł krowy pańskie, Balcerek ojcowskie. Balcerka, kiedy podrósł, wysłano do szkoły w mieście. Chodził w granatowym ubraniu, na wysokim kołnierzu miał srebrne paski, których przybywało co roku.

W tym okresie spotykali się tylko w miesiącach letnich, kiedy Balcerek wracał na wakacje do domu. Przyjeżdżał pełen różnych mądrości i wrażeń, których okruchy padały przed zasłuchane oczy Jana

Dziechciarza. Wtedy właśnie zrodziło się w chłopcu z czworaków uczucie podziwu i wdzięczności dla młodego Balcerka. Podziwu dla jego wiedzy, która się mnożyła razem z paskami i wdzięczności, że tą mądrością chciał się z nim dzielić.

Potem, choć rzadziej, spotykali się nadal, to znaczy, że Dziechciarz zachodził do przestronnego domu w środku wsi. Balcerek po śmierci ojca objął gospodarstwo i ziemię, już nie opowiadał o dalekim świecie, pilnował przede wszystkim dochodów. Ale nawyk odwiedzin został, pieczętowany czasem drobną pomocą w okresie przednówka.

Kiedy we wsi powstawała spółdzielnia produkcyjna, Balcerek milczał. Zaczęły się dla niego od razu kłopoty z siłą roboczą, ale był na tyle mądry, że nie obnosił między ludźmi swego gniewu. Przeciwnie, mówił o tym, że wielkie gospodarstwa indywidualne są kulą u nogi gospodarza, że dławią go podatki, że chce część ziemi oddać spółdzielni i żyć sobie spokojnie na pięciu hektarach. Minęły dwie zimy, szła trzecia, ale Balcerek ziemi nie oddał. Ludzi do uprawy pola brał teraz z pobliskiego miasteczka. Płacił trzydzieści złotych dziennie i dobrze karmił, więc ludzie szli. Sam często spoglądał zza firanki, jak w puszystym kurzu przejeżdżały przez wieś traktory i pewnie obliczał, ile na tej mechanizacji zyskuje spółdzielnia.

Kiedy Dziechciarz przyszedł mu powiedzieć, że wstąpił do spółdzielni, Balcerek odszedł od okna i na jego dorodnej twarzy pojawił się uśmiech: „Co, angażujesz się politycznie w tych czasach?“ — Kowal zaprzeczył gorąco. Nie o politykę tu przecież chodzi, tylko o ułożenie sobie życia, o robotę, o spokojny przednówek. „Jak uważasz — Balcerek patrzył znów przez okno. — Ja cię odmawiać nie będę. To tylko oni mówią, że jestem wróg. Jeżeli uważasz, że będzie ci lżej, że powinieneś się z nimi wiązać, to w porządku“. I zaczął mówić o czymś innym. Dziechciarz wyszedł od niego niespokojny, daremnie szukał w tamtych słowach znaczenia niewypowiedzianych myśli, rozwiązania wątpliwości, które ich stara zażyłość powinna była wyjaśnić w tej rozmowie. Ale nie wyjaśniła i to niedomówienie zostało między nimi, chociaż Belcerek teraz zapraszał go nawet częściej do siebie i przy poczęstunku zakrapianym wódką znów rozmawiał o cudach szerokiego świata, jakby spółdzielnia w ogóle nie istniała.

Jadwiga wiedziała o tym i niepokoiła się tą przyjaźnią między oblatanym po świecie Balcerkiem a kowalem, któremu łatwo wszystko imponowało.

Janowi Dziechciarzowi było przyjemnie, że nauczycielka odwiedziła go w jego domu. Odsunął talerz, zapiął koszulę pod szyją.

— Nie przeszkadzajcie sobie — powiedziała i przysunęła się z krzesłem do stołu. — Muszę z wami pomówić o Staszku. Mam z nim kłopoty. Dzisiaj na lekcji rysunków po prostu zastrajkował. Klasa rysowała gołębia, a on mi powiedział, że to propaganda. Skąd takie powiedzenie u dziecka?

Dziechciarz obracał łyżkę w talerzu, pochylił głowę, jakby chciał bliżej się jej przyjrzeć. Nie odpowiedział od razu. Jadwiga widziała, że jego wilgotne czoło zmarszczyło się z wysiłku.

— Mały jeszcze i głupi, nie wie, co gada — powiedział wreszcie Dziechciarz.

— Wiem, że nie wie, co gada, tylko powtarza, co usłyszy, i dlatego właśnie do was przyszłam.

— Dlatego przychodzicie do mnie? Skąd ja mam wiedzieć, czy gołąb to propaganda czy nie? Co mnie do polityki? To nie na moją głowę. Ja się do niczego nie mieszam, chcę żyć spokojnie, pracować dla siebie i dla ludzi. Żyję uczciwie i dzieci chowam uczciwie. Co ja wam mogę powiedzieć? — rozłożył ręce.

Dłoń Jadwigi w kieszeni kurtki natrafiła na coś chłodnego. Klucz od bocznych drzwi szkoły. Westchnęła i zaczęła od początku:

— Chowacie, chowacie, a dzieciak gdzieś się uczy tych wszystkich głupstw. Jeżeli nie w domu, to może u Balcerka, wiem, że tam biega, nie tylko on zresztą — popatrzyła spod brwi na Dziechciarza i nagle poczuła, że wzbiera w niej złość. Taka pomocna, która daje jasność myślenia i odwagę słów.

— Wiem, że się przyjaźnicie z Balcerkiem, Staszek na pewno takie rzeczy słyszy u nich, albo — co gorsze — tu u was w domu. Przecież sam tego nie wymyślił, wiadomo, kto mówi takim językiem. Wiem i o waszej przyjaźni i o tym, że u Balcerka co wieczór radio pluje brudem, a oni z namaszczeniem słuchają. I trochę tego brudu padło już na waszego syna. W spółdzielni nieźle pracujecie, ale poza tym ani jednej myśli, ani jednej troski dla kolektywu nikt się od was nie doczeka. Boicie się polityki, a polityka sama do was przychodzi. I to przychodzi od wroga, przychodzi oszczerstwem w ustach waszego dziecka.

Dziechciarz wstał od stołu, podszedł do czarnego prostokąta okna. Mówiła teraz do jego pleców, zabiedzonych i wąskich, w których nie było kowalskiej siły. Stał do niej tyłem, ale było jej wszystko jedno.

Nie doszła jeszcze do dna złości, od której aż oddech stał się płytki i krótki.

— Wiecie, dlaczego jesteście tacy apolityczni? Myślicie może, że to nadzwyczajna uczciwość? A czy chcecie, żeby wasze dziecko wyrosło pokrzywione? Więc to nie jest uczciwość, tylko zwyczajne tchórzostwo.

Po tym słowie Jadwiga zatrzymała się na sekundę, a Dziechciarz odwróciwszy się spojrzał na nią. Podniosła dłoń zatrzymując jego słowa:

— Za chwilę będziecie mówić. Ja jeszcze nie skończyłam. Jesteście oburzeni: „Co, ja jestem tchórzem?" — powiecie. „Młodość przebiedziłem, dziedzice zmarnowali mi lata, które się ma raz jeden w życiu. Rzemiosła się nauczyłem, choć mogli mnie każdej chwili wyrzucić na pole, do spółdzielni wstąpiłem od razu, a ona mnie od tchórzów wyzywa". Więc powiem wam teraz, czego się boicie. Boicie się o swoje wieczory i o wygodę, boicie się trochę nudnych zebrań, a trochę Balcerka, i nie chcecie myśleć o tym, co się dzieje naokoło was, lecz bez was. Człowiek — chce, czy nie chce — musi być dziś po jakiejś stronie frontu. Nie ma ziemi niczyjej. Wy, nie chcąc być nigdzie, jesteście po tamtej stronie i syn wasz mi to za was powiedział. Czytaliście o zamordowaniu artysty, który mówił przez radio w Warszawie? On też walczył, poległ na polu bitwy. Strzelali do niego z tyłu, było ich czterech, a on jeden. Bali się spojrzeć mu w twarz. A potem wam mówią, że nie ma walki.

Jadwiga pochylona do przodu patrzyła na Dziechciarza. Nie ruszył się od okna, stał przecięty cieniem nisko wiszącej lampy, więc ściągnęła brwi, aby w półmroku dostrzec wyraz jego oczu. To nadało jej twarzy wyrazu surowości.

— Co ja wam powiem na to wszystko? — odezwał się zachrypnięty głos kowala. — Ja dużo przeżyłem, dwadzieścia pięć lat życia możecie mi wykreślić z rachunku. Tylko teraz, kiedy i w chacie ciepło i na wiosnę chleba nie zabraknie i dzieci obute do was, do szkoły chodzą, kiedy mogę im to wszystko dać z mojej pracy, teraz chciałbym żyć spokojnie. U mnie też już jesień, towarzyszko, czterdzieści lat.

Z mroku, który rzuciła do kątów noc, wyłoniła się jego pobladła, jakby pyłem przysypana twarz. Stał w czworackiej izbie, z której młoda spółdzielnia wydobyć go jeszcze nie mogła. Stara bieda siedziała po kątach, zjadła tynk szczerząc cegły. Po niskim suficie biegły brzegi zacieków jak wyschnięte jeziora. Czworaki w tym roku pokryto nowym dachem, podłogę połatano nowymi, żółtymi deskami. Lecz mimo to te cztery ściany były świadectwem tamtych lat. Tym bardziej uderzała wzrok wielka, połyskliwa szafa, kupiona przez kowala w tym

roku. Na stole leżał wyszywany obrus, na obrusie w zielonawym słoiku stały astry. Stały nie dając zapachu, strosząc jak z bibułki wystrzygane korony. Schły niedostrzegalnie, wyrwane z deszczu i wiatru. Jadwiga odwróciła głowę i spotkała się ze wzrokiem kowala:

— Sądzicie, że ja nie myślę, że gazet nie czytam? Czytam, pewnie że nie co dzień, ale czytam. — Powiedział uczciwie; czuła, że dotknęła go swoimi słowami w jakieś wrażliwe miejsce. — Mój syn powiedział głupstwo, nie wiem, skąd mu się to wzięło. Mówicie, że walka, że zabili w Warszawie. Czytałem: draństwo, nie ma co mówić. Tylko że Warszawa to wielkie miasto, stolica, wielka polityka idzie stamtąd na cały kraj, to i walka jest tam, tamci w serce kraju biją. Ale tutaj? U nas, w spółdzielni? Wieś na boku, nawet o niej powiat nie pamięta, trzeba było trzy razy do nich jeździć, zanim pługi wypisali. Ludzie pracują, urodzaj był niezły, każdy zarobek liczy. Więc gdzie wy tu widzicie politykę i walkę? Żyje się po prostu i pracuje, zwyczajnie.

— A jak wy myślicie, będzie wojna? — zapytała Jadwiga i podniosła się z krzesła, żeby nie patrzeć na Dziechciarza z dołu. Sama nie wiedziała, dlaczego nagle zadała to pytanie, właściwie nie bardzo wiążące się z rozmową.

Bo ja wiem? Wojny zawsze były i pewnie będą. Ale to straszna rzecz, więc robi się propagandę... — urwał po tym słowie, aż o krok się cofnął.

— A dlaczego taka straszna? — Jadwiga atakowała dalej.

Dziechciarz przekrzywił głowę.

— No, bo kraj byłby zniszczony — odpowiadał jak uczeń w szkole. — Bo Warszawa byłaby znów jak po powstaniu, kupa gruzów... I tamci do dworu mogliby znów wrócić...

— Owszem, macie rację. Ale czy pomyśleliście kiedykolwiek, co by się stało ze spółdzielnią, gdyby po takiej wojnie Polska Ludowa przestała istnieć i do pałacu wrócili dziedzice?

— Nie myślałem — wyznał szczerze. — Ale spółdzielni pewnie by nie było, bo gdzie tam mówić o spółdzielni w takich czasach jak nasze przedwojenne...

— Właśnie. I jeszcze jedno. — Jadwiga wydobyła do walki najcięższy oręż. — Co by się stało z waszym życiem, z tym spokojem, którego chcecie na starość? Od którego i teraz oderwać się nie możecie, uważając go za dobro ostateczne waszego życia, choć jeszcze za wcześnie na obrachunek, towarzyszu. Dziedzic wziąłby was znów do siebie i znów wami poniewierał, aż do starości, aż do śmierci.

Poczuła gorąco, rozejrzała się po izbie. Brakło jej powietrza. Miała wrażenie, jakby pięła się po wysokiej, gładkiej skale, i oto stanąwszy na szczycie ujrzała widok, który nie dał jej uspokojenia. Dziechciarz stał przed nią bez ruchu, jego milczenie nakazywało jej mówić dalej. Nie przeszkadzał jej, ale chwilami czuła, że grunt usuwa się jej spod nóg. Kowal patrzył przed siebie i w pewnym momencie była prawie pewna, że jej nie słucha.

Teraz umilkła, zaczęła zapinać kurtkę. Gospodarz dostrzegł to, powiedział, aby zjednać ją swoją dobrą wolą:

— Toteż ja wcale nie mówię, że chcę wojny. — I dodał, ale już zdawkowo, uprzejmie:

— Ja się od roboty nie uchylam, ot teraz kazali mi pomóc przy dostawie zboża do punktu skupu w gminie. Jak kazali to zrobię, ale czy nie większy pożytek byłby, gdybym zamiast na to czas tracić, w kuźni swoje robił? Wojna rzecz straszna, czy ja nie pamiętam? Najlepiej to żyć spokojnie. — Widocznie musiał to dodać. Zrozumiała z tych słów, że nie potrafiła zburzyć w kowalu tego największego jego przeświadczenia: że tak jak żyje, żyje najlepiej.

W drzwiach przeszła obok żony Dziechciarza, która weszła w światło wnosząc ze sobą zapach wilgotnej chustki i świeżego mleka.

Na dworze uderzyły w Jadwigę cieniutkie sznureczki deszczu. Ciemność była popielata, pełna mgły. Czarne konary podobne do wyciągniętych dłoni splatały się i rozplatały, męczone przez wiatr. Prostokąty domów przy drodze były zatarte, jakby oglądane przez matową szybę, Z okien sączyło się pęczkami żółte światło, plamiąc mleczny świat. Potężny przypływ wiatru na czarnym morzu nieba szedł górą, nad pustą ulicą. Bliżej, pod stopami pluskało błoto. Psy szczekały gdzieś daleko, w końcu wsi. Przez welwetową kurtkę docierał chłód, włosy zrobiły się ciężkie od wilgoci. Jadwiga szła byle jak, nie omijając szerokich kałuż.

W świetlicy przy szkole wielkie okna jaśniały, przedzierały się przez mgłę. Doszedł do niej strzęp melodii, dwa takty wysokiego, dziewczęcego śmiechu. Ale szybko skręciła za róg, dopadła do drzwi przybudówki. Obróciła rozgrzany w dłoni klucz, który do tej pory trzymała w zaciśniętej ręce.

Pościel była ciepła, dała odprężenie mięśniom. Jadwiga leżała nie patrząc i nie słuchając, choć oczy miała otwarte w ciemności. Próżno łowiła uciekający sen.

Nie potrafiła przekonać Dziechciarza. Nie potrafiła zdobyć człowieka dla tej najważniejszej sprawy, w której zamyka się ich przyszłość. Ta

myśl stawała między nią a snem. Nie lubiła słowa „agitator". Miało dla niej jakiś posmak demagogii, choć wiedziała, że jej praca w szkole i stosunki ze spółdzielcami noszą częściowo ten właśnie charakter. Znając wieś rozumiała, że dzień założenia spółdzielni nie był metą, tylko startem tego wysiłku, z którego mieli wyrosnąć ludzie socjalistycznego myślenia.

Pościel stała się gorąca, ciemność nauczycielskiego pokoiku napełniły zarysy sprzętów. Jadwiga przesunęła głowę na inne, chłodniejsze miejsce na poduszce i raz jeszcze przeszła myślą swą rozmowę z Dziechciarzem. Czy całkowicie była zmarnowana? Czy potrafiła chociaż w jakimś stopniu zwrócić jego uwagę na związek dzisiejszego wydarzenia w szkole z niebezpieczeństwem, jakie może zagrozić i jego spokojowi? W pewnej chwili aż sama się zdziwiła jak te dwa pojęcia: los nowej wsi i pokój — ciasno się przeplatają w jej myślach, i w rozmowach z chłopami, ba, nawet w odpowiedziach takiego Dziechciarza.

Nie potrafili mówić o tych rzeczach osobno, istniał w nich jakiś organiczny związek przyczyny i skutku. Przyczyną była spółdzielnia, skutkiem pokojowa w niej praca. I to było dobrze. I to jest słuszne. Poczuła radość. Ulgę, że tak jest.

Nie zdawała sobie sprawy, że się uśmiecha w ciemności. Przytuliła mocniej twarz do szorstkiej, pocerowanej koronki zagłówka, przymknęła oczy. Sen, który miał zaraz przyjść, dzwonił już w ciszy pogodnym spokojem.

3

Dziechciarz ujrzał Balcerka kręcącego się po podwórzu w krótkim kożuszku przepasanym rzemieniem i w miejskim, wypłowiałym od deszczu kapeluszu. Balcerek nigdy nie nosił czapki, ten kapelusz to była chyba ostatnia jego więź z dawniej projektowaną karierą mieszczucha. Kowal nie wiedział, czy wejść, przypomniał sobie o zbożu, ale tamten właśnie go dostrzegł, uśmiechnął się przyjaźnie:

— Nie zajdziesz? Skończyłem na dzisiaj zwózkę buraków, albo i nie skończyłem, chyba można kiedy skończyć robotę? — Nie przestawał się śmiać, prawie wesoło, pokazując wielkie, białe zęby w podłużnej twarzy.

Dziechciarz wyszedł dzisiaj z pracy wcześniej. Wczorajszy wieczór utkwił w nim jak drzazga, nawet do roboty nie mógł się przyłożyć. Kręcił się po kuźni, z otwartych drzwi szedł czysty chłód, bez śladu wczorajszej mgły, ogień w tym chłodzie roztaczał niewielkie koło po-

marańczowego gorąca. Oddechy miechów i dźwięczne uderzenia żelazem o żelazo nie potrafiły zagłuszyć w Dziechciarzu tego niepokoju. A najgorsze ze wszystkiego było to, że czuł się w porządku i wobec nauczycielki i wobec siebie. Potem przypomniał sobie, że trzeba dzisiaj jeszcze przygotować zboże spółdzielcze dla gminy i to go nawet ucieszyło: widocznie ten obowiązek nie dawał mu pracować spokojnie. Po raz pierwszy z ulgą opuścił kuźnię po południu. Na podwórzu dogasał dzień roboczy. Przy biurze spółdzielni stało kilku mężczyzn, rozmawiając o planowanych na jutro robotach. Dojarki przy oborze toczyły bokiem puste jeszcze, metalowe bańki na mleko. Chłopiec w wysokich, umazanych ziemią butach wiódł przy pysku konia. Za koniem podskakiwały na okrągłych kamieniach zębate brony. Szły jesienne siewy. Niebo po wczorajszym dniu było niespodziewanie czyste, opalizujące bliskim zachodem. Tylko wiatr nie ustał, pędził między budynkami, groził szybką zmianą pogody. Dziechciarz minął z daleka ludzi przed biurem, w ogóle bardzo rzadko tam zachodził. Chyba przy końcu miesiąca, aby obliczyć dniówki. Wyszedł na drogę pełną brudnych jezior i przyschniętych kolein. Ze ścieżki wiodącej do zagonów pod lasem wyszła grupka okutanych po nosy kobiet z motykami na ramionach. Rozchodziły się szybko, nie żegnając się znikały za ogrodzeniami. Z drzew ogrodów wiatr zrywał osłabłe liście i rzucał je w kałuże na drodze. Złociły się chwilę jak kawałeczki słońca, potem tonęły w błocie.

Dziechciarz nie poszedł do domu ani do składu zboża. Bezmyślnie prawie szedł ku wielkiemu szaremu domowi w środku wsi. Pewnie w tym trudnym dniu chciał być z uczonym Balcerkiem. Tyle lat to robił, przywykł, nie myśląc o tym, że tak jest. Teraz też dał się zapraszać, wykręcał się robotą, w końcu wszedł jednak na wykładany chodnik, wiodący do betonowego progu.

— Co, tak wcześnie po robocie? — zapytał Balcerek, schylając się nad uprzężą, która leżała między nimi na starannie wymiecionym podwórzu.

— Tak. Mam jeszcze wieźć zboże do gminy, wiesz, tegoroczne zobowiązanie.

— Danina, można powiedzieć. To dobrze się składa, ja też powinienem oddać jak najprędzej, nawet dziś, bo znów karą mi grożą. Więc może, kiedy już jedziesz, dodam ci tych 400 kilo. Oddasz za mnie, dam ci papiery. Zośka znowu coś narzeka, wolałbym nie wyjeżdżać, boję się, żeby nie było jak ostatnim razem. — Żona Balcerka poroniła na wiosnę, chciała bardzo córki, mieli tylko chłopca, Witka, w wieku

Staszka. — I tak weźmiesz wozy ze spółdzielni, to cztery worki przecież ci nie zawadzą, no nie?

— Pewnie, to nic wielkiego — zgodził się kowal. — I po chwili, decydując się: — Mam zmartwienie ze Staszkiem. W szkole na niego narzekają, wczoraj dopiero w nocy do domu wrócił. Bić go nie chcę, bo nie trudno rozum do ostatka wybić, ale co z nim robić?

— Nic nie robić. Co się martwisz? Wczoraj u nas siedział. Z Witkiem w mechanikę się bawili, kolację dostał. Wiesz, że traktor razem budują z korków i pudełek. Widocznie ta propaganda już i na moje dziecko podziałała. — Balcerek znów zęby pokazał, nie przestając oglądać chomąta.

— Właśnie, ta propaganda. Staszek nauczył się tego słowa i w szkole, kiedy rysowali gołębia, powiedział, że gołąb to propaganda — zaciął się. — Wiesz, jaki to chłopiec.

Balcerek stał jeszcze chwilę pochylony, potem wyprostował się nagle, jakby go kto z tyłu za kark chwycił. Popatrzył na kowala, nos dziwacznie zmarszczył, potem zadarł głowę do góry i niespodziewanie, przed surową twarzą Dziechciarza zaniósł się śmiechem. Śmiał się jakoś krzykliwie, śmiał się, nie mogąc opanować skurczu twarzy, aż z tego wysiłku chwycił się rękami za rzemień przy kożuszku.

— Tak powiedział? Że gołąb to propaganda? I rysować nie chciał? Cha, cha, cha... A to dopiero... Oj, nie mogę... Oj, Janie, Janie!... Ty w kuźni, ty w spółdzielni, a tu syn strajkuje!... Cha, cha, cha... Dziewięć lat, i że gołąb to propaganda!... A to dobre!

Dziechciarz poczuł, jak cięży mu na barkach kurtka. — Czy to wszystko, co ma Balcerek do powiedzienia? Tylko ten śmiech? Pewno tamten wie, dlaczego się śmieje, co w tym wszystkim jest wesołego, przecież wiadomo, że więcej wie od niego, więc powinien mu powiedzieć, po przyjacielsku. A nie śmiać się tak przed nim, Janem Dziechciarzem, jakby się z niego śmiał. Przypomniał sobie nagle jakieś zdanie nauczycielki i powiedział:

— Słuchaj, przestań. Co w tym śmiesznego, że chłopiec głupstwa mówi? Ja chcę wiedzieć, skąd to przyniósł, dlaczego mi wstyd w szkole robi. U was się nauczył? — popatrzył bokiem na Balcerka, jeszcze niepewny swojej urazy.

Tamten umilkł. Jakby mu kto gąbką starł śmiech z twarzy. Na to pytanie oczy mu błysły, ale natychmiast zagadał pojednawczo:

— Co się przejmujesz smarkaczem? Ty go tego nie uczysz, więc co cię to obchodzi? Może i u nas posłyszał, czy ja wiem? Dom nie kościół, no nie? Zresztą wiesz, tak samo jak i ja, że to propaganda, te białe go-

łąbki na afiszach. Ale co nas to obchodzi? Ty pracujesz w spółdzielni, mówisz, że zarabiasz nieźle, jak też pracuję, tyle że na swoim i dla siebie, ale państwu oddaję, co każą, choćby to zboże. Więc co nas obchodzi polityka? Czy w naszej zapadłej, przepraszam, spółdzielczej, idącej do dobrobytu wsi, jak wy mówicie — kąt ust Balcerka uniósł się ironicznie — jest miejsce na politykę i tę ich walkę klas? Ale co tam! Chodź do śpichlerza, pokażę ci worki, które weźmiesz do gminy. Cztery niewielkie, nie bój się, ale lepiej nie mów o tym w biurze. Po co mają wiedzieć, że po starej znajomości chcesz mi pomóc, kiedy żona choruje. Zapalisz?

Dziechciarz szedł z tyłu, czuł gorycz w ustach. I jakby lęk. Nie przed tym, że w tajemnicy ma zawieźć pszenicę tamtego do punktu skupu. Jakiś inny, którego przyczyny szukał jeszcze.

— Może chłopca dasz, żeby było w porządku? A ja na swój wóz wezmę.

— Kogo, Witka? Co ci po nim...

— Nie, tego, co w oborze i w stajni ci pomaga. Zawsze ktoś od ciebie.

— Jak chcesz — Balcerek był widocznie zniechęcony. — Takie głupstwo i tyle zachodu. W punkcie będzie pełno ludzi, dziś chyba ostatni dzień terminu. Więc wysypiesz moje worki na kupę ze zbożem, dasz papiery i koniec. Kto się będzie przypatrywał, czy to twoje czy cudze? Worków i tak będziecie mieli dużo. Przecież nie jedziesz sam?

— Nie, jedzie jeszcze dwóch, trzy wozy jadą.

Ten lęk. Mówił o rzeczach nieważnych — przecież rzeczywiście może sam oddać zboże Balcerka — a lęk nie ustępuje. On, Dziechciarz, powiedział do nauczycielki: „Pracuję i ludzie pracują coraz lepiej, więc jaka tu w naszej wsi polityka i walka? I Balcerek powiedział: „Gdzie w tej zapadłej wsi jest miejsce na politykę i waszą walkę klasową?"

Balcerek, bogacz na 24 hektarach, powiedział jego słowa. Czyli że on, Dziechciarz, myśli tak jak Balcerek. Ale tamten śmieje się z jego wstydu, ze Staszka, z gołębia. A jak można myśleć jednakowo, jeżeli jego zmartwienie, jego niepokój po wczorajszej rozmowie i to dziecko, które częściej siedzi tutaj niż we własnej izbie w czworakach, które przynosi do szkoły obce myśli, jeżeli to wszystko, co gryzie Dziechciarza od wczoraj, a może i dłużej — wywołało u Balcerka tylko ten śmiech. Jak można myśleć jednakowo? Rozdzielił ich ten wybuch niedobrej wesołości. Szedł z Balcerkiem, ale czuł, że jest sam ze swoim smutkiem.

Weszli do małej, ciemnej komórki, pełnej dusznego zapachu ziarna. W oszalowaniu z desek żółciła się pszenica. W kącie stały cztery pękate worki. Balcerek siadł na szczeblu wiodącej na stryszek drabiny,

Dziechciarz jakby słabością zdjęty osunął się na deski leżące stertą na ziemi.

Balcerek miął w ustach zgasły papieros, nie odrywał wzroku od Dziechciarza. Spojrzenie miał uważne, napięte, dlatego ton, w jakim się odezwał, wydał się kowalowi niewspółmiernie lekki:

— Zresztą, co się będziemy kłócić. Nie od dzisiaj się znamy, ja ciebie szanuję, ty mnie znasz także. Uczyłem się trochę, świat widziałem, więc jak możesz chcieć, żebym pochwalał to, co się teraz robi? Końca z końcem związać nie mogę, ale trudno, nie narzekam, choć wrogiem jestem, pewnie nieraz ci o tym mówili. Tu nie o to chodzi. Potrafię żyć na trzech hektarach, byle mieć spokój. Tylko mnie razi co innego. Że ta Polska Ludowa, to sprawiedliwość, to pokój, a jaka tu sprawiedliwość, kiedy ja płacę podatki takie jak wy wszyscy razem!? Na ich nieszczęście pamiętam jeszcze dawne czasy, mnie nie zawiążą oczu czerwoną szmatą.

Dawne czasy. Dziechciarz nie pamiętał tym razem słów nauczycielki, bo stanęły mu w wyobraźni obrazy z tamtych lat. Pamięć nie pozwalała mu nigdy usunąć ich poza krąg świadomości, poza obecne, uregulowane życie.

Teraz przywoływał te obrazy. Pamiętał pierwszą młodość i dojrzałe lata, kiedy już rozumiał swój los. Los podobny do ciemnej komórki, na kłódkę pańską zamknięty. Myślał o tym, kiedy tamten mówił o sprawiedliwości.

— Chcą pokoju, może. Bo się boją wojny, bo wiedzą, że jak się zacznie, to ich i ich porządek diabli wezmą. Myślisz, że Ameryka nie wie, co się dzieje? I wie o tym, że im prędzej zacznie, tym łatwiej przyjdzie zwycięstwo. — Balcerek wypluł sobie pod nogi papierosa.

— A jeżeli my nie zechcemy się bić? — wyrwało się nagle kowalowi.

— Jakto, nie zechcemy się bić? To tym lepiej, tym szybciej skończą.

— A jeżeli i tam nie zechcą się bić? Bo przecież wojnę robi się ludźmi, a nie rozkazem, że trzeba umierać, bo tu jest Polska Ludowa. — Dziechciarz poczuł przewrotną przyjemność, kiedy zobaczył zdziwione usta tamtego. Powiedział, bo tak pomyślał właśnie, choć zdawało mu się, że te słowa pewnie gdzieś wyczytał. I rzekł, zanim tamten usta zamknął:

— Wojna to wielka polityka, ale na przykład dla mnie, to byłby koniec wszystkiego. Znów pójść pracować na cudzym i jeszcze dobrego słowa nie usłyszeć? Dla ciebie tamte czasy — to przyjemne wspomnienie i nadzieja, że tak jeszcze może być, a dla mnie to największe nieszczęście, kiedy po tych kilku latach trzeba by było patrzeć w domu na

głodne dzieci. I w kuźni już by miejsca dla mnie nie było, wiem na pewno, ja też pamiętam tamte lata. A zresztą skąd wiesz, że po takiej wojnie ty byś jeszcze żył? — Dziechciarz popatrzył w stronę drabiny, jakby zrobił wielkie odkrycie. — Może my u nas na wsi nie robimy polityki, ale w Warszawie, wiesz, że za mówienie przez radio zabili jednego?

Balcerek zlekceważył to zupełnie, machnął ręką.

— Słyszałem i o procesie i o wyroku, ale słyszałem także, że ich zasądzili po prostu za to, że słuchali „Głosu Ameryki". Nawet z dobrego źródła słyszałem. Taka agencja podała. Amerykańska agencja prasowa, a oni chyba sprawdzają wiadomości, więc masz swój proces. Nawet z początku wierzyć nie chciałem, ale dlaczego mam nie wierzyć? Na pokaz zasądzili, żeby ludzie radia bali się słuchać.

Dobre źródło — to był pewnie ten drążek anteny na czerwonym dachu naprzeciwko, na który teraz patrzył Dziechciarz. I jego syn, Staszek, też słuchał tamtych kłamstw, kiedy wieczorami przesiadywał u Witka. I ten też kłamie, bo tak każe mu mówić obca korzyść i jego własna, kułacka krzywda.

Dziechciarz po raz pierwszy pomyślał o Balcerku: „kułak". Podniósł się z desek, podszedł do worków z pszenicą. Powiedział patrząc na nie zupełnie spokojnie, tak oczywiste było tamto kłamstwo z radia:

— Sam w to nie wierzysz, na pewno. Wiem, że słuchasz Ameryki, wszyscy po trochu o tym wiedzą. Więc co, czy ci proces mają zaraz zrobić i na śmierć skazać? To głupio z ich strony, że tak piszą. Po co ludzi straszyć? Sami sobie dołek kopią. I jeszcze wtedy, kiedy kłamstwo łatwo sprawdzić można. A ten zabity miał małe dziecko, takie jak twój Witek albo mój Staszek. I żona mówiła na procesie, patrzyła na tych, co zabili... — Patrzył na worki, i nagle w przypływie złości, że Balcerek mógł jemu, kowalowi spółdzielczemu, jakby nigdy nic opowiadać takie rzeczy — kopnął z całej siły najbliższy worek. I natychmiast zdziwiony podniósł głowę. Balcerek równocześnie prawie znalazł się tuż przy nim, ścisnął mu ramię:

— Uważaj, bo rozsypiesz — krzyknął, ale cicho, gdzieś z piersi. W następnej sekundzie przełknął ślinę i rzekł już uśmiechnięty, tamten uścisk ramienia pieczętując klepnięciem po plecach: — Nie mam worków zapasowych, jeżeli je podrzesz, nie spełnię dzisiaj zaszczytnego obowiązku wobec państwa ludowego — zmrużył oko. — No, czego się złościsz? Czyż nie można czasem otwarcie porozmawiać? Przecież z nikim bym tak nie mógł, tylko z tobą.

Ale Dziechciarz trwał w zdumieniu, długo patrzył na Balcerka szeroko otwartymi oczyma, jakby dojrzał coś szczególnego w tej ładnej, pogodnej twarzy. Potem przymknął oczy, pochylił głowę i rzekł:

— Otwórz worek, chcę zobaczyć ziarno, którego sam wieźć nie chcesz.

Następną minutę, a może ułamek sekundy wypełniła cisza tak głęboka, że słychać było skrzyp wozu na drodze i głos pokrzykujący na konie.

— Co ci się stało? Dlaczego mam nagle worki otwierać? Nie wiedziałem, że sobie tak weźmiesz tamto do serca. Powiedziałem ci zresztą, że masz rację, że sam tej wiadomości nie wierzę. Czytałem proces w gazecie, pewnie, że to świństwo.

Mówił spokojnie, ujął Dziechciarza pod ramię:

— Chodź do domu, Zośka coś znajdzie dla nas. Jeść mi się chce, tobie chyba też. To wszystko ta historia ze Staszkiem w szkole. Trzeba mu wytłumaczyć, chodź, pomówimy spokojnie. — Pociągał go lekko w stronę wyjścia.

Ale Dziechciarz wparł się w ziemię i nie podnosząc głowy powtórzył:

— Otwórz worki.

Balcerek nie przestawał mówić. Dziechciarz widział jego twarz, jak na ekranie w niemym filmie. Wielka twarz tuż przed nim, poruszające się usta, krople potu w rzedniejących nad czołem włosach. Oczy, które stopniowo traciły pogodę, traciły spokój. Balcerek mówił i mówił, a do kowala spółdzielni nie dochodził ani jeden dźwięk. Tylko tamte oczy w mroku komórki, biegające po kątach jak dwa szczury w pułapce.

Wtedy zrozumiał, że sam musi to zrobić. Schylił się powoli, nie przestając patrzeć na kułaka. Kiedy rozplątał pierwszy węzeł, zdawało mu się, że Balcerek go uderzy. Ale tamten wyjął tylko chustkę i otarł nią twarz. Odezwał się prawie spokojnie, choć głos miał trochę za wysoki:

— Pszenicy nie widziałeś? Mój parobek nasypał z zeszłorocznych ostatków, sam nie wiem z których. Oglądaj, jak cię nagle taka ciekawość zdjęła. Ja idę do domu. — Wyszedł. Na środku podwórza zatrzymał się jeszcze, zapalił nowego papierosa, pochylając głowę ku dłoniom z płomykiem zapałki. Ruchy miał zwolnione, jakby czuł, że kowal patrzy za nim.

Mrok gęstniał, Dziechciarz musiał pochylić się nisko, aby dojrzeć ziarno. W dłonie je wziął, sypkie i śliskie, i patrzył. Potem sięgnął głębiej i znów badał. I aż się zdziwił, że nie jest zaskoczony. Jakby to, co odkrył, było naturalnym zamknięciem ich rozmowy, ich starej znajomości, jego własnego, bezpiecznego czasu. Powiedział:

— Wołek! — i odetchnął głęboko, z ulgą, patrząc na czarnego żuczka w jaśniejszej od dłoni pszenicy. Nie wołek przyniósł mu ulgę, tylko to, że już wiedział.

Dopiero kiedy wyszedł na ulicę, doszło do niego całe zrozumienie. Oparł się o żelazną bramę Balcerkowego gospodarstwa i stał tak, targany wiatrem. Stał długo, jak ciężko chory, niezdolny do tego, aby opanować drżenie nóg. Myślał i zwolna przejęło go zimno, które nie było chłodem jesiennego wieczoru. Poczuł ból zaciśniętych dłoni. I może te pięści pomogły mu w sformułowaniu na głos ostatniej myśli, zanim ruszył do biura spółdzielni:

— To moimi rękami chciał zarazić całe ziarno. Przygadał mnie sobie przez te lata. I mnie zaraził...

Powtórzył ciężko:

— Moimi rękami.

I obejrzał te ręce, przeżarte pracą i żelazem, chude i silne, potrzebne spółdzielni, potrzebne do walki w ich wsi.

4

Pokoik Jadwigi był niewielki, bielony, z małym oknem za firanką. Na parapecie stały rzędem w malutkich doniczkach kaktusy: niektóre tłuste i woskowane, inne wąsate i kłujące.

Przed oknem znajdował się stół do wszystkiego. Przy nim się czytało, jadło, poprawiało wieczorem wypracowania. Od roku nad stołem wisiała elektryczna żarówka, okryta różową chusteczką z frendzlami. Różowe światło bowiem wydawało się Jadwidze szczególnie przytulne w nieprzyjazne, jesienne wieczory. Była wtedy sama z myślami dzieci na białych kartkach, do okna dobijał się wiatr, na kuchence mruczał czajnik, na kołdrze leżała niedokończona książka i od tego wszystkiego szło ciepło aż do serca.

Teraz był jasny dzień. Jadwiga wróciła ze szkoły, jak zwykle trochę przestraszona tym, że trzeba kombinować obiad. Chwyciła wiadro, narzuciła na welwetową kurtkę pled, wyszła na podwórze.

Wiatr przez noc podsuszył błoto, do studni wiodła ścieżka wyznaczona rzadkimi cegłami, na które trzeba było umiejętnie skakać, kiedy zamieniała się w strumyk błota. Jadwiga krzyknęła niegroźnie na kilku chłopców, którzy zataczali w opętańczym biegu kręgi na podwórzu szkolnym, zamiast iść do domu. Byli różowi, z buraczkowymi nosami, z butów — na wyrost — wyglądały im cieniutkie, sine łydki. Sapali i prychali, dawno pogubili czapki, kotłowali się i pędzili. Jadwiga przy-

stanęła mimo woli i dopiero po chwili dostrzegła, że powodem tego szaleństwa była mała, szmaciana piłka, miękka i nieruchawa. Piłka z matczynej pończochy. Nauczycielka znała ją dobrze. Popatrzyła z obawą na grządkę ze zniszczonymi przez Staszka astrami, przypomniała sobie ów pamiętny dzień z gołębiem. Nie będzie tej jesieni astrów w jej pokoju, w glinianym dzbanku między kaktusami.

Korba studni piszczała, wiatr szamotał chustką, z pola, które dochodziło prawie do szkoły, słychać było warkot traktoru.

Wracając z chlustającym wiadrem Jadwiga mogła dostrzec zrudziałe od wilgoci rżysko i czarne pasmo rozpoczętej orki. Traktor cichł głuszony przez niespokojne powietrze, dochodził do horyzontu, robił się mały jak chrabąszcz. Szedł powoli, chyba na pierwszej szybkości, w lepkiej glebie, która czepiała się kół. Traktorzysty poznać nie mogła, choć głowa jego wystawała ponad motor. Minęła okna świetlicy i klas, ciemne i ciche o tej porze. Przeszła cała wiatrem. Kręciło się jej w głowie od tego świstu.

W pokoiku było ciepło i cicho, postawiła wiadro, obróciła się w stronę kuchenki i zdziwiona uniosła brwi.

Przed kuchenką, trochę pod światło, stał Staszek Dziechciarz. Poznała jego wysokie, jakby w stałej obronie podniesione ramiona i kępkę włosów sterczących jak pędzel na czubku głowy. Poznała go od razu, zanim dojrzała w cieniu okna jego twarz.

Staszek stał bez ruchu, z założonymi do tyłu rękami. Jadwiga ściągnęła chustkę, położyła ją w nogach łóżka.

— Pani się na mnie gniewa i nie chce do mnie mówić, ja sam wiem. — Staszek odezwał się pierwszy, ale ani jeden szczegół w jego postaci nie stracił napięcia. — Proszę pani nauczycielki, ja przyniosłem coś — recytował dalej szybko. — I przyszedłem do pani nauczycielki, bo w klasie trochę się bałem i chciałem, i nie, a potem był dzwonek i nie było czasu. Ale teraz już trzeba oddać, bo do domu nie pójdę, jak nie oddam. Tata powiedział, żebym się nie pokazywał. Pani pewnie krzyczeć będzie, ale już wolę to niż złość taty, który mówi, że trzeba mnie wychować na człowieka, więc ja się pasa boję i już wolę oddać.

Nabrał w piersi powietrza, aż ramiona podniosły się jeszcze wyżej i zrobił dwa kroki naprzód. Wyjął rękę zza pleców i podał Jadwidze biały kartonik.

Jadwiga popatrzyła i jakby nie było tych trzech dni, wróciła jej od razu dawna skłonność do śmiechu, którą często trzeba było poskramiać w imię nauczycielskiego autorytetu. Łaskotało ją w gardle. Aż ślinę

musiała przełknąć kilka razy. Na kartoniku — chyba pokrywce od pudełka — widniało dziwne, opierzone zwierzę na dwóch krótkich nóżkach i bez ogona. Pod spodem wypisane było rozlewającym się atramentem, ale starannie, po linijce: „Rysunek z pamięci". A jeszcze niżej jednym zdaniem: „Stanisław Dziechciarz z III klasy ptak pokoju".

— Dlaczego nie ma ogona ten twój gołąb? — Jadwiga pochyliła się niżej nad rysunkiem, żeby nie pokazać wyrazu oczu.

— Bo, proszę pani, naszemu gołębiowi też odpadł ogon. Kiedy chciałem go narysować nie z pamięci, tylko tak, to chłopcy mi go nie chcieli dać, bo mówili, że nie mam do niego prawa, więc troszkę tośmy się pobili i wtedy gołębiowi odpadł ogon. Potem ja narysowałem jak pamiętałem, żeby było z pamięci, a chłopcy schowali go za szafę, bo się pani bali. Ale to ja jestem wszystkiemu winien i sam się bałem też. — Mówił po swojemu, niewiele z tego strachu pokazał w swoim głosie. Pewnie jako dodatkową karę, nakazał sobie patrzeć Jadwidze prosto w twarz.

— I jeszcze coś pani przyniosłem — dodał szybko. — To już nie tata, to ja sam. Za tamte, co zniszczyłem na grządce. — Wyciągnął drugą rękę założoną dotąd w tyle i znanym od kilku stuleci ruchem kawalera na oświadczynach — podał nauczycielce bukiet kwiatów.

Były takie same, staro-złote, pełne rosy. Były bez zapachu. Kiedy przytuliła do nich twarz, pachniały jesienią. Pomyślała, że są chyba w czymś podobne do Staszka: takie nastroszone i sztywne. Z charakterem.

Aby lepiej dojrzeć, wzięła go za ramiona i obróciła ku światłu. Lecz nie zdjęła rąk. Patrzyła w tę odważną, dziecinną twarz, w uparte brwi, zrośnięte nad małym, okrągłym noskiem, w oczy jeszcze większe od niepotrzebnych, zbyt długich rzęs. Potem przysunęła Staszka bliżej, aż do welwetowej kurtki i rzekła wesoło:

— Ptak pokoju z trzeciej klasy. Ach ty mój ptaku pokoju... Rzeczywiście z ciebie to ładny ptaszek.

Zofia Bystrzycka

CHARYTKI [1]) czyli POSŁANIE DO HIERONA

Ma to Muza na myśli, ma na myśli śpiewak,
By głosić chwałę bogów, chwałę ludzkich przewag.
Muza, że jest boginią, niech bogów wynosi;
Kto śmiertelny, niech sławę śmiertelników głosi.

Któż więc z tych, co pod jasną mieszkają jutrzenką,
Gotów Charyty moje szczodrą przyjąć ręką,
A nie — odprawić nazad, skąpiąc im jałmużny?
Te zaś wracają bose i gorzko kpią ze mnie,
Że iść w taką im drogę kazałem daremnie,
I lękliwie przycupną na dnie skrzyni próżnej,
Na zziębnięte kolana opuściwszy głowy,
Jako zawsze, ilekroć doznają odmowy.

Bo któż dzisiaj z nagrodą dla pieśniarza śpieszy,
Jako dawniej bywało? Nikogo nie cieszy
Pochwała czynów zacnych; każdy dba o siebie.
Dłoń wetknąwszy w zanadrze, patrzy tylko, gdzie mu
Co przypadnie, a kęsa nie dałby drugiemu.
„Bliższa koszula ciała! Sam jestem w potrzebie! —
Powiada — Śpiewakami niech się niebo zajmie!
Po cóż nowi poeci? Jest Homer — i dosyć!
Ten poeta najlepszy, co kosztuje najmniej".

Nierozsądny ciułaczu! Na cóż złota stosy-ć
Zdadzą się niezużyte, gdy sam rozum przecie
Dyktuje, by część sobie, część oddać poecie,
Krewniaków poratować, z ludzi pomóc komu,
Hojne składać ofiary na ołtarzach bogów,
Dla gości mieć otwarte na ścież wrota domu
I, kiedy odejść zechcą, odprawić od progów,
A zwłaszcza cześć oddawać Muzy świętym sługom,
Abyś zszedłszy w podziemia i tam zażył chwały,
Nie zaś jęczał bezsławnie nad Styksową strugą, [2])
Niczym nędzarz o dłoni od rydla stwardziałej,
Co nad ubóstwem własnym i swych ojców szlocha.

Na dworze Aleuasa i króla Antiocha [3])
Niejeden brał parobek zasługi miesięczne;
W posiadłościach Skopadów [4]) stada krów tysięczne
Ryczały, gdy o zmierzchu gnano je do obór;
U gościnnych Kreondów [5]) rzadkich owiec dobór
Tłoczył się dniem i nocą na polach Krannonu.

Lecz cóż im stąd za korzyść? Gdy miłego ducha
Oddali, by wsiąść w tratwę hadkiego starucha. [6])
W zapomnieniu, majętność porzuciwszy oną,
Wiek cały śród mdłych trupów leżeliby w ziemi,
Gdyby wielki mistrz z Keos [7]) słowy uczonemi
Nie powierzył ich imion wielostrunnej lirze
Dla pomięci potomnej; wstawił też i chyże
Konie, co uwieńczone wracały z gonitwy.
Któż Glauka, któż Priamidów o trefionych włosach,
Któż znałby niewieściego z wyglądu Kykonosa,
Gdyby nie wieszcz, co śpiewał dawnych mężów bitwy? [8])
Odyssa, co się błąkał z górą sto miesięcy
Śród ludów i za życia zstąpił między cienie
I cało uszedł z groty Cyklopa, nikt więcej
Nie wspominałby dzisiaj wśród żywych; milczenie
Skryłoby świniopasa Eumaja, wolarza
Filojtiosa, a nawet samego włodarza,
Laerta, gdyby joński wiersz ich nie ocalił. [9])

Za sprawą Muzy ludzkie imiona się sławią;
Dobytek zaś umarłych żywi marnotrawią.

Lecz z równym chciałbyś skutkiem doliczyć się fali,
Którą na brzegi przypływ przynosi zielony,
Albo domyć się wodą cegły zasmolonej,
Co i przekonać chciwca. Niech mu służy zdrowie!
Niech wiele ma, o coraz więcej niech się trudzi.
Co do mnie, ja — życzliwość i szacunek ludzi
Wolę niż stada koni i niż skarbów mrowie.

Otwartymi ramiony któż przygarnie zatem
Wieszcza i jego Muzy? Bo gdzie ja — tam one,
Córki wielkiego Zeusa, który rządzi światem.
Toczy jeszcze miesiące niebo niestrudzone,
Nieraz jeszcze słoneczne przebiegną rumaki.
Czy zechce kto mych pieśni? Znajdzie się mąż taki,
Wielki jak ów Achilles, jak ów Ajas silny, [10])
Co walczył nad Skamandrem, [11]) gdzie jest głaz mogilny
Ilosa. [12]) — Oto z lęku drżą Kartagińczyki,
Co zamieszkują Libii najdalsze wybrzeże.
Oto Syrakuzanie chwytają za piki,
A ramiona im gniotą plecione puklerze.
Śród nich Hieron, jak owe bohatery dawne,
Zbroi się, a nad hełmem wieje końska grzywa.
Ojcze Zeusie! Atene, pani sprawiedliwa!
Ty, panno, [13]) co wraz z matką chronisz miasto sławne
Syrakuzan, leżące nad Lyzimeleją! [14])
Sprawcie, niech nieprzyjaciół złe losy wywieją

Stąd na morze Sardyńskie! Niech o bliskich zgonie
Niedobitki zaniosą wieść dzieciom i żonie!
Niechaj mieszkańcy dawne odbudują miasta,
Które za sprawą wrogów dzisiaj kierz zarasta!
Niech uprawiają pola kwitnące i trzody
Na równinie niech beczą utuczonych owiec!
Niechaj kroku przynagla wieczorny wędrowiec
Przed tłumem krów, co wraca na noc do zagrody!
Niech zaorzą ugory — w czasie, gdy cykada
Śledząc z góry pasterza, co śpi obok stada,
Świerszczy pośród konarów. Niech osnują zbroje
Pająki i niech zniknie nawet imię wojen!
Niechaj sławę Hierona poeci rozgłoszą
Poza morze Scytyjskie aż tam, gdzie się wznoszą
Mury Semiramidy, [15]) dychtowane smołą.
Jam jeden, ale wielu jeszcze innych Muzy
Miłują: wszyscy oni niech sławią pospołu
Hierona, i lud jego, i zdrój Aretuzy. [16])

O Charytki, co w swoją wzięłyście obronę
Miasto Orchomen [17]), niegdyś z Tebami skłócone!
Jeśli mnie nie zewezwą, wpraszać się nie będę,
A gdy wezwą, z Muzami przy stole usiędę.
Wezmę i was! Bo jakiż z pieśniarza pożytek,
Gdy was nie ma? Nie pójdę nigdzie bez Charytek!

MAGIA

Gdzie zioła? Daj, Testyli! Gdzie laurowe liście?
Weź wełnę purpurową, obwiąż brzegi czary.
Niech ów drogi a srogi pozna moje czary.
Oto czekam trzynasty dzień na jego przyjście.
Nie zajrzy, zalim jeszcze żywa w swej komorze,
Ani do drzwi zastuka, okrutnik! A może
Ku innej Eros porwał jego zmienną duszę?
Zajść jutro do palestry [1]) Timageta muszę —
Ujrzeć go i wypomnieć, jakie zło mi czyni.
A dziś — spętam gusłami. Świeć jasno tej nocy,
Selene! [2]) Szeptem ciebie zaklinam, bogini,
I podziemną Hekate, przed którą się jeżą
Psy, gdy wstaje z mogiły, krwią cuchnącą świeżą.
Hekate! Przeraźliwa! Stań mi ku pomocy!
Daj mym czarom moc większą, niż dawałaś kiedy
Gusłom Cyrce, Medei, płowej Perimedy. [3])

Kręci się kołowrót! [4]) Miły staje koło wrót!

Mękę trzeba najsamprzód rzucić na ognisko.
Syp, Testyli! Nieszczęsna, czyś straciła głowę?
Więc i ty mnie, obmierzła, masz za pośmiewisko?
Syp i przygaduj: „Sypię kości Delfinowe".

Kręci się kołowrót! Miły staje koło wrót!

Delfis mnie skrzywdził. Palę gałązkę wawrzynu
Na intencję Delfisa. I jak z trzaskiem pożarł
Nagły płomień tę gałąź, aż ślad po niej zginął,
Taki ciało Delfisa niechaj trawi pożar!

Kręci się kołowrót! Miły staje koło wrót!

Jako z boską pomocą taje ten wosk lity,
Tak Delfis niechaj taje z wielkiej ku mnie chęci!
I jak ten bąk się kręci z woli Afrodyty,
Tak niech on pod moimi wrotami się kręci!

Kręci się kołowrót! Miły staje koło wrót!

Rzucam plewy. Artemi,[5]) ty, która zawory
Poruszasz bram podziemnych, ze wszystkich najtwardsze...
Słysz, Testyli! Na mieście ujadają sfory!
Bogini — na rozstaju! Prędko! Uderz w tarczę!

Kręci się kołowrót! Miły staje koło wrót!

Popatrz! Ucichło morze, ucichły zawieje,
Lecz nie cichną w mej piersi troski nieustanne.
Wciąż dla tego jednego, nieszczęsna, goreję,
Co mnie zepsuł i zrobił ladacznicą pannę.

Kręci się kołowrót! Miły staje koło wrót!

Trzykrotnie wino strącam, trzykroć rzucam czary:
„Chłopiec to czy dziewczyna, co przy nim się kładnie,
Niech zapomni ich, jako — wedle gadki starej —
Tezeusz miał zapomnieć o pięknej Ariadnie".[6])

Kręci się kołowrót! Miły staje koło wrót!

Zioło-szalej w Arkadii rośnie, skąd i klacze
Rącze szaleją w górach i stadnina wszystka.
Niechajże tak szalonym Delfisa zobaczę,
Wbiegającego w dom mój z jasnego boiska.

Kręci się kołowrót! Miły staje koło wrót!

Z Delfisowego płaszcza ten kawałek płótna
Drę i w płomień syczący ciskam jego skrawki...
Ach, czemu krew mą czarną, miłości okrutna,
Pijesz, wessana na kształt bagiennej pijawki?

Kręci się kołowrót! Miły staje koło wrót!

Trunek zadam mu jutro z utartego płazu.
Ty zasię, Testylido, zabierz zioła owe
I póki noc na przyzbie jego porozmazuj,
Pluj i przygaduj: „Mażę kości Delfisowe".
Kręci się kołowrót! Miły staje koło wrót!

Sama teraz — skąd zacznę miłosne lamenty?
Cóż powiem? Kto mnie rzucił na pastwę potwora?
Przybyła tu Anakso, nowa kanefora: [7])
Miała bowiem procesja ruszyć przez gaj święty
Z siłą zwierząt wszelakich i pono — ze lwicą.
Oto jak pokochałam, czcigodny Księżycu

Więc mnie Trassa co była Teucharydy sługą,
(Właśnie zmarła niedawno) na wszystko zaklina,
Bym poszła na procesję. Ja, biedna dziewczyna,
Wkładam na prędce suknię muślinową, długą,
Na to płaszcz Klearysty i ruszam ulicą. [8])
Oto jak pokochałam, czcigodny Księżycu!

Ledwie drogi do gaju uszłyśmy połowę,
Gdy widzę Eudamippa z Delfisem pospołu.
Brody mieli obydwaj jak helichryz [9]) płowe,
Ślady zapaśniczego znać było mozołu:
Piersi ich tak świeciły jako twoje świécą.
Oto jak pokochałam, czcigodny Księżycu!

Jedno tylko spojrzenie, a już — cała drżąca —
Od rozumu odchodzę. I ani mi w głowie
Procesja, ni, jak doszłam do domu, nie powiem,
Lecz gorączka mnie jakaś zwaliła trawiąca
I dziesięć dni nie mogłam rozstać się z łożnicą.
Oto jak pokochałam, czcigodny Księżycu!

Nic nie zostało ze mnie, tylko kość i skóra.
Włosy powypadały; wyzuta z kolorów
Płeć pożółkła. A jakich nie zwałam znachorów,
Jakich bab-zamawiaczek! Próżno! Nic nie wskóra
Żadne tutaj lekarstwo! Czas — mknął błyskawicą...
Oto jak pokochałam, czcigodny Księżycu!

Aż słudze się ze swojej zwierzyłam miłości:
„Myndijczyk [10]) mnie opętał! Testylido, ratuj!
Ruszaj i pod palestrą Timageta czatuj,
Gdzie lubi przesiadywać, gdzie najchętniej gości.
Tam idź i go wypatruj, chcesz-li ulżyć mi co".
Oto jak pokochałam, czcigodny Księżycu!

„A gdy na osobności trafisz, to mu stroną
Szepnij: „Zwie cię Simajta!“ i sprowadź niezwłocznie.
Ta poszła i przywiodła. Ja, kiedy naocznie
Ujrzałam, jak próg mija stopą uskrzydloną
Delfis o jasnym ciele, to — zdjęta zimnicą —
Oto jak pokochałam, czcigodny Księżycu!

Z sercem mocno ściśniętym, ze zroszonym czołem,
Jakby lód jaki nagły członki moje skował,
Nieruchoma i sztywna jak kukła woskowa,
Zamarłam i wymówić ledwie tyle zdołam,
Co niemowlę do matki, gdy złe sny je chwycą.
Oto jak pokochałam, czcigodny Księżycu!

Ujrzał mnie, przeniewierca, wzrok ku ziemi podał
I na łożu usiadłszy tymi słowy prawi:
„Swym wezwaniem, Simajto, ubiegłaś mnie prawie,
Jak ja wczoraj Filina ubiegłem w zawodach.
Sam bym się, nieproszony, stawił przed twe lico“.
Oto jak pokochałam, czcigodny Księżycu!

„O, byłbym ci ja przyszedł, klnę się na Erosa,
Samotrzeć lub samoczwart przyszedłbym tej nocy,
Dionizosa w zanadrzu chowając owoce,
Z wieńcem Heraklesowej topoli we włosach,
Przeplatanym sowicie szkarłatną tkanicą“. [11])
Oto jak pokochałam, czcigodny Księżycu!

„Więc gdybyś mnie przyjęła (twierdzą przecież kołem,
Żem zgrabny i postawny) i gdybym choć musnął
Usta twoje powabne, spokojnie bym usnął.
Gdybym zaś zastał wrota zatknięte na kołek,
Pękłyby pod toporów naszych nawałnicą“.
Oto jak pokochałam, czcigodny Księżycu!

„Pierwszej więc składam dzięki Kypridzie, a po niej
Tobie-m wdzięczność powinien i więcej nikomu,
Żeś mnie z ognia dobyła, wezwawszy do domu,
Już na wpół zetlałego. Miłość żywiej płonie,
Niż żar, pod Hefajstową [12]) tlejący kuźnicą“.
Oto jak pokochałam, czcigodny Księżycu!

„Szał miłości dziewczynę z alkowy wygania,
Żonie każe się wymknąć z ciepłego posłania
Od męża“. Tak powiada. Gotowa już ulec,
Za sobą go na miękkie pociągnęłam łoże.
Już ciało się od ciała zajmuje i gorze,

Płomień w twarz nam uderza i gruchamy czule.
I by — miły Księżycu! — słów nie tracić wielu,
Rzecz stała się: oboje dopięliśmy celu.

Więc do dnia wczorajszego ni ja z nim kłopotu
Nie miałam, ni on ze mną. Lecz przychodzi oto
Filisty, tej, co grywa na flecie, macocha
Dziś o świcie — gdy właśnie konie z Oceanu
Wynurzają się, ciągnąc Jutrzenkę różaną —
I przynosi nowinę: że Delfis się kocha.
Czy to, że wpadł mu w oko chłopiec czy dziewczyna,
Dość, że niemieszanego wciąż dolewał wina
Na cześć owej osoby; aż z biesady umknie,
Mówiąc, że idzie dom jej uwieńczyć kwiatami.
To rzekła mi znajoma; a wiem, że nie kłamie.
Bo dawniej po trzy razy na dzień bywał u mnie
I butelkę z oliwą pozostawiał stale.
A teraz? Dni dwanaście, jak nie zajrzał wcale,
Zapomniał mnie, gdzie indziej trawi czas przyjemny.
Dziś gusłami go spętam; a jeśli mnie dalej
Krzywdzić będzie — na Mojry! [13]) — do bramy podziemnej
Zastuka: tak potężne leki chowam w skrzyni,
Które mi gość z Assyrii wskazał, o bogini!

Do Oceanu, pani, konie swoje wegnaj!
Ja zaś dalej nieść będę swoje brzemię. Żegnaj,
Selene jasnolica, żegnajcie mi gwiazdy,
Służebne nocy, świto jej milczącej jazdy!

przełożył **Artur Sandauer**

KOMENTARZE

CHARYTKI, CZYLI POSŁANIE DO HIERONA

1. Charytki (po łac. Gracje) — boginie wdzięku, opiekunki każdego, kto prosi o łaskę.
2. Styks — rzeka podziemna.
3. Aleuas i Antioch — książęta tessalscy, opiewani przez poetę Simonidesa.
4. Skopadowie — dynastia tessalska, osiedlona w mieście Krannon.
5. Kreon i jego potomkowie należeli do dynastii Skopadów.
6. Charon — sternik łodzi umarłych.
7. Poeta Simonides.
8. Bohaterowie wojny trojańskiej, o której wspomina Homer w „Iliadzie".
9. Bohaterowie „Odysei".
10. Bohaterowie „Iliady".
11. Rzeka pod Troją.
12. Legendarny założyciel Troi.
13. Persefona, która wraz z matką Demeter czczona była na Sycylii.
14. Jezioro koło Syrakuz.
15. Mury, wzniesione przez królowę Semiramidę w Babilonie.
16. Źródło pod Syrakuzami.
17. Miasto Orchomen toczyło ciągłe walki z Tebami.

1. Palestra — rodzaj klubu sportowego, w którym spędzała czas młodzież grecka.
2. Selene — bogini księżycowa i Hekate — bogini podziemna były opiekunkami praktyk magicznych.
3. Słynne w starożytności czarodziejki.
4. Kołowrotek używany w praktykach magicznych.
5. Artemis — bogini łowów, identyfikowana z Selene, boginią księżyca, a niekiedy i z Persefoną, boginią podziemi.
6. Tezeusz, mityczny bohater ateński, zabił na Krecie z pomocą królewny Ariadny potwora Minotaura. Porwawszy Ariadnę porzucił ją później na wyspie Naksos.
7. Dziewczyna, która podczas procesji religijnej niosła na głowie koszyk ze świętymi sprzętami.
8. Fakt, że Simajta pożycza cudzy płaszcz, określa jej sytuację społeczną.
9. Helichryz — łomikamień żółty (roślina).
10. Delfis pochodzi z miasta Myndos w Karti.
11. Konkury odbywały się w ten sposób, że zakochany obrzucał przedmiot swej miłości jabłkami (owocami Dionizosa). Herakles był patronem atletów: Delfis i jego towarzysze noszą jako sportowcy wieniec z liści topoli, poświęconej Heraklesowi.
12. Hefajstos — bóg kowali.
12. Mojry — trzy siostry, które przędą nić ludzkiego żywota.

PIOTR GRZEGORCZYK

Jakiego Gogola znamy?

Uwagi porocznicowe

Wyznajmy krótko i od razu: Gogola prawie nie znamy... Przyswojono nam zaledwie cząstkę jego puścizny pisarskiej, a napisano o nim oprócz steku okolicznościowych artykułów tylko kilka popularnych broszur i wstępów. Nie znamy ani najciekawszego pamiętnika, jaki stanowią cztery tomy jego listów, ani spowiedzi autorskiej, ani całej publicystyki, brak nam drugiego tomu Martwych dusz, brak Tarasa Bulby, tłumaczonego przed stu laty, brak farsy Gracze, powieści Rzym, do której autor przywiązywał dużą wagę, brak wreszcie całego cyklu opowiadań Wieczorów na chutorze i innych. Nie znamy nawet dokładnie jego stosunku do Polski, Polaków i naszej literatury. Często się słyszy do dzisiaj wśród naszej tzw. inteligencji, z zarozumiałą pewnością wypowiadane zdanie: — Gogol to przecież Polak — Janowski!... Jakże przeto możemy spojrzeć na niego własnymi oczami? Bo przecież rocznice istnieją po to, ażeby pokolenie zdało rachunek wobec wielkości, której hołd składa, ażeby oczyściło ją z wiekowego nalotu mitów lub pyłu zapomnienia, spojrzało na nią krytycznie, odrzuciło ją jako fałsz, lub przyjęło jako coś żywego. Mała stąd pociecha, gdy się dowiemy, że w ojczyźnie jego — mimo ogromnej o nim literatury — „do chwili obecnej nie napisano naukowej biografii Gogola", jak stwierdza świeżo Iwan Siergiejewski (Litieraturnoje Nasledstwo t. 58, 1952, s. 532). Brak nawet w oryginale pełnego krytycznego wydania jego utworów i korespondencji, a ogłoszone dotąd tomy spotkały się z ostrą i słuszną krytyką tekstologów radzieckich.

Zaległości w stosunku do literatury rosyjskiej mieliśmy jednak tak duże, że zadowolić musimy się bodaj na razie tym, co nam z Gogola udostępniono, a poprzestając na małej, ale bardzo ważnej cząstce, postawić innego rodzaju zapytanie: — Jakiego Gogola znamy? Wszelako i tę kwestię zacieśnimy celowo tylko do największego jego arcydzieła otwierającego nową erę realizmu rosyjskiego — do pierwszego tomu Martwych dusz.

Tom ten spolszczyli dwaj tłumacze: w 1875 — Zygmunt Kierdej-Wielhorski, a w pół wieku później — Władysław Broniewski. Pierwszy przekład, to pozycja prawie martwa od urodzenia: tłumacz podjął rzecz przekraczającą jego możliwości; znał wprawdzie język rosyjski, ale pozbawiony żywszego talentu pisarskiego, bez kultury literackiej, nie potrafił oddać ani jednolitego nastroju, ani subtelnego piękna opisów, ani jaskrawego realizmu i humoru oryginału. Popełniał rusycyzmy, opuszczał bez skrupułu zdania, a na domiar złego ołówek cenzora poskreślał mu całe ustępy dotyczące Rosji, z zakończeniem włącznie. Taki przekład nie mógł się podobać, raczej zrażał czytelników do dzieła, nie dając należytego pojęcia o walorach oryginału. Spełnił natomiast, dzięki sporemu wstępowi, pewną rolę informacyjną o Gogolu, o którym dotąd spotykało się u nas ledwie notatki i nieliczne omówienia teatralne.

Martwe dusze mógł przełożyć na język polski przed stu laty bodaj jedyny tylko Antoni Marcinkowski, zapomniany dziś prawie zupełnie, ciekawy

literat i głęboki krytyk. On jeden za życia Gogola odczuł u nas wagę i smak tego utworu, czego dał dowód w świetnym przekładzie małego fragmentu VI rozdziału Martwych dusz, oraz w prekursorskiej rozprawie o humorze, przedrukowanej w zbiorze: Pisma krytyczno-filozoficzne. (Wilno 1857), pod pseudonimem Antoniego Nowosielskiego. Marcinkowski pierwszy u nas zrozumiał wielkość i oryginalność Gogola, i tak dalece był pod jego urokiem, że w paru beletrystycznych utworach świadomie go naśladował (np. w Pamiętnikach kuratora magazynów, 1858, i w opowiadaniu Stary biuralista, 1859). Pisał świetnie po polsku, znał Rosję i język rosyjski, a przede wszystkim czuł klimat i poetycką aurę „poematu" Gogola. Pomijamy najwcześniejszą u nas próbę przekładu dwóch pierwszych rozdziałów powieści, dokonaną przez Piotra Szepielewicza z Pskowa — „orientalnie a razem z litewska", jakby powiedział o niej A. E. Odyniec, a zamieszczoną przez Kraszewskiego w Athenaeum wileńskim w 1844 r. Godny wszelako uwagi jest w niej poprawny przekład samego tytułu: Przygody Czyczykowa czyli dusze zmarłe — później niesłusznie a błędnie przemienione na „dusze martwe", co zadomowiło się i pozostało do dzisiaj.

Dopiero w 82 lata po wyjściu oryginału przełożył pierwszy tom Martwych dusz w całości Władysław Broniewski, 1927 r. Przekład ten miał po roku 1945 jeszcze trzy wydania, z których jedno w nakładzie stu tysięcy egzemplarzy. W tej więc wersji szeroka publiczność polska miała możność zapoznać się z „poematem" Gogola, ocenić jego przedni humor, rozweselić się galerią kapitalnych typów i wyczuć lwi pazur wielkiego realisty, satyryka i poety. Ten więc przekład poddamy ściślejszej analizie translatoryjnej, doceniając w pełni wszystkie jego niemałe walory i zalety, jak np. czytelność, gładkość, na ogół trafność, a czasem aż przesadną wierność, i uznając pewne jego partie za znakomite. „Przyczepimy się" natomiast do pewnych drobiazgów, niekiedy ważnych drobiazgów, bo życie, jak mawiał przed 40 laty nasz nauczyciel greki, niezapomniany Jan Jędrzejowski, składa się właśnie z drobiazgów, nie z samych rzeczy wielkich...

Pretensji zaś do tłumacza, znakomitego poety Broniewskiego będzie nie mało; wszystkich nie podobna wytoczyć, ograniczymy je przeto do ważniejszych, i zaczniemy od tzw. realiów będących funkcją dokumentarności i w pewnym sensie historyczności tej powieści. Mamy zaś przed sobą ostatnie, więc czwarte już w jego przekładzie wydanie Martwych dusz z 1951, pomieszczone w drugim tomie Utworów wybranych Gogola w Złotej Serii Literatury Rosyjskiej „Czytelnika". Oto kolejno przykłady na pozór drobnych nieporozumień:

„W narożnym sklepiku — czytamy zaraz z początku powieści na stronie 264 — a właściwie w oknie, tkwił handlarz kwasem, z samowarem z czerwonej miedzi"... Można by z tego wnosić, że „kwas" trzymano w samowarze; tymczasem w oknie usadowił się *sbitenszczyk;* tj. sprzedający zbiteń, ulubiony napój rosyjskiego pospólstwa (herbata była jeszcze luksusem!), sporządzany z wrzątku zaprawionego miodem, sokiem malinowym, lub tylko pieprzem, cynamonem, ziołami itp. Lepiej nieco wyszedł tłumacz w podobnej sytuacji, gdy *sbiten'*, przełożył jako wrzątek (350). Lecz idźmy dalej.

„W ślad za walizą ukazał się niewielki kuferek z czerwonego drzewa wykładanego brzeziną karelską" (264); chodzi jednak o „kuferek z mahoniu misternie wykładany brzostem"...

Trudniejsza sprawa następna: „Po-

dobna igraszka natury (tj. nimfa z ogromnymi piersiami) zdarza się zresztą na różnych obrazach historycznych, nie wiadomo kiedy, skąd i przez kogo przywiezionych do nas, do Rosji, niekiedy nawet przez naszych wielkich panów, miłośników sztuki, którzy zakupili je we Włoszech i za radą towarzyszących im kurierów dyplomatycznych"... (265), *(po sowietu wiezszich ich kurierow)*. Sądzimy raczej, że chodzi o „poradę wiozących ich pocztylionów", jak w przekładzie z 1844, bo wtenczas dopiero ostrze satyrycznego docinka godzi w wielkich panów, rzekomych miłośników sztuki. (Niepotrzebne i, po wyrazie „we Włoszech", uważamy za błąd druku!).

„Wystawiano dramat Kotzebuego, w którym Rolla grał pan Popliewin"... (268). Tytuł tej „romantycznej tragedii" z 1795, brzmiał: Die Spanier in Peru, oder Rollas Tod. Nawiasem dodajmy, że w dwa lata po wyjściu oryginału przełożono ją na język polski: Hiszpani w Peru albo śmierć Rolli. Więc poprawnie:... „w którym Rollę grał p. Popliewin"...

„Dzień, zdaje się został zakończony porcją zimnej cielęciny, butelką kwaśnego kapuśniaku i mocnym snem na cały regulator"... (268). Czyczykow był jednak bardziej wybredny i wypił tylko „butelkę pieniącego się kwasu", *(butylkoju kisłych szczej)*. Kapuśniaku zazwyczaj nie podaje się we flaszce.

Trudność nastręcza często tłumaczom przekład tytułów stanowisk, funkcji i urzędów dawno już wyszłych z użycia i nie istniejących. Tak więc np. Czyczykow składa wizyty: ...„był u prokuratora, u prezesa sądu, u policmajstra, u dostawcy"... (269), *(u otkupszczika)*. Polskiego krótkiego terminu na określenie tej funkcji nie ma. Był to „dzierżawca skarbowego dochodu z trunków", lub wprost „dzierżawca propinacji", jak go dawniejsze przekłady nazywają, ale nie „dostawca". Podobnie, u Nozdriewa zjawia się nagle i ocala Czyczykowa nie „komisarz obwodowy" (347), lecz „naczelnik policji powiatowej" — *kapitan-isprawnik*, co w danym wypadku musiało zrobić wrażenie.

Nie mniejszą trudność sprawiają fachowe terminy karciarsko-szulerskie dawnych gier hazardowych. Któż dzisiaj zrozumie, o co chodzi w takich dosłownie przełożonych zdaniach: „Gdybym po parolu nie zagiął rogu tej przeklętej siódemce, mógłbym cały bank rozbić" ...Lub: „Nie, niech no on spróbuje grać dubletem"... (322). Sens zaś taki: „Gdybym po zdwojeniu stawki nie postawił na tę przeklętą siódemkę, mógłbym cały bank rozbić"... „Nie, niech no on spróbuje zagrać dublując stawkę"...

Nozdriew częstuje gości swych mocnymi napojami: „Madera, istotnie, aż paliła w ustach, bo kupcy, znając gust ziemian lubiących dobrą maderę, zaprawiali ją nielitościwie rumem, a niekiedy wlewali do niej i cesarskiej wódki w nadziei, że rosyjskie żołądki wszystko wytrzymają" (334). Oto jeden z licznych przykładów chwytu Gogola: uniezwyklenie opisu, gdzie pointa przechodzi w oczywistą groteskę. Niestety, ostrze tej pointy dla dzisiejszego czytelnika przeważnie przepada. Bo w danym wypadku kupcy rzekomo dolewali do madery nie „cesarskiej wódki", lecz „wody królewskiej", tj. mieszaniny stężonego kwasu solnego ze stężonym kwasem azotowym, rozpuszczającej, jak wiadomo, króla metali — złoto!

Skoro zaś mowa o trunkach, uczyńmy jeszcze jedno sprostowanie. Znajomi Czyczykowa martwią się, jak sobie da radę z zakupionymi poddanymi, których rzekomo ma przesiedlić: „Chłopi Czyczykowa będą teraz mieli dwóch potężnych wrogów. Pierwszy wróg to

bliskość guberni małorosyjskich, gdzie, jak wiadomo, jest wolna sprzedaż w i n a" (416) ...Nie byłoby to wcale takie groźne, gdyby to było... wino, niestety, była to na pewno „w ó d k a"; po rosyjsku: *swobodnaja prodaża wina* w tym wypadku nie oznacza: wina.

Kłopot również z określeniem banknotów: „Nakupił pan chłopów za sto tysięcy, a za fatygę dał pan tylko jeden b i a ł y p a p i e r e k" (410)... „Przyniosło się kierownikowi wydziału c z e r w o n y p a p i e r e k i sprawa załatwiona" (497)... „Krążyły pogłoski, jakoby każdy zapłacił od głowy po 4 d u ż e p a p i e r k i". (457) Może jednak dzisiejszemu czytelnikowi, który absolutnie nie będzie wiedział, o jakie sumy chodzi, wypadałoby wyjaśnić, że w pierwszym wypadku Czyczykow dał łapówki 25 rb., w drugim kierownik dostał tylko 10 rb.

Już z tych paru przykładów widać, jakie na tłumacza czyhają pułapki w pozornie łatwym tekście. Gorzej, gdy rzekoma zgodność z oryginałem usypia czujność tłumacza na pewne subtelności rozróżnień znaczeniowych, nie błahe w transpozycji klasycznego utworu. Oto np. sugestywne porównanie w opisie balu u gubernatora:

„Czarne fraki połyskiwały i krążyły pojedynczo i grupami, tu i tam, jak krążą muchy po białej lśniącej rafinadzie w czasie gorącego lipcowego lata, gdy stara klucznica przy otwartym oknie rąbie ją i dzieli na błyszczące kawałki; wszystkie dzieci patrzą zebrawszy się wokoło, śledząc ciekawie ruchy jej szorstkich rąk podnoszących młot, a powietrzne e s k a d r y much, unoszone lekkim powiewem, wlatują śmiało, jak prawowici gospodarze, i korzystając z krótkowzroczności staruszki i ze słońca, które oślepia jej oczy, obsiadają smaczne kąski, tam pojedynczo, ówdzie zwartymi grupami" (270).

Na pozór nic nas nie razi w tym wieloczłonowym, bogatym, doskonale rozwiniętym zdaniu, chociaż wolelibyśmy, zamiast niezrozumiałej dziś rafinady, po prostu: głowę cukru. A jednak owe eskadry much, powtórzone raz jeszcze zaraz w następnym zdaniu, wytwarzają sytuację anachronistyczną, implikującą skojarzenia z samolotami. Gogol, oczywiście, nie mógł tak powiedzieć: „powietrzne eskadry much", gdyż eskadra za jego czasów, i długo jeszcze potem, to była pewna liczba okrętów bojowych, więc porównanie nie miałoby sensu. Gogol napisał: „powietrzne s z w a d r o n y much" (*wozdusznyje eskadrony much*).

Podobna nieco sytuacja powodująca wytwarzanie obcych lub fałszywych zespołów skojarzeniowych zachodzi jeszcze w innych wypadkach. W czasie wizyty u Sobakiewicza i po niej Czyczykow nazywa go w myśli kułakiem, i epitet ten powtarza aż siedem razy, np.: „Co za kułak! rzekł do siebie Czyczykow" (364); „Kułak, kułak — pomyślał sobie Czyczykow" (367), itd. Za czasów Gogola rosyjski wyraz: kułak, brzmieniowo z polskim identyczny, lecz inaczej akcentowany, posiadał prócz znaczenia: pięść zwarta, również m. in. znaczenie: lichwiarz, skupień. W dzisiejszym języku rosyjskim zaszła nie tylko pewna zmiana znaczeniowa, lecz również przyporządkowanie tego określenia pewnej klasie ludzi: kułak w drugim znaczeniu, to jak wiadomo — bogaty chłop - posiadacz wyzyskujący wyrobników, biedaków (*Słowar russkago jazyka, sostawił S. I. Ożegow*, M. 1952). W tym właśnie drugim znaczeniu kułak, jako naśladownictwo z rosyjskiego, przyjął się u nas dopiero w okresie międzywojennym, a w dzisiejszych czasach rozpowszechnił na dobre. Nie można więc Sobakiewicza nazwać kułakiem bez popełnienia anachronizmu i wywołania dysonansu w nastroju powieści. Sobakiewicz musi pozostać lichwiarzem, chociaż wyraz ten nie za-

wiera bez reszty tej treści uczuciowej, która kryje się w kułaku. Wówczas, dodajmy, również urwanego ciągu rozmyślań Czyczykowa: „Ech, gdyby tak wszystkich lichwiarzy!"..., — niepodobna zamknąć, jak to czyni tłumacz, zdaniem: „Ech, gdyby tak wszyscy byli kułakami!" (366).

Do tej samej kategorii dysonansów należy użycie przez tłumacza terminu: „czysta rasa", obciążonego całym bagażem skojarzeniowym i uczuciowym naszych czasów: „A już tak trafne bywa to wszystko, co pochodzi z głębi Rosji, gdzie nie ma ani niemieckich, ani czuchońskich plemion, ani żadnych innych, tylko c z y s t a r a s a, żywy i śmiały rozum rosyjski"... (369). Oczywiście, nie mogła również ta czysta rasa wyjść z ust Gogola, który użył w tym wypadku metafory: „sam najczystszy metal" *(a wsiě sam-samorodok);* nie powinna była też znaleźć się pod piórem tłumacza. Rasa na właściwym miejscu w tej powieści jest wtenczas, gdy Czyczykow mówi o szczeniaku Nozdriewa:... „widzę: dobra rasa!", — chociaż i tutaj stosowniejszy byłby termin myśliwski: „dobrego pomiotu!", — jak tłumaczy Wielhorski, lepiej widocznie w tej dziedzinie obeznany. (Toteż Nozdriew łapie u niego zająca „za zadnie skoki" (132), gdy tymczasem u Broniewskiego: „za tylne nogi"! (332).

Cel tych kilku przykładów jasny: nawet zgodność znaczeniowa z oryginałem może czasem być pozorna, może stać się przyczyną zakłócenia harmonii i paczyć zestroje artystyczne dzieła. Innego rodzaju dysonans i niebezpieczeństwo powstaje, gdy natrafimy na jawny błąd w tłumaczeniu, wynikający z mylnego użycia terminu lub złego zrozumienia tekstu. To znów osobna grupa uwag i przytoczeń. Więc np. służący Czyczykowa Pietrek czyta „s ł o w n i k" (276), zamiast „elementarza" *(bukwar).* Maniłow marzy, ażeby po obu stronach mostu kamiennego, który wybuduje na strumieniu, „były ł a w k i, i żeby na nich siedzieli kupcy" (281). Maniłow ma jednak na myśli nie ławki, lecz s k l e p i k i lub kramy. Czyczykow z wdzięcznością dziękuje Maniłowowi: „— Gdyby pan wiedział, jaką pan przysługę oddał tym na pozór ś w i ń s t w e m człowiekowi bez familii i b e z u r o d z e n i a!" (294). Otóż szlachcic Czyczykow nie mógł być „bez urodzenia"; powiedział więc np. raczej:... „jaką pan przysługę oddał tym na pozór drobiazgiem człowiekowi samotnemu i bez rodziny". *(bez plemieni i rodu!).* „Kup ode mnie ź r e b a k a"... pięć razy grasuje ten nieszczęsny „źrebak" (330, 338); za każdym razem chodzi jednak o „ogiera"! *(żeriebiec).* Widoczny *lapsus calami,* gdyż ten sam wyraz opodal dobrze przełożony:... „widzieli dwie kobyły, jedną siwo-jabłkowatą, drugą tarantowatą, potem gniadego ogiera"... (331), — tylko wolelibyśmy, jeżeli chodzi o kobyły: „siwo-jabłkowatą, drugą bułaną" *(kauruju).* „Jesteś po prostu r a k a r z !" (340), wymyśla Czyczykowowi Nozdriew. Tutaj znów podobieństwo dźwiękowe zwiodło tłumacza: Gogol użył starocerkiewnego wyrazu: „r a k a l i j a", znanego z Ewangelii (Mat. 5,22), nie mającego nic wspólnego z naszym rakarzem, a znaczącego: niegodziwiec; wyraz mało drastyczny jak na słownik Nozdriewa, wymagający wzmocnienia, np. „Jesteś po prostu kanalia!" Opis domu Sobakiewicza: „dom drewniany z facjatką, czerwonym dachem i ciemnoszarymi, a raczej d z i k i m i ścianami" (352); taka sama sugestia podobieństwa oryginału jak wyżej: *dikimi stienami* — co jednak znaczy: „burymi ścianami".

Na początku VI rozdziału powieści wspomina Gogol wrażenia, jakie sprawiało na nim przybycie po raz pierwszy do nieznanej miejscowości. Wszystko go interesowało: „Czy to murowany dom skarbowy w znanym stylu, z połową

okien fałszywych, sam samiuteńki sterczący pośród drewnianej, ciosanej kupy jednopiętrowych mieszczańskich domków, czy to okrągła, regularna kopuła, cała obita arkuszowym białym żelazem, wzniesiona nad wybieloną jak śnieg nową cerkwią" (370). Domy jednakże były: parterowe, a kopuła po prostu „obita białą blachą". W dalszym ciągu tego opisu autor przejeżdżając patrzył: „na nie spotykany dotychczas krój jakiegoś surduta, na drewniane skrzynie z gwoździami, ukazujące się we drzwiach sklepu warzywnego, w szarym żółknącym oddaleniu wraz z rodzynkami i mydłem, ze słojem wyschniętych cukierków moskiewskich" (370). To „żółknące oddalenie", bardzo podejrzane i nie gogolowskie; zdanie przeto zgodnie z tekstem tak zweryfikujemy: podróżny patrzył „na drewniane skrzynki z gwoździami, z siarką żółciejącą z dala, z rodzynkami i mydłem, migające w drzwiach sklepu warzywnego, razem ze słojami wyschniętych moskiewskich cukierków"...

Kapitalny opis zapuszczonego ogrodu Pliuszkina, gdzie Gogol operuje bardzo długimi zdaniami i skomplikowanymi okresami, nasuwa w tłumaczeniu może najwięcej zastrzeżeń i wymagałby nowego opracowania (371—373). Zanotujemy tylko, że „obruszone słupki" (373), — to w istocie: „wywrócone poręcze" *(obruszennyje pieriły)*. A nieco dalej „psalmista" (387) — to naprawdę: „posługacz cerkiewny" *(ponomarienok)*.

Opis placu, gdzie widniały budynki rządowe, a oprócz tego „budka strażnicza, przed którą stał żołnierz z karabinem, dwie albo trzy knajpy dorożkarskie i wreszcie długie parkany"... (401). Tak jednak źle nie było, gdyż na tym „oficjalnym" placu mieściły się tylko „postoje dorożek" *(dwie-tri izwozcziczi birżi)*.

O sposobach fałszowania wina przez kupca tak opowiada Nozdriew: „Trzeba ci wiedzieć, że to gałgan, i w jego sklepie nic nie można brać: do wina miesza różne świństwa: drzewo sandałowe, spalony korek, i nawet buzą, łajdak, zaciera" (323), *(i daże buzinoj podlec zatirajet)*. Kupiec jednak upraszczał sobie tę procedurę, nie zacierał (?) piwem tatarskim, czyli buzą, po prostu: „bzem farbował".

Tę serię przeważnie drobnych uchybień w stosunku do wierności tłumaczenia najłatwiej stosunkowo skorygować. Sprawa bardziej zawiła, gdy mamy do czynienia z tzw. kalką oraz przesadną dosłownością, którymi wypada zająć się osobno. Przykłady kalki, tj. transpozycji niewolniczo kopiującej wzór obcy, spotykamy zaraz na początku powieści. Gdy Czyczykow wjeżdżał w bramę zajazdu: „nawinął się młody człowiek"... „Młody człowiek odwrócił się"... (263). To dosłowne przeniesienie rosyjskiego: *mołodoj czełowiek*, naśladowane zapewne z francuskiego: *jeune homme*, nie uważane wprawdzie dzisiaj już jako błędne, niemniej jest zbędną kalką.

Przesadną dosłowność mamy np. w opisie, co się działo z bogactwami potwornego skąpca: „Wszystko to ładowano do składów i wszystko stawało się zgnilizną i dziurą, i sam Pliuszkin stał się wreszcie jakąś dziurą dla ludzkości" (379), *(i sam on obratiłsja nakoniec w kokuju-to proriechu na czełowieczestwie)*. Wierność obsolutna, a jednak czuje się, że inwencja tłumacza powinna była znaleźć jakiś obraz zastępczy dla tej „dziury dla ludzkości". Wyrażenie to jednakże daje się obronić; są przecież miejsca, gdzie dosłowność staje w jawnej kolizji z poprawnością, np.: „Z okien otwarte były tylko dwa, inne były zastawione okiennicami lub nawet zabite deskami" (372), *(Iz okon tol'ko dwa byli otkryty, proczije byli zastawleny stawieniami ili daże zabity doskami)*. Tu już purysta zazgrzyta zęba-

mi, a — wtrąćmy nawiasem, żeby do tych spraw nie wracać — zacznie jęczeć, gdy przeczyta takie zdania: „To zdarzenie miało miejsce akurat wtedy, gdy"... (502), lub: „...z rozmowy, jaka miała miejsce"... (440).

Błędną kalką jest też wyrażenie: „Mały w kurtce samodziałowej" (440) *(małyj w kurtkie)*, bo „małyj" jest idiomem i znaczy tutaj „służący" lub „chłopiec". Zaskakuje zbyteczną dosłownością np. transpozycja takiej frazy: „W stołowym stali już dwaj chłopcy, synowie Maniłowa"... (286), *(uże stojali dwa malczika)*, — co Wielhorski tak oddaje: „W jadalnym pokoju zastali dwóch synów Maniłowa" (60). Nie podobna czynić z ostatnio przytoczonego zdania wyraźnego zarzutu; nie można też wyznaczać granic dopuszczalnej dosłowności w wersji prozaicznej, stwierdzić wszakże wypada fakt dość częstego nadużywania przez tłumacza dosłowności w analizowanym przekładzie.

Opuszczenia w tłumaczeniu Broniewskiego zdarzają się bardzo rzadko. Przyczyny ich czasem widoczne, np. trudność znalezienia analogonu polskiego do rosyjskiego przysłowia. „Istnieje rodzaj ludzi, o których się mówi; taki sobie człowiek" (280). W oryginale powiedzenie bardziej barwne i rozwinięte: *Jest rod ludiej, izwiestnych pod imieniem: ludi tak siebie, ni to, ni sio, ni w gorodie Bogdan, ni w sięle Sielifan, po słowam posłowicy.*

Czasami, zapewne przez nieuwagę, gubi się gdzieś jeden wyraz, który często radzibyśmy wstawić: np. „Kochanie, trzeba będzie się jutro postarać, żeby w tym pokoju chociaż tymczasowo postawić meble" (282), bo to „jutro" dla Maniłowa, który to mówi, jest niezwykle charakterystyczne. Nie pominęlibyśmy też, że w czasie obiadu u Maniłowów, nauczyciel „groźnie zastukał widelcem w stół" (288), lub dopełnilibyśmy masę nakupionych przez Nozdriewa przedmiotów jeszcze „kadzidłem i sitkami" (330), dodalibyśmy do wymyślań tegoż Nozdriewa pominiętą obelgę:" — Obłudnik, obłudnik! Głowę dam, że łżesz! (337). Lub taki jego epitet: „Doprawdy świntuch jesteś, krowiarz, żeś tak zrobił" (324).

W dwu bodaj tylko wypadkach giną całe zdania: „Dawałem mu tarantowatą kobyłę, którą, pamiętasz, wymieniłem u Chwostyriewa" (325). Brak następnej uwagi Gogola: „Czyczykow, zresztą, nigdy w życiu nie widział ani tarantowatej kobyły, ani Chwostyriewa".

Brak też z niedocieczonego powodu kilku zdań rozmowy Nozdriewa ze swym szwagrem pragnącym opuścić towarzystwo i wrócić do żony. Słowa te powinny się były znaleźć przed zdaniem: „— No to zabieraj się do niej czym prędzej!" (336):

„— No jedź, łżyj jej bzdury! Oto twój kaszkiet.

— Nie, bracie tobie nie wypada tak się o niej odzywać, ty wprost mnie samemu tym ubliżasz, a ona taka miła".

Natomiast w tej komicznej rozmowie tłumacz dodał, nie wiadomo również na jakiej podstawie, takie pochlebne zdanie o tej miłej żonie: „Rzeczywiście, że za wzór może służyć, taka godna szacunku" (335). Jeszcze tylko jedna drobna amplikacja dotyczy zdumienia Czyczykowa nad zdolnościami synków Maniłowa: „w takim wieku i już takie wiadomości"... (287), co w tym ostatnim wypadku miało pewne uzasadnienie.

Błędy druku zazwyczaj nie obciążają konta autora, ani też tłumacza. Jeżeli wyosabniamy je tutaj, to nie tylko z racji ich osobliwości, ale też dlatego, że mogą być, zapewne niesłusznie, poczytywane właśnie jako omyłki tłumacza. Więc np. muchy opadły Czyczykowa: „jedna siadła mu na nogach"... (304), powinno być: „na wargach"! Sobakiewicz wstał z krzesła „i zewsząd można go było widzieć z jego długimi

rękawami" (405), powinno być: „rękami"!. Uwaga ważna, odautorska: „Teraz u nas wszystkie rangi i wszystkie stany są tak podrażnione, że wszystko, cokolwiek wydrukowano w książce, wydaje im się czymś osobliwym (441); powinno być oczywiście: „osobistym", lub lepiej: „ich dotyczącym"!... „Po trzech czy czterech baranich wędrówkach u boku urzędników znalazło się w kieszeni po czterysta tysięcy kapitału", (502)), powinno być: „u obu urzędników"! Wreszcie nie zamierzony przez Gogola humorystyczny dodatek: kot zjadający... mydło: „I oto przyszły ojciec rodziny jak ostrożny kot zerknąwszy tylko jednym okiem, czy gospodarz skąd nie patrzy, chwyta pospiesznie wszystko, do czego ma niedaleko: czy mydło gdzie leży, świece czy słonina"... (505), zamiast: „czy masło gdzie leży".. (Świece — wtrąćmy — były z łoju, więc kot mógł mieć na nie apetyt). Wszystkie te błędy powiększają dysonanse znaczeniowe i — wstyd doprawdy wyznać — powtarzają się w każdym wydaniu, a nawet pomnażają w ostatnim (w edycji z 1927: trzeci i czwarty przykład jest bez błędu).

W uwagach powyższych pominęliśmy całkowicie słynną dygresję X rozdziału: Opowieść o kapitanie Kopiejkinie, więc bodaj na końcu słów parę się jej należy. Przed wojną przełożył ją osobno Julian Tuwim. (Przekład dostępny obecnie w zbiorze opowiadań Gogola: Poranek dygnitarza, Czytelnik 1950). Transpozycja kapitalna! Niemal arcydziełko. Cóż jednak z tego? Tuwim, nie wiadomo dlaczego, posłużył się, niestety, edycją oryginału sromotnie owałaszoną przez złośliwą carską cenzurę, która wypruła Gogolowi nie tylko całe szeregi zdań, pozmieniała rangi dygnitarzy, wpłynęła na pewne niemiłe przeinaczenia treściowe (naczelnik wręcza Kopiejkinowi zapomogę), ale też wymusiła nawet niesmaczne pochlebstwo: „Tymczasem dostanie pan na niezbędne utrzymanie, aż do powzięcia rezolucji, i niewątpliwie będzie pan odpowiednio wynagrodzony, albowiem nie było jeszcze wypadku, aby u nas w Rosji człowiek, który... okazał ojczyźnie usługi, pozostawiony był bez opieki"... (48). Słowem, narzuciła utworowi obcy nalot, spaczyła go, stępiła ostrze satyryczne, przygłuszyła, obłaskawiła, wyrwała ten kolec, który boleśnie pokazywał na tragicznym kalece ranę społeczeństwa, i zrobiła z Kopiejkina niemal pospolitego naciągacza i bandytę. Pozostanie jednakże nieodgadnioną zagadką, co wpłynęło na to, że Broniewski wybrał również ten sam okaleczony i sfałszowany tekst Opowieści o kapitanie Kopiejkinie i przekład tego tekstu w czterech wydaniach pokutuje.

Zademonstrowaliśmy najzwięźlej pewne cienie, należałoby z kolei pokazać też blaski przekładu. Mniemamy jednak, że je spostrzeże i niewątpliwie odczuje każdy wrażliwy czytelnik. Jemu pozostawiamy również wyciągnięcie nietrudnych wniosków, które będą zarazem odpowiedzią na postawione w tytule pytanie. Przekładowi Broniewskiego brak ostatecznego szlifu, a szlif ten konieczny, ażeby pełnią walorów zajaśniało w polskiej szacie to klasyczne dzieło, jakim są Martwe dusze.

Piotr Grzegorczyk

MARIAN MUSZKAT

Na marginesie dylematu atomowego

W związku z problemem walki o zakaz broni atomowej i wyzyskanie energii atomowej w celach wyłącznie pokojowych nasuwa się nieodparty wniosek, że również dwie współczesne koncepcje, dotyczące tego problemu, są wyrazem przeciwstawnej polityki dwóch istniejących w świecie obozów: obozu pokoju i obozu wojny.

Epokowe dzieło Józefa Stalina o problemach ekonomicznych socjalizmu w ZSRR umożliwia zrozumienie do końca rodowodu i sensu tych koncepcji, w genialny sposób oświetla bowiem mechanizm stosunków społecznych zarówno w granicach poszczególnych państw różnego typu, jak i w procesie ich współpracy oraz walki, a więc i w procesie ścierania się reprezentowanych przez nie koncepcji.

Do podstawowych praw rozwoju społecznego — wskazuje we wspomnianym dziele Stalin — należy prawo ekonomiczne o koniecznej zgodności stosunków produkcji z charakterem sił wytwórczych.

Burżuazja sama zburzyła — drogą rewolucji — feudalizm, kiedy stanął on na przeszkodzie w doprowadzeniu do zgodności stosunków produkcji z kapitalistycznym charakterem sił wytwórczych, który zaistniał już w łonie społeczeństwa feudalnego. Ale dziś, usiłując bronić swoich przywilejów, burżuazja czyni wszystko, by zapobiec doprowadzeniu do zgodności ze społecznym charakterem produkcji — kapitalistycznych stosunków produkcji, które umożliwiają jej ograbianie mas ludowych z rezultatów ich pracy.

W walce o swoje pozycje klasowe, hamujące dalszy postęp społeczeństwa, burżuazja wysuwa więc obok szeregu innych ludobójczych argumentów także argument o niemożliwości uniknięcia wojny, wojny, która pozwoli jej wzmóc wyzysk ludu i pomnożyć swe zyski, wojny prowadzonej wszelkimi dostępnymi środkami, a co za tym idzie wszelkiego rodzaju bronią masowej zagłady, jak broń atomowa, bakteriologiczna i inne.

Ale tak samo, jak zawiodły niegdyś wyposażone w „magiczne", „nowe" bronie, średniowieczne armie, jak zawiodła inkwizycja, zawieść muszą przeprowadzane obecnie próby zastraszenia bronią atomową i wznowienia inkwizycyjnych metod, których celem jest zatrzymanie, a nawet cofnięcie biegu historii.

Zacięty opór, z jakim monopoliści przeciwstawiają się między innymi pokojowemu rozwiązaniu problemu atomowego, jest typowym przejawem postawy klasy, schodzącej z areny dziejów, niezdolnej ani pojąć, ani wyzyskać w interesie człowieka prawidłowości rozwoju społecznego, klasy broniącej przeżytych, wstecznych form, klasy ogarniętej nieuleczalnym, śmiertelnym kryzysem.

Wszechstronny, bo obejmujący zarówno ekonomikę jak i politykę, kryzys kapitalizmu, rozpoczął się jeszcze w okresie pierwszej wojny światowej, w wyniku dokonanego przez tę wojnę wyłomu w światowym systemie kapitalistycznym i powstania przeciwstawnego systemu socjalistycznego.

U podstaw tego kryzysu i jego bezustannego pogłębiania się leży z jednej strony fakt rozkładu światowego systemu kapitalistycznego, z drugiej strony fakt nieprzerwanego wzrostu potęgi

tych krajów, które oderwały się od tego systemu, krajów socjalistycznych.

O rozkładzie systemu kapitalistycznego świadczą objawy jego kurczenia się i zastoju oraz wręcz regresu ekonomicznego. Wzrost systemu socjalistycznego jest nie tylko ilościowy, przejawiający się w powstaniu szeregu krajów, które zlikwidowały po II wojnie światowej ustrój kapitalistyczny, ale i jakościowy, wyrażający się w osiągnięciach na drodze ich rozwoju ekonomicznego i kulturalnego.

W referacie sprawozdawczym Malenkowa na XIX Zjeździe KPZR przytoczone zostały cyfry, z których wynika, że gdy ekonomika największych państw kapitalistycznych w ciągu ostatnich dwudziestu kilku lat drepce na miejscu, jeśli się nie cofa, ekonomika radziecka, nie bacząc na ciężkie rany odniesione w toku wojny, wzrosła prawie trzynastokrotnie. Burzliwe tempo rozwoju cechuje również ekonomikę wszystkich krajów demokracji ludowej.

W Stanach Zjednoczonych gwoli rentowności istniejących już inwestycji, naukę i technikę ujęto w chomąto, zmuszając je do rozwijania tylko działów przeznaczonych dla potrzeb wojennych. Tak na przykład energia atomowa wykorzystywana jest tam wyłącznie do celów militarnych.

Zupełnie inaczej kształtuje się rola nauki i techniki w obozie państw socjalistycznych.

„W okresie powojennym — mówił Malenkow na XIX Zjeździe KPZR — uczeni nasi pomyślnie rozwiązali wiele problemów naukowych o wielkim znaczeniu dla gospodarki narodowej. Najważniejszym osiągnięciem nauki radzieckiej w tym okresie jest odkrycie metod produkcji energii atomowej. W ten sposób nasza nauka i technika zlikwidowała monopol USA w tej dziedzinie i zadała poważny cios podżegaczom wojennym, którzy usiłowali wykorzystać tajemnicę produkcji energii atomowej i posiadanie broni atomowej jako środek szantażu i zastraszenia innych narodów. Państwo radzieckie rozporządzające realnymi możliwościami produkcji atomowej jest głęboko zainteresowane w tym, aby ten nowy rodzaj energii wykorzystywano w celach pokojowych, dla dobra ludu, gdyż takie wykorzystywanie energii atomowej rozszerza bezgranicznie władzę człowieka nad żywiołowymi siłami przyrody, otwiera przed ludzkością kolosalne możliwości wzrostu sił wytwórczych, technicznego i kulturalnego postępu, zwiększania bogactwa społecznego“ *)

Mając na uwadze jedynie zwiększenie bogactw monopolistów, „udoskonalenie“ i utrwalenie tylko im odpowiadających stosunków, nauka burżuazyjna nie jest zainteresowana ani zdolna do rozwiązania tych zadań, które stawiają sobie i pomyślnie rozwiązują uczeni państw socjalistycznych.

Mówiąc o roli techniki w ustroju socjalistycznym Lenin stwierdził: „Dawniej rozum ludzki, cały jego geniusz tworzył tylko dlatego, by jednym zabezpieczyć wszystkie dobrodziejstwa techniki i kultury, a innych pozbawiać nawet najbardziej nieodzownego — oświaty i rozwoju. Obecnie, wszystkie cuda techniki, wszystkie zdobycze kultury staną się własnością ogólnonarodową i odtąd już nigdy ludzki rozum i geniusz nie zamienią się w środki przemocy, w środki wyzysku“. **)

Taką właśnie rolę spełnia również technika atomowa w Związku Radzieckim. Spełnia ją dzięki temu, że w kraju tym znalazła się w postaci sojuszu klasy robotniczej z pracującym chłopstwem siła zdolna złamać opór klas, zainteresowanych w zahamowaniu po-

*) XIX Zjazd KPZR, Num. specj. Nowych Dróg z paźdz. 1952, 34/35.
**) Lenin. Dzieła. 4 ros. wyd. t. 26. str. 436.

stępu społecznego. Ponieważ w krajach kapitalistycznych siła ta toruje sobie dopiero drogę, ponieważ rządzą w nich na razie monopole, usiłujące uczynić z techniki wyłącznie środek wyzysku i przemocy, środek agresji, tym tylko celom służy również atomistyka imperialistyczna.

„Nauka" i publicystyka burżuazyjna dowodzą, że obecne trudności „rozwojowe" kapitalizmu, trawiące go sprzeczności, walka narodów z rządami faszyzmu i wojny, nędzy i bezrobocia, mają swoje źródło na zewnątrz, w propagandzie ZSRR, ba nawet w polityce rzekomego zagrożenia państw kapitalistycznych ze strony obozu socjalizmu. Nie dostrzegają one i nie chcą dostrzec prawdziwych źródeł swoich bolączek ustrojowych, ogólnego kryzysu kapitalizmu, który wszedł obecnie w nowy etap, w okres swojej agonii, i który dlatego prowadzi w tym okresie politykę faszyzmu i wojny, że warunkuje tę politykę podstawowe, rządzące nim prawo ekonomiczne, prawo odzwierciedlające obiektywne procesy, prawidłowość tych procesów dokonywujących się niezależnie od woli ludzi.

„Zapewnienie maksymalnego zysku kapitalistycznego w drodze wyzysku, ruiny i pauperyzowania ludności danego kraju, w drodze systematycznego ograbiania narodów innych krajów, zwłaszcza krajów zacofanych, wreszcie w drodze wojen i militaryzacji gospodarki narodowej, wykorzystywanych dla zapewnienia najwyższych zysków *) — oto jak formułuje Józef Stalin główne cechy i wymogi podstawowego prawa ekonomicznego współczesnego kapitalizmu.

Prawo to odkryte i wyjaśnione przez Stalina ukazuje nie tylko wszystkie trawiące kapitalizm sprzeczności, źródła jego interwencyjno-agresywnej polityki, ale i przyczyny pogłębiania się tych sprzeczności i nieuchronnej zagłady podtrzymującego je systemu. Wyjaśnia więc ono również źródła polityki i dyplomacji atomowej, atomowej „socjologii", „prawa" atomowego i innych ludobójczych „doktryn" i „nauk" krzewionych na zamówienie społeczne ich mocodawców, współczesnej monopolistycznej burżuazji.

„Atomowa socjologia" — to próba „ideologicznego" uzasadnienia monopolistycznego programu realizacji maksymalnych zysków w drodze faszyzmu i wojny, oparta na takich teoriach jak rasizm, geopolityka, maltuzjanizm i technokracja, wykorzystywanych przez atomowych gangsterów dla tumanienia mas ludowych, maskowania planów wzmożenia do ostateczności ich wyzysku i okrwawienia całej kuli ziemskiej. *)

Aby wzmóc wyzysk mas pracujących danego kraju, doprowadzić je do ruiny i ostatecznej nędzy nie wystarczy jednak zwykłe oszukiwanie. W tym celu trzeba je także „obdarzyć" odpowiednim „prawem", pozbawić nawet najbardziej elementarnych praw obywatelskich, sterroryzować, narzucić im faszyzm, poddać je dyktaturze klik policyjno-wojskowych.

Histeria wojenna, histeria „wieku atomowego", w którym według amerykańskiego „uczonego" Mumforda „każdy dzień może być ostatnim dniem istnienia" i w którym „całe życie sprowadza się do oczekiwania śmierci" **), stwarza atmosferę, na jakiej zależy podżegaczom wojennym. W atmosferze tej tracą zmysły nie tylko ministrowie w rodzaju Forrestala. W tych warunkach najłatwiej także zamienić w świstek papieru wszelkie gwarancje kon-

*) J. W. Stalin. Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR. Warszawa 1952, str. 43.

*) Zob. art. G. L. Jepiskopowa, w Woprosach Filosofii nr. 2/1952, str. 184.
**) Air Affaire, Nr 3/1947.

stytucyjne, ograbić lud z resztek prawa do walki o poprawę swego losu, sterroryzować go widmem więzienia, obozu koncentracyjnego i szubienicy.

Oto dlaczego znany amerykański prawnik Rossitter twierdzi, że w „wieku atomowym" Stany Zjednoczone nie mogą się obejść bez dyktatury wojskowej, „uzasadniając" tę tezę w szeregu artykułów oraz w specjalnej pracy, napisanej w 1951 r., na temat sądu najwyższego i kompetencji naczelnego dowódcy, dyktatorskich kompetencji męża zaufania monopoli, prezydenta Stanów Zjednoczonych. Czyni on w ten sposób zadość postulatom prezesa związku amerykańskich przemysłowców (NAM), Virgila Jordana, który z żądaniem takiej dyktatury wystąpił w swym „manifeście wieku atomowego" (Manifest for the Atomic Age).

„Dawniej — mówił Stalin na XIX Zjeździe KPZR — burżuazja pozwalała sobie na uprawianie liberalizmu, broniła swobód burżuazyjno-demokratycznych i przez to stwarzała sobie popularność wśród ludu. Obecnie z liberalizmu nie pozostało ani śladu. Nie ma już tak zwanej „wolności jednostki" — prawa jednostki przyznawane są obecnie tylko tym, którzy posiadają kapitał, a wszyscy pozostali obywatele uznani są za surowy materiał ludzki, zdatny jedynie do wyzysku. Zdeptana została zasada równości praw ludzi i narodów, zastąpiono ją zasadą pełni praw wyzyskującej mniejszości i pozbawienia wszelkich praw wyzyskiwanej większości obywateli. Sztandar swobód burżuazyjno-demokratycznych wyrzucony został za burtę".*)

Argument atomowy okazał się w tym monopolistom bardzo pomocny.

Ale granice własnego rynku są zbyt ciasne dla osiągnięcia maksymalnych zysków. Dlatego program wzmagania wyzysku ludności własnego kraju uzupełniony jest programem wyzysku ludności innych krajów, ich ujarzmienia i systematycznego ograbiania. Takim właśnie programem jest również plan Barucha, plan ujarzmienia i ograbienia narodów, plan opanowania całego świata przez amerykańskich monopolistów i zabezpieczenia im dzięki temu panowaniu maksymalnych zysków.

Plan ten, przewidujący utrwalenie produkcji bomb atomowych i stworzenie superkoncernu dla eksploatacji rudy uranowej całego świata, jest doskonałą ilustracją tezy, że „nie zysk przeciętny i nie zysk nadzwyczajny, będący z reguły zaledwie pewną nadwyżką ponad przeciętny zysk, lecz właśnie maksymalny zysk jest motorem kapitalizmu monopolistycznego". *) Treść tego planu oraz wszystkich wywodzących się zeń i uzupełniających go planów i bloków w rodzaju planu Marshalla, doktryny Trumana, paktu atlantyckiego, „układu ogólnego" itp. dowodzi, że „właśnie konieczność uzyskania maksymalnych zysków pcha kapitalizm monopolistyczny do takich ryzykownych kroków, jak ujarzmienie i systematyczne ograbianie kolonii i innych zacofanych krajów, jak przekształcenie szeregu niezależnych krajów w kraje zależne, organizowanie nowych wojen, będących dla wodzirejów współczesnego kapitalizmu najlepszym „businessem" dla uzyskania maksymalnych zysków, i wreszcie próby zdobycia ekonomicznego panowania nad światem". **) Ale dążenia amerykańskich pretendentów do panowania nad światem napotykają na opór nie tylko ze strony klasy robotniczej i ruchu narodowo-wyzwoleńczego kolonii oraz ruchu wyzwoleńczego narodów państw pokonanych w II

*) XIX Zjazd KPZR, Num. specj. Nowych Dróg z paźdz. 1952 r. str. 5.

*) J. W. Stalin. Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR, Warszawa 1952, str. 43.
**) Tamże.

wojnie światowej, ujętych, jak Niemcy zachodnie i Japonia, w karby zależności iście kolonialnej. Rodzi się również opór ze strony sojuszników „mocarstwowych" Stanów Zjednoczonych. Pogłębiających się sprzeczności interesów tych państw we wzajemnych stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi nie są w stanie ukryć żadne „wspólnoty", żadne „wspólne" platformy ideologiczne, chociażby montowane na płaszczyźnie antykomunizmu, żadne programy „pomocy", będące wyrazem coraz bardziej otwartej grabieży.

Charakterystycznym przyczynkiem do ilustracji prawdziwego charakteru tych wszystkich „wspólnot" jest próbny wybuch pierwszej angielskiej bomby atomowej na wyspach Monte Bello. Dokonano go w tajemnicy przed soldateską amerykańską, bez dopuszczenia jej obserwatorów. Podkreślano przy tym, że osiągnięte wyniki pozwolą położyć kres dominacji amerykańskiej, że nareszcie Wielka Brytania stanie się czynnikiem decydującym w sprawach użycia tej broni, że o tym nie będzie stanowił wyłącznie rząd w Waszyngtonie. *)

Jeszcze w r. 1951 na łamach biuletynu amerykańskich atomowców skarżono się na opór stawiany przez Anglików amerykańskim koncepcjom atomowym. **) Późniejsza wzmożona ekspansja kapitału amerykańskiego do kolonii brytyjskich, przekształcenie samego Królestwa w amerykańskie dominium, faktyczna okupacja zarówno metropolii jak i kolonii francuskich, samowola amerykańskiej soldateski we Włoszech, Niemczech zachodnich i Japonii, mogły tylko wzmóc opór stawiany przez narody tych krajów amerykańskim interwentom.

Realizacja planu Barucha, który leży u podstaw wszystkich późniejszych koncepcji „federalistycznych" i kosmopolitycznych postulatów „rządu światowego" napotyka na coraz większe trudności. Masy ludowe Europy nie dają się przekonać, że odrębność ich państw jest czymś sztucznym, co głosi jedna z podstawowych tez ostatniej publikacji ideologa amerykańskiego żołdactwa, Christophora Dawsona *), twierdzącego, że suwerenność jest nie tylko anachronizmem, ale i szkodliwą abstrakcją i że oparte na tym pojęciu organizacje międzynarodowe są nic nie warte.

„Dawniej — mówił J. Stalin na XIX Zjeździe KPZR — burżuazja uchodziła za głowę narodu, broniła ona praw i niepodległości narodu, stawiając je „ponad wszystko". Obecnie ani śladu nie pozostało po „zasadzie narodowej". Obecnie burżuazja sprzedaje za dolary prawa i niepodległość narodu. Sztandar niepodległości narodowej i suwerenności narodowej wyrzucony został za burtę".**)

Zaakceptowanie założeń planu Barucha przez wielką burżuazję Brytanii, Francji i innych państw imperialistycznych jest wymownym potwierdzeniem powyższych słów. Jest wymownym potwierdzeniem tego, że sztandar suwerenności narodowej wyrzucony został za burtę gwoli zapewnienia monopolom maksymalnych zysków. Argument „atomowy" należy do czołowych argumentów w polityce, mającej na celu terroryzowanie narodów, broniących swojej niepodległości. Argumentu „atomowego" nie chce więc wypuścić z rąk mocodawca tej polityki, amerykański imperializm, w płonnej nadziei, że ułatwi mu on obalenie suwerenności narodów, które uwolniły się już od jarzma kapitalistycznego.

Argument „atomowy" ukazuje naj-

*) Nowe Czasy, Nr 42/1952, str. 21.
**) Zob. ar. Stewarda Alsopa w Bulletin of the Atomic Scientists Nr 6/1951.

*) Understanding Europe, Nowy Jork, 1952.
**) XIX Zjazd KPZR. Num. specj. Nowych Dróg, str. 5.

dobitniej, w jaki sposób monopole dążą do zapewnienia sobie maksymalnych zysków w drodze militaryzacji gospodarki narodowej i wojen.

Brzemię narodów, uginających się pod ciężarem zbrojeń, zbrojeń wykorzystywanych już w agresji prowadzonej przeciwko narodom Korei, Vietnamu i Malajów, zbrojeń obejmujących także broń atomową, chemiczną, bakteriologiczną oraz wszelką broń masowej zagłady, jest źródłem zysków, o których osiągnięciu w warunkach pokoju monopole nie mogą nawet marzyć.

W ostatniej pracy postępowego ekonomisty amerykańskiego Jamesa Allena *), poświęconej problemom „imperializmu atomowego", czytamy, że w połowie 1952 r. sumy przeznaczone na przemysł atomowy sięgały 8 miliardów dolarów. Z wywodów tego autora wynika, że przemysł ten nie tylko stworzył nowy, udoskonalony typ kartelu, który całkowicie zrósł się z państwem, ale że kartel ten uczynił państwo swoim ogniwem, podległym mu biurem ubezpieczeń od strat, a zarazem biurem zamówień wojskowych i kredytów inwestycyjnych, produkcyjnych oraz handlowych, organem wykonywującym jego wolę, pracującym, aby zabezpieczyć mu maksymalne zyski.

Wyścigowi zbrojeń, a w jego ramach wzmożeniu tempa produkcji broni atomowej, towarzyszy fantastyczny wzrost zysków przemysłu monopolistycznego, zwłaszcza bezpośrednio kontrolującego zakłady produkcji atomowej.

Koncern morganowski General Electric osiągnął w 1950 r., już po opłaceniu podatków, czysty zysk w sumie 173,4 miln. dolarów, koncern Dupont de Nemours — 307,6 miln. dol., tj. prawie półtora razy więcej aniżeli w roku poprzednim. Concern Union Carbid Carbone Corporation osiągnął w 1950 r. 124 miln. dol. zysku tj. prawie o 35% więcej aniżeli w r. 1941, roku II wojny światowej i największego nasilenia zbrojeń podjętych w związku z potrzebami tej wojny.

Zaniechanie polityki zbrojeń, zwłaszcza zbrojeń atomowych, byłoby więc potężnym ciosem dla monopoli, bogacących się na zbrojeniach w ogóle, a zbrojeniach atomowych w szczególności. Oto dlaczego nie dopuszczają one do likwidacji „argumentu atomowego". Mało tego, usiłują pomimo bankructwa doktryny wojennej opartej na tym argumencie, mimo rozwiania do reszty wszelkich złudzeń, związanych z możliwością zastraszania przy jego pomocy narodów stojących na straży swojej suwerenności, kontynuować dyplomację „presji militarnej", szantażu atomowego.

Niepowodzenia agresorów amerykańskich w Korei wzmogły — zwłaszcza pod koniec 1952 r., wobec konieczności wydostania od Kongresu na nowy rok budżetowy dalszych kredytów na cele zbrojeniowe — nie tylko zwykły szantaż atomowy, ale i szantaż wodorowy. Pogróżki rzekomą „superbombą" miały za zadanie nie tylko sterroryzowanie narodu koreańskiego i zmuszenie go do ustępstw *), ale i wydostanie przy tej sposobności ze skarbu państwa dalszych dotacji na produkcję broni masowej zagłady, jedynie rzekomo mogącej zapewnić bezpieczeństwo Stanom Zjednoczonym. W tym tylko celu wzywał jeszcze w 1949 r. były prezes rockefellerowskiego Insytutu Carnegie, Bush, do możliwie najszerszej rozbudowy przemysłu atomowego.**) W tym samym celu amerykański senator Styles Bridges w wywiadzie udzielonym 22.XII.1952 r. pismu Newsweek, gdzie między innymi przyznaje, że agresja w

*) James S. Allen. Atomic imperialism, Nowy York 1952.

*) Por. Trybuna Ludu z 22.XI.1952 r.
**) W. Bush, Modern Arms and Free Mens, N. York 1949.

Korei, „choć jest w teorii operacją Organizacji Narodów Zjednoczonych — faktycznie jest operacją Stanów Zjednoczonych " — wezwał znowu do użycia w tej operacji „niektórych nowych broni łącznie z bronią atomową",*) broni, której produkcja mocodawcom Bridgesa przynosi bajeczne zyski. Dlatego popleczncy Bridgesa, występujący pod płaszczykiem socjologów i strategów — wbrew doświadczeniom II wojny światowej i agresji w Korei — podtrzymują mit o możliwościach „wojny błyskawicznej" tym rzekomo większych, że w planach opanowania świata posiadają do dyspozycji „argument atomowy".

„Jeżeli Dżyngis-chan — pisze niejaki Ogborn — był w stanie z pomocą koni podbić około piątej części kuli ziemskiej, dlaczego nie potrafiłoby podbić całego świata duże państwo, dysponujące samolotami, mogącymi przebyć 10.000 mil przestrzeni w 25 albo 30 godzin?" **)

W rozmaity sposób zachęcają do podjęcia tych planów rzecznicy interesów zarówno lotnictwa wojskowego, jak i pozostałych gałęzi przemysłu zbrojeniowego, zwłaszcza przemysłu atomowego.

W ankiecie dziennika amerykańskiego z St. Louis, Post Dispatch, na temat broni atomowej, emerytowany generał Phillips nie zadając sobie trudu dowiedzenia tego, oświadczył po prostu, „że zakaz bomby atomowej jest niemożliwy". Rektor uniwersytetu waszyngtońskiego Arthur Compton uznał, że „pomysł" taki jest już spóźniony, a John Foster Dulles dowiódł... że bomby atomowe nie pozbawione są nawet walorów... moralnych, że przy ich pomocy można uczynić zadość zasadom ludzkości..

„Uważam — oświadczył Dulles — za rzecz zupełnie obojętną z moralnego punktu widzenia, czy uśmierca się ludzi bronią atomową, czy też jakąkolwiek inną. Widziałem Tokio, Hiroszimę i Nagasaki. I gdyby wypadło mi dokonać wyboru pomiędzy nimi, wolałbym umrzeć w tym mieście, na które zrzucono bomby atomowe, aniżeli w tym, na które zrzucono bomby zapalające. Bomba atomowa przynosi o wiele lżejszą śmierć".

W imię zabezpieczenia maksymalnych zysków producentom broni atomowej Dulles przedstawia ich jako dobroczyńców. Oto, jak podkreśla radziecki publicysta Zasławski, do czego może się dogadać paskudny język podżegaczy wojennych.*) Skoro zaś wojna agresywna w ogóle, a wojna atomowa w szczególności, zdobywa w ten sposób nawet wysoką kwalifikację „moralną", pozostaje tylko odżegnanie się od przyjętych i wiążących norm prawa, zakazujących agresji, przewidujących karalność zbrodni wojennych oraz ludobójstwa, norm, zgodnie z którymi broń atomowa jest bronią zbrodniczą.

Współcześni „ideolodzy" imperializmu w dziedzinie prawa nie ograniczają się już jedynie do ataków na zasady karalności zbrodni przeciw pokojowi **). Negują oni nawet moc wiążącą zakazu przestępstw wojennych, od wieków już utrwalonego zwyczajami międzynarodowymi i potwierdzonego w traktatach oraz precedensach orzecznictwa międzynarodowego i krajowego, odnoszącego się do zbrodniarzy wojennych II wojny światowej.

Jeszcze w r. 1948 Bertrand Russel wystąpił z oświadczeniem, że jakiekolwiek działanie na wojnie nie może podlegać karze.***) Niemieccy zbrodniarze wojenni w rodzaju Gerlitza ****), angiel-

*) Zob. Trybuna Ludu z 1.I.1953 r.
**) W. Ogborn i M. Nimkoff, Sociology. N. York 1950. str. 433.

*) Zob. Trybuna Ludu z 1.XI.1952.
**) Zob. recenzja Bramsona, Nowe Prawo, Nr 12/1952, str. 35.
***) News Review z 26.V.1948.
****) Niurnbergskij proces. Sbornik materiałow. t. I str. XVIII i XIX, 1952.

scy lordowie Hankey i Maugham oraz delegaci amerykańscy w ONZ, zwłaszcza Hudson, podkreślali nieraz, że w imię dyscypliny wojskowej nie należy utrzymać karalności chociażby za najcięższą zbrodnię wojenną, jeśli popełniono ją wykonując rozkaz. Takie same w gruncie rzeczy poglądy krzewił również znany prawnik francuski, sędzia Trybunału Norymberskiego, Donnedieu de Vabres. Francuski zaś apologeta zbrodniarzy wojennych Camille Rougeron zdobył się nawet na cyniczną ironię pod adresem tych uczonych o „słabych nerwach", którymi wstrząsnęła wiadomość o planach popełnienia zbrodni wojennych przy pomocy ich wynalazków, zwłaszcza osiągnięć w dziedzinie bakteriologii, i o „idei" uwolnienia od winy i kary wykonawców tych zbrodniczych planów *).

Z drugiej strony, usiłując także ukryć dążenia do „sankcjonowania" takich zbrodni, wysuwa się postulat stworzenia międzynarodowych trybunałów karnych, rzekomo dla ścigania przestępstw zagrażających bezpieczeństwu międzynarodowemu.

Do podejmowania akcji związanych z likwidacją zamachów na pokój jest, jak wiadomo, powołana Rada Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych, utworzeniu zaś trybunałów międzynarodowych — w rodzaju norymberskiego — dla konkretnych spraw w rodzaju zbrodni wojennych popełnianych przez amerykańskich agresorów w Korei sprzeciwiają się właśnie imperialiści.

Cóż więc innego jeśli nie ingerowanie w sprawy wewnętrzne poszczególnych państw pod pozorem ochrony praw człowieka, a w gruncie rzeczy eksploatatorów, dywersantów, sabotażystów, szpiegów i wszelkiego rodzaju

*) C. Rougeron. La guerre future, Paryż 1948, str. 69.

rzeczników wojny, mogą mieć na myśli inicjatorzy „międzynarodowych" trybunałów karnych, zwłaszcza że uniemożliwiają sądom krajowym zajęcie się sprawami groźnymi dla pokoju, że przeciwdziałają przyjęciu do swego ustawodawstwa zasad obrony pokoju, że wewnętrzno-państwowe sądownictwo i ustawodawstwo, które mogłoby skutecznie przeciwstawiać się zamachom na pokój, czynią narzędziem faszyzmu, instrumentem polityki agresji.

W negacji zasad prawa międzynarodowego, a zwłaszcza zasad karalności agresji oraz zbrodni wojennych, najdalej posunęła się oczywiście amerykańska „nauka" prawa.

Nie zadawala się ona już tym, co czynili w okresie Norymbergi tacy „uczeni" jak Finch, to jest zaprzeczaniem podstaw karalności zbrodni przeciw pokojowi. Usiłuje te zbrodnie uznać za wyraz prawa. W mniemaniu znanego współczesnego lokaja amerykańskiego imperializmu, Kunza, podział wojen na sprawiedliwe, obronne i wyzwoleńcze, oraz niesprawiedliwe — zaborcze, jest przestarzały.

Odrzucając pojęcie zbrodni przeciw pokojowi, lekceważąc zawarte już w wiążących traktatach definicje agresora i agresji, dzieli on wojny na legalne i nielegalne, przy czym za wojny legalne uznaje wszelkie działania zaborcze podjęte w warunkach „sparaliżowania Rady Bezpieczeństwa prawem veta" *), a więc także napaść amerykańskich agresorów na Koreę.

Inny tego samego pokroju szermierz „praworządności" w stosunkach międzynarodowych, niejaki Taubenfeld, doszedł do przekonania, że prawa i zwyczaje wojenne nie mogą obowiązywać (nie istniejących w gruncie rze-

*) J. L. Kunz, Bellum instum and Bellum legale, Am. Journal of Inf. Law, zesz. 3 r. 45/1951, str. 533.

czy) „sił zbrojnych ONZ",*) to jest faktycznie amerykańskiego żołdactwa oraz jego najmitów, występujących pod zbrukaną flagą międzynarodowej organizacji.**)

Co sądzą o tych wszystkich teoryjkach, gloryfikujących zbrodnie wojenne, żołnierze patrioci różnych krajów, szanujący godność munduru wojskowego i honoru armii, można wywnioskować z opublikowanego na łamach Humanité listu załogi 485 pułku francuskiego, wystosowanego do żołnierzy belgijskich, którzy zastrajkowali przeciwko przedłużeniu dla potrzeb paktu północno-atlantyckiego służby wojskowej.

„Nie chcemy — pisali żołnierze francuscy — służyć za narzędzie represji przeciwko robotnikom i narodom zamorskim lub za piechotę w trzeciej wojnie światowej. Pragniemy żyć w pokoju ze wszystkimi narodami." ***) Tak samo myśli już wielu amerykańskich żołnierzy oraz wojskowych innych państw, którym wypadło walczyć w Korei. Świadectwem tego są oświadczenia niektórych amerykańskich jeńców wojennych w Korei. Świadectwem tego był na Kongresie Narodów w Wiedniu głos żołnierza kanadyjskiego, który powrócił z koreańskiego teatru wojny. Świadectwem tego są wypowiedzi żołnierzy amerykańskich i brytyjskich, którzy zwrócili się do rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej z prośbą o udzielenie im prawa azylu.

W jaki zaś trzeźwy niekiedy sposób zmuszeni są ocenić ewentualną postawę ludności krajów, na które planowana jest agresja, nawet autorzy amerykańskiego biuletynu atomowego, świadczy między innymi wypowiedź niejakiego Tugwella.

Pisze on, że jeśli się będzie bombardowało miasta na zapleczu nieprzyjaciela, to ludność nie tylko nie odstąpi od swego rządu, lecz przeciwnie, skupi się dookoła niego, jak to miało miejsce w ZSRR, gdzie barbarzyństwa hitlerowskie nie były w stanie odciągnąć od rządu radzieckiego żadnego patrioty.*)

Agresja i prowadzona w skali światowej militaryzacja mogą więc rokować maksymalne zyski tylko do pewnego czasu.

Nie mogą one żadnemu człowiekowi trzeźwo potrzącemu na haniebne dzieło podżegaczy wojennych przesłonić wizji całkowitego upadku systemu światowego kapitalizmu, gdyby jego wodzirejom udało się świat pchnąć w otchłań wojny światowej.

„Wiek atomowy" nie jest i nie może być „amerykańskim" wiekiem, wiekiem panowania amerykańskich imperialistów nad światem. Zawiodły nadzieje tych, którzy w dążeniu do ustanowienia takiego panowania stawiali zarówno na I, jak i na II wojnę światową. Zawieść muszą i nadzieje pokładane w nowej wojnie światowej.

Obie wojny światowe były wytworem ogólnego kryzysu światowego systemu kapitalistycznego, dążeń poszczególnych grup imperialistów do wyjścia z tych trudności kosztem rywali i oczywiście, jeśli się uda, także przez likwidację Związku Radzieckiego, zdobycie jego olbrzymiego rynku, przez unicestwienie ruchów rewolucyjnego i narodowo-wyzwoleńczego, przeciwstawiających się wyzyskowi mas ludowych zarówno w metropoliach, jak i w koloniach.

Cele te nie zostały jednak osiągnięte. Wręcz przeciwnie. Imperializm doznał

*) H. J. Taubenfeld, International Armed Forces and the Rules or War. Am. Jour: of Int. Law, zesz. 4, t. 45/1951, str. 676.

**) Por. A. Modżorian: Reakcjonnyje juristy na służbie am. agriesorow. Sow. Gos. i Prawo Nr 10/1952, 88—89.

***) Zob. Trybuna Ludu z 16.IX.1952 r.

*) Zob. Bulletin of the Atomic Scientists, Nr 5/1951.

dalszych porażek, skurczył się zasięg jego wpływów, wzrosła zaś potęga państwa radzieckiego i ugruntował się obóz państw socjalistycznych, tworzących dziś dla agresorów przegrodę nie do przebycia.

Imperialiści przestaliby jednak być imperialistami, gdyby wyciągnęli z tych faktów należyte wnioski. Rządzące ekonomiką współczesnego monopolistycznego kapitalizmu prawa prą go nieuchronnie do nowych konfliktów.

Konflikty te rodzą się przede wszystkim na tle walki konkurujących ze sobą imperialistów, walki o rynki i o likwidację rywali. Mimo że wszystkich imperialistów łączyła przed II wojną światową wspólna nienawiść do ZSRR, wojna ta nie zaczęła się wcale od konfliktu z ZSRR, ale rozwinęła się przede wszystkim w łonie samego obozu kapitalistycznego. Nie ma oczywiście żadnej gwarancji, jak to tak dobitnie podkreśla Stalin w swojej ostatniej pracy, że pobite i zniewolone Niemcy (zachodnie) i Japonia nie zechcą znowu uzyskać swobody działania, jak nie ma i nie może być gwarancji, że nie zechcą się pozbyć zależności od Stanów Zjednoczonych — W. Brytania, Francja i inne zmarshallizowane państwa. Oto dlaczego teza o nieuchronności wojen w stosunkach między państwami kapitalistycznymi nie może stracić swojej mocy tak długo, jak długo będzie istniał imperializm. Oto również dlaczego nie jest wykluczona możliwość powtórzenia się sytuacji, jaka zaistniała przed II wojną światową, kiedy Niemcy hitlerowskie ruszyły przede wszystkim przeciw swoim imperialistycznym rywalom. Nie jest ona tym bardziej wykluczona, że agresja przeciwko obozowi socjalistycznemu grozi agresorom śmiertelnym niebezpieczeństwem.

„Dlatego, po pierwsze — jak mówi Stalin — że wojna z ZSRR, jako z krajem socjalizmu, jest dla kapitalizmu bardziej niebezpieczna niż wojna między krajami kapitalistycznymi, albowiem jeśli wojna między krajami kapitalistycznymi stawia jedynie problem przewagi pewnych krajów kapitalistycznych nad innymi krajami kapitalistycznymi, to wojna z ZSRR musi w sposób nieunikniony postawić problem istnienia samego kapitalizmu. Dlatego, po drugie, że kapitaliści, mimo że w celach „propagandowych" robią wiele hałasu na temat agresywnej postawy Związku Radzieckiego, sami jednak nie wierzą w jego agresywność, ponieważ biorą pod uwagę pokojową politykę Związku Radzieckiego i wiedzą, że Związek Radziecki sam nie napadnie na kraje kapitalistyczne".*)

Bezustanne nasilenie sprzeczności wewnątrz obozu imperialistycznego jest właśnie dobitnym świadectwem tego, jak realne jest również niebezpieczeństwo zbrojnych konfliktów w tym tylko obozie, jak ważne jest dla organizatorów tych rodzących się na tle prawa nierównomiernego rozwoju międzykonkurencyjnych wyłącznie konfliktów — utrzymanie „argumentu atomowego". Wysiłki angielskie, mające na celu stworzenie własnego przemysłu broni atomowej wbrew woli monopolistów amerykańskich i w tajemnicy przed nimi, są tego nie dającym się odeprzeć potwierdzeniem.

Źródła wzrostu agresywności polityki imperializmu tkwią swoimi korzeniami w nowym etapie pogłębiania się ogólnego kryzysu kapitalizmu. O nowym etapie tego kryzysu zdecydowało dalsze osłabienie imperializmu. Najważniejszym wynikiem ekonomicznym II wojny światowej, jak wskazuje Stalin, było rozpadnięcie jednolitego, wszechogarniającego rynku światowego na dwa przeciwstawne sobie rynki światowe.

*) J. W. Stalin. Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR, Warszawa, 1952, str. 38.

Kurczenie się światowego rynku kapitalistycznego, jego nie dające się przezwyciężyć trudności sprawiają, że walka pomiędzy rywalami o pozostałe na nim pozycje, o maksymalne zyski, staje się coraz bardziej zacięta.

Obóz socjalistyczny ze Związkiem Radzieckim na czele walczy nie tylko z planami wojennymi wymierzonymi przeciwko niemu. Jest on przeciwnikiem każdej agresywnej wojny, w której zresztą zawsze tkwi niebezpieczeństwo rozszerzenia się. Jego walkę o pokój między wszystkimi narodami warunkuje podstawowe ekonomiczne prawo socjalizmu, które Stalin określa w sposób następujący: „zapewnienie maksymalnego zaspokojenia stale rosnących materialnych i kulturalnych potrzeb całego społeczeństwa w drodze nieprzerwanego wzrostu i doskonalenia produkcji socjalistycznej na bazie najwyższej techniki.“ *)

Wojna niszczy siły wytwórcze i w żadnym wypadku nie może sprzyjać nieprzerwanemu rozwojowi produkcji przeznaczonej tylko dla zaspokojenia potrzeb społecznych. Oto dlaczego państwa socjalistyczne są przeciwne wojnie. Oto dlaczego świadome działanie podstawowego prawa ich ekonomiki zmierza do stworzenia najlepszych warunków pokojowego rozwoju, najlepszych warunków dla życia ludzkiego, dla szczęścia człowieka. Oto dlaczego domagają się zniszczenia zapasów broni atomowej, bezwzględnego zakazu jej stosowania, wyzyskiwania energii atomowej wyłącznie w celach gospodarki pokojowej, gospodarki obliczonej na maksymalne zaspokojenie materialnych i kulturalnych potrzeb społeczeństwa.

Podstawowe ekonomiczne prawo socjalizmu określa nie tylko cechy ekonomiki państw socjalistycznych, określa ono również stosunki międzynarodowe tych państw, stosunki nowego, wyższego typu. Określa ono również stosunki międzynarodowe tych państw z innymi państwami, stosunki, z których usiłują one wyeliminować agresję jako środek polityki, które pragną zbudować na płaszczyźnie wyłącznie pokojowej współpracy dwóch systemów, współpracy możliwej i mogącej rozwinąć się z pożytkiem dla obu stron.

Takiej współpracy i rywalizacji w warunkach pokojowego współistnienia państw obu systemów zagraża wyścig zbrojeń, „naturalnie szukających“ ujścia. Zagraża im przede wszystkim wyścig zbrojeń najbardziej agresywnych i okrutnych, zbrojeń opartych na broni masowej zagłady, broni atomowej itp.

Oto dlaczego Związek Radziecki i inne kraje socjalistyczne domagają się redukcji zbrojeń i sił zbrojnych, stworzenia warunków dla powszechnego rozbrojenia, eliminacji z arsenałów wojskowych w pierwszym rzędzie broni masowej zagłady, broni atomowej i innego rodzaju broni eksterminacyjnej.

W tej walce o rozstrzygnięcie w interesie bezpieczeństwa międzynarodowego problemu atomowego, w walce o utrwalenie pokoju w ogóle, państwa socjalistyczne nie się osamotnione.

Walkę tę prowadzą w sposób coraz bardziej zorganizowany masy ludowe wszystkich krajów kapitalistycznych.

Zawodzą wysiłki podżegaczy wojennych, zmierzających przedstawić światowy ruch obrońców pokoju, tę antywojenną koalicję różnych klas i warstw społecznych, przedstawicieli różnych ras, narodowości, wyznań i światopoglądów, jako ruch partyjny, ruch komunistyczny. Kongres Narodów w Obronie Pokoju był jeszcze jednym świadectwem, że chodzi tu o masowy ruch

*) J. W. Stalin. cyt. dzieła, str. 44.

demokratyczny, o ogólnonarodowy ruch w obronie pokoju.

„Współczesny ruch w obronie pokoju — pisze Stalin — ma na celu zmobilizowanie mas ludowych do walki o utrzymanie pokoju, o zapobieżenie nowej wojnie światowej. A zatem ruch ten nie zmierza do obalenia kapitalizmu i ustanowienia socjalizmu — ogranicza się on do demokratycznych celów walki o utrzymanie pokoju" *).

Ruch ten wysuwa też jako jeden ze swoich czołowych postulatów zakaz broni atomowej oraz wszelkiej innej broni masowej zagłady. Zakaz tej broni mógłby zapewnić narodom bezpieczeństwo, ułatwiłby doprowadzenie do zakończenia toczących się już działań wojennych i do triumfu zasady rokowań nad metodą regulowania zagadnień życia międzynarodowego przemocą, ułatwiłby więc realizację najistotniejszych postulatów Kongresu Narodów w Obronie Pokoju. W realizacji tych postulatów zainteresowane są narody wszystkich krajów. Dlatego z radością powitały one odpowiadającą ich dążeniu propozycję delegacji polskiej: Zapobieżenia groźbie nowej wojny światowej oraz utrwalenia pokoju i przyjaznej współpracy między narodami, wniesioną na VII sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ 17.X.52 r. Rezulucja ta wzywa do natychmiastowego zaniechania działań wojennych w Korei, do redukcji sił zbrojnych i zbrojeń oraz do niezwłocznego przyjęcia uchwały o bezwarunkowym zakazie broni atomowej i innych rodzajów broni masowej zagłady oraz ustanowienia ścisłej kontroli międzynarodowej nad wykonaniem tej dycyzji przez wszystkie państwa.

Rezolucja ta wzywa również wszystkie państwa, które nie przystąpiły do Protokółu Genewskiego z 17 czerwca 1935 r. o zakazie używania broni bakteriologicznej lub nie ratyfikowały tego protokółu, do przystąpienia do niego, względnie ratyfikowania go oraz do potępienia paktu północno-atlantyckiego i zawarcia paktu pokoju.*)

Delegaci rządów imperialistycznych uniemożliwili rozpatrzenie projektu tej rezolucji na pierwszej części VII sesji Ogólnego Zgromadzenia ONZ, które zakończyło swoje obrady w grudniu 1952 r. Dali oni w ten sposób jeszcze raz dowód tego, że nie pragną zapobieżenia groźbie nowej agresji, utrwalenia pokoju i przyjaznej współpracy między narodami, likwidacji zatargów wojennych oraz najgroźniejszej dla pokoju broni masowej zagłady. Wzmagające się przejawy agresywności ich polityki nie są jednakże świadectwem niemożliwości udaremnienia ich planów agresji w skali światowej.

Obecnie decydującym czynnikiem w sprawach wojny i pokoju jest układ sił na arenie międzynarodowej między obu współistniejącymi obozami. Przewaga bezustannie rosnących sił obozu pokoju nad słabnącymi siłami obozu wojny rokuje coraz bardziej realne widoki udaremnienia planów podżegaczy wojennych, planów atomowych ludobójców.

„Obecny stosunek sił między obozem imperializmu i wojny a obozem demokracji i pokoju — mówił Malenkow na XIX Zjeździe KPZR — czyni tę perspektywę najzupełniej realną".**)

Imperialiści nie przyjęli jeszcze warunków zmierzających do odprężenia stosunków międzynarodowych, ale opór narodów przeciwko ich zbrodniczej polityce agresji stawia im przeszkody coraz trudniejsze do pokonania. Nowa wojna

*) J. W. Stalin, cyt. dzieła, str. 40

*) Zob. Nowe Czasy, Nr 43/1592.
**) XIX Zjazd KPZR, specj. numer Nowych Dróg, str. 25.

światowa może więc być zażegnana. Chodzi tylko o zrealizowanie tej możliwości.

W odpowiedzi na pytania amerykańskiego korespondenta Jamesa Restona z grudnia 1952 r. Józef Stalin oświadczył, iż w dalszym ciągu wierzy, że wojna między Stanami Zjednoczonomi a Związkiem Radzieckim nie jest nieunikniona, że dwa te kraje mogą nadal żyć w pokoju.*) Nie jest ona rzeczą nieuniknioną i w obecnej sytuacji międzynarodowej. O to, by jej zapobiec, by zapobiec wszelkiemu przelewowi krwi, by utrwalić pokój między wszystkimi narodami i unicestwić narzędzia masowej zagłady walczą setki milionów ludzi na całym świecie, narody wszystkich krajów.

*) Trybuna Ludu z 27.XII. 1952 r.

„Narody — stwierdza orędzie Kongresu Wiedeńskiego — bez względu na panujący w nich ustrój społeczny i na ideały, którym hołdują — chcą żyć w pokoju.

Wszystkie narody nienawidzą wojny. Wojna rzuca swój złowrogi cień na wszystkie kołyski. Narody mogą zmienić bieg wydarzeń i przywrócić ludziom ufność w pokojowe jutro".*)

Mandatariusze tych narodów dali wyraz nie tylko woli i możliwości swoich mocodawców.

Zademonstrowali również źródła siły, która tę wolę i możliwości jest zdolna przekuć w czyn.

*) Trybuna Ludu z 21.XII.1952 r.

Marian Muszkat

Posłowie do książki: Energia atomowa w walce o pokój i postęp, Warszawa, 1952.

Wypowiedź autora o „Uczcie Baltazara"

Książkę, o której mowa, zacząłem w połowie 48 roku. Pracowałem nad nią około dwóch lat. Na okres roczny pracę nad nią musiałem przerwać, ponieważ okazało się, że pozostaje jeszcze coś do roboty w drugim tomie Nieba i ziemi, z pozoru już przygotowanym do druku. Zanim powróciłem do Uczty, zeszło również trochę, gdyż zdążyłem od niej odwyknąć. Tymczasem, koledzy, jak wszyscy wiemy, pracujemy w epoce, kiedy czas posuwa się szybciej niż pióro po papierze. A nawet wyprzedza je, kiedy z tych czy innych przyczyn na moment je wstrzymamy, zamieniając na przykład w takich okazjach powieści współczesne na powieści historyczne. Mam poczucie, że po trosze tak jest z Uczta. Mówi ona w trybie pośpiesznym o rzeczach, o których można już dzisiaj mówić w trybie bardziej epicznym. Ale znów z drugiej strony z licznych niebezpieczeństw, czyhających na człowieka, który chce pisać o wybranej przeze mnie epoce, najmniejszym bodaj jest pewna tendencja do skrótów w relacji, do żywego tempa, do ruchu, z bardzo skąpą jednocześnie marżą na refleksje i na komentarz autorski. Epoka ta bowiem łamała i zmieniała to, co było złe w ludziach i życiu nie przez komentarze i nie przez refleksje, ale przez ruch, przez działanie i przez fakty.

Zmieniał się w tej epoce niejeden człowiek i niejedno zmieniało się w różnych środowiskach. Historia w Uczcie — to historia jednej takiej typowej przemiany. A cel książki, to pomoc, taka na jaką mnie stać, w mnożeniu podobnych przemian. Obserwowałem przemiany, obserwowałem mechanizm tych przemian, brałem czynny udział w rozmowach, które ich dotyczyły, ale brałem również i udział bierny. Słuchałem. Słuchałem relacji chaotycznych, zmieszanych. Z pozoru jednak zmieszanych. Z pozoru chaotycznych. W rzeczywistości zaś był to mocny łańcuch, tyle że taki, który powstał z ogniw najróżniejszego autoramentu. Łańcuch, który miał walory jakiegoś najbardziej niezbitego rozumowania. Tyle że, jak powiadam, zbudowanego z przesłanek, posiłkującego się przykładami podobieranymi różnie. Każde z tych zdarzeń zrelacjonowanych, każdy z wypadków opowiedzianych, z jakichś zauważonych fragmentów życia posuwał sprawę przemiany. Pogłębiał ją. Pomagał do dania jeszcze jednego kroku naprzód. Zmuszał do opuszczenia starych pozycji. Pchał ku nowym. I trzeba jeszcze dodać, że w tym procesie, kiedy człowiek przemienia się pod wpływem faktów zachodzących w jego otoczeniu, wyraźne są zawsze dwie grupy zdarzeń, dwie grupy przesłanek. Zdarzeń oburzających, przesłanek wskazujących temu, kto się zmienia, gdzie jest świat, który mu jest obcy. Oraz zdarzeń, które znów zdobywają go dla nowego świata. Przesłanki, które pomagają mu odbudować wewnętrznie to, co w nim zdrowe.

Takie zmiany — oto co było zagadnieniem Uczty. Odtworzyć przykładowo jeden taki łańcuch, z całą jego historyczną specyficznością, oto, co leżało u podstaw metody, którą w tym wypadku chciałem się posłużyć. Zakłada ona za tym po pierwsze, że złożymy całą książkę ze zdarzeń, których wymowa, oczywiście, powinna być jednoznaczna. Po drugie — ograniczymy do minimum wszelki komentarz, wszelką

refleksję. Bo jeśli miewa czasem sens znane powiedzenie, że fakty mówią same za siebie, to właśnie w odniesieniu do takich epok jak ta, którą opisuję. Różne mechanizmy wychodzą na jaw, różne manewry, różne rzeczy biją w oczy, w innych latach zaklajstrowane. A cóż to za lata? To lata, w których nasila się walka klasowa. Lecą wtedy maski z oblicz, wicher obala setki parawanów i zastawek. A i wszystkie moce klas nacierających, klas postępu stają się jawniejsze.

Ale jeśli zagadnienie, szersze oczywiście, chciałem wyrazić w odniesieniu do lat, o których mówi Uczta, musiałem już tych lat słuchać we wszystkim. Zobowiązywało mnie również to, że zmiany takie jak w Andrzeju Uriaszewiczu następowały nie na drodze refleksji i studiów, nie na drodze zetknięcia się z dziełami klasyków marksizmu czy książkami o marksizmie, podobnie musiały mnie zobowiązywać inne specyficzności tła historycznego. Jakie? Mnogość faktów atakujących takiego człowieka jak Uriaszewicz. Takie bombardowanie faktami, ilością ich — moim zdaniem — głęboko siedzi, mocno charakteryzuje epokę. Innym elementem charakterystycznym dla epoki jest ten ciągły ruch, który występuje i w książce. Przesuwanie się ludzi z miejsca na miejsce, przechodzenie od jednego zajęcia do innego. Te ruchy uwarunkowane były przyczynami obiektywnymi, ale również często i subiektywnymi. Tak jest w wypadku Andrzeja, który niezależnie od poszukiwań cennego malowidła, nie umie sobie znaleźć miejsca na ziemi. A kto go nie ma, kto nie wrósł w określone miejsce, tego po ziemi nosi. Świat na takiego człowieka działa inaczej niż na człowieka zasiedziałego. Procesy ideologiczne mają także swoje cechy specyficzne. Mówiłem już o tym wyżej. Cechuje je właśnie pewna fragmentaryczność. Różnorakość materiału używanego przy procesach myślowych. Takie oto były wymogi tła!

Ale w zamian za te wymagania wypłacało się ono w innych walorach. Uczyniło nie tylko możliwym, ale i koniecznym szersze rozejrzenie się po kraju. Było to dla mnie konieczne również z innych względów. Dla zrównoważenia tego, że Uriaszewicz recypuje świat wielkich naszych przemian fragmentami, należało pokazać kolosalny zasięg tych przemian. Na różnych terenach i w różnych środowiskach. Inaczej byłoby w książce duszno. Jeśli zaś nie jest, to dzieje się to właśnie dzięki temu, że w książce coraz to otwiera się okno na inny skrawek rzeczywistości. Inne one, a łączy je jedno i to samo. Walka, rytm pracy, przebijanie się tego, co silne i zdrowe, ku światłu. Tak przynajmniej te sprawy wyglądały w moim zamyśle.

W stosunku do Andrzeja Uriaszewicza i jemu podobnych świat zachowuje się agresywnie. Chcąc to podkreślić, posługiwałem się przed chwilą określeniem, że nasza rzeczywistość go bombarduje, że go atakuje. Andrzej na początku książki jest bierny i tak jest pomyślany. Budzi się niezmiernie późno. Jest bierny podwójną biernością. Biernością wahającego się inteligenta. Biernością charakteryzującą pewne elementy klas pośrednich. Ale jest bierny nie tylko tą biernością. Jest bierny na skutek pewnego porażenia powojennego. A ściślej biorąc: popowstaniowego. O tym jego ostatnim urazie mowa jest w książce wielokrotnie. On sam jest go świadom.

Słyszę, a często i czytam, że Andrzej wydaje się postacią niedokrwioną. Przy tym z kontekstu uwag, niestety, wynika, że nie są one pomyślane w stosunku do mnie jako komplement. Ale same w sobie, biorąc je od ich najlepszej

strony, w zasadzie kierują się ku jakiejś obserwacji prawdziwej. Tej mianowicie, że z Andrzejem jest coś nie w porządku. Tak samo jest coś nie w porządku z bohaterem słynnego filmu Niepotrzebni mogą odejść. To nie w porządku mianowicie, że ów bohater jest ciężko ranny. Z Uriaszewiczem, nieomal aż do samego końca książki, rzeczy układają się podobnie. On jest wciąż stroną bierną. Nie jest to jednak, jak mi się zdaje, żadne dziwo psychologiczne. Wręcz przeciwnie: bardzo klasyczny produkt czasów, warstwy i wypadków.

Czemu właśnie w tej wersji inteligenta przyjąłem do swej książki? Bo cięższa i dłuższa z nim sprawa. A skoro cięższa i dłuższa, to mogę i mam prawo przywołać sobie do pomocy niejedną zbrodnię z tych czasów i niejedno bohaterstwo z tych czasów, nie mając poczucia, że zachodzi jakaś dysproporcja pomiędzy siłą argumentów a receptywnością mego bohatera. On musi ku nam z dala nadchodzić, jeśli aż tak długo trzeba z nim mówić. Z dala, więc albo z wyraźnie wrogich pozycji, albo też, tak jak w wypadku Andrzeja, nie tyle z wrogiej strefy, co jak gdyby z jakiejś strefy zaćmienia.

I taka właśnie postać, a nie inna daje mi jeszcze jedno. Pozwala rzucić silne światło na inny proces, równoczesny, który zachodzi w ludziach zdobywanych przez rewolucję i dla rewolucji, czy też spojrzeć na proces główny i jedyny od innej strony. A więc tak, by widzieć nie tylko to, że mamy już do czynienia z kimś innym pod względem ideologicznym, ale także to, że mamy do czynienia z kimś innym i pod względem psychicznym. Z człowiekiem ozdrowionym psychicznie. Medycyna za pomocą zabiegów chirurgicznych i żmudnych ćwiczeń przywraca społeczeństwu nawet ludzi ciężko okaleczałych. Mogą oni pracować i żyć możliwie jak najnormalniejszym życiem. Nazywa się to resocjalizacją. Otóż niewątpliwie ubocznym produktem uczciwych przełomów ideologicznych jest, by się tak wyrazić, psychiczna resocjalizacja. Moim pragnieniem było o tym mówić w Uczcie. Bo to jest ważne, historycznie dla epoki ścisłe i, jeśli chodzi o moją wrażliwość, szczególnie dla takich przełomów piękne.

Treść warunkuje formę. Zagadnienie, cel, moment historyczny, który chce się przedstawić, wpływają w sposób wiążący na warsztat. Jeśli więc chciałem pokazać, w jaki sposób czyny i zdarzenia przemieniły Andrzeja, musiałem całą uwagę skupić na czynach i zdarzeniach. To znaczy, wyrażając się już konkretnie i warsztatowo, na akcji. Ożywiając ją maksymalnie. Tak ją montując, by rzeczywiście można było uwierzyć i trzeba było uwierzyć, że na Andrzeja zadziałała. Wbrew niemu. Na przekór jego woli.

Wydarzenia następują za wydarzeniami, całkując się w jego duszy. No, i co jest oczywiście o wiele istotniejsze, w duszach czytelników. Przypominam jeszcze to, co mówiłem o fragmentaryczności, z jaką Andrzej odbiera świat. Przypominam, że wskutek tego stało się konieczne wciągnąć do gry różne środowiska i tereny. To wszystko razem kazało mi tak budować fabułę, jak ją budowałem. Na miarę moich sił żywo i zaskakująco. To również kazało przenosić akcję z terenu w teren. Poznawałem do tego celu teren w licznych wypadach i pobytach. Bodajże nawet wcześniej nim ów termin „terenu" stał się w naszym środowisku literackim terminem obiegowym. Wspominam z tego okresu z wielką serdecznością i pomoc ludzką, i gościnność. Bytności w fabryce penicyliny w Tarchominie, tygodnie w szkołach rolni-

czych w Osmolicach oraz Pszczelej Woli pod Lublinem. Miesiące w Gdyni i w Ustce. Rzecz prosta, nie w sezonie. Lecz w marcu, w grudniu, i znów w marcu. Wtedy bowiem porty żyją już tylko własnym życiem i lepiej jest w nich pracować nad gromadzeniem materiału.

Przenoszenie akcji z terenu w teren, porzucanie jednego środowiska, by wejść w inne, może się nam udać tylko wówczas, jeżeli rozwiążemy z pewnym szczęściem dwie trudności konstrukcyjne. Pierwszy szkopuł — to konieczność znalezienia więzi dla całości książki. Więzią taką w powieści jest sprawa obrazu. Często słyszę o tym, że jest to pomysł dobry, a nawet rzeczy jeszcze cieplejsze. Ale nie od wszystkich. Niektórzy uważają, że skoro wiedziałem, że obraz jest fałszywy, nie wypadało przez tak długi czas mamić nim czytelnika. Poniekąd inaczej ujmuje rzecz Ryszard Matuszewski, bo powiada, że zakończenie sprawy obrazu jest farsowe. Nie. Farsowe ono nie jest. Chyba że trzeba by nam zgodzić się i na to, że farsowe jest zakończenie Szkiców węglem i farsowa jest umowa zawarta po pijanemu między Rzepą i sołtysem. Ta umowa, co do której Sienkiewicz pod koniec nam zdradza, że była krótko mówiąc „dęta".

Podobna umowa, tak samo jak w tej mojej Uczcie, nazywa się w literaturze pretekstem literackim. Wykorzystawszy swój pretekst pisarze nieraz go kompromitują. To zabieg częsty. Tak częsty, że raczej czuję się winny tego, iż posłużyłem się tak starym sposobem, niż tego, żem użył — co mi niektórzy zarzucają — sposobu dziwacznego i niebywałego. Odpowiadam więc na to, że bywał. Ja go tylko wiernie powtórzyłem. Nie zdając sobie sprawy nawet jak bardzo wiernie. Toż w Bankierach ruin Ważyka również występuje cenne płótno, tak samo pod koniec skompromitowane jak moje. Z bardzo podobnie pracującym pretekstem literackim spotkałem się, już po oddaniu Uczty do druku, w utworze scenicznym pod tytułem Trombita, który widziałem w Moskwie. Tam takim pretekstem jest skarb zakopany w lesie, zabezpieczony w skrzyni żelaznej przez dawnych wielkich właścicieli ziemskich. Kiedy po licznych perypetiach dostaje się w ręce ich dawnego totumfackiego, okazuje się, że skrzynia zawiera ...akcje! Zatem makulaturę. Gdyż oczywiście są to akcje fabryk i kopalni upaństwowionych.

Śmieszne to? Budzące śmiech? Rzecz prosta! Ale czy farsowe? Nie! Gdyż śmiech wynika tu nie z żadnego głupstewka czy pustki, lecz z pouczającej, realistycznej, głęboko zaobserwowanej sytuacji. Ale aby skończyć już z tym pomysłem Uczty, dodać muszę, że nie tylko zarzucano mi, że jest za mało poważny, lecz również i to, że jest za poważny. Że próbuje wyrazić jakieś symboliczne treści, czyli że zalatuje symbolizmem. Jest to jednak nieporozumienie wynikające z pomieszania terminów. Symbol i symbolizm to rzeczy bardzo od siebie odległe i chociaż się nieomal tak samo nazywają, nie są z tej samej rodziny. Kto nie umie wyrazić jakiejś treści i zastępuje ją pustym słowem, czyniąc z tego słowa hegemona w stosunku do treści, jest symbolistą. Tam natomiast, gdzie treść jest żywa i pełna i tak doskonale wyklarowana, że można ją w skrócie, prawie że w jednym słowie uprzytomnić, wyrażamy ją symbolem. Czyż na przykład w takich tytułach jak Lalka czy Jak hartowała się stal nie mamy do czynienia z symbolami? Bez wątpienia. Ale oczywiście nikt o jakim takim opanowaniu skojarzeń terminologicznych nie wywiedzie stąd wniosku, że Prus czy Ostrowski to symboliści.

Otóż ja także w sprawie Uczty odżegnuję się od symbolizmu, tak jak odżegnuję się od farsy. Czy chcę przez to powiedzieć, że z tym moim pretekstem literackim wszystko absolutnie jest w porządku? Nie. Tak, niestety, nie mogę rzec. Nie ma dymu bez ognia i nie ma też szumu wśród krytyków całkowicie bez przyczyny. Błąd więc jest i tu. Tylko, moim zdaniem, polega on na czym innym niż to, co było wyżej powiedziane. Błąd polega na tym, że preteksty — to więź o ograniczonej wytrzymałości. Stąd doskonała ona do nowel, opowiadań, a nawet do utworów scenicznych. W znacznie mniejszym stopniu sprawnie pracująca w powieści. Tu więc — jeśli idzie o konstrukcję — w pewnym stopniu się przeliczyłem.

Druga trudność konstrukcyjna książki — to ekspozycje wewnętrzne w niej. Przenosząc akcję z terenu w teren, ze środowiska do środowiska — trzeba było je jakoś wprowadzać, ale nie zużywając na to nazbyt wiele czasu. Zwykłym trybem prowadzona ekspozycja pierwszego środowiska, które prezentuję w Uczcie, zajmuje dobre kilka rozdziałów. Na podobne ekspozycje nie mogłem sobie pozwolić parokrotnie w trakcie książki. Akcyjność jej zostałaby bowiem zahamowana. Musiałem szukać innych rozwiązań. Tradycyjny warsztat zna na to — o ile się orientuję — w zasadzie jeno dwa sposoby. Pierwszy sposób to czyjeś opowiadanie. Ktoś kogoś spotyka w książce i relacjonuje mu za jednym zamachem to i owo. Drugi sposób — to list! Sposób wręcz klasyczny, ale moim zdaniem już dziś anachronizm. Wyzyskawszy te sposoby, będąc w potrzebie trzeciego, uciekłem się do — przemówienia. To jest przecież nasz chleb codzienny. Sposób komunikowania sobie nawzajem naszych myśli powszedni, tak powszedni, jakim były pod koniec wieku osiemnastego listy. Dziś wielkich, zasadniczych listów nie pisze chyba już nikt. Ani takich listów nie odbiera. Każdy z nas natomiast wysłuchuje, a wielu z nas nawet wygłasza wielkie i zasadnicze przemówienia. Wiek osiemnasty był tak z listami obyty, że zna powieści wręcz od początku do końca złożone z samych listów. Czy możliwa jest dziś cała powieść złożona z samych przemówień i jaki byłby smak beletrystyczny takiej książki — tego nie wiem. Natomiast jestem zupełnie pewien, że przemówienia będą włączone do warsztatu pisarza, tak jak niegdyś włączone były listy.

W swoim interesującym referacie Jerzy Pytlakowski wyraził się przychylnie o części portowej Uczty. Nie wszyscy są jego zdania. Nie tylko nie podzielają go wszyscy krytycy, ale również nie podziela go w pełni sam autor. Mówiąc po prostu niektórym krytykom wydają się te strony schematyczne. Jeżeli nie wprost, to w każdym bądź razie zalatujące tą przywarą. Podobnie rzecz się ma z niektórymi stronami o szkole rolniczej. Znów powtórzę, że nie ma dymu bez ognia. Ale czy rzeczywiście zawiniłem z tego paragrafu, o który mnie niejeden felieton poświęcony Uczcie pomawia? Chyba nie. Jak się tedy sprawa przedstawia według mojej opinii? Oto w ten sposób, że skoro tematem książki nie jest ani środowisko szkolne, ani środowisko portowe, lecz jest Uriaszewicz i jego przemiana, mam pełne prawo ze środowiska młodzieżowego i ze środowiska robotniczego wziąć wyłącznie te elementy, pod wpływem których Uriaszewicz się zmieniał.

Gdybym książkę ułożył w formie pamiętnika Uriaszewicza, spór powyższy od razu by upadł. Wówczas byłoby wyraźne, że autor nie miał ambicji przedstawiania świateł i cieni tych ludzkich postaci, które porywają swym przykładem Uriaszewicza. Miał zaś ambicję

bardziej sprecyzowaną, a mianowicie opowiedzenia o tych słowach, tych czynach, tych odruchach, które były Uriaszewiczowi pomocne. Pomocne, rzecz prosta, były w tym wypadku tylko czyny, słowa i odruchy szlachetne, patriotyczne, pozytywne. Nikt nigdy w sytuacji Uriaszewicza, zdając relację z procesu, jaki w nim zaszedł, nie będzie inaczej ustawiał faktów i postaci, niż ja je ustawiałem w Uczcie. Ze zdarzeń będzie brał poszczególne fragmenty, z ludzi tylko jeden czy drugi element. W tym wypadku jedynie pozytywne.

Czym takie podejście różni się od podejścia schematycznego? Schematysta chce przy pomocy samych jasnych maści odtworzyć całego człowieka, czy przedstawić opis pełnego zdarzenia. W rezultacie otrzymuje fikcję. Ja zaś nie miałem zamiaru opisać ani, przykładowo biorąc, Kulickiego ani Konkola. Pragnąłem tylko pokazać stosunek Kulickiego do nauki i stosunek Konkola do pracy. A jeszcze ściślej mówiąc oba te stosunki tylko w tym zakresie, w jakim pomogły Uriaszewiczowi na jego drodze rozwoju. Jest zresztą praktyką szeroko stosowaną, że powieściopisarz porucza epizodycznym postaciom określone i jednostronne funkcje. Ale w takich wypadkach nikt nie pomawia autorów o to, że rzucają na postaci tylko światło jednostronnie. Sądzę zresztą, że i w moim wypadku nie byłoby o to sporu, gdyby nie fakt, że Uczta wyszła w okresie ostrej reakcji antyschematycznej. Słuszna rzecz, że podczas epidemii wzmaga się wrażliwość na pewne objawy, ale i słuszne chyba z mojej strony bronić się przed diagnozą opartą na obserwacjach poczynionych w atmosferze pewnego podenerwowania.

Dodam jeszcze, że zarówno szkoła, jak przede wszystkim port, to tereny pomyślane jako miejsca, gdzie Andrzej nabiera czystego, świeżego powietrza w płuca. Zanim znowu natrą na niego stare czady. Taka jest konstrukcyjna rola owego portu. I to w moim rozumieniu rzeczy jest w porządku. Natomiast nie jest w porządku i jest skazą co innego. To mianowicie, że wydarzenia portowe nie są ustawione koncentrycznie w stosunku do jakiejś jednej, określonej perypetii. Jako poszczególne ogniwa rozumowania — są do przyjęcia. Jako ogniwa jakiegoś dramatycznego wydarzenia — nie. Stało się to dla mnie oczywiste, gdy przystąpiłem do przeróbki Uczty na film. Razem z Jerzym Zarzyckim, reżyserem przyszłego filmu, uznaliśmy część portową książki za dramaturgicznie niedynamiczną. Wydarzenia w części portowej będą więc w filmie przebiegały po jednym torze. Andrzejowi Uriaszewiczowi będzie w nich wyznaczona rola znaczniejsza.

Teraz chciałbym się zająć sprawą języka. Kiedy się czyta Mury Jerycha i czyta się Ucztę, różnica stylu jest uderzająca. Tak uderzająca, że krytyka uznała, iż jest to fakt, nad którym warto się zastanowić. I nad tym również, co on oznacza. Otóż moim zdaniem oznacza on niejedno. Oznacza dwie rzeczy, które nie mają ze sobą nic wspólnego. Oznacza po pierwsze, że do zupełnie innego rodzaju treści, zupełnie innego typu książki styl został dopasowany. Ale zarazem oznacza coś jeszcze. A mianowicie to, że stosunek autora do języka i do stylu uległ zasadniczej odmianie. Oba te względy razem wzięte sprawiają, że rzeczywiście od Murów do Uczty został dokonany w zakresie stylu nie byle jaki skok.

Pierwszy wzgląd jest chyba dość prosty. Inaczej przecież mówimy, gdy działamy, inaczej, gdy jakąś sprawę poddajemy refleksji. Uczta jest książką złożoną z samych działań, czego się nie da w żaden sposób powiedzieć o Murach. Im żywsza akcja, im więcej

w książce scen, tym styl staje się bardziej skrótowy, bardziej oszczędny. Stylu rozrasającego się wszerz i akcji spieszącej wprzód nie da się połączyć. Styl rozrastający się wszerz, nasycony aforystyką, metaforyką, refleksjami, ma swój sens, ale tylko pod pewnymi warunkami. Nie nadaje się na przykład nigdy do rekonesansów. To nie jest styl szturmowy. To jest styl późnych formacji. Mówiłem już o tym, że nie nadaje się do opisywania działań i akcji. Nie nadaje się również do opisywania spraw nowych, nowych stosunków, świata tworzącego się na nowo. Jest to styl dodający coś do już przez nas posiadanej o czymś wiedzy. Nigdy styl pierworodny.

Jeszcze ostrzej sprawa ta się zarysuje, gdy się pomyśli o nowym czytelniku. W takim wypadku ów element nowości podnosi się do kwadratu. Nowym ludziom mówić mamy o nowym świecie. Jakim stylem? Jakim językiem? My w naszym środowisku literackim jesteśmy wciąż jeszcze przede wszystkim łechczywi na owe, jak powiada Jerzy Putrament, perełki. Nic by, rzecz prosta, nowemu czytelnikowi nie szkodziły owe błyskotki, gdyby nie to, że wprawdzie świecą, lecz niczego nie oświetlają. Lub nawet jeszcze gorzej, bo rzucają światło, ale jakieś boczne i migawkowe. Zaś na nowe sprawy, tym bardziej jeśli piszemy o nowym czytelniku, światło powinno być rzucane wprost. Tak jak podczas fotografowania twarzy nieznanej. W innym wypadku oświetlamy rysy z boku, z profilu, w półcieniu, z dołu. W jakim wypadku? Mając do czynienia z rysami już znanymi. Wtedy do naszej dawnej wiedzy będziemy dodawać dodatkowe elementy. Lecz podawanie dodatkowych informacji bez podania przed tym informacji podstawowych, to w najlepszym wypadku słowolejstwo, a w najgorszym wprowadzanie czytelników w błąd.

Pytaliśmy się kiedyś kolegów radzieckich, czemu u nich większość Nagród Stalinowskich za powieści współczesne przypada powieściom wiejskim i to nawet, trzeba powiedzieć, ogromna większość. Pouczająca była ich odpowiedź. Oto wynikało z niej, że piszący o wsi korzysta z olbrzymich ilości elementów istniejących już w literaturze. Nie od dziś rosną grusze, ciągną się miedze, nosi się ludowe stroje. Nie od dziś istnieje gwara i wiejski obyczaj. W zestawieniu z tym wszystkim pisarz, który wkracza do fabryki, staje niemal że przed białą kartą w literaturze. Tu każda obserwacja musi być własna i nowa. Każda przenośnia musi być sprawdzona. Dlatego jest to grunt tak trudny. Jak trudny, wie zarówno autor, jak i lektor. Zna te dysproporcje, jakie zachodzą pomiędzy partiami opisów, przypuśćmy, krajobrazowych z jednej strony, a opisów, by się tak wyrazić, przemysłowych z drugiej. Te kolizje pomiędzy plastycznością, dajmy na to, drzew, a szarością, powiedzmy, obrabiarek. Zarazem wiemy, że nic gorszego niż taka anarchia w plastyczności dla dzieła sztuki, w którym zawsze obowiązuje jedność. Zatem jeszcze jeden powód, dla którego na nowym terenie trzeba sobie postępować ostrożnie z metaforami.

I sądzę zresztą, że nie tylko na nowym. Tak samo, jak wręcz pewien jestem tego, iż nie tylko z tych względów, że Uczta ma żywą fabułę, użyłem w niej innego stylu niż w Murach Jerycha. Uczyniłem tak nie tylko z myślą o nowym czytelniku, ale także z myślą o samym sobie. Drogę od Murów do Uczty odbyłem nie jednym tchem. Nieliczni to zauważyli, że Mury i Niebo i ziemia to nie to samo. Przecież Mury pisane są jeszcze jakąś swoistą polszczyzną. Z charakterystycznym dla podobnych pol-

szczyzn posługiwaniem się własną składnią. Z zupełnie swoistym drygiem semantycznym. W tej pasji do tworzenia własnego języka, jak gdyby jakiejś polszczyzny „bis", nie byłem odosobniony. To tradycja berentowska i kadenowska zarówno. To tradycja, na mocy której pisarz ukuwa sobie swoją mowę i to tak dalece odrębną od potocznej, że w zestawieniu ze zwykłą polszczyzną można ją bodajże wziąć za jakieś próbki odtworzenia języka wymarłych Lutyków czy Obotrytów. Niewątpliwie wieczorom autorskim i rozmowom z czytelnikami zawdzięczam, żem od tej koncepcji odstąpił. To zaś, że się wsłuchałem w głos czytelników, zawdzięczam, krótko mówiąc, rewolucji. Otóż więc w Niebie i ziemi odstąpiłem od tej koncepcji języka. Pokwitował to w sposób dla mnie miły i natychmiastowy Adam Ważyk, zapalczywy antagonista takiego pojmowania stylu. Kto ciekaw szczegółów, znajdzie je na kartach książki pod tytułem W stronę humanizmu.

Alem się niedługo cieszył na owym etapie. Poczęły mnie trawić najróżniejsze wątpliwości jeszcze ogólniejszej natury. Zrozumiałem, że samym konformizmem w zakresie składni i semantyki nie wszystko da się w owej epoce przełomu załatwić. Ani nawet bardziej odpowiedzialnym stosunkiem do aforystyki czy metaforyki. Kłopot w tym, że należało od dzisiaj zupełnie innymi daniami zastawiać książkę. Kłopot całkiem niezależny od tego, że to, co my tak pobłażliwie w naszych książkach nazywamy metaforami, najczęściej bywa łatą daną w tekście na miejscu, gdzie powinno przyjść jedno celne słowo. Łatą albo też najzwyklejszą namiastką realiów. U najzdolniejszych z nas, to znaczy u tych, których pióro i myśl są zwinne, nie widać tego. Ale tam gdzie te elementy zastępujące obserwację i dane pamięciowe zawiodą, dzieją się okropne rzeczy. Nie warto cytować przykładów, bo nie o to chodzi, że ktoś się potknął, czy że, co jest smutniejsze, czyjś talent jest wątpliwy, ale o sprawę ogólniejszą.

W tym stanie rzeczy wzmagała się we mnie potrzeba napisania książki za pomocą środków jak najbardziej naturalnych. Toteż kiedy i koncepcja książki, i materiał nie tylko się temu nie sprzeciwiały, ale domagały się właśnie takich środków, zdecydowałem się tak pisać Ucztę, jak ją napisałem. Kiedy zaczęły się ukazywać jej fragmenty, Tadeusz Borowski, który się w nią jak przypuszczam wczuł, napisał, że stanowić będzie przełom nie tylko dla autora Murów Jerycha i Nieba i ziemi, ale i całego literackiego środowiska. W tej ostatniej mierze nie podobna mi zabierać głosu. Ukryć jednak nie mogę, że nieco niepokoi mnie dyskusja koło tej książki, która toczy się wokół następującego pionu i której wyłącznym hasłem jest: czemu autor napisał w sposób tak prosty swoją książkę, którą mógł przecież napisać w sposób o wiele bardziej skomplikowany?

Zdaje się, że jedną z przyczyn tej niewątpliwie pretensji jest domniemanie, że sposób prosty pisania, to jest sposób łatwy. Że na to, by w ten sposób pisać, wystarczyło mi odcedzić z dawnego stylu „perełki" i już rzecz gotowa. Ale w ten sposób można odcedzać kluski. Z pisaniem tak się sprawa nie przedstawia. Wiedzą o tym wszyscy, którzy łamali się z trudnościami uproszczenia i odnowienia środków wyrazu. A łamią się w ten sposób nie tylko ludzie o takim warsztaciku jak ja, ale i najwięksi. Łamią się albo też stają w obliczu identycznego problemu. Przecież wariacki dylemat, przed którym staje Adrian Leverkuhn z Faustusa Manna, to wybór pomiędzy zaprzedaniem duszy diabłu, aby o jeszcze jed-

ną cegiełkę wyżej podciągnąć swoją twórczością gmach istniejącej kultury, a budowaniem gmachu nowej kultury od samych początków. A mattisowskie infantylizowanie formy i nawoływanie do powrotu do samych początków francuskiego malarstwa, do *peinture romane* — skąd się wzięły? Nie chodzi mi o terapeutyczną stronę tych pomysłów, ale o tendencję, która leży u ich podłoża. O ten pierwszy impuls. Może się komuś wydać niestosowne, że spiętrzam aż takie nazwiska nad swoją książką, nad jej sprawą, ale jest mi to potrzebne, by uprzytomnić, jak potężny jest ów prąd oczyszczający i odnawiający kulturę. Jak wszystko i wszystkich, co przytomni i zdrowi na świecie, ogarniający. Jak pcha ludzi do szukania rozwiązań może nie zawsze szczęśliwych, ale zawsze śmiałych.

Tak rzecz odczuwając nie mogę się zgodzić z Ryszardem Matuszewskim, który z okazji Uczty mówi o jakimś spłoszeniu. Nie neguję jego kompetencji w zakresie tego uczucia, ale upieram się, że myli się w tym najzupełniej. Pójście na prosty styl nie takie miało pobudki. Podobnie jak nie chęć ułatwienia sobie roboty. W pełni słusznie odcyfrowuje tu znaczną pracę Barbara Rafałowska. Jest to język, który wymaga dyscypliny i konsekwencji. W Uczcie są strony, są akapity przepracowane dosłownie kilkunastokrotnie. To jest język, przy którym trzeba się pilnować, bo to jest język bardziej serio niż język Nieba i ziemi. Tu nie można czarować. Tu trzeba każdą rzecz nazwać jej imieniem. I okazuje się w praktyce, że właśnie to nie jest ani łatwe, ani tak lekkie, pół odruchowo spływające z pióra jak nasze wszystkie metafory.

Tak samo jak jest rzeczą z pewnością o wiele trudniejszą od wszystkich analiz i opisów — zbudowanie żywej akcji. Akcji, gdzie zdarzenia coś znaczą i gdzie nieraz właśnie mają wyrazić to, co dla wypróbowanych czytelników możemy wyrazić przez komentarz, przez *passus* eseistyczny, przez analizę, ale dla wszystkich czytelników lepiej po stokroć jest wyrażać przez czyny, przez działania, przez akcję. Na prostym słowie i na akcyjności oparłem cały warsztat. Jestem pewien, że decyzji, by pójść po tej linii, zawdzięczam, że treść książki dociera do czytelników, że się do niego, jak mi rzekł jeden z nich, wdziera. Jestem pewien, że właśnie te elementy a nie inne sprawiły, że Paweł Hoffman mógł o Uczcie napisać w Nowych Drogach, iż jej działanie wychowawcze jest ogromnie cenne. To dla mnie piękna pochwała i miło mi było ją czytać. Czymże bowiem innym jest działanie wychowacze, jak nie inżynierią dusz ludzkich, o którą powinno nam, pisarzom, najbardziej chodzić?

A teraz krótkie podsumowanie. Do uchybienia kompozycyjnego przyznaję się. Do pewnych lakonizmów miejscami — też. Kompozycyjnie to i owo źle obliczyłem. Co do lakonizmów — przeciągnąłem strunę. Również powinienem był określić Uriaszewicza przy pomocy cech bardziej indywidualnych, czyniąc w ten sposób jego postać żywszą. To są te potknięcia w książce, które czuję. Na zakończenie serdecznie dziękuję kolegom za ich wkład w dyskusję. A zwłaszcza Jerzemu Pytlakowskiemu za jego referat.

Tadeusz Breza

WŚRÓD KSIĄŻEK

WISŁAWA SZYMBORSKA: *Dlatego żyjemy.* Warszawa, 1952, Czytelnik; str. 44.

Debiut pisarski będący często niewykrystalizowanymi próbami talentu nastręcza dla krytyka duże trudności. Należy przecież dostrzec te cechy pisarstwa, które świadczą o własnej oryginalności twórczej — ideowo - artystycznej, o tonie, stanowiącym własny ton. Jednocześnie należy zasygnalizować niebezpieczeństwa — sztampę, mielizny poetyczności czy sloganu, słów a nie treści.

Niewielki tomik Wisławy Szymborskiej stawia krytyka w tym korzystnym położeniu, że może z pełnym poczuciem prawdy powiedzieć, że zbiór wierszy jest zapowiedzią drogi rozwojowej niewątpliwie utalentowanej poetki. Chciałbym wykazać — choćby pobieżnie — w których utworach dociera poetka do własnego, oryginalnego tonu artystycznego. Należy również zaobserwować pewne niewątpliwe słabości i niebezpieczeństwa twórcze, których nie udało się poetce uniknąć.

Tomik Szymborskiej mieści się w ramach tematycznych większości naszych debiutów. Wspomnienia minionej wojny z faszyzmem, budownictwo socjalistyczne, walka o pokój, walcząca Korea, polemika z dekadencką sztuką — oto charakterystyczne wyróżniki tematyczne. Ale nie na tym wyliczeniu wachlarza tematycznego oprę twierdzenie, że otrzymaliśmy zbiorek tkwiący w walce politycznej i społecznej, zaangażowany w sprawy bliskie wszystkim ludziom d z i s i a j. W twórczym stosunku do życia, do poruszanych spraw tkwi głębsze znaczenie aktualności i żywości wierszy Szymborskiej.

Przecięcie się spraw ideologicznych, historycznych, walki o pokój, z losami indywidualnych jednostek ludzkich — to jedna z ważnych pozytywnych cech poezji Szymborskiej. To pozwala umieścić w centrum zainteresowania człowieka. To szczególnie zmusza poetę do operowania rozbudowanym obrazem artystycznym. W tytułowym cyklu obdarzonym podtytułem N o t a t k i z l e k t u r y m a t e r i a ł ó w h i s t o r y c z n y c h o o b r o n i e S t a l i n g r a d u zostały uchwycone pewne postawy ideowo-moralne, pewne krótkie momenty tego, co nazywa się dzisiaj ogólnie „bitwą stalingradzką".

Przez surowy, oszczędny opis faktów, dramatyczność konfliktu i patetyczność rozwiązania, w utworze Z K o r e i, jednym z najlepszych utworów zbioru, poetka uzyskała oryginalność i siłę artystycznego wyrazu.

Cytuję pierwszą zwrotkę:

Wykłuto chłopcu oczy. Wykłuto oczy.
Bo te oczy były gniewne i skośne.
— Niech mu będzie we dnie jak
w nocy —
sam pułkownik śmiał się najgłośniej,
sam oprawcy dolara w garść włożył,
potem włosy odgarnął od czoła,
żeby widzieć jak chłopiec odchodził
rozglądając się rękami dokoła.

Odeszła tutaj autorka od deklaratywów, ograniczając się do sugestywnej charakterystyki zarysowanych postaci. To znowu umiejętność skondensowania. Zostały tu ukazane w krótkim fragmencie losy koreańskiego chłopca „o gniewnych oczach", postać amerykańskiego pułkownika uchwycona w

swej makabrze żartu „haniebnego wesołka", twarz oprawcy ukryta za symbolem dolara. Uderza wstrząsająca, oparta na realistycznym widzeniu metafora: „rozglądać się rękami dokoła".

Metodę ukazywania indywidualnych losów ludzkich spotykamy jeszcze w kilku wierszach np. Do matki amerykańskiej, Do wspomnień sięga stara robotnica, Rówieśnice.

Ale poetka również i tam gdzie traktuje tematy bardziej ogólnie potrafi nadać im rangę jednorazowej, oryginalnej, ukazującej temat w ostrych zarysach — artystycznej wypowiedzi. Na przykład w Pieśni o zbrodniarzu wojennym mamy ton retoryki chwilami ocierającej się prawie o ton „publicystyki poetyckiej". A jednak poetka osiągnęła wysoki poziom artystyczny. Te strofy przekonują:

Otwierają się bramy więzienia
i na wolność wychodzi morderca.
Otwierają się bramy więzienia
i morderca wychodzi bez kary.
Każda ziemia, na której stawał,
naznaczona garbami grobów.
Każdy człowiek, przy którym stawał,
naznaczony do dzisiaj żałobą.

. . . . . .

Bramy więzień nie otwarły się same.
Znamy rękę, która zbrodnię wyzwala.
Bramy więzień nie otwarły się same.
Znamy rękę, która fronty zapala.

Narzuca się oszczędny, ale silny efekt retoryczny, rola powtórzenia nadającego dużo temperatury uczuciowej, obrazowe ilustrowanie oskarżenia. Wiersz ten nie jest zbudowany na jednym, organizującym cały utwór obrazie (jak np. Z Korei), ale na całym szeregu sugestywnych obrazów. Siła ich polega na tym, że posiadają wysoką rangę uogólnienia, że mówią o znanych faktach w nowy sposób, polega poza tym na zaskakującej prostocie.

I jeszcze jeden przykład. W Życiu Literackim (Nr 22 z 1952) wydrukowała Szymborska Gawędę o miłości ziemi ojczystej. Utwór ten nie wszedł niestety do zbioru (zapewne został nieco później napisany). Siłą wymowy artystycznej przerasta on chyba wszystkie utwory zbioru. Temat — ukazanie głębokiego uczucia patriotyzmu, przywiązania do socjalistycznej ojczyzny — został ukazany w nurcie polemiki z postawą zaparcia się narodu, wyrzeczenia się z nim związków:

Bez tej miłości można żyć,
mieć serce suche jak orzeszek,
malutki los naparstkiem pić
z dala od zgryzot i pocieszeń,
na własną miarę znać nadzieję,
w mroku kryjówkę sobie uwić,
o blasku próchna mówić: „dnieje",
o blasku słońca nic nie mówić.

Jakiej miłości brakło im,
że są jak okna wypalone,
rozbite szkło, rozwiany dym,
jak drzewo z nagła powalone,
które za płytko wrosło w ziemię,
któremu wyrwał wiatr korzenie,
i jeszcze żyje cząstką czasu,
ale już traci swe zielenie
i już nie szumi w chórze lasu?

Uderza trafność, prostota, świeżość porównań i przenośni, metafory.

W związku z analizowanymi utworami chciałbym podkreślić jeszcze jedną

cechę najlepszych utworów Szymborskiej. To sprawa konfliktu, wewnętrznej dynamiki utworu. Są to konflikty bądź objawiające się bezpośrednio w działaniu, bądź widoczne w postawie ideowej, moralnej. W wierszu Młodzieży budującej Nową Hutę Szymborska mówiąc o budowie nowego socjalistycznego miasta wybiera pewien problem: bezimienności, ahumanistycznego charakteru wysiłku budowniczych w warunkach kapitalizmu — przeciwstawia mu hołd i podziw, jakim społeczeństwo socjalistyczne otacza tych, którzy wznoszą nowe miasta. Zostało to wyrażone w metaforycznym motywie „pamięci" rozwijanym w utworze. Pisze poetka:

Klasa z pamięcią złą — umiera.
Wierniejszą pamięć wybieramy:
sama jak książka się otwiera
w miejscach najczęściej czytywanych.
Dziś dla was, przy was, od was, młodzi
miasta zaczyna się życiorys.
Pamięć imiona wasze co dzień
notuje słowem zdobnym w podziw,
notuje normy waszej poryw
i włącza w piękny plan obliczeń.
Bo to jest pamięć robotnicza
służąca klasie robotniczej.

Wiersz nie jest banalny, bo wyszedł poza ogólniki powszechnie znane, ukazał znany fakt w nowym świetle, ukazał nową stronę znanego procesu. Tak samo wiersz Lenin jest wyrazem wiary w potęgę ludzkiej myśli.

Że w bój poprowadził krzywdzonych,
że trwałość zwycięstwu nadał
dla nadchodzących epok
stawiając mocny fundament —
grób, w którym leży ten
nowego człowieczeństwa Adam,
wieńczony będzie kwiatami
z nie znanych dziś jeszcze planet.

Trudności poetki spotykamy wszędzie tam, gdzie temat nie został pogłębiony. W takich właśnie utworach najczęściej nie znalazł właściwego wyrazu artystycznego. Często zresztą i słuszne założenia zostały nie dopracowane artystycznie. Spójrzmy na kilka przykładów. W wierszu Trzeba Szymborska pisze:

W planie
w planie
w Sześcioletnim Planie
trzeba
trzeba
szczęśliwych rodzin.
Niech poezja pośród nich stanie
na ozdobę wieczornych godzin.

Szymborska ograniczyła się tu do podania samego faktu, który powinien był być wyjściem, a nie celem wiersza. Stąd wiele zbędnych, nie przynoszących nic nowego powtórzeń, rozrzutność środków ekspresji.

Wiersz Wzrastanie miał ukazać szczęśliwe perspektywy rozwoju naszej młodzieży. Wewnętrzna rozterka bohatera: czy zostać inżynierem, czy poetą — wypełniająca dużą część wiersza — nie bardzo przekonuje nas. Ostatnia zwrotka wyraża myśl wiersza w sposób sztuczny i naiwny.

Chodzi Janek w koszuli zielonej,
aż z zielonej zrobiła się biała.
Czy może tynk tak mocno przylgnął do niej?
Czy może w blasku gwiazd tak bardzo wypłowiała?

I my nie bardzo wiemy, czemu koszula zmieniła tajemniczo kolor... Podobnie w pierwszej zwrotce wiersza Na budowę socjalistycznego miasta poetka „kojarzy" pozytywne cechy charakteru i uczucia budowniczych z elementami wznoszonych przez nich części budowy. Ale dlaczego szerokość ulic ma powstać z woli wytrwałej, a wysokość z dumnej odwagi? To tylko wytarte epitety — wytrwała wola, dumna odwaga...

Z innych ogólniejszych niebezpieczeństw zjawiających się w poezji Szymborskiej należy zauważyć niekiedy pewne przesentymentalizowanie, zbanalizowanie — np. W oknie, w miłym zresztą wierszu W banalnych rymach. Ślady tego widzimy w pierwszej części cyklu Miłość Piotra i Marii Curie pt. Wydobycie radu — w banalnych, retorycznych wstawkach dialogowych. Brak w wierszu tego, co nazwałbym poetycką interpretacją faktu. Nie ma jej także w utworze Z elementarza, powtarzającym retorycznie, sztucznie — znane prawdy.

Szymborska jest jednak poetką o dużej samowiedzy ideowo-artystycznej. To będzie dla niej na pewno źródłem do przezwyciężenia łatwizn i uproszczeń. Wiersz Do twórcy zawiera skondensowaną, aforystyczną prawie polemikę z dekadencją, z marazmem ideowym — ujętymi w celowo rozbudowaną metaforę „wysychającej studni". Drugi wiersz w zbiorze poświęcony sprawom sztuki — Nie dość — ukazuje tak częste wśród naszej inteligencji artystycznej borykanie się z dawnymi nawykami literackimi, ukazuje ciągłą konieczność samokontroli. I w tym stosuje się w ogóle do każdego twórcy, do sprawy trudnej pracy nad własną sztuką tworzoną dla narodu:

Nie dość, że serce po lewej stronie.
Uczę się myśleć, działać, mówić.
Słomka porywu krótko płonie.
Pierwszy krok łatwy. Cięższy drugi.

Nie dość swą klasę rzucić. Trudniej
jest żyć potrzebnie pośród ludzi.
Ciężki krok trzeci, czwarty, siódmy.
Niech lekkość wiersza was nie złudzi.

W sile przekonania ideowego, świeżości artystycznej, w kontrolowaniu przez poetkę swojej postawy — widzę wartość debiutu Szymborskiej. Bezsprzecznie jednego z najlepszych w ostatnim okresie.

Jacek Trznadel

FEDERICO GARCIA LORCA: *Wiersze i dramaty.* Warszawa, 1951, Książka i Wiedza; str. 147.

I

Wiersze i dramaty — to trzecia książka Lorki wydana w ciągu kilku ostatnich lat w polskim tłumaczeniu, uzupełniająca jak gdyby tomiki poprzednie, poświęcone przede wszystkim liryce wybitnego hiszpańskiego poety. A przecież rozgłos swój Garcia Lorca zawdzięcza nie tylko Romancom cygańskim, lecz również Yermie i Krwawym godom. Tedy wprowadzenie nas w jego teatr jest bezsprzecznie cenne. Niemniej nie wolno zapominać, że Wiersze i dramaty przynoszą równocześnie wybór liryk F. G. Lorki.

Zastosowane tu kryterium selekcji w pełni zasługuje na uznanie. Ujrzeliśmy dzięki niemu najlepszego Lorkę, tego, który pisał Poema del Canto Jondo i Pieśni. W cieniu pozostał twórca Ody do Salvadora Dali i Króla Harlemu. Ukazano związki artysty z folklorem, powinowactwo jego poezji z pieśniami ludowymi. Wy-

dobyto więc z twórczości poety realistyczny jej nurt. Taki miernik wyboru wydaje się być nieodzowny, jeśli zważyć tragiczną „dwoistość" postawy poety, jaskrawą niejednorodność jego dzieł. Przez całą jego twórczość snuje się antagonizm dwu przeciwstawnych tendencji. Ze szczególną wyrazistością występuje to na terenie liryki. Jest to skutek przeciwieństwa, w które uwikłany został poeta, starający się spojrzeć na rzeczywistość oczami ludu, a poddany równocześnie naporowi burżuazyjnych kierunków artystycznych. Wpływy Revista de Occidente, którego redaktorem był Ortega y Gasset, wcześniejsze terminowanie u Azorina i Juana Ramona Jimenez wyznaczają jak gdyby działanie nacisku, zakłócającego realistyczny nurt liryki autora Romanc cygańskich. Stąd biorą swój początek ustawiczne ideowe oscylacje Lorki, które pociągały za sobą permanentne przemiany stylu, sposobów obrazowania, wreszcie — konstrukcji poematów. Dzieje jego twórczości poetyckiej — to po prostu historia nieustannych przemian. Debiut w roku 1918 upływa pod znakiem zachwycenia Azorinem, później w Książce poematów objawiają się naleciałości „ultraizmu (hiszp. odmiana surrealizmu), aż wreszcie sięgając do Canciones dostrzegamy nawiązanie do pieśni ludowej, do romanc bezimiennych autorów, kursujących po Andaluzji. Canciones wychodzą drukiem w roku 1927. Pojawienie się tedy realistycznego zbioru liryk Lorki, który równał się zerwaniu z dotychczasowymi wzorami poety współczesne jest wydaniu Mariany Pinedy, sztuki opartej na historii walki liberałów z monarchią absolutną. Canciones zaś, oparte o folklor, czerpią tematy z życia hiszpańskiego chłopstwa. Od tej chwili następuje zdecydowany wzrost realizmu, obejmujący Romance cygańskie i Poema del Canto Jondo, choć z tego samego czasu pochodzą Oda do Salvadora Dali i Oda Najświętszego Sakramentu Ołtarza. Załamanie przypada jednak na okres późniejszy, kiedy to sposób obrazowania poety asymilować poczyna surrealistyczne zasady. Usprawiedliwieniem metafor zostaje asocjacja. Więź konstrukcyjna podlega rozkładowi, przyjmując te tylko rygory, które obowiązują zapis strumienia świadomości. Tren na śmierć Ignacia Sanchez Mejias wprowadza już pewne elementy realizmu.

Ta zawiła linia twórczości czyni sprawę selekcji dzieł Lorki zagadnieniem niepomiernie skomplikowanym. W Wierszach i dramatach rozwiązano je jednak trafnie, zmierzając do wykazania tego, co Lorkę łączyło z masami ludowymi, starając się przedstawić go nam jako ich rzecznika. Dlatego właśnie wybór zawiera Romancę o policji hiszpańskiej i Świętego Michała, Cztery złociste ballady oraz adaptację pieśni ludowych. Powiązanie autora Yermy z folklorem wydobyto więc na plan pierwszy. Posunięciu temu nie można odmówić słuszności. Stosunek bowiem poety do pieśni ludowych nie prowadzi do stylizacji, nie przypomina ich symptomu, świadcząc o czymś zgoła innym, stając się artystycznym odpowiednikiem jego postawy.

Posiłkowanie się ludowymi romancami i wykorzystywanie ich w swej poezji — oto następstwa zajęcia przez artystę pozycji hiszpańskiego chłopstwa. Naiwność w widzeniu świata, antropomorfizacja przedmiotów, niejednokrotne organizowanie liryk na zasadzie paralelizmu nie układa się tutaj w dokument kultu prymitywu. Lorca patrzy ze stanowiska andaluzyjskiego chłopa. Jego formalnym odpowiednikiem staje się miłość folkloru, trawestacje znanych ro-

manc, tak wyraźne w Niewiernej mężatce, czy też w Męczeństwie świętej Eulalii. Na tym właśnie polega „ludowość" poezji autora Poema del Canto Jondo. Wystarczy przejrzeć Romancę o policji hiszpańskiej albo Aresztowanie Antonia el Camborio na drodze sewilskiej, by nie mieć już pod tym względem żadnych wątpliwości. Niemniej tu również natrafimy na kontradykcje, podyktowane przez sprzeczności rozdzierające całą twórczość pisarza. Obserwować nam przyjdzie batalię realistycznego sposobu obrazowania z reliktami nadrealistycznej i ultraistycznej maniery budowania metafor. Przykładów dostarczą nam tu zarówno Romance cygańskie jak i w stopniu jeszcze znaczniejszym Tren na śmierć Ignacia Sanchez Mejias. W każdym wypadku będzie to świadectwem sytuacji artysty, jego dramatycznych wahań oraz wysiłków skaptowania go, czynionych przez burżuazję z tak wielkim wkładem energii.

Akceptacja wyboru dokonanego w Wierszach i dramatach, akceptacja, której wyraz daliśmy już na wstępie naszych uwag, nie jest pełna. Powinniśmy wnieść, wobec przeprowadzonej tu selekcji, pretensje — wprawdzie drobne — zasługujące jednak na rejestrację. Dotyczą one nieustannie powtarzanych tłumaczeń Romancy o policji hiszpańskiej i Świętego Michała. Najzupełniej godzę się z tezą, że utwory te zasługują na wiele tłumaczeń, niemniej wydaje mi się, iż w chwili obecnej warto by raczej udostępnić inne wiersze Lorki, rezygnując ze starań o coraz to lepszy przekład tych dwu poematów. Inaczej bowiem czytelnik gotów odnieść nieuzasadnione wrażenie, że walory poezji hiszpańskiego pisarza ograniczają się do kilku tylko liryk. A przecież tak łatwo można by rozproszyć owo mylne mniemanie przyswajając językowi polskiemu wiersze zebrane choćby w Canciones lub też w Poema del Canto Jondo.

II

Wiersze i dramaty wprowadziły nas w późny okres dramaturgii Lorki. W omawianym tomie znajdziemy Yermę i Pannę Rositę czyli mowę kwiatów, a więc dramaty, pochodzące z lat 1934—1935. Epoka to wielkiego wzniesienia w całym pisarstwie doskonałego hiszpańskiego poety. Jeśli lata 1927—1931 uznać można za pierwszy okres gwałtownego nasilenia realizmu w twórczości Lorki, to dalszy jego ciąg przypadnie na dni zaciętej walki klasowej toczącej się w republice hiszpańskiej, poprzedzającej faszystowski pucz generała Franco. W obu wypadkach wzrost realizmu artysty uzależniony pozostaje od wzniesień fali rewolucyjnej. Zależność owa widoczna na przestrzeni całej działalności literackiej Lorki, przesądzi o znaczeniu Yermy i Panny Rosity, wyznaczających wierzchołki dramaturgicznych osiągnięć poety.

Obie sztuki przynoszą elementy krytyki kapitalizmu, przy czym zjawiskiem charakterystycznym jest to, iż z biegiem lat przybiera ono na sile, stając się coraz to ostrzejsze. Jeśli Yerma formuje rozrachunek z pojęciami ukształtowanymi przez kapitalizm, to Panna Rosita zaprezentuje nam satyryczne obrazki z życia podupadłej arystokracji i pośpiesznie wzbogaconych mieszczan, wskazuje również na klęskę, jaka nieodmiennie spotyka ludzi ignorujących władzę kapitału. Pisarz dojrzewał w miarę wydarzeń, wzbogacał swoją wiedzę, umacniał swój realizm.

Rosita wierzyła w trwałość uczuć, nie doceniała władzy pieniądza tak długo, aż przekonała się o niej w sposob równie oczywisty, co i bolesny. Tak brzmi

ostateczna sentencja utworu, potępiającego burżuazyjne społeczeństwo, a równocześnie kompromitującego próby ucieczki przed nim, z góry skazane na niepowodzenie. Nie wyczerpuje to jednak problematyki Panny Rosity. Sięga ona dalej, zmieniając się w niesłychanie ostrą polemikę z ideologicznymi mitami burżuazji. Postać pana X. wprowadzona jest do utworu dla tych właśnie celów. Potraktowano go przecież jako rzecznika ciasnego mieszczańskiego pozytywizmu, starając się zarazem koncepcję tę jak najmocniej skompromitować. Dyskredytacji tej dokonywa autor poprzez ośmieszenie pana X. Odbywa się to na zasadzie takiej konstrukcji jego tyrad, że te stają się parodią określonych poglądów, charakterystycznych dla burżuazji. Apologia technicyzmu, ekonomii Saya i specjalnie rozumianego postępu pada ofiarą szyderstwa. Przyswojenie tego właśnie utworu językowi polskiemu stanowi niewątpliwą zasługę tłumacza, który wbrew opiniom burżuazyjnych krytyków sięgnął po ten dramat, mimo iż nieraz usiłowano pomniejszyć jego wagę i znaczenie.

Wiersze i dramaty poprzedza wstęp tłumaczki. Jest on wprowadzeniem w biografię poety, a zarazem i zbiorem informacji o roli, jaką odegrał Lorca w hiszpańskiej literaturze dwudziestego wieku. W pełni uznając wartość wstępu, jego zalety i zasługi, musimy równocześnie stwierdzić, iż brakuje mu choćby krótkiego przeglądu rozwoju literackiej działalności Federica Garci Lorki. Przekłady zawarte w omawianym przez nas tomie stanowią trzecią z kolei próbę udostępienia polskiemu odbiorcy pisarskich osiągnięć autora Yermy. Niewątpliwym walorem tłumaczeń Zofii Szleyen jest fakt, iż tłumaczy ona bezpośrednio z oryginału. Pozwala jej to na największą wierność, na maksymalną dokładność, która nie zawsze bywa udziałem W. Słobodnika czy też J. Ficowskiego. Natomiast zastrzeżenia nasuwa dobór odpowiedników nie zawsze najszczęśliwszy. Refleksję taką narzucają w pierwszym rzędzie przekłady liryki. Rygory mowy wiązanej niejednokrotnie zmuszają Zofię Szleyen do kapitulacji. Tak na przykład powstaje konieczność „uzupełnienia" tekstu wyrażeniami, których nie ma w oryginale, a których potrzebę dyktuje rym. „Uzupełnienia" te prowadzą bardzo często do wypaczenia sposobu obrazowania Lorki. Gdzie indziej zaś przekład obarcza fałszywa maniera stylistyczna, w innym miejscu z kolei tekst zostaje spolszczony za pomocą słów o odmiennym zabarwieniu emocjonalnym. W rezultacie więc przekłady poezji budzą poważne wątpliwości, aczkolwiek raz jeszcze należy podkreślić ich uderzającą wierność.

Jeśli jednak takie pretensje wnieść należy do tłumaczeń wierszy, to bezsprzecznie nie dotyczą one już przekładów dramatów. Otrzymaliśmy tu tłumaczenie pełnowartościowe. W szczególności formuła ta objąć powinna Pannę Rositę, którą przyswojono językowi polskiemu w sposób niemalże bezbłędny.

Lech Budrecki

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI: *Otwarte wrota.* Warszawa, 1952, Książka i Wiedza; str. 158.

Otwarte wrota — to najnowsza książka Koźniewskiego. Niestety, nie mogę pokusić się o dokładne sprecyzowanie, która z kolei w dorobku twórczym młodego pisarza, bo Koźniewski z całą pewnością należy do najpłodniejszych prozaików w Polsce. Na koncie Koźniewskiego dałoby się wyliczyć kilkanaście pozycji książkowych, wydanych w siedmiu latach nie-

podległości, a bibliografia publikacji w prasie codziennej i periodycznej liczyłaby z pewnością setki pozycji. Gdy się weźmie pod uwagę, jak bardzo pomoc pisarza, pomoc literatury jest potrzebna narodowi budującemu socjalizm, gdy się uwzględni fakt, że jeszcze wielu naszych pisarzy nie grzeszy nadmierną aktywnością pisarską, wypadnie podkreślić znaczenie zapału twórczego Koźniewskiego, który uważa za swój pisarski obowiązek wypowiadać się w ważnych i aktualnych sprawach naszego życia. Stąd wielość form wypowiedzi pisarskich Koźniewskiego. Utalentowany reportażysta uprawia publicystykę, nie gardzi formami dziennikarskimi, ma istotne sukcesy na polu form beletrystycznych. Powieść o młodzieży P i ą t k a z u l i c y B a r s k i e j to niewątpliwie najpoważniejsze osiągnięcie w dotychczasowej twórczości Koźniewskiego. Co reprezentuje ostatni tomik jego prozy?

Trzeba na wstępie skwitować uwagi autora w przedmowie na temat przynależności gatunkowej zawartych w tomie utworów. Książka Koźniewskiego — to zbiór opowiadań, w których bogate obserwacje terenowe autora zostały zorganizowane na prawach fikcji literackiej, o czym świadczy w wystarczający sposób beletrystyczna konstrukcja utworów.

O t w a r t e w r o t a — to najogólniej mówiąc opowiadania o ludziach, którzy wyrośli, dojrzeli, odzyskali pełne człowieczeństwo dopiero w warunkach Polski Ludowej. Nasuwa się pytanie, zresztą zasadnicze nie tylko dla książki o współczesności, o ile pisarzem kierowała ambicja głębszego i bardziej przekonywającego artystycznie uchwycenia prawdy o ludziach, którzy wyrastają na fali rewolucji społecznej, niż to miało miejsce w dotychczasowej twórczości o tematyce naszego życia w epoce budowy socjalizmu. Temat, jak wiadomo, już dziś nie wystarcza.

Najsłabsze w tomie wydaje mi się opowiadanie P r o ś b a. Koźniewski postawił sobie za zadanie skonfrontować sytuację robotnika racjonalizatora przed wojną i dzisiaj, postanowił nie wpaść przy tym w tani optymizm i dlatego nie usunął wszystkich trudności, jakie przed racjonalizatorem mogą wyniknąć na skutek toczącej się u nas jeszcze walki klasowej. Poza oczywistym wnioskiem, że w warunkach kapitalizmu ani w interesie robotnika nie leżało ulepszanie metod produkcji, ani kapitalista nie był w tym zainteresowany, a w Polsce Ludowej racjonalizatorstwo służy całemu narodowi, czytelnik nic w opowiadaniu nie znajdzie. Poza charakterystycznym dla opowiadania ilustratorstwem, nie widać w nim ani konsekwencji w kreśleniu szkicowych sylwetek bohaterów, ani nawet troski o prawdziwość wykorzystywanych w konstrukcji literackiej elementów rzeczywistości. Niesposób przypuścić, żeby profesor Marciszewski tak gruntownie nawet przez długie lata wojny zapomniał Halucha, z którym łączyły go miesiące wspólnej pracy i lata codziennych ukłonów. Fałszywość reakcji profesora Marciszewskiego na prośbę studentów o dodatkowe godziny zajęć wytknął trafnie jeden z recenzentów książki Koźniewskiego.

Opowiadanie A n a l i z a jest opowieścią o jednym człowieku, opowieścią utrzymaną w stylu reporterskiej relacji biograficznej. Koźniewski posłużył się tu rzetelnie podpatrzonym materiałem z życia, wykazał dużą wnikliwość w kreśleniu obrazu przemian w świadomości starego tkacza Wojny, kierującego się różnorodnymi pobudkami, nie rzadko bardzo interesownymi, gdy mu przyszło przystąpić do współzawodnictwa. Operując rzetelnym materiałem obserwacyjnym wyzbywa się

Koźniewski w dużym stopniu drętwoty stylistycznej. W rzeczowej, bardzo skondensowanej treściowo narracji odautorskiej, wykorzystuje trafnie znajomość realiów proletariackiego życia, a nawet — co u Koźniewskiego szczególnie godne podkreślenia — trafnie zabarwia język kolorytem mowy potocznej („Uspokoił się dopiero po północy, przysięgając, iż za Boga nie przyjmie wezwania do tego wyścigu!") Daleki od świadomości socjalistycznej, kierujący się najczęściej poczuciem własnego interesu, ale przeobrażający się w ogniu problemów nowego życia Wojno kontynuuje godnie literackie tradycje Plewy. Na nieszczęście zepsuł Koźniewski całość historią z wyżymaczką. Żona Wojny kupuje wyżymaczkę, wyżymaczka psuje się przy pierwszym użyciu, a Wojno ma okazję przekonać się o szkodliwości brakoróbstwa. Historia ta nazbyt przypomina chwyty farsowe, by mogła przekonywająco tłumaczyć zerwanie Wojny z brakoróbstwem. Wykpił się tu Koźniewski przed rozwiązaniem ważnego problemu społecznego. Epizod z wyżymaczką mógłby przy konsekwentnym wygraniu walorów farsowych podpierać realistyczną motywację przeobrażenia Wojny, motywacji tej jednak u Koźniewskiego brak.

Sprawę współzawodnictwa wysuwa Koźniewski także w opowiadaniu Dzień najpiękniejszy. Wydaje mi się jednak, że w odklajstrowywaniu obrazu literackiego narodzin idei współzawodnictwa poszedł Koźniewski za daleko. Interesowność pobudek starego Wojny znajdzie pokrycie w życiu, kształtowanie świadomości socjalistycznej pokolenia wychowanego w warunkach kapitalizmu odbywa się bardzo często metodą kalkulatorską, w postaci Bochotnicy jednak skrzywił moim zdaniem Koźniewski obraz młodego pokolenia. Bochotnica wyszła trochę na głupią gęś, która trafiła do współzawodnictwa, bo dysponuje sprawniejszymi od innych palcami i ma bardzo uświadomionego Romka, który uściski łączy z agitacją indywidualną. Jeśli autorowi chodziło o ukazanie prawdy życia, to trzeba stwierdzić, że prawda wypadła nader płasko. Marzenia Janki o życiu „dla Romka" przekreślają nawet perspektywy głębszego i bardziej świadomego stosunku do życia, autor nie wychował swojej heroiny. Nie bez przyczyny w tym opowiadaniu Koźniewski w sposób bardzo skomplikowany dramatyzuje narrację. Koźniewski w całym tomiku stosuje konwencję „opowiadania ramowego". Wychodzi od jakiejś konkretnej sytuacji, relacja retrospektywna przygotowuje jej rozwiązanie, podane w zamknięciu. W Analizie relacja retrospektywna daje konsekwentny, chronologiczny przebieg zdarzeń, w Dniu najpiękniejszym przeszłość Janki Bochotnicy poznajemy zarówno z jej wypracowania egzaminacyjnego, czytanego przez majstra Buczkową, jak z refleksji Buczkowej i komentarzy autorskich. To potrójne widzenie nie pogłębia jednak postaci głównego bohatera.

Znamienne jest również opowiadanie Trzy kroć. Wymowną, bardzo typową biografię proletariusza, któremu w Polsce kapitalistycznej władza sanacyjna odebrała nawet dobre imię człowieka pracy, czyniąc go w opinii robotniczej „sypakiem", a któremu dopiero Polska Ludowa pozwoliła odzyskać godność ludzką i wyzwolić się z nałogu pijaństwa, podaje Koźniewski w formie opowiadania doświadczonego działacza rewolucjonisty. Narrator jest przy tym ukryty, charakteryzuje go sposób patrzenia na życie i styl opowiadania nacechowanego lapidarnością sformułowań, bogactwem i konkretnością faktów. W artystycznym skrócie

potrafi Koźniewski zawrzeć prawdę o okrucieństwie czasów ucisku i nędzy. W rzeczowej, opanowanej narracji relacja o stosunkach w sanacyjnym więzieniu nabiera wstrząsającej wymowy. Opowiadanie ma jednak słabe strony. Jan Len odradza się moralnie w nowych warunkach przede wszystkim dzięki partii. Czytelnik chciałby wiedzieć, w jaki sposób z zaszczutego, rozpitego półanalfabety Len stał się uczestnikiem Kongresu Zjednoczeniowego. Ukazanie procesu przeobrażeń Lena byłoby najambitniejszym zadaniem pisarskim. Koźniewski wprowadzając postać narratora rejestruje jedynie rezultaty przeobrażeń Lena z pozycji obserwatora z zewnątrz.

Opowiadania Koźniewskiego mają na ogół charakter konstatacji tego, co się w Polsce już dokonało. Jest to szczególnie wyraźne w opowieściach życiorysowych, a więc głównie w opowiadaniach A n a l i z a , T r z y k r o ć i D l a t e g o. Analiza autorska skierowana w przeszłość, brak szerszych perspektyw dalszego rozwoju, dalszych przeobrażeń świadomości prezentowanych ludzi — to istotny mankament O t w a r t y c h w r ó t.

Konstatacje stanu przemian wynikają z postawy reportażysty, sygnalizującego przede wszystkim to, co się już dokonało. Niejednokrotnie nie można Koźniewskiemu odmówić odkrywczości tematycznej w tym zakresie. W opowiadaniu C z o ł o w i e k u sięga Koźniewski do tak istotnego tematu, jak zagadnienie korespondenta terenowego. Proces dojrzewania korespondenta Przebądy ukazał Koźniewski interesująco w relacji redaktora Wolskiego. Szkoda tylko znów, że Wolski, przemawiający na konferencji korespondentów, referuje zaledwie rezultaty prawidłowo zachodzącego procesu dojrzewania ideologicznego Przebądy. Mimo woli nasuwa się refleksja, że Koźniewski znów uchylił się od ukazania tego procesu od strony Przebądy, od strony jego wewnętrznych doświadczeń.

Niewątpliwie na plus policzyć trzeba Koźniewskiemu troskę o efektowne przekazanie zdobytego przez obserwacje materiału. Fałszywość poglądu, że wystarczy o życiu pisać prawdziwie, by stworzyć literaturę bliską masom ludowym, trzeba stwierdzić przede wszystkim po skutkach. Tylko prawda konkretyzowana na materiale, posiadającym określony walor estetyczny, może znaleźć rezonans społeczny. Prawda nie może być nudna i bezbarwna. Koźniewski stara się, by bohaterowie intrygowali czytelnika. Nawet wtedy, gdy znamy ich tylko od zewnątrz, ich relacjonowane przez autora czy podstawionego narratora perypetie życiowe są nie tylko typowe, ale i ciekawe i o życiu takiego na przykład Jana Lena mógłby z pewnością opowiadać robotnik robotnikowi, wzbudzając niekłamane zainteresowanie. Pisarz powinien to zrobić o wiele lepiej. Nie brak też u Koźniewskiego sytuacji przedstawianych z prawdziwym nerwem pisarskim. Zamykające książkę opowiadanie D r o g i to przykład bardzo efektownej koncepcji fabularnej. Były obszarnik niemiecki z poznańskiego przysłany jako szpieg z zachodniej strefy Berlina do strefy należącej do NRD przysłuchuje się wypowiedzi polskiej delegatki, przewodniczącej spółdzielni produkcyjnej, założonej w jego dawnym majątku, kobiety, która była kiedyś jego „dziewką". Ta efektowna konfrontacja niegdyś pana i sługi pozwala z całą ostrością ukazać ogrom przemian, jakie zaszły w Polsce. Prosta i jakaś bardzo zwykła opowieść Zofii Granat o swym życiu poprzez kontrast nabiera olbrzymiego ciężaru gatunkowego. Losy Zofii

Granat stają się symbolem tego, co się u nas dzieje.

Na mielizny, właściwe książce Koźniewskiego, starałem się zwracać uwagę przy analizie poszczególnych opowiadań. Z Koźniewskim to trochę tak jak z jego bohaterem Wojną, rekordy ilościowe osiąga pisarz kosztem jakości. Widać to szczególnie jaskrawo na języku prozy Koźniewskiego. Mimo większej stranności w opracowaniu stylistycznym O t w a r t y c h w r ó t nawet w zestawieniu z P i ą t k ą z u l i c y B a r s k i e j, książka roi się od błędów językowych typu „sprzed kilkunastu laty" (str. 60), mnóstwo w niej tak charakterystycznego dla Koźniewskiego szokującego przymiotnikowania, wytykanego już zresztą przeze mnie z okazji recenzji z P i ą t k i z u l i c y B a r s k i e j („Potężna brama kolosalnej wytwórni" str. 22. „Wstrząsnął nim niemiły dreszcz strachu" str. 148) i — jest to złe *novum* u Koźniewskiego — wprost niezrozumialstwa. Terminy tak dziwaczne jak „frekwentowanie", „ekstradycja" nie wzbogacają polszczyzny literackiej i z całą pewnością nie są bliskie czytelnikom ze świetlic robotniczych i chłopskich. Życzyć by trzeba Koźniewskiemu przygody z wyżymaczką, zakładając, że wpływ jej będzie taki jak u Wojny.

Henryk Bereza

TADEUSZ FELIS: *Życie za dniówkę*. Seria wspomnień robotników, słowo wstępne St. Wygodzkiego. Warszawa, 1952, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 187.

Pamiętnik Tadeusza Felisa zdobył na znanym konkursie Polskiego Radia i PIW-u na wspomnienia robotnicze drugą nagrodę. Droga życiowa autora niewątpliwie nie była do tego stopnia typową drogą robotniczą jak drogi Lucjana Rudnickiego lub Albina Bobruka, laureata pierwszej nagrody. Szczególna wartość tamtych pamiętników polega m. in. na pokazaniu pełnej drogi dojrzewania ideowego, drogi zdobywania świadomości klasowej zakończonej na pewnym etapie wstąpieniem do partii komunistycznej, etap następny rozpoczyna świadoma, partyjna walka o interesy klasy robotniczej. Tak pełnej drogi pamiętnik Felisa nie pokazuje. Proces dojrzewania ideowego w chwili zakończenia pamiętnika przerwany jest w jednej ze swych wcześniejszych faz. Ale przecież te początkowe fazy procesu są niezwykle cennym dokumentem historycznym, zaczerpniętym bezpośrednio z życia i posiadającym w ten sposób specyficzną siłę autentyku.

Jednak siła pamiętnika Felisa nie tylko na tym polega. Otóż Felis szczególnie wiele miejsca poświęca szerokiemu rysunkowi nędzy proletariatu w przedwrześniowej Polsce, nędzy przeżytej przez siebie i widzianej własnymi oczami, nędzy rządzącej niemal życiem tej klasy społecznej. I tym chyba uderza książka Felisa przede wszystkim — pokazaniem, jak przemiany gospodarcze, okresy względnej stabilizacji czy rozwoju kapitalizmu były tylko zmianami w formach wyzysku, jak próby zdobywania zawodu, nawet zjawisko przechodzenia chłopów do miasta były bezskuteczną próbą ucieczki przed widmem nędzy nieodłącznie związanej z kapitalistyczną maszyną państwową. Taki sens pamiętnika sugeruje jego tytuł: Ż y c i e z a d n i ó w k ę, życie z dnia na dzień, życie człowieka, który codziennie wychodząc rano do pracy, nie wiedział, czy znajdzie zarobek, życie z bezustannie jak miecz Damoklesa wiszącym widmem głodu.

Rodzice autora pamiętnika, chłopi wsi podkieleckiej, nie należeli do najbiedniejszych. Jak wspomina autor, mieli w pewnych okresach konia, krowę, cza-

sem nawet dwie. Przebieg ich szybkiej pauperyzacji (lata 1920—1926) miał z pozoru charakter najzupełniej przypadkowy i nieoczekiwany. Najpierw gwałtowny grad zniszczył doszczętnie zasiewy, w następnym roku, wkrótce po żniwach, spaliły się wszystkie zabudowania gospodarskie razem ze zbiorami. Autor nie komentuje tych wypadków szerzej, nie porównuje sytuacji swych rodziców z sytuacją sąsiadów. Tylko krótkie zdanie: — „W jesieni, choć z trudem, ojciec zaciągnął wysoko oprocentowaną pożyczkę u okolicznych bogaczy, za którą nabył zboże do siewu" — mówi, że klęski żywiołowe nie wszystkich zubożyły, dla niektórych bywały środkami zwiększenia dochodów. W każdym razie Felisowie nie byli już w stanie wrócić do poprzedniego stanu posiadania. Nie mając inwentarza, uzależnieni pożyczką, nie mogli utrzymać zwiększonych ciężarów. Sprzedają pole i szukają zarobku w handlu.

Rodzina Felisów po bezskutecznych próbach znalezienia wystarczających do życia źródeł zarobków na wsi szuka pracy w przemyśle. Obraz kilkuletniej pracy autora w Zakładach Przemysłowych Chęciny, stanowiących własność senatora Polski sanacyjnej, Joachima Hempla, obraz stosunków istniejących w tych zakładach, należą do najlepszych partii pamiętnika. Zakłady Hempla była to duża fabryka (ponad 500 robotników), której polityka ekonomiczna dostosowana była do półkolonialnych warunków ówczesnego rynku polskiego. Żadnego dążenia do zapewnienia sobie trwałego zbytu, zaufania nabywcy — właściciel chciał tylko wydusić maksymalne zyski kosztem minimalnych wkładów, zdając sobie sprawę, że konkurencji z wielkim kapitałem na dłuższą metę i tak nie wytrzyma. Dlatego też wyzysk robotników nabierał szczególnie ostrych form. Właściciel zakładów i jego współpracownicy nie poprzestawali na uświęconych, powszechnie istniejących normach w tym względzie. Umieją oni szukać sprzyjających im okoliczności. Rezerwowa armia pracy, rekrutująca się z przeludnionej wsi podkieleckiej, wiek i płeć robotników, ich potrzeby życiowe, pożywienie, mieszkanie, pomoc lekarska, wreszcie ich ciemnota — wszystkie te zjawiska stają się źródłem dodatkowego dochodu właściciela, tzw. „przedsiębiorców", dozorców, „spółdzielni robotniczej", nawet lekarzy i urzędników. Przy tym wszystkim w zakładach Hempla pamięta się pozornie o demokratycznych zdobyczach mas pracujących: istnieje Kasa Chorych, jest lekarz fabryczny, buduje się domy robotnicze, przyjeżdża nawet od czasu do czasu inspektor pracy. Dopiero kiedy autor sam zmuszony jest korzystać z tych instytucji, kiedy zagląda mimochcąc pod ich podszewkę, fikcja, ich pokazowy charakter wychodzi na jaw.

W takich okolicznościach wśród robotników zaczynają się budzić odruchy protestu, zaczyna tworzyć się poczucie klasowej więzi. Jak pisze Felis, około 90% robotników w Zakładach Chęcińskich stanowili bezrolni i małorolni miejscowi chłopi, fabryka była stosunkowo oddalona od centrów przemysłowych, dlatego odruchy buntu były raczej instynktowne, dlatego formy walki klasowej nie wykraczały poza walkę ekonomiczną o charakterze żywiołowym, bez konsekwentnego wykorzystywania przez robotników ich społecznej siły. W fabryce nie istniała przy tym żadna organizacja, która broniłaby interesów robotniczych, nie mówiąc już o partii. Ale w poszczególnych wypadkach same warunki budzą słuszne odruchy. I tak np. robotnicy bardzo szybko uczą się rozróżniać swoich wrogów od swoich prawdziwych przyjaciół, szybko orientują się po czyjej stronie jest maszyna kapitalistycznego pań-

stwa. Jest w pamiętniku scena, kiedy autor sprzeciwia się kradzieży ziemniaków biednemu chłopu, proponując raczej udanie się na dworskie pole. I otrzymuje odpowiedź: „Chcesz iść na dworskie, to idź, kop, a jutro rano już będzie u ciebie policja. U biednego jak wykopiesz, to policja nie będzie szukać jego ziemniaków, choćby chłop policjantów na kolanach o to prosił." „Przestałem kopać — wspomina autor. — Wysypałem ukopane ziemniaki z worka i bez słowa ruszyłem do domu. Ułożyłem się spać, lecz długo nie mogłem zasnąć. Myślałem, dlaczego policja nie szukałaby złodzieja, który kradnie ziemniaki biednemu chłopu, a zawzięcie ścigałaby tego, co ukradnie we dworze. Nie mogłem tego zrozumieć." W takich warunkach następuje pierwsze zetknięcie się z maszyną państwową, pierwsze strajki.

Drugi etap życia autora pamiętnika rozpoczyna się z chwilą utraty pracy w zakładach chęcińskich. Rozpoczyna się pasmo cierpień i trudności — wyczerpująca, wieloletnia wędrówka w poszukiwaniu pracy. I wtedy autor poznaje dopiero społeczne rozmiary nędzy i bezrobocia.

Wędrówki, bogacenie osobistych doświadczeń, sprzyjały dalszemu dojrzewaniu. Autor snuje refleksje na temat kryzysu: „Czemu się tak dzieje? Przecież moja rodzina i tysiące rodzin w Polsce potrzebują opału, a w tym czasie nasze kopalnie węgla zatapia się wodą, bo nie ma komu węgla sprzedawać. Fabryki włókiennicze stoją nieczynne lub pracują dwa dni w tygodniu, gdy tymczasem ja chodzę w podartym ubraniu i setki tysięcy dzieci robotniczych czy chłopskich posiadają po jednej podartej koszulinie... Pociągi chodzą puste, a wzdłuż toru maszerują dziesiątki ludzi od miasta do miasta. Siedzę tutaj głodny, i tysiące takich jak ja cierpią głód, gdy tymczasem żywność niszczy się masowo." W walce o swoje prawa dojrzało w nim przeświadczenie, że istniejące państwo jest jego wrogiem. Kiedy w ciągu wędrówek udaje mu się znaleźć kilkutygodniową pracę, nie jest już człowiekiem bezradnym, zdanym na bezwzględny wyzysk. Zdaje sobie sprawę ze swych praw. I jego zdecydowana postawa, kiedy sprzeciwił się dłużej niż osiem godzin trwającej pracy, to znów bezprawnym potrąceniom zarobków, zawsze pociąga innych. Autor ciągle jeszcze daleki jest od rewolucjonizmu. Ale już zdaje sobie sprawę ze społecznej niezbędności swych rąk do pracy, a co za tym idzie z siły klasy robotniczej.

Kiedy minęło największe nasilenie kryzysu i produkcja zaczęła powoli wracać do dawnej wysokości, Felisowi coraz częściej udaje się znaleźć pracę. Wreszcie udaje mu się otrzymać względnie stałe zajęcie w Państwowych Kamieniołomach w Zagnańsku. Tutaj dopiero, w środowisku robotniczym, w którym było wielu świadomych robotników — członków KPP, autor dojrzał na tyle, że odczuł potrzebę wstąpienia do jakiejś organizacji robotniczej. Udział w życiu politycznym poważnie przyśpiesza krystalizację ideową Felisa. Autor rychło orientuje się, jaką rolę pełni sanacyjne ZZZ. Dalsze zdobywanie świadomości klasowej następowało właśnie w walce z agenturalnym ZZZ. Jako obserwator jedzie Felis na kongres tej organizacji, prowadzony przez Moraczewskiego, gdzie jest świadkiem gwałtownych wystąpień dołów związkowych przeciwko kierownictwu. W r. 1938 Felis organizuje w Kamieniołomach Klasowy Związek Zawodowy i zostaje wybrany jego sekretarzem. Walka z ZZZ wzmaga się, rozpoczynają się prowokacje i chociaż oportunizm PPS-owskich członków zarządu wychodzi w końcu na jaw, walka ta stała się dla Felisa wielką lekcją.

Pamiętnik urywa się we wrześniu 1939 r., kiedy autor wraz z towarzyszami bezkutecznie szuka możliwości zaciągnięcia się do wojska w celu walki z hitleryzmem. Pamiętnik nie daje zatem pełnej drogi dojrzewania światopoglądowego. Chociaż autor na wiele spraw miał słuszny pogląd, do końca ulegał reformistycznym złudzeniom. Niemniej zarysowany w pamiętniku obraz długiego okresu jego życia kreśli piękną, postępową drogę polskiego robotnika, drogę zdobywania coraz słuszniejszego poglądu na świat, drogę bogacenia swej wiedzy o świecie.

Włodzimierz Maciąg

NA MARGINESIE CZYTELNIKOWSKIEJ SERII REPORTAŻY

Nie ma teraz dosłownie ani jednego zakątka kraju, dokąd by nie dotarł rytmiczny huk maszyn, warkot traktorów, gdzie by nie pięły się ku górze rusztowania.

Pokazać, że ludzi przy wiertarce i mikroskopie, przy młocie pneumatycznym i traktorze, w odlewni i na budowie, że lotnika i literata, marynarza i górnika, rybaka północnych wód i chłopa ze spółdzielni produkcyjnej jednoczy wspólny wielki cel, że ich różnorodne prace zmierzają ku celowi wytyczonemu przez naszą partię, pokazać jedność tej pstrej rozmaitości, uplastycznić głęboki sens planującej i koordynującej pracy partii i rządu — oto zasadnicze zadanie reportażu.

Sztuka dokumentarna ma więc tu niezmiernie wdzięczne zadanie: przez ukazanie faktów unaocznić czytelnikowi osiągnięcia narodu, poszerzyć jego horyzonty, udostępnić ujrzenie tego, czego nie jest w stanie ogarnąć okiem, dać mu przez pojedyncze obiekty, poprzez odpowiednie pokazanie oddzielnych faktów, postaci, osiągnięć — obraz całości.

Reportażysta nie jest więc tylko faktografem, lecz przede wszystkim artystą przenikającym życie, umiejącym wydobyć to, co nowe, co powstaje, rodzi się, artystą podchodzącym do zaobserwowanego faktu z szerszych perspektyw i stawiającym zaobserwowane fakty, objawy, w należytej proporcji w całokształcie zagadnień budownictwa nowego człowieka, nowego życia. Reportaż więc, jak to określił Gorki, stoi na pograniczu opowiadania i studium — i wymaga od autora g ł ę b o k i e g o znawstwa nie tylko przedstawianego obiektu, lecz wszystkich zagadnień z nim związanych, jako też miejsca tego obiektu w ogólnym budownictwie.

Dlatego też, jeśli reportaż nie wzbudzi w czytelniku chęci tworzenia, dążności badawczych, potrzeby wzbogacenia swoich wiadomości, swojej wiedzy fachowej i ogólnej, jeśli reportaż poprzez swoją ideową jednokierunkowość, nasycenie konkretnymi faktami nie wzbudzi szczerej miłości do budowniczych i palącej nienawiści do wrogów Państwa Ludowego, jeśli nie wzbudzi w czytelniku niezłomnej wiary w potężne siły narodu, i nie wznieci chęci wniesienia własnego, oryginalnego wkładu w twórczy wysiłek narodu — trudno wtedy mówić o spełnionej roli tego, z istoty swojej, mobilizującego gatunku literatury.

Wymienione wyżej elementy spodziewałem się znaleźć w dziewięciu pięknie wydanych zbiorkach reportaży Czytelnika.

Spodziewałem się — ale nie znalazłem. Są poniektóre, dość umiejętnie uchwycone sprawy, fakty, opisy (u Wielowieyskiej, Ostromęckiego, Szmaglewskiej, Bartelskiego), są e l e m e n t y literackiego reportażu, ale re-

portażu, który by porwał czytelnika, przykuł jego uwagę, postawił przed nim jasny cel i zachęcający przykład — takiego reportażu nie znalazłem. Gorzej, z wielkim trudem je przeczytałem.

A przecież celem tych reportaży było pokazanie nowopowstałych kombinatów w Piotrkowie i Gorzowie, wielkich budowli przemysłowych w Częstochowie i Chorzowie, fabryk samochodów w Lublinie i Warszawie, cementowni w Wierzbicach i Rejowcu, nowopowstałych miast Nowa Huta i Nowe Tychy, dzielnicy MDM; pokazać, jak młodzież ze wsi wrasta w budownictwo i staje się świadomym współtwórcą Polski socjalistycznej, jak na wieś przenika rewolucja, jak przełamuje się tam przesądy i wrogą propagandę, jak powstają gospodarstwa nowego typu, gospodarstwa socjalistyczne, jak nowe stosunki społeczne, nowe perspektywy rozwojowe zmuszają do walki ze starymi nawykami, uprzedzeniami, jak rośnie i cementuje się we współzawodnictwie socjalistycznym nowy człowiek, jak wreszcie już po 6 latach gospodarki planowej zacierają się różnice między pracą fizyczną i umysłową (wynalazczość i racjonalizatorstwo robotnicze) i jak do wsi przenika świadomość robotnicza. Jakże wdzięczne zadanie dla pisarza, jak fascynujący i bogaty w wartości poznawcze może być każdy obraz takich przeobrażeń!

Dlaczego odczuwamy niedosyt podczas czytania wydanych reportaży?

Wydaje mi się, że grzechem zasadniczym większości reportaży jest niewłaściwa postawa reportażysty, postawa „obiektywnego" obserwatora, brak partyjnego podejścia do tematu. Stąd i brak dynamizmu, brak rytmu, brak centralnej osi, centralnej idei. Reportaże te robią wrażenie lepiej czy gorzej spisanych, luźnych notatek. Nie widać w nich ani konstrukcji, ani umiejętności selekcji faktów i zagadnień. Są natomiast rozmyślania i zachwyt nad tym, że opisywane fakty mogłyby się stać „tematem dla wielkiej powieści". Ale nie o takie konstatacje chodzi.

W naszej krytyce i podczas dyskusji w ZLP wysunięto zarzut technicyzmu w niektórych utworach naszej beletrystyki. Wysunięto żądanie pokazania człowieka przede wszystkim. Reportażyści to skądinąd słuszne zadanie postanowili zrealizować w swoich pracach. Czy „wyszedł" człowiek? Niestety, nie. Zatracił się natomiast obraz pracy. A reportaż, jak i nasza powieść, nigdy nie potrafi wydobyć nowego człowieka odrywając go od pracy, gdyż praca właśnie czyni go nowym człowiekiem. Stosunek do pracy, do zadań obywatelskich świadczy o stopniu uświadomienia, patriotyzmie, inteligencji i obliczu moralnym pracownika.

Jak reportażyści pokazują człowieka? Poprzez pogawędki autora z nimi. A co ich interesuje? — biografia. Jak ją podają? Zasadniczo stylem ankiety personalnej. Sposób rozumowania — wiadomy: był na wsi — małorolny, lub pracował dla kułaka — przyszedł na budowę czy do fabryki i wszystko poszło doskonale, albo też: pracował na kapitalistów, cierpiał bezrobocie, teraz jest majstrem itp.

Jak praca, środowisko robotnicze, współzawodnictwo kształtowało człowieka, o tym nie ma mowy. Można natomiast zauważyć w wielu reportażach jakąś niezdrową, drobnomieszczańską manierę egotyczną — „ja" autora przesłania wszystko.

Przyjrzyjmy się zbiorkowi Dyplom. Zbiorek ten otwiera opowiadanie Jacka Bocheńskiego O chytrym wójcie, skupie zboża

i kilku innych rzeczach. Z czego się składa to „opowiadanie"? Ze wspomnień, z rozważań natury ogólnej. Najczęściej spotykanymi zwrotami będą tu: „pamiętam swoje przybycie do pewnej wsi", „pamiętam inne spotkanie", „rozmawiałem", „mówimy"... itp. — słowem brak rzeczy najważniejszej: konkretności.

Autorowi trzeba wierzyć na słowo, że wszystko, co mówi, nie jest wyssane z palca. Bo w gruncie rzeczy operowanie „pewną wsią", anonimowymi kułakami i spółdzielcami nie należy do metody najszczęśliwszej, nawet w opowiadaniu. Gdyż i tam, gdzie fikcja ma pełne prawo obywatelstwa, musi się akcja także odbywać w konkretnym miejscu, wśród konkretnych ludzi, na tle konkretnego krajobrazu.

Na zakończenie autor dodaje, że „pisze te słowa we wsi, do której powróciłem po dłuższej nieobecności", że „wielkie zmiany zaszły również w tej wsi, gdzie niedawno jedyny murowany dom należał do kułaka. Powstała tam spółdzielnia produkcyjna, oparta na byłej biedocie i średniakach". Wszystko to jest obiektywną prawdą, mającą swoje potwierdzenie w gazetach i w tysiącach spółdzielni, które powstały w ciągu ostatnich trzech lat, a mimo to nie wierzymy autorowi, gdyż nie tego spodziewamy się od reportażu: chcemy widzieć proces powstawania, narastania świadomości chłopskiej, jak słowo partii, nasza rzeczywistość rewolucjonizują wieś, i jak wieś, wbrew oporom, toruje sobie drogę ku szczęśliwemu, dostatniemu i kulturalnemu życiu.

A co przynosi drugi reportaż z tegoż zbiorku?

Wiesław Jażdżyński obrał w swojej Niedokończonej opowieści formę listu do współzałożyciela spółdzielni produkcyjnej, Józefa Mozgi. List ten pisze autor w związku ze srebrnym weselem adresata, a także dlatego, że życie adresata „stanowi pasjonujący temat literacki". Więc dowiadujemy się, że autor siedział, a bohater mu opowiadał, teraz zaś z kolei on mu powtarza dzieje jego dzieciństwa, jego zbłądzenie „na manowcach ludowo-burżuazyjnych, agrarystycznych i „witosowych" teorii politycznych", dowiadujemy się, jak nareszcie doszedł on do przekonania, że jego najlepszymi przyjaciółmi i sojusznikami są robotnicy.

Jak widzimy, autor chciał poprzez list do konkretnej osoby i na konkretnych dziejach zobrazować kształtowanie się światopoglądu marksistowskiego u najlepszych przedstawicieli masy chłopskiej, pokazać, jak chłopi nauczyli się poznawać chytre wybiegi kułackie, pokazać, jak chłopi ze wsi Godzianów weszli w nurt nowego życia, zaprowadzając gospodarkę spółdzielczą. Ale mamy tu tylko dobre chęci, gdyż ckliwy i patetyczny, z łezką pisany list, jak również wszechwiedza i „wszechwidztwo" autora podważyły wiarygodność, spowodowały zaprzepaszczenie dość cennego materiału.

„Oto idzie Maria, biedniaczka — kierownik Komitetu Sklepowego. Za chwilę spotką się z mężem biedniakiem, którego na wpół pochylona chata przytuliła się do wzgórza za okazałą plebanią. A on, popularnie we wsi nazywany Jasiem - kowalowym zięciem, wyróżnia się w organizowaniu akcji skupu zboża i kontraktacji. Spotykają się tak co wieczór, po każdym pracowitym dniu ci szczęśliwi ludzie, jeszcze przed kilku laty analfabeci.

I kończy swój dzienny obchód młody listonosz, roznoszący co dzień słowa prawdy. Rozmyśla pewnie nad tym kiedy pod strzechami zabłyśnie żarówka i odezwą się radiowe głośniki...

Wszystko to jak na dłoni widać (?) z Twego okna w lekkobarwnym jesiennym dniu".

Wydaje mi się, że zacytowane „lekkobarwne" relacje Jażdżyńskiego analizy nie wymagają. Mówią same za siebie... Dodamy tylko, że 19-stronicowy list, mimo swojej rozwlekłości, bohatera nie pokazał.

Autor reportaży ze zbiorku Znaki nad miastem, Marian Niewiarowski, umiejętnie przeciwstawia starej hucie nowowybudowaną hutę im. Bolesława Bieruta w Częstochowie oraz dwie mapy Śląska, mapę przedwojenną, gdzie zostały dokładnie zaznaczone miejsca biedaszybów i wrzenia rewolucyjnego, i wciąż zmieniającą się mapę budownictwa socjalistycznego, która tworzy nowe miasta, osiedla, huty i kopalnie. Lapidarność, ostrość widzenia, szersze spojrzenie w przyszłość i odsłonięcie ponurego wczoraj Polski sanacyjnej — nadają tym reportażom ładunek emocjonalny i poznawczy. Ale ten sam autor zamieścił w zbiorku Dyplom monolog chłopa: „Mówicie więc...", monolog, który nikogo nie przekona.

Oto jak lekkomyślnie podchodzi autor do sprawy powstania spółdzielni, jak „nadziela" chłopa zawadiacką beztroską, jak prędko, łatwo odbywa się przemiana chłopa i jak szybko się on bogaci. Kilka pierwszych z brzegu cytat:

„Czy żyłem dobrze? — I tak było i owak. Różnie".

„A tu patrzę, w zeszłym roku, co się tu dzieje? Zebrali się tam, pogadali — i ci najbiedniejsi, i średniacy — i dawaj wspólnie radzić. Radzili, uradzili. Potem patrzę — pracują..."

„Nagle przyjeżdżają maszyny. Traktory, lokomobile, siewniki".

Jerzy, ma się rozumieć, wstępuje do spółdzielni.

W spółdzielni co prawda były jakieś trudności, ale to głupstwo, o tym monologizujący autor woli się nie rozwodzić. Lepiej jest powiedzieć, że ludzie wprost kąpią się w złocie.

„Przyjechał — nic nie miał. Tak jak stał. Rozejrzyjcie się po pokoju. To wszystko zdobyte pracą w spółdzielni. Meble, dom, radio, adapter, maszyna do szycia, trzy ubrania świąteczne, palto, harmonia; rower sobie sprawił, już mu tam motocykl świta w głowie. Żona ubrana, dzieci ubrane... Pieniądze? — Nie wiem, synowa niech powie, ona wie lepiej... Co mi tam po pieniądzach... A w obejściu? I krowę mają, nie, co mówię, dwie krowy, kilka świń, jakiś drób — już nie liczę tego — i jeszcze działka, prawie hektar. Domki nowe postawili sobie, ludzie kochani, kto to słyszał, żeby tak szybko na wsi domy stawiali. I skąd oni te pieniądze wzięli? I Dom Kultury, tyle tam pokoi, że zbłądzić można..."

Dałem przydługi może urywek, by pokazać, że taka agitacja jest raczej szkodliwa. Wiemy, ile szkody przynieśli ci, którzy obiecywali młodzieży rajskie życie w Nowej Hucie jeszcze wtedy, gdy było tam szczere pole, wiemy, jak fatalnie się odbija na naszej pracy każde lukrowanie.

W artykule Mit o lekkiej pracy Strogowej, opublikowanym na łamach Litieraturnej Gaziety, autorka podkreśla, iż gadanina o tym, że nowa technika nie wymaga wysiłku fizycznego, że mit, iż wszystko staje się za naciśnięciem guzika — jest szkodliwy i bezsensowny. Strogowa powiada:

„Ideę o niezwykle „lekkiej" pracy, która nas jakoby czeka w niedalekiej przyszłości, piastują nie tylko poniektórzy pedagodzy i leniwi uczniowie; prześlizguje się ona też do utworów naszych literatów, piszących o budowlach komunizmu, i do powieści fantastycznej. Komunizm przedstawia się ja-

ko raj dla nierobów. Nawet taki poważny pisarz jak Borys Polewoj w jednym ze swoich reportaży o budowlach komunizmu opisuje pracę na kroczącej koparce, posługując się słowami naczelnika odcinka wykopowych maszyn, D. G. Iwanickiego, w ten sposób:

„Siedzi sobie człowiek w wygodnym krześle w kabinie kroczącej koparki, bez wszelkiego trudu naciska dwa guziki, kilka lewarów, wszystkiego ledwie dotyka. I taka to maszyna wykonuje pracę tysiąca kopaczy. O pocisku ziemnym *(ziemsnariad)* już nie mówię. Tam jest jeszcze lżej. Do takiej pracy nie mięśnie są potrzebne lecz rozum".

Autorka artykułu dodaje, że robotników bardzo oburza taki sposób obrazowania ich pracy.

W naszych reportażach nie widać wysiłku, widać tylko rajskie życie, które chłopi wiodą w spółdzielniach, a robotnicy w fabrykach, chociaż mowa o kraju, który dopiero buduje podstawy socjalizmu... Nie widzę w żadnym z tych dziewięciu reportaży znoju i trudu naszych robotników, mozołu, z jakim doszli do idei racjonalizatorskiej, jak godzinami po pracy, odmawiając sobie snu, trudzili się nad swoim pomysłem, jak pomogła im w tym partia. A przecież doświadczeni pisarze jak Koprowski, Bartelski, Szmaglewska wiedzą, że samo nazywanie rzeczy, samo konstatowanie faktów nie wystarczy.

Reportażysta nie powinien ograniczać się do stwierdzenia, że fakty naszej rzeczywistości są piękne, lecz musi dbać o to, by je pięknie i ciekawie zobrazować.

Wiemy, jaką rolę w budownictwie odegrały reportaże M. Szaginian, jak porywające są reportaże Polewoja o budownictwie Wołgo-Donu, jak skutecznie walczyły na froncie wojny narodowej reportaże z pola boju pióra najlepszych pisarzy radzieckich. Reportaż jest rodzajem literackim najbardziej wysuniętym na froncie walki o nowego człowieka, najbardziej bojową formą publicystyki. Cóż wart jest oręż niesprawny, strzał niecelny?

Pięknie wydane i bogatą fotodokumentacją zaopatrzone zbiorki czytelnikowskie świadczą, że musimy o socjalistyczny reportaż walczyć, i że reportaż bynajmniej nie jest tak łatwym „kawałkiem chleba", jak się to niektórym literatom wydaje, bo samo nagromadzenie faktów, nazwisk, biografii, terminów fachowych, jeszcze pogody nie tworzy. Umiejętna selekcja, trafne uogólnienie, upolitycznienie, żywe postacie, wartki tok narracji — oto niezbędne warunki artystycznego reportażu. Spełnione, zdolne są dać porywający przykład, przykład godny naśladowania.

Salomon Łastik

DZIENNIK SAMUELA PEPYSA. Wybór, przekład i przepisy Marii Dąbrowskiej. Posłowie Juliana Hochfelda. Warszawa, 1952, Państwowy Instytut Wydawniczy; t. I. str. 435; t. II. str. 519.

Dziennik Samuela Pepysa obejmuje zapiski z pierwszych dziewięciu lat Restauracji Stuartów. Zapiski te, prowadzone skrupulatnie dzień w dzień, w pełnym wydaniu orginalnym zajmują ponad trzy tysiące stron petitu. W Polsce ukazały się po raz pierwszy w dość obszernym, bo liczącym blisko tysiąc stron wyborze i przekładzie Marii Dąbrowskiej. Dziennik Pepysa pisany był, jak wiadomo, specjalnego rodzaju szyfrem, przypominającym nieco współczesną stenografię, i odczytany został dopiero w dwudziestych latach XIX wieku. Uznano go od początku za ogromnej doniosłości źródło historyczne i obyczajowe, dość powiedzieć, że na nim oparł głównie Maculay swoją historię lat Restauracji. Ale wartość i znaczenie

Dziennika nie da się absolutnie wtłoczyć w szufladę nawet najbardziej interesujących materiałów historycznych. Jest on wielkim dziełem literackim i niewątpliwie jedną z najtrwalszych pozycji angielskiej klasyki.

Dziennik jest książką porywającą, czyta się ją jednym tchem i oderwać się od niej trudno, ale na czym polega urok i mądrość tej prozy, nie jest tak łatwo określić. Pisał Pepys stylem czysto rzeczowym, który nazwać można by niezauważalnym, gdyby nie liczne chropowatości i ociężałość składni. Krąg zdarzeń opisanych w Dzienniku, choć głęboko zanurzony w historii, niedaleko wykracza poza codzienność, życie rodzinne i dość płaską w końcu karierę jednego z wyższych urzędników Urzędu Marynarki. Nie znajdujemy w zapiskach ani opisów jakichś szczególnie interesujących wydarzeń, ani też głębokich teoretycznych rozważań. Próżno w nim szukać nawet jakiejś wyjątkowej dociekliwości psychologicznej i zgłębienia tajemnic ludzkiego serca. Nawet bohaterowie Dziennika, poza samym panem Samuelem, nie są jakoś szczególnie interesujący.

A przy tym wszystkim Dziennik daje tę samą satysfakcję intelektualną i artystyczną, jaką sprawiają jedynie najwięksi pisarze realistyczni. Daje rzeczywistą, pełną, głęboką i surową wiedzę o życiu. Bardzo niewielu pisarzy, nawet pośród największych epików, osiąga równą Pepysowi naoczność opisywanych wydarzeń; zapiski pisane są w pierwszej osobie, mimo to nie czujemy narratora, widzimy, co opisuje, jesteśmy sami świadkami wydarzeń. Mamy to głębokie przeświadczenie, że tak naprawdę było.

Wiele pamiętników i dzienników, zwłaszcza z końca XIX wieku i czasów współczesnych — klasycznym przykładem mogą tu być Dzienniki Gide'a — licytowało się w szczerości. Ale szczerość ta była szczególnie załgana, polegała na wyzywającej w swoim ekshibicjonizmie relacji z wstydliwych marzeń i zachcianek, ze snów i różnych zaułków duszy, na mocno cynicznej igraszce z własnymi poglądami i pseudokompromitowaniu samego siebie. Ale wszystkie te pamiętniki z całą swoją łże-szczerością zacierały troskliwie prawdę faktów. Ich autorzy chętnie przyznawali, że są łajdakami, ale tylko w wyobraźni, w myśli lub w sercu; nigdy w rzeczywistości.

Pepys natomiast z niesłychaną skrupulatnością relacjonuje fakty, zapisuje dobre i złe postępki własne i cudze, przytacza rozmowy, notuje nawet podejrzenia, ale wszystko z jakąś ogromną żarliwością stwierdzenia, jak było naprawdę.

Pepys wie, „po czemu łokieć" i „co piszczy w trawie". Umie patrzeć i umie słuchać, inaczej by nie zrobił kariery. Ale jego wiedza o życiu, którą odczytujemy z Dziennika, daleko wykracza poza trafnie wybrane plotki i płaski autentyzm. Znajdujemy u Pepysa to samo bogactwo społecznego doświadczenia i nawet ten sam jego gatunek, co u Daniela Defoe, Stendhala i Balzaka. Nazwiska tych trzech wielkich powieściopisarzy nie są tutaj rzucone przypadkowo, mamy bowiem u Pepysa niewątpliwie w formie jeszcze zalążkowej, ale przez to szczególnie stężonej, ten sam obraz rozwoju burżuazji jako klasy, wzrostu jej znaczenia i początku jej ideowej dekadencji, ten sam portret mieszczanina w jego najbardziej typowych cechach, jakie powtórzy i utrwali Defoe, Balzak i Stendhal.

I

Dziennik Pepysa jest aż po brzegi przepełniony codziennością. Ale mieszczańska codzienność w Londynie, w siódmym dziesiątku lat siedemnastego wieku nie ograniczała się jedynie do

wypraw na udziec barani i wino, w towarzystwie tłustych i wspaniałych dziewek, do starych kupieckich oberż nad Tamizą o pięknych nazwach „Pod Delfinem", „Pod Godłem Króla" albo „Pod Wściekłym Psem". Mieszczańska codzienność — to w tych latach ćwiartowanie i ścinanie głowy pozostałym przy życiu uczestnikom sądu nad Karolem I, to wojny z Holandią i wyprawy kupieckie do Indii, to przemiana rewolucyjnego purytanina o krótko strzyżonych włosach w dworaka, który nałożył wielką perukę i wspólnie z arystokratami dzielił się grabieżą Irlandii i ogromnymi zyskami z przewozu niewolników Murzynów. Mieszczańska codzienność — to herb na karcie kupca, nowe prześladowania nonkonformistów, rozruchy londyńskiego plebsu i wielka zaraza, która zdziesiątkowała ludność miasta. Mieszczańska codzienność — to jawna rozpusta dworu na oczach oburzonych kupców, którzy powoli a konsekwentnie przejmują rządy państwem na własny rachunek. Mieszczańska codzienność wreszcie — to gwałtowny skok w rozwoju sił wytwórczych i techniki, to wielki rozwój nauk torujący drogę materializmowi Oświecenia. Mieszczańska codzienność tych lat to po wielkiej rebelii Cromwella powrót monarchii Stuartów i kompromis z arystokracją. Są to lata, które przy całej swoistości rozwoju społecznego w Anglii przypominają najbardziej okres Restauracji Burbonów we Francji roku 1815. Lata kontrrewolucji, ale kontrrewolucji, która nie potrafiła obalić podstawowych zwycięstw burżuazji.

II

Mieszczańska codzienność Dziennika Pepysa jest wielką historią. Pod datą 19 października roku 1660 notuje: „Dziś rano skończyli wykładać moją jadalnię zielonymi szpalerami i złoconą skórą. Dziś rano Hacker i Axtel (dowódcy straży podczas egzekucji króla) zostali powieszeni i poćwiartowani". Oto z nieprześcignioną potem już nigdy lakonicznością zapisany został wielki rozdział społecznej historii burżuazji. W półtora wieku później na doświadczeniu Restauracji Burbonów pokaże go Stendhal i Balzak.

Matka Pepysa była praczką albo służącą, ojciec londyńskim krawcem. Pochodził z podupadłej rodziny drobnoszlacheckiej. Był nonkonformistą. Karierę urzędniczą rozpoczął za Cromwella. Zapisuje w swoim Dzienniku, z wielkim lękiem, aby ktoś owych słów nie powtórzył, iż w dniu ścięcia króla powiedział: „Pamięć tego grzesznika niech sczeźnie". Nonkonformiści (partie polityczne i frakcje burżuazji brały jeszcze wtedy nazwy od sekt i wyznań religijnych, ale plebejskie ruchy polityczne nazywały się już wtedy inaczej — „lewellerowie" czyli zrównywacze i „diggerowie" czyli kopacze) stanowili podstawową siłę rewolucji. Z nich rekrutowała się słynna kawaleria Cromwella, karna, zdyscyplinowana i świadoma. Wodzowie purytanów przemawiali językiem proroków Starego Testamentu, armia Cromwella śpiewała psalmy przed bitwą, Bóg wybranego narodu towarzyszył mieszczanom w historycznej walce o wolność kupna i sprzedaży bez żadnych ograniczeń.

Wielka rebelia, pierwsza rewolucja burżuazyjna, zwyciężyła dzięki poparciu mas plebejskich i chłopstwa. Ale kiedy król został stracony i aparat państwa feudalnego zdruzgotany, burżuazja zwróciła się z kolei przeciwko ruchom plebejskim. Po zgnieceniu powstania lewellerów pozostała burżuazji tylko jedna historyczna droga — kompromisu z arystokracją i starym porządkiem. Powrót Stuarta, umożliwiony przez zdradę góry cromwellowskiej, był jej wynikiem.

Restauracja otworzyła szeroką dro-

gę awansu wszystkim, którzy pogodzili się z nowym ładem. Należał do nich Pepys, zaczął robić karierę. Jest typowym przykładem oportunisty tych lat. W parę miesięcy po Restauracji Pepys odkłada pierwsze pięćdziesiąt funtów, w pięć lat później ma już odłożone cztery i pół tysiąca. Nie kariera Pepysa jest jednak w Dzienniku najciekawsza, ale jego wewnętrzne opory. Był klasycznym oportunistą, ale nie mógł zmyć z siebie wychowania purytańskiego.

Cieszy się z powrotu monarchii, ale kiedy widzi jak na ulicach piją zdrowie króla na klęczkach, wydaje mu się to „już trochę nadto". Kiedy biskup Chichester pochlebia królowi w kazaniu, stary nonkonformista notuje w Dzienniku: „Nie lubię, żeby kler wtrącał się do spraw państwa". Ma zakorzeniony wstręt do hierarchii kościelnej. 4 października 1660 zapisuje: „Do opactwa Westminster, gdzie widziałem wielu biskupów. Ale, o Boże, kiedy wychodzili w swych strojach, dopieroż ludzie na nich patrzyli jako na cudaków; i niewielu patrzyło z jakąkolwiek miłością czy respektem".

Łakomy wszystkich niezwyczajnych widoków, ogląda, kiedy tylko może, publiczną kaźń królobójców. Ale z nietajonym zachwytem podziwia ich męstwo i nieustraszoną odwagę w obliczu śmierci. Oburza go, kiedy ciało Cromwella zostało wywleczone z grobu, a w pięć lat po Restauracji napisze o nim, „że był to dzielny człowiek i że na koronę, którą mu ofiarowano, zasłużył sobie bardziej niż jakikolwiek człowiek, co ją kiedybądź nosił".

Jest racjonalistą i ani na chwilę nie przestaje nim być. 14 lutego 1660 pisze: „Gadką całego miasta jest ninie, kogo Król będzie chciał mieć Królową i czy wielki post będzie przestrzegany, jak to proklamacja królewska zaleca; wszyscy myślą, że nie, bo ryby są za drogie dla biedaków". Wielkanocne kajanie się króla wydaje mu się „szpetnym obrzędem i prostackim".

Pepys zamieniał się powoli w modnego kawalera. Z rozbrajającą naiwnością notuje za każdym razem ogromną radość, jakiej doznaje, kiedy zakłada eleganckie, srebrne sprzączki do trzewików, przypina szpadę, „jak teraz jest obyczaj między szlachtą", kupuje sobie barwisty kaftan i drogą opończę podbitą aksamitem. Długo nie może się przymusić do noszenia peruki, ale kiedy ją sobie wreszcie sprawi, obnosi się z nią z wielkim zadowoleniem.

Nie przeszkadza mu to jednak zupełnie z całą surowością i z rzadką jasnością spojrzenia dostrzegać tych samych przemian u innych. Obraz purytanina, który stał się mieszczańskim filistrem, należy do najwspanialszych kart Dziennika. Ze swoim starym kompanem z czasów rewolucji pije w niedzielę w karczmie, ale tego samego wieczoru zapisuje: „Bardzo mi było dziwno, jak pan Creed się odmienił, który przed rokiem dałby się raczej powiesić, niż by miał pójść w niedzielę pić do karczmy". W parę dni później ogląda z balkonu spalenie przez kata aktu o ustanowieniu republiki. Wieczorem zapisuje: „Na co patrząc myślałem o wielkości teraźniejszej odmiany i jak to jutro ludzie będą godzić w to wszystko, czemu dzisiaj dla zysku albo ze strachu służą".

Pepys robi karierę. Wychowanie purytańskie odzywa się jednak w nim coraz silniej, coraz częściej porównywa płaskie karierowiczostwo Restauracji z heroiczną epoką rewolucji. „Co to za czasy i co to za świat — pisze — że człowiek nie może żyć nie udając i nie odgrywając łajdaka!" W tych samych niemal słowach pisał Stendhal o francuskiej Restauracji.

Powoli zmienia się stosunek Pepysa do króla. Wita go z uniesieniem i ra-

dością, Restauracja przynosiła koniec lęku przed powstaniem plebsu i spokój konieczny dla handlowych transakcji. Ale człowiek, który widział, jak królowi ścięto głowę, nigdy nie uwierzy w pomazańca z bożej łaski. Pepys jest mieszczaninem do szpiku kości, klasa, do której należy, dokonała rewolucji. Tego się nie zapomina, nawet w epoce kompromisu. Tutaj Dziennik Pepysa osiąga wielką historyczną prawdomówność, jest w całej literaturze jednym z najgłębszych obrazów momentu, w którym burżuazja przestaje być klasą rewolucyjną. Pepys ukazuje nam sam początek tego wielkiego procesu, w całym bogactwie sprzeczności, ale z zadziwiającą zupełnie jasnością. Całe rozdziały Balzaka zawarte są tutaj nieraz w jednej krótkiej notatce. Oto bilans spraw publicznych i osobistych, jaki sporządził pan Pepys 31 grudnia roku 1666:

„Tak kończy się ten rok wielkich dziwów i klęsk narodu. Sprawy publiczne w najsmutniejszej kondycji, marynarze, zniechęceni brakiem powinnej zapłaty, stali się niesforni i niepodobna ich wziąć w ryzy; żadna też flota, przy tym stanie finansów, nie będzie mogła wyruszyć w przyszłym roku. Nasi nieprzyjaciele, Holendrzy i Francuzi — potężni, a z naszym ubóstwem coraz to więksi się stają. Co do stolicy, mało prawdopodobne, że ją odbudujemy; wszyscy osiedlają się gdzie indziej, a nikt nie ma żadnej zachęty do handlu. Smutny, grzeszny, niedbały Dwór i wszyscy rozsądni ludzie boją się ruiny całego królestwa w przyszłym roku. Zachowaj nas od tego, dobry Boże! Jedyna rzecz, którą zaliczam do godnych uwagi w mojej własnej kondycji, to to, że obfituję w srebrne talerze i półmiski, tak, że na wszystkich przyjęciach mogę podawać na srebrze mając go dwa i pół tuzina sztuk..."

Cezar Birotteau mógłby bardzo podobny zapisać rozrachunek. Ale chociaż klasowy obraz mieszczańskiej natury, jaki odczytujemy z Dziennika, daleko wykracza w swej sile uogólnienia poza specyfikę okresu Restauracji Stuartów w Anglii, Pepys nie przestaje być ani przez chwilę typowym purytaninem, który zdradził ideały rewolucji i nie mógł o nich zapomnieć. Uogólnienia wyrastają tutaj zawsze z konkretu, z zadziwiającej zupełnie trafności spostrzeżeń, może po prostu z mądrości życiowej. Pepys spotyka króla, kiedy w czas ulewy przejeżdża barką po Tamizie. Zapisuje: „I zdało mi się, że zmniejszyło się moje poważanie dla króla, co deszczom nie może rozkazywać". Kiedy indziej razem z królem i książętami krwi płynie dworską szalupą, słucha rozmów i potem notuje: „W łodzi królewskiej patrzyłem i uważałem, jak z sobą rozmawiają. I Boże odpuść, chociaż admiruję ich z należną powinnością, jednak im więcej człowiek się im przygląda, tym mniej znajduje różnicy między nimi a drugimi ludźmi, aczkolwiek obaj są książętami wielkiego urodzenia i dowcipu".

Miną jeszcze zaledwie cztery lata i Pepys cały dwór razem z królem i jego wszystkimi faworytami zacznie traktować jak wielką bandę darmozjadów, marnotrawców i głupców. W październiku roku 1668 czytamy: „Żaden człowiek w Anglii, mający na karku głowę do stracenia, nie poważałby się wyrabiać tego, co oni z królem bez mała co dnia wyrabiają... Co jest znakiem, że świat oszalał. Od czego wybaw nas, Boże!"

Ostateczny sąd Pepysa o Anglii pod koniec pierwszego dziesięciolecia Restauracji nie bardzo już daleko odbiega od tyrady, jaką Swift każe wygłosić Gulliwerowi w państwie rozumnych koni:

„Nie było w tym kraju ani doktorów, którzy by mnie struli, ani prawników,

którzy by mnie zniszczyli, ani szpiegów, którzy by czatowali na moje słowo lub wymyślali na mnie skargi za pieniądze. Nie byłem tam otoczony przez szyderców, obmówców, potwarców, włamywaczy, oszustów, graczy, adwokatów, wielomówców, polityków, samochwałów, mędrców, rajfurów, gwałcicieli, zuchwalców, złośników. Nie było tam więzień, toporów, szubienic, słupka i pręgierza, nie ma tam kupców i rzemieślników oszukujących, nie ma hultai, łotrów, złodziei i filutów, nie ma galantów, niewieściuchów, zalotników, nie ma głupców, grubianów i zuchwalców, nie ma gnuśnych próżniaków, fircyków i fanfaronów, nudnych świegotów, obmierzłych pijaków, nie ma kłótliwych dziewek, niewiernych i kosztownych żon, głupich i dumnych pedantów, ani natrętnych, zarozumiałych i krzykliwych towarzyszy. Nie było łotrów, którzy wyszli z rynsztoka przez swoje występki, ani szlachetnych ginących przez swoje cnoty, nie było lordów, skrzypków, sędziów i tancmistrzy".

III

Ryszard Baxter, wielki purytański kaznodzieja, pisał w roku 1650: „Jeśli Bóg wskazuje wam drogę, na której bez grzechu dla waszej duszy i bliźnich możecie sprawiedliwie zarobić więcej niż gdzie indziej, a wy odmówicie i wybierzecie drogę dającą mniejsze dochody, odrzucicie wtedy jeden z celów waszego powołania, przestaniecie być posłuszni Bogu i wdzięcznym sercem przyjmować Jego dary, aby móc je pomnożyć, kiedy On tego zażąda. Oczywiście nie dla cielesnego zadowolenia albo grzechu, lecz dla Boga powinniście pracować, aby pomnożyć wasze bogactwa".

Złoto jest miernikiem wartości nie tylko na tym, ale i na tamtym świecie. Pan Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają. Ze wszystkich maksym moralnych, te dwie zdaje się najgłębiej podzielać pan Pepys. Poza Danielem Defoe nie znam pisarza, który by równie naocznie pokazał doskonałą zgodność moralności purytańskiej i kapitalistycznej. Bóg błogosławi bogatym, jest wielkim buchalterem sprawdzającym wierzytelność ksiąg kupieckich i za ich uczciwe prowadzenie nagradza wiecznym zbawieniem.

„Całe rano — pisze Pepys — robiłem rachunki moje prywatne i obliczyłem, że mam na czysto osiemdziesiąt funtów, czym uradowało się moje serce błogosławiąc Boga". Ale w Dzienniku nie tylko to jest pasjonujące. Najciekawszym wątkiem są wieczne przetargi Pepysa z Panem Bogiem.

Z wychowania purytańskiego przejął Pepys przeświadczenie, że teatr jest grzechem i w dodatku marnotrawstwem pieniędzy. Ale jednocześnie Pepys uwielbia teatr, muzykę, zabawy w uciesznej kompanii, wino i wszelkie cielesne rozkosze. Co parę miesięcy czytamy więc w Dzienniku: „tak mnie ciągnie do zabawy i uciech, iż czas już najwyższy, abym znów się związał ślubami, które też jutro, Boże wola Twoja, złożę, iżbym znów przez dłuższy czas pełnił moje obowiązki tak dobrze, jakem to był zaczął, iżbym przysparzał sobie dobrego imienia i estymy w świecie, a do trzosa zgarniał pieniądze, które przydają słodyczy wszystkim rzeczom i których tak bardzo mi potrzeba".

Pasja teatru jest jednak silniejsza nad wszystko. Pepys swoją umowę z Bogiem traktuje jak wszystkie inne umowy handlowe. Kiedy nie dotrzymuje, płaci grzywnę. Szuka wszystkich możliwych wybiegów. Kiedy idzie do nowootwartego teatru, tłumaczy Bogu, że w tym wypadku ślub nie obowiązuje, bo kiedy go składał, teatru tego jeszcze nie było. Albo też pożycza od przyjaciela pieniędzy na bilety, „aby iść do teatru nie łamiąc ślubów oszczędzania". Albo też

tłumaczy niebieskiemu bankierowi, że ślubu nie złamał, „bo najpierw wróciliśmy piechotą, a więc oszczędziłem pieniędzy, który cel jest główną racją mych ślubów, a potem nie byłem ani razu na teatrze dworskim, jako że nie dawali tam żadnej sztuki dla nas odpowiedniej, a dworskich widowisk śluby mi nie zakazują".

Wspaniałym przykładem tej religijnej buchalterii, pomieszania uczciwości i nieuczciwości, skrupułów sumienia i łapczywości na grosz jest cała historia łapówki, którą Pepys wziął i z wielkim żalem został zmuszony do jej oddania. Mamy tutaj jakby na gorąco schwytane wszystkie konflikty, przez które przechodził purytanin, kiedy stawał się kapitalistą. Kiedy tracił pieniądze, pocieszał się spokojem sumienia, kiedy brał, uspakajał się widomą łaską bożą.

„Wieczorem do rachunków i tu dla ulżenia sobie na duchu, nie zwlekając zapisałem, żem winien panu Povy owe 117 funtów i 15 szylingów, które z taką radością wziąłem zeszłego miesiąca; lecz widząc, że nie będę ich mógł zatrzymać bez niejakich kłopotów i spytek, wraz się tego z myśli pozbyłem, a tak, jeśli przyjdzie to zwrócić, a obawiam się, że do tego przyjdzie, nie będę się już czuł przez to ani krztynę biedniejszy; chociaż boli mię trochę, że będę biedniejszy o taką sumę, com ją już miał miesiąc temu za swoją. Wszelako spokój sumienia i pewność tego, co moje własne, warte są więcej niż wszystko. Chwała tedy Bogu za to, co mam, choć suma spadła tego miesiąca na 1257 funtów. Siedziałem nad tymi rachunkami bez mała do drugiej w nocy".

Pamiętamy dobrze Robinsona, kiedy na bezludnej wyspie co dzień wieczorem prowadził skrupulatnie swoją wielką księgę handlową, zapisując wszystko, co mu się złego i dobrego przydarzyło. Dziennik pana Pepysa prowadzony w Londynie jest taką samą księgą. Na pewno do najlepszych kart literatury mieszczańskiej należy owa krótka notatka, zapisana przez Pepysa w dniu śmierci jego poprzednika na urzędzie, któremu zmuszony był oddawać część swojej pensji.

„Sir William Petty powiedział mi m.in. że umarł pan Barlow, którego, Boże! Ty widzisz moje serce, mogłem o tyle żałować, o ile możebne jest żałować obcego człowieka, przez którego śmierć odzyskuje się sto funtów rocznie. Był to godny i zacny człowiek, ale kiedy rozważam, że Opatrzność tym sposobem daje mi niespodzianie o sto funtów rocznie więcej, pozostaje mi tylko chwalić Boga, co czynię z głębi mojego serca".

I jeszcze dwie wielkie sceny, pierwsza znowu z Daniela Defoe, a druga z Balzaka. Pepys był miłośnikiem malarstwa, wszelkiego rodzaju sztuk i umiejętności. Podziwiał architekturę, zachwycał się ogrodami, zbierał ryciny. Ale warto posłuchać o najwspanialszym widoku, jaki mu się w życiu przytrafiło oglądać. W czasie jednej z podróży służbowych zaprowadzono Pepysa na dno okrętu holenderskiej kompanii indyjskiej. Tam, pisze: „pokazali mi rozrzucone w nieładzie największe bogactwa, jakie możebne jest dla człowieka zobaczyć. Pieprz rozrzucony tak, że po nim depczesz, i pełno go we wszystkich szczelinach; w goździkach i gałce muszkatowej brodziłem po kolana. I jedwab w belach, i skrzynie z miedzianymi naczyniami, z których jedna była otwarta, napatrzywszy się tego, a był to najwspanialszy widok, jakim się kiedybądź napawałem, na drugi okręt..."

Wreszcie króciutka scena, jakby żywcem wyjęta z Balzaka. „U wielkiego malarza Huysmana, gdzie oglądałem przednie obrazy, i obiecał, że potrudzi się dla mnie nad każdym portretem, który bym u niego zamówił; tedy myślę, żeby robił portret żony. Ale dziwną

rzecz w sobie zauważam i warto, bym ją zanotował, że nigdy nie jest mi tak ciężko rozstawać się z pieniędzmi jak wtedy, gdy mam ich najwięcej".

Dziennik Pepysa bardziej może niż wszystkie dotychczas przywoływane świadectwa potwierdza tezę o mieszczańskiej genealogii nowoczesnej powieści realistycznej. Mieści w sobie już wszystkie jej elementy: jej bohatera, jej realia, jej moralność, jej realistyczną ścisłość opisów i jakąś żarłoczność w nieograniczonej ciekawości świata. Pepysa interesuje wszystko: pierwsze transfuzje krwi przeprowadzane na psie i sposoby budowania okrętów, medycyna i rodzaje żużla potrzebnego przy obróbce żelaza, hydrostatyka i literatura, nowe tablice matematyczne i Próby Montaigne'a. Pacholika swego i dziewki służebne uczy czytać nuty i grać na rożnego rodzaju instrumentach, brata przepytuje z filozofii Kartezjusza, a żonę wieczorami w łóżku uczy astronomii i arytmetyki.

Pokazywaliśmy w Pepysie purytanina, ale równie łatwo na podstawie Dziennika można by w nim pokazać niemal pełnego człowieka Oświecenia. W tym wysokim urzędniku admiralicji jest jak gdyby skupiona pasja poznawcza całej jego klasy. Rozwój sił wytwórczych i techniki budował potęgę burżuazji. Pepys ceni naukę i wierzy w jej nieograniczone możliwości. „Kapelan księcia Aldemarle — pisze — miał bardzo prostackie kazanie, ganiąc m. in. niedoskonałość nauk świeckich i krzycząc: Żaden z naszych lekarzy nie może powiedzieć, czym jest istotnie gorączka, i żaden z naszych matematyków nie jest w stanie obliczyć dni człowieka na ziemi". Pepys jest szczerze i głęboko oburzony. Notuje: „Co, daligóg, nie jest winą arytmetyki, lecz tego, że nasze pojęcie nie dosięgło jeszcze tych rzeczy".

Pepys jest karierowiczem. Zgodnie z obyczajami epoki, ale bez wielkich skrupułów, bierze łapówki od dostawców floty. Wykorzystuje każdą okazję dla dodatkowego zarobku albo sprawienia sobie uciechy, niecnie wykorzystuje własne stanowisko wobec wszystkich kobiet, które proszą go o protekcję, uwodzi panny służebne swojej żony i nie gardzi dziewczynkami z oberży. Ale rzadko siebie usprawiedliwia. Przyjmuje siebie i świat takimi, jakimi są. I chociaż oburza go rozpusta na dworze i powszechna korupcja, wierzy, że świat ten jest na pewno najlepszy ze wszystkich istniejących. I w tym jest najgłębiej synem swojej klasy i swojej epoki. Nie ma powodu niczego ukrywać, nie musi mitologizować natury ludzkiej. Natura ludzka i porządek świata są dla niego zgodne z prawami kapitalizmu. A prawa te są dla niego niewzruszone i potwierdzone przez Boga.

*

Przekład Marii Dąbrowskiej wymagałby osobnego studium. Przed każdym tłumaczem klasyków od średniowiecza aż po Oświecenie staje trudne zagadnienie wyboru pomiędzy archaizacją a polszczyzną współczesną. Każda archaizacja jest zabiegiem sztucznym i niebezpiecznym, nie można bowiem Pepysa tak jak nie można Montaigne'a tłumaczyć na język pana Paska. We współczesnej polszczyźnie nie do oddania jest znowu surowa rubaszność dawnych klasyków, naiwność spojrzenia, klimat epoki.

Boy przy wszystkich swoich wspaniałościach przekładał klasyków XVI i XVII-wiecznych na język, który nigdy nie istniał, posługując się często zresztą jedynie graficzną archaizacją. Przekład Dąbrowskiej jest bardzo pięknym, niezmiernie trudnym i szalenie pracowitym wzorem odmiennej zupełnie archaizacji, która posługuje się przede wszystkim usuwaniem zarówno w składni jak i w leksyce złożeń, zwrotów i słów wyraź-

nie nowoczesnych, z ogromnym umiarem barwi język słownictwem staropolskim, zwłaszcza w nazywaniu realiów, gdzie modernizacja zniweczyłaby cały urok opisów. Pepys doczekał się mistrzowskiego przekładu. Posłowie Juliana Hochfelda w oparciu o prace marksistowskich historyków angielskich trafnie i obszernie ukazuje społeczny i polityczny obraz epoki.

Jan Kott

HENRYK MANN. *Podwładny*. Tłumaczyły z niemieckiego M. Wołczacka i J. Marecka. Warszawa, 1951, Książka i Wiedza; str. 383

Droga do sławy Henryka Manna (1871—1950) była dłuższa i trudniejsza niż kariera jego o cztery lata młodszego brata Tomasza. O ile bowiem Tomasz Mann już u zarania swej twórczości — mając zaledwie dwadzieścia cztery lata — zabłysnął dziełem na miarę najwyższą, powieścią Buddenbrookowie, o tyle talent Henryka Manna rozwijał się wolniej i oporniej. Pierwsze jego utwory są oderwane od problematyki społecznej i pozbawione ostrza walki. Z wiekiem sztuka jego stawała się coraz bardziej bojowa.

Właściwą domeną jego talentu była — przynajmniej w pierwszych dziesięcioleciach naszego wieku — powieść satyryczna, która zresztą w niemieckiej epice jest podobnie rzadka jak komedia w dramaturgii niemieckiej. Henryk Mann napisał kiedyś: „O wyzwolenie walczymy słowem i mieczem, lecz cios miecza bojowników o wolność zawsze poprzedzony jest raną zadaną przez słowo".

W 1900 roku Henryk Mann rozpoczął utworem Im Schlaraffenland swoją właściwą drogę twórczą, drogę pisarza-krytyka, pisarza-oskarżyciela. Ukazując w tej powieści, której akcja rozgrywa się w Berlinie w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, charakterystyczne rysy obyczajowości burżuazji, Mann świadomie dążył do napisania książki aktualno-politycznej.

Opublikowanie Buddenbrooków przypada na ten sam mniej więcej okres, w którym ukazała się powieść Im Schlaraffenland, ale arcydzieło Tomasza Manna było już pięćdziesiąt lat temu powieścią historyczną, powieścią ukazującą obraz patrycjuszowskiego rodu kupieckiego, charakterystycznego dla okresu wczesnego kapitalizmu. Tomasz Mann żegnał formację społeczną, która w zasadzie już z areny dziejowej Niemiec zeszła. Typowy dla swej klasy nie był już solidny i obarczony skrupułami etycznymi Tomasz Buddenbrook, lecz jego konkurent, bezwzględny, zachłanny i brutalny Hagenström. Hagenströmowie, typy zapowiadające w Buddenbrookach stopniowe przejście wolnego handlu wczesnego okresu kapitalizmu do drapieżnego i brutalnego handlu epoki imperializmu, ukazani są w wielkiej powieści Tomasza Manna jedynie na marginesie obrazu. Nie chcąc w żadnym stopniu uszczuplać znaczenia genialnego dzieła Tomasza Manna, trzeba jednak stwierdzić, że zawarta w nim głęboka i jakże słuszna diagnoza nie miała i nie mogła mieć charakteru aktualno-politycznego, że kronika upadku rodu Buddenbrooków nie była powieścią walczącą.

Henryk Mann natomiast bezpośrednio atakował współczesną mu rzeczywistość niemiecką, ukazywał prawdziwe oblicze tych, którzy objęli spadek po Buddenbrookach, a więc Hagenströmów. Uczynił to w powieści Im Schlaraffenland, w której z demaskatorską pasją obnażył typowych przedstawicieli burżuazyjnego społeczeństwa: bankierów, giełdziarzy, spekulantów, oszustów. Uczynił to w powieści Profesor Unrat (1904), której bohaterem jest reakcyjny nauczyciel gimna-

zjalny. W znakomicie narysowanej postaci tego nauczyciela Henryk Mann wcielił cechy charakterystyczne burżuazji niemieckiej w epoce wilhelmińskiej. Obydwie jednak książki są jakby studiami wstępnymi do najwybitniejszego dzieła pisarza, do jednej z największych powieści literatury niemieckiej: do P o d d a n e g o.

W poprzednich swoich powieściach Mann odzwierciedlił gotowe produkty burżuazyjnego społeczeństwa, a akcja utworu służyła jedynie ukazaniu ich cech podstawowych. W P o d d a n y m pisarz pokazuje nam nie tylko typowych ludzi wilhelmińskiej reakcji, ich etykę, ich obyczajowość, ich sposób myślenia, ale pokazuje nam także i przede wszystkim, w jaki sposób Niemcy kajzerowskie takich ludzi wychowywały. Pokazuje nie tylko gotowy produkt — „poddanego" cesarza Wilhelma II-go — ale również jego rozwój od dzieciństwa począwszy, ale również stopniowe narastanie tych wszystkich cech, których wcieleniem jest bohater powieści, Diederich Hessling.

Podobnie jak Unrat także fabrykant Hessling jest postacią typową. Jest wcieleniem niemieckiego burżua najczystszej krwi. Jest syntezą i jest jednocześnie człowiekiem z krwi i kości. W tym wielkie zwycięstwo sztuki Henryka Manna.

Dla zrealizowania swego zamierzenia autorskiego pisarz obrał fabułę najprostszą: życiorys bohatera. Życiorys ten Mann odtwarza z bezwzględną surowością i dyscypliną pisarską. Nigdy nie zbaczając z tematu, stale mając na oku cel zasadniczy — rozwija autor przed nami orgomny, wykończony w każdym szczególe portret swego bohatera. W charakterze Diedericha nie ma nigdy rysów przypadkowych, każda cecha jest wytworzona czy też wyostrzona przez otaczający go świat. Jego osobowość zostaje ukształtowana przez te elementy epoki, które są dla niej społecznie najbardziej typowe. W dzieciństwie Diedericha poznajemy szkołę pruską, w jego młodości — nacjonalistyczną korporację studencką, później — system wychowawczy armii cesarskiej itd., itd.

W ten sposób poprzez biografię Diedericha otrzymujemy wyrazisty obraz epoki. Z pasją wielkiego realisty i wielkiego satyryka Mann obnaża burżua niemieckiego i ukazuje jego psychikę i postępowanie w najróżniejszych sytuacjach, odzwierciedla uległość wobec junkierstwa, tyranizowanie klasy robotniczej, sojusz z socjaldemokracją, kulisy życia politycznego, działanie aparatu „sprawiedliwości", poglądy burżuazji na sztukę, życie erotyczne. Nie będzie przesadą, jeżeli powiemy, że P o d d a n y jest jakby encyklopedią życia burżuazji w okresie panowania Wilhelma II-go, encyklopedią łączącą wspaniałą znajomość epoki z głęboką nienawiścią do wstecznictwa i ciemnoty, łączącą precyzyjną obserwację z przenikliwym śmiechem genialnej satyry.

Wizerunek Diedercha Hesslinga jest tak bogaty i wszechstronny, iż mógłby być przedmiotem badań psychologów. Czy nosi on czapeczkę uczniowską, czy dekel korporancki, czy hełm żołnierski, czy cylinder fabrykanta, w kantorze czy w knajpie, w łóżku z kochanką czy w łóżku z żoną, w rozmowach z rodziną, z kolegami czy podwładnymi, w obliczu cesarza czy w obliczu robotnika — zawsze Mann wyraźnie uwypukla jego podstawowe cechy: karierowiczostwo, lizusostwo, obłudę, sadyzm, zakłamanie, zachłanność, zarozumiałość, podłość, tyranizowanie słabszych.

Rysując postać Diedericha pisarz posługuje się najróżniejszymi chwytami satyrycznymi, mistrzowsko stosowanymi. Tak na przykład język Diedericha nasiąknięty jest słownictwem Wilhelma II-go. Wszak cesarz wyrażał i uosa-

biał dążenia reakcyjnej burżuazji, która prześcigała się w małpowaniu go. U Diedericha dążenie do utożsamienia się z cesarzem posuwa się tak daleko, iż potrafi on przewidzieć, jakie byłoby postępowanie Wilhelma w danej sytuacji. Najjaskrawszym tego przykładem jest rzekoma depesza cesarza, zredagowana przez Diedericha. Depesza ta znajduje pełną aprobatę samego Wilhelma, Diederichowi zaś polityczna fanfaronada przynosi bezpośrednie korzyści materialne. Wszak burżuazja zjednoczyła się z junkierstwem i była podporą Wilhelma II-go: monarchia dawała jej możliwości brutalnego wyzyskiwania ludu i nieograniczonego bogacenia się.

Plastyczność obrazu epoki wydobyta jest przez pisarza również przy pomocy sylwetek kilkudziesięciu postaci z otoczenia Diedericha. W Profesorze Unracie otoczenie nauczyciela gimnazjalnego narysowane było kilkoma zaledwie kreskami, w Poddanym natomiast także postacie drugoplanowe są pełnokrwiste i nie ma też ani jednej postaci, która by nie była druzgocącą krytyką społeczną. Reperezentant junkierstwa, miejscowy dygnitarz von Wulkow, przedstawiciel kliki oficerskiej, emerytowany major Kunze, sadystyczny profesor gimnazjalny Kühnchen, korporant Delitsch, który „był stworzony wyłącznie do siedzenia przy piwie", lizusowski dziennikarz Nothgroschen — olbrzymia galeria postaci odpychających, społecznie typowych.

Na szczególną uwagę zasługują dwie postacie, udawadniające zadziwiającą ostrość sądu Henryka Manna. W postaci starego liberała Bucka, uczciwego bojownika nieudanej rewolucji z 1848 roku, pisarz poddał krytyce słabość postępowej burżuazji niemieckiej i jej naiwną wiarę w możliwość urzeczywistnienia demokracji w ramach społeczeństwa kapitalistycznego. W wizerunku socjal-demokraty Fischera natomiast Mann pokazał zjadliwy i jakże prawdziwy portret prawicowego przywódcy socjaldemokracji, zdrajcy sprawy robotniczej.

Ogromna wartość Poddanego bynajmniej nie ogranicza się do ukazania wiernego i niesłychanie trafnego obrazu epoki, ale tkwi w szczególności w proroczej wręcz wymowie tej książki. Trudno wprost uwierzyć, iż powieść ta została napisana przed pierwszą wojną światową. Henryk Mann uwypuklił bowiem w Poddanym te cechy junkiersko-burżuazyjnego społeczeństwa niemieckiego, które wówczas jeszcze tkwiły w zarodku i które w pełni rozwinęły się dopiero w najtragiczniejszym okresie Niemiec, w latach 1933—1945.

Gdy mały Diederich Hessling gnębi słabszego ucznia, czytamy w powieści: „Uznanie kolegów stojących dokoła... dodawało Diederichowi siły... Jak dobre samopoczucie ma człowiek, kiedy jego odpowiedzialność podzielają inni, a poczucie winy jest kolektywne". — Pisarz przeczuwał tu zagadnienia, które stały się dla jego narodu w latach drugiej wojny światowej niesłychanie aktualne.

Gdy bezmyślny wartownik zabija niewinnego robotnika, Diederich tak się oto wyraża: „Dla mnie wydarzenie to ma w sobie coś wręcz nadzwyczajnego, jakby to powiedzieć, coś majestatycznego. Że kogoś, kto staje się bezczelny, można tak po prostu zastrzelić na ulicy, bez wyroku! Niech pan pomyśli: pośród naszej mieszczańskiej tępoty zdarza się coś... coś tak bohaterskiego! Człowiek widzi wtedy, co to znaczy władza". W latach Trzeciej Rzeszy postępowanie owego żołnierza i charakterystyczna reakcja Diedericha stały się objawami masowymi.

Gdy student Diederich Hessling po raz pierwszy widzi cesarza, autor pisze: „Diederich mógł spojrzeć mu w twarz, w tę kamienną powagę i błyskawice;

ale cały obraz rozpłynął mu się przed oczami, tak gorliwie krzyczał. Odurzenie, silniejsze i wspanialsze niż to, które dawało piwo, uniosło go w górę. Wywijał kapeluszem nad głowami wszystkich, w sferze rozszalałego entuzjazmu". — Trzydzieści lat po napisaniu Poddanego odurzenie i „rozszalały entuzjazm" unosiły miliony Niemców — choć nie krzyczeli już „hurra" — tylko „heil", choć zamiast wywijać kapeluszem — podnosili w pozdrowieniu prawą rękę.

Nawet szczegóły potrafił Mann przewidzieć. Czytamy o Diederichu: „Pragnął spartańskiego wychowania rasy. Za pomocą chirurgicznego zabiegu należało przeszkodzić idiotom i zboczeńcom w rozmnażaniu się". — Brunatni spadkobiercy Hohenzollernów mieli myśl Diedericha urzeczywistnić.

Haniebna rola, jaką odegrała socjaldemokracja niemiecka w historii swego narodu, przewidziana jest w Poddanym nadzwyczaj trafnie. Już w dwa miesiące po ukończeniu tej powieści socjaldemokracja — popierając wojnę imperialistyczną — ostatecznie zdradziła sprawę proletariatu. Później, w latach Republiki Weimarskiej, a po drugiej wojnie w Niemczech zachodnich, mannowscy Fischerzy kontynuować i rozwinąć mieli perfidną działalność agentów burżuazji w ruchu robotniczym.

Nie ma bodajże w literaturze niemieckiej powieści, która byłaby przeniknięta tak żywiołową i silną nienawiścią do wstecznictwa i ciemnoty jak Poddany. Toteż nie ma chyba drugiej powieści, której reakcja niemiecka tak bardzo by się bała. Gdy w czerwcu 1914 roku rękopis Poddanego był ukończony, jedno z czasopism niemieckich rozpoczęło druk powieści w odcinku. Gdy wybuchła wojna, Henryk Mann otrzymał od redakcji tego pisma list donoszący, iż druk jego powieści zostaje przerwany. O zezwoleniu cenzury na wydanie książkowe nie mogło być nawet mowy. Toteż pierwsze wydanie tej powieści ukazało się w 1915 roku w Rosji. Pierwsze wydanie w języku oryginału datuje się z 1916 roku — było to wydanie nielegalne, a nakład wynosił dziesięć egzemplarzy. W grudniu 1918 roku — po klęsce militarnej Niemiec kajzerowskich — powieść Poddany nareszcie dotarła do czytelników. W ciągu kilku tygodni sprzedano 100.000 egzemplarzy. — W maju 1933 roku spadkobiercy Hesslingów palili arcydzieło Henryka Manna na berlińskim Placu Opery. — Dziś służy ta książka wychowaniu nowych pokoleń niemieckich, które poznają z niej pełną prawdę o smutnej przeszłości. Warto jednak wskazać, iż prześladowania powieści nie skończyły się po dzień dzisiejszy. Gdy w 1951 roku w Niemieckiej Republice Demokratycznej wyprodukowany został film, stanowiący wierne przeniesienie Poddanego na ekran — władze Niemiec zachodnich zakazały wyświetlania tego filmu. Potwierdziły tym samym nie słabnącą aktualność jednej z wielkich satyr literatury światowej.

*

Wydając powieści Henryka Manna nasze instytucje wydawnicze naprawiają poważną krzywdę wyrządzoną czytelnikowi polskiemu przez politykę kulturalną w latach międzywojennych. Ostatnio ukazał się nowy przekład Profesora Unrata (poprzednie tłumaczenie, pochodzące z lat trzydziestych, bezceremonialnie zniekształcało oryginał), a przekład całkowicie nieznanej u nas powieści Im Schlaraffenland jest przygotowywany. Także Poddany nigdy nie był dostępny naszym czytelnikom. Nareszcie ta dotkliwa luka została wypełniona.

W artykule tym posługiwaliśmy się tytułem Poddany, choć wydanie

polskie ukazało się pod tytułem P o d w ł a d n y. Ten przykry *lapsus* w tytule jest przykładem licznych nieporozumień i usterek, które znaleźć możemy w polskim tekście powieści. Mimo tych błędów tłumaczki książki — Maria Wołczacka i Janina Marecka — wykazały umiejętność odtworzenia w języku polskim oryginalnego stylu autora. Tradycją niemieckiej epiki jest szeroka narracja, jest bogata i częstokroć drobiazgowa opisowość. Tradycji tej odpowiada m.in. proza Tomasza Manna lub Arnolda Zweiga. Język Henryka Manna natomiast jest bardziej surowy i oszczędny, niekiedy nawet szorstki. Przekład polski nosi piętno indywidualności pisarza — nie znajdziemy w nim owych „wygładzonych" i zaokrąglonych zdań, tak obcych epice Henryka Manna. Nie wątpimy, że następne wydanie P o d d a n e g o będzie oczyszczone z błędów tłumaczenia — a wtedy otrzymamy pełnowartościowy przekład jednej z najwspanialszych powieści niemieckich, dzieła stanowiącego istotną część wkładu naszego zachodniego sąsiada do postępowej literatury w pierwszej połowie XX-go wieku.

Marceli Ranicki

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI: *Spór o Mickiewicza*. Wrocław, 1952; Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich; str. 274

Gdy w niewiele lat po wyzwoleniu poloniści podjęli pracę nad przewartościowaniem dorobku burżuazyjnej wiedzy o literaturze i utorowaniem drogi nauce marksistowskiej, nie od razu można było przystąpić do studiów nad epoką romantyzmu. Działo się tak nie tylko dlatego, że nie wykrystalizowało się jeszcze należycie pojęcie treści postępowej tradycji kulturalnej naszego narodu, że ideologiczny zamęt pierwszych lat sprzyjał niesłusznemu przecenianiu wartości puścizny pozytywistów. Istotne znaczenie miał także fakt, że skromne doświadczenie metodologiczne postępowej polonistyki wstrzymywało jej przedstawicieli od porywania się na jeden z najtrudniejszych i najzawilszych — a z drugiej strony — na pewno najdonioślejszych okresów polskiej przeszłości literackiej. Badaniom nad romantyzmem torowały i ułatwiały drogę ataki przeciw socjologicznym wulgaryzmom pierwszych „marksizujących" prac, czy przeciw brakowi krytycznego stosunku do tradycji burżuazyjnych. Ale najstotniejszą rolę odegrały tu najdonioślejsze wydarzenia naszego życia kulturalnego — wskazania VI Plenum KC PZPR oraz prace Józefa Stalina o językoznawstwie, przynoszące literaturoznawstwu jako istotną dyrektywę metodologiczną mocne podkreślenie specyfiki działalności artystycznej oraz wagi problemu trwałych wartości sztuki.

Marksistowskie badania nad romantyzmem w pracach Instytutu Badań Literackich datują się zatem na dobre dopiero od r. 1950—51. Ich fundamentem były koncepcje Stefana Żółkiewskiego, ich czołowym i najpełniejszym rezultatem jest jego wydana niedawno książka o Mickiewiczu. S p ó r o M i c k i e w i c z a jest książką podsumowującą postawioną przez Żółkiewskiego zasadniczą problematykę okresu, wytyczającą jego periodyzację, podsuwającą narzędzia interpretacji i podstawowe kryteria oceny utworów całej epoki literackiej. Do tej szerokości zainteresowań i bogatego rozbudowania problematyki zmuszał poniekąd autora temat. Pisać o Mickiewiczu, to oznacza w istocie pisać o romantyzmie polskim, o jego wciąż żywotnym, najgłębszym i najżarliwszym nurcie, kształtującym nowe pokolenie pisarzy, odkrywającym nowe źródła poezji ojczystej, zdobywającym jej nowego czytelnika. Mickiewicz sta-

nowi epokę naszej kultury i dlatego pisać o nim można tylko z perspektyw ogarniających całość epoki. Na barki Żółkiewskiego spadł więc trud interpretacji wielkiego szmatu burzliwej i twórczej historii społeczno-politycznej i kulturalnej I połowy XIX w. Miarą jego osiągnięć jest fakt, że zadanie to spełnił, że na trzystu niespełna stronicach swej książki potrafił zawrzeć śmiałą, szeroką, konsekwentnie przemyślaną, bogatą w szczegółach, nowatorską koncepcję twórczości Mickiewicza na tle dróg rozwojowych literatury romantyzmu w Polsce.

Tytuł książki — Spór o Mickiewicza — sugeruje, że jest to, jak dotychczas w działalności naukowej Żółkiewskiego, praca rozbijająca nieodpartym, brawurowym atakiem pozycje tradycyjnego literaturoznawstwa burżuazyjnego, od dziesiątków lat fałszującego obraz wielkiego poety i bojownika. Jest to sugestia słuszna, ale niepełna. Polemiczny nurt książki odgrywa istotnie, jak to zakłada autor w przedmowie, rolę groźnej miotły, wymiatającej śmieci burżuazyjnych fałszów „z obejścia naszej nauki o literaturze romantycznej". Czytelnik śledzi jak zawsze z satysfakcją klarowność linii dowodowej, celność i dowcip argumentów świetnego polemisty. Jednak mimo wagi i bojowej pasji tych partii książki, w ostatecznym rozrachunku główny nacisk położyć należy na nierównie bogatsze części koncepcyjne i interpretacyjne pracy; im to podporządkowane są wypady polemiczne, one w pierwszym rzędzie stanowią o nowatorstwie i doniosłości książki. Niemniej ze względu na konieczność ciągłych jeszcze utarczek z literaturoznawstwem burżuazyjnym w dziedzinie, która tak długo pozostawała w wyłącznym niemal jego władaniu, należy wskazać główne linie, na których rozwija się polemika Żółkiewskiego z „brązownikami" i „polonistami od pana Zagłoby".

Idealistyczne koncepcje romantyzmu musiał cechować brak konsekwencji i fragmentaryczność charakterystyki przedmiotu zainteresowań. Nie można było bowiem, wychodząc z założeń niedialektycznych, traktujących romantyzm jako prąd jednolity, stworzyć nie tylko już interpretacji, ale nawet pełnego opisu tego tak skomplikowanego i wewnętrznie sprzecznego zjawiska literackiego. Chrzanowski, opierając się na osławionym założeniu walki „dwu prądów", odpowiadających odwiecznemu sporowi „uczucia z rozumem", zmuszony został do charakteryzowania romantyzmu jako reakcji na Oświecenie, co zupełnie mechanicznie odcięło racjonalistyczne i demokratyczne korzenie polskiego romantyzmu i uniemożliwiło słuszne oświetlenie np. młodzieńczej twórczości poety. Sprzeczności prądu oraz chęć spreparowania najpiękniejszego okresu tradycji narodowej dla potrzeb ideologii endeckiej skłoniły Chrzanowskiego do przyswojenia sobie subiektywnego i nienaukowego pojęcia „hiperromantyzmu", traktowanego jako swoiste schorzenie kulturalne i objęcia tym pejoratywnym terminem wszystkiego, co wydawało mu się godne potępienia z punktu widzenia klerykalno-konserwatywnej moralistyki.

Inny karykaturalny przykład burżuazyjnej metody konstruowania pojęcia romantyzmu reprezentują koncepcje Łempickiego. Stanowią one programowo „szczytowe osiągnięcie" kosmopolityzmu i wpływologii burżuazyjnej nauki w tej dziedzinie. Łempicki sprowadził teorię „walki dwu prądów" do opozycji dwóch „temperamentów duchowych" — gallickiego i germańskiego. Tym samym dzieje romantyzmu przedstawione zostały jako dzieje recepcji literatury niemieckiej w Europie, zaś chęć jednolitego traktowania prądu pociągnęła

za sobą konieczność przykrawania każdego zjawiska literackiego według modelu istotnie jednolicie niemal reakcyjnej niemieckiej *romantische Schule*.

Kleiner charakteryzując romantyzm zasadniczo uniknął rażącego mętniactwa i naiwności przeciwieństwa „między uczuciem a rozumem", jak również jaskrawego wpływologizmu w ocenie dynamiki rozwoju prądu. Widząc sprzeczności historii romantyzmu, mimo tendencji do traktowania go jako jednolitego zjawiska kulturalnego, musiał ograniczyć się do niesłychanej ogólnikowości w charakterystyce prądu, do zdań, stwierdzających, że romantyzm „był protestem przeciw wszelkiemu zaciśnieniu", że „pełnią sił duchowych chciał objąć pełnię życia" itp. Kleiner całe niezmiernie różnorodne bogactwo tendencji romantyzmu, łącznie z takimi specyficznymi jego cechami jak historycyzm czy ludowość, chciał wyprowadzić z tezy, że romantyzm miał jakoby być „manifestem praw jednostki, jako siły równoważącej całą rzeczywistość zewnętrzną". Ta teza pozwoliła badaczowi oderwać romantyzm od problematyki społecznej, zafałszować źródła najdonioślejszych tendencji ideowych jego postępowego nurtu, zwekslować go na tory reakcyjnego egotyzmu, otworzyć szeroko drzwi interpretacjom religiancko-mistycznym.

Żółkiewski oparł swą konstrukcję postępowego nurtu romantyzmu na koncepcji nierozerwalnego związku literatury okresu z najżywotniejszymi sprawami bytu narodowego, wyprowadził go z ogólnych warunków życia polskiego tego czasu, poddał obiektywnym prawom historycznym, kształtującym rozwój ideologii społecznej epoki. To pozwoliło na przeciwstawienie się zrodzonym w klimacie reakcyjnych koncepcji romantyzmu tezom literaturoznawstwa burżuazyjnego, wykluczającym możliwość należytej oceny postępowego, ludowego charakteru dzieła Mickiewicza. „Burżuazyjna koncepcja rozwoju twórczości Mickiewicza dałaby się z grubsza sformułować jako droga religijnego artysty od prometeizmu do „świętości". Myślę, że jest to koncepcja reakcyjna, fałszywa, ahistoryczna" — pisze Stefan Żółkiewski w przedmowie. Polemikę z tak określoną koncepcją podejmuje też w każdym z węzłowych punktów swej linii dowodowej.

Wskazać tu można choćby na takie momenty jak np. przewartościowanie filomackiego okresu twórczości Mickiewicza. Żółkiewski ze względu na wewnętrzne zróżnicowanie ruchu filomackiego wskazuje kierunek, w jakim poeta oddziaływał na Towarzystwo, stwierdza, że przerastał je pod względem świadomości społeczno-politycznej, słusznie krytykuje też burżuazyjne koncepcje, wiążące całość młodzieńczej twórczości Mickiewicza z filomatyzmem, rozumianym zresztą najczęściej jako niedojrzałe stowarzyszenie studenckie, walczy przeciw plasowaniu utworów poety w atmosferze „harcerskiego", młodzieżowego „samodoskonalenia się". Istotną wagę ma tu także dokonywane przez Żółkiewskiego przesunięcie akcentów z filomatyzmu na ideologię szlacheckiego rewolucjonizmu, jako pozycji politycznie najbardziej znamiennych dla rozumienia młodzieńczej twórczości Mickiewicza. Obalona została również fałszywa, kosmopolityczna teza o werteryzmie IV cz. Dziadów, poszukująca na drodze wpływologicznej komparatystyki obcych źródeł Mickiewiczowskiego dramatu. Rozprawił się również Żółkiewski z niedocenianiem roli pobytu w Rosji, w rozwoju ideowym poety.

Przy analizie późniejszej epoki twórczości Mickiewicza wysunęły się trzy centralne tezy reakcyjnej mickiewiczologii, które musiał obalić Żółkiewski. W pierwszym rzędzie wymagała rewizji religiancko-mistyczna interpre-

tacja III cz. Dziadów, negująca ideologiczną wymowę realistycznych partii dramatu, spychająca go konsekwentnie na płaszczyznę moralnej problematyki grzechu i odkupienia. W odniesieniu do Pana Tadeusza trzeba było podjąć polemikę z tezami o zachłystywaniu się poety urokami sarmackiej szlachetczyzny, trzeba było wskazać z jednej strony na łagodzony humorem przenikliwy krytycyzm w stosunku do świata Sopliców, z drugiej zaś na realizm w odczuwaniu przemijania ginącego świata starej Rzeczypospolitej i w dostrzeganiu nowych sił społecznych kształtującego się nowoczesnego narodu. Najostrzejszą wreszcie batalię stoczył Żółkiewski krytykując burżuazyjną ocenę okresu towiańszczyzny, traktowanej z reguły niemal jako szczytowy moment duchowego rozwoju pisarza i jednocześnie jako „wyżyny romantyzmu" polskiego, jako mistyczny cel, ku któremu zmierzał rozwój całego prądu w obrębie dziesięcioleci historii naszej literatury.

Istotną doniosłość tym wymienionym tu przykładowo kampaniom Żółkiewskiego z literaturoznawstwem burżuazyjnym nadaje fakt, że poparte są one posiadającymi największą wagę dowodową w tym sporze partiami interpretującymi kluczowe etapy ideowo-artystycznego rozwoju Mickiewicza. One to rozstrzygają o wadze książki Żółkiewskiego, jako pierwszego w pełni marksistowskiego, twórczego i odkrywczego zarysu poezji Adama Mickiewicza na tle dziejów romantyzmu polskiego.

Aby ocenić nowatorstwo i doniosłość Sporu o Mickiewicza należy zdać sobie sprawę, jak przed pracami Żółkiewskiego przedstawiały się osiągnięcia naszej powojennej, postępowej wiedzy o poecie. Były to nieraz cenne niewątpliwie, ale ułamkowe, nie wtopione w konsekwentną koncepcję dorobku pisarza i działacza stwierdzenia, posiadające twórczą ambicję odkłamania fragmentów tradycyjnej mickiewiczologii, lecz niejednokrotnie czyniące to w sposób pozostawiający wiele do życzenia. Często prace te zasługują na wspomnienie raczej jako ambitne drogowskazy niż jako istotne, trwałe rozwiązania poruszanych przez nie problemów. Najcenniejsze niewątpliwie osiągnięcia w tym zakresie zamykały się w sferze biografistyki. Książka Henryka Szypera — a po niej w nierównie bardziej bogaty i sugestywny artystycznie sposób powieść Mieczysława Jastruna — wykazały, jak ogromną rolę w życiu i twórczości Mickiewicza odegrała pasja działacza i bojownika, śmiałość i nowatorstwo polityka i agitatora. Podhorski-Okołów i Gomolicki rzucili nowe światło na pobyt poety w Rosji, na polityczne podłoże jego serdecznych związków z „przyjaciółmi Moskalami". Dopiero jednak w książce Żółkiewskiego te niezmiernie doniosłe dla rozwoju mickiewiczowskiej sztuki elementy uzyskały pełny walor poznawczy przez należyte wmieszczenie ich w ogólną, marksistowską koncepcję rozwoju ruchów społecznych i narodowo-wyzwoleńczych epoki, przez oczyszczenie ich interpretacji z naleciałości burżuazyjnej biografistyki i wulgarnego socjologizmu, przez oparcie konstrukcji biograficzno-historycznej na leninowskiej analizie ruchów rewolucyjnych I połowy XIX w. w tzw. przez Marksa „krajach na wschód od Łaby". Z przekazanych przez poprzedników, nie sprecyzowanych twierdzeń o związku Mickiewicza z „kołami spiskowców", o koncepcjach „rewolucji pałacowej", o „samotności" i „oderwaniu od mas", z bardzo ogólnikowej jeszcze charakterystyki epoki, jaką dawali na ówczesnym etapie nasi historycy, Żółkiewski w oparciu o leninowską charakterystykę dekabryzmu i nowsze prace radzieckie, zbudował szeroką, płodną koncepcję ideowo-arty-

stycznych podstaw teorii i praktyki polskiego rewolucjonizmu szlacheckiego w dziedzinie literatury. Wytyczył tym samym i sprecyzował nie tylko charakter bardzo istotnego etapu twórczości Mickiewicza, lecz poddał kierunek i zarysował ramy interpretacji wczesnego romantyzmu przed r. 1830.

Jeszcze wyraźniej nowatorski charakter nosi określenie dalszych etapów rozwoju ideologicznego Mickiewicza na emigracji. Przez poprzedników Żółkiewskiego sprawa ta stawiana była na ogół bardzo niejasno. Mówiono o „socjalizmie" Mickiewicza. Szyper słusznie wskazywał tu na cenną polemikę poety z reformizmem ówczesnego socjalizmu utopijnego, nie umiał jednak konsekwentnie rozwiązać tej sprawy i dać właściwej charakterystyki społeczno-politycznej postawy Mickiewicza w tym czasie. Dopiero Żółkiewski wskazał, że podstawowym kryterium oceny musi stać się na tym etapie ideologia rewolucyjno-demokratyczna. Z drugiej strony nie umiano sobie właściwie wytłumaczyć sprawy „mistycznego załamania" Mickiewicza, traktowano okres towianizmu jako wstydliwy etap umysłowej aberacji poety, bądź też spychano go na pozycje „chrześcijańskiego socjalizmu" ks. Lamennais, sądząc, że słowo „socjalizm" uszlachetniając żenującą przydawkę i niewątpliwie reakcyjny sens tej doktryny francuskiego księdza, przyda nieco blasku i ideowym szamotaniom Mickiewicza. I tu Żółkiewski potrafił wyznaczyć właściwe proporcje namiętnemu poszukiwaniu przez poetę nowych dróg i naciskowi starych, nieprzewalczonych jeszcze nawyków ideowych.

Na tle stanu powojennej wiedzy o Mickiewiczu koncepcja Żółkiewskiego rysuje się jasno jako nowatorski skok jakościowy w stosunku do poprzedników. Przejmując bowiem niekiedy w szczegółach ich pomysły interpretacyjne, jak to ma miejsce np. z kilkoma stwierdzeniami Wacława Kubackiego, wydobywa z nich zdrowe ziarno rozsądnej obserwacji, oczyszczone z nalotów tradycyjnego rozumienia problemów twórczości wielkiego poety.

Żółkiewski rozpatruje epokę romantyzmu pod kątem jej stosunku do sprawy likwidacji feudalizmu i uwłaszczenia chłopa oraz do walki o wyzwolenie i zjednoczenie ziem polskich. W koncepcji tej postępowy nurt ówczesnej literatury jest jednym z najdonioślejszych narzędzi ideowego przygotowania rewolucji burżuazyjno-demokratycznej. Literatura została więc oceniona jako jeden z najpoważniejszych organów rosnącej świadomości kształtującego się narodu, jego dążeń wyzwoleńczych, jego postępowych koncepcji przekształcenia form zbiorowego życia. Autor książki docenił fakt, że literaturę polską w tej funkcji, potęgowanej jeszcze warunkami tamującymi rozwój innych, jawniej politycznych instytucji myśli społecznej, cechuje niezmiernie żywy i bezpośredni związek z kolejnymi etapami rozwoju ruchów rewolucyjnych i odpowiadającej im ideologii politycznej, że odgrywać też ona zaczyna w owym czasie niezmiernie doniosłą rolę w życiu ideowym narodu.

W koncepcji Żółkiewskiego rozwój przodującego nurtu ówczesnej literatury prowadzi od form najmniej skrystalizowanych, nasyconych emocjonalnym raczej buntem przeciw uciskowi feudalnemu i okrucieństwom odgórnego procesu kapitalizacji, zapoznających historyczną rolę ludu i dalekich od pełnego poparcia jego interesów — do najwyższego w naszych warunkach ogniwa świadomości społecznej epoki, do koncepcji agrarnej rewolucji ludowej, mającej znieść krzywdę i nierówność społeczną z powierzchni ziemi.

Żółkiewski w ten ogólny schemat wmieścił precyzyjny zarys rozwoju ide-

owego twórczości Mickiewicza, uściślając charakterystykę poszczególnych jego etapów, leżących na linii prowadzącej od pozycji szlacheckiego rewolucjonisty do rewolucyjnego demokratyzmu. Wyodrębnił słusznie krótkotrwały młodzieńczy etap złudzeń wileńskiego liberalizmu, ustalając przy tym trafną ocenę działalności Towarzystwa Filomatów i różnorodnych nurtów ideowych walczących o hegemonię w jego ramach. Wskazał również na pozycję Mickiewicza wśród rewolucjonistów szlacheckich. Obrona człowieka z ludu, przyjęcie ludowych norm oceny stosunków międzyludzkich, oparcie poszukiwań nowej formy literatury narodowej na ludowej poezji i ludowym obrzędzie oraz — z drugiej strony — żarliwy ton poezji wolnościowej, stawiają Mickiewicza na lewym skrzydle literatury przedlistopadowej. To tłumaczy fakt, że twórczość jego nie ugrzęzła w arealistycznym egoizmie i nihilistycznym pesymizmie, które zagroziły pisarzom, kontynuującym dawne założenia w zmienionych warunkach ideowo-politycznych po klęsce listopadowej, że stwarzała wszelkie przesłanki dla naturalnego rozwoju poety, dla pogłębienia i dojrzewania postępowych, ludowych wartości jego sztuki. To wyjaśnia również wczesne pojawienie się szczelin i sprzeczności w ideologii pisarza, przeczuwającego ograniczoność i niekonsekwencję programu szlacheckiego rewolucjonizmu, czemu sprzyjały, jak świetnie wykazał Żółkiewski, doświadczenia pobytu w Rosji, dające poecie poglądową lekcję tragicznej bezsilności dekabrystowskich pozycji ideowych.

W analizie popowstaniowych losów myśli i sztuki mickiewiczowskiej trafnie wskazał Żółkiewski na okres fermentów ideowych lat 1831—40, który tyle kłopotów przyczyniał dotychczasowym interpretatorom. Spór o Mickiewicza podaje narzędzia rozumienia tego okresu. Negatywna ocena pozycji szlacheckiego rewolucjonizmu, upatrująca rdzeń narodu w masach ludowych z jednej strony — z drugiej zaś bazujące na solidaryzmie narodowym i pojednawczym stosunku do szlachty koncepcje burżuazyjnego demokratyzmu ścierają się z krytycyzmem wobec kultury i obyczajowości burżuazyjnych krajów Europy Zachodniej. Żółkiewski wskazuje, jak rosnące napięcie sprzeczności przy szlacheckich obciążeniach ideologii Mickiewicza, niezdolnego jeszcze do zerwania z własną klasą, wikła proces dojrzewania poety, skazuje go na przebrnięcie manowców mistycyzmu w poszukiwaniu drogi do rewolucji ludowej, do sojuszu z najbardziej przodującymi siłami europejskiego postępu. Wreszcie w ostatnim, szczytowym okresie rozwoju ideowego pisarza wskazał Żółkiewski na specyficzny splot rewolucyjnego demokratyzmu i pewnych koncepcji socjalizmu utopijnego, kształtujący wystąpienia wodza Legionu i redaktora Trybuny Ludów. Cykl przemian ideologii naszego największego pisarza mimo wszelkich zahamowań i obciążeń, wypływających z niedojrzałości sytuacji rewolucyjnej kraju, osiągnął więc najwyższe szczyty dostępne dla przedmarksistowskiej myśli rewolucyjnej, dokumentując tym wielkość polskiego romantyzmu. Czerpał on siłę, bujne piękno, porywający urok swej żarliwej sztuki z tego właśnie związku z różnorodnymi formami walki „za waszą wolność i naszą". Ta cecha pozwoliła romantyzmowi polskiemu nie tylko stworzyć sztukę bojową i żarliwą, sztukę pięknego patosu walki, ale umożliwiła jej także spojrzenie oczyma bojownika na rzeczywistość, wydobycie z ognia walki o przyszłość prawdy współczesnego czasu.

Spór o Mickiewicza w zakresie analizy artystycznych osiągnięć sztuki mickiewiczowskiej, uwarunkowa-

nych jej ideową dojrzałością i doniosłą funkcją społeczną, obok analizy rewolucyjnego patosu poezji politycznej i różnorodnych problemów mickiewiczowskiej ludowości, największą wagę przywiązuje do oceny kształtowania się realizmu w twórczości poety.

Problem realizmu, jako szczytowego osiągnięcia romantyzmu, stanął w centrum zainteresowań literaturoznawców już na pierwszym etapie prac nad literaturą tego okresu. Zarówno sama teoretyczna konstrukcja pojęcia jak i koncepcja jego rozwoju w literaturze romantycznej stanowiła i stanowi do dziś temat najpoważniejszych sporów wśród polonistów. Wydaje się jednak rzeczą coraz pewniejszą, że rozwój realizmu w literaturze XIX w. przebiegał nierównomiernie. Przed pełnym sformowaniem się realizmu krytycznego w drugiej połowie wieku istniały zadatki innej, rewolucyjnej tradycji realistycznej, kształtującej się w dramacie romantycznym. Oczywiście z linii tej nie miał się zrodzić żaden „inny", nowy typ realizmu. Jak wskazuje przykład Fantazego, zmierzała ona również do realizmu krytycznego, ale inną nieco drogą, poprzez ukazywanie społecznych walk czasu w wielkich patetycznych konfliktach dramatu politycznego. Ta droga uległa tragicznemu załamaniu po klęsce polskich dążeń do rewolucji agrarnej i nie doprowadziła do pełnej krystalizacji realizmu krytycznego, wspartego o ideowe koncepcje rewolucyjnego demokratyzmu, jak to miało miejsce w Rosji. Zmierzała jednak ku temu twórczość Mickiewicza i Słowackiego, ewoluowała ku stworzeniu takiej estetyki myśl Edwarda Dembowskiego. Twórczość Mickiewicza należy więc oceniać pod kątem jej stosunku do tego kierunku rozwoju problematyki artystycznej epoki. Tak postępuje Żółkiewski.

Już w pierwszym etapie twórczości poety Żółkiewski ukazuje, jak z tradycji bojowej sztuki Oświecenia przejmuje Mickiewicz drwiący realizm wielkiej metafory, w jakiej ogląda świat powiastka filozoficzna. Pozycje ideowe poety zamykają się wówczas w ramach reformistycznego jeszcze krytycyzmu, ciasna jest wiedza o ujemnie ocenianych zjawiskach rzeczywistości — dlatego „naiwny realizm" sternowski, łagodna negacja „źle urządzonego świata" idzie w parze z ciętą, lecz jakże wąską krytyką elementów umacniających feudalne zacofanie w dziedzinie kulturalnej. To jednak już wskazuje, że wielka sztuka Mickiewicza wyrastała z rzeczywistości, tak jak w istocie nigdy się od niej nie oderwała. W ocenie romantycznego przełomu twórczości Mickiewicza Żółkiewski nie podejmuje natomiast pewnych, zbyt pochopnych sądów, usiłujących nawet Ballady podciągnąć pod miano pełnego realizmu romantycznego, na zasadzie zarysowania w nich wielkiej metafory losu mas ludowych. Żółkiewski słusznie używa tu pojęcia „realistycznych tendencji folkloru", których w niczym nie paczy mickiewiczowska stylizacja, słusznie też traktuje Ballady jako etap przygotowujący dopiero rozwój realizmu, stwarzający dlań przesłanki przez wykorzystanie materiału folklorystyki, wnoszącej elementy ludowej oceny rzeczywistości. W trafnej formule ujmuje autor ideowy charakter i znaczenie Ballad mickiewiczowskich: — „motywacja zatem wprowadzenia elementów fantastycznych, zjaw i czarów, świata ludowych przesądów opiera się zazwyczaj na realistycznym pojmowaniu konfliktów, na osądzeniu ich z pozycji ludowej moralności".

W dalszej ocenie podstawowych etapów rozwoju mickiewiczowskiej sztuki najpoważniejszą rolę odgrywa analiza III cz. Dziadów. Żółkiewski przepro-

wadza tu słusznie podział na dwie linie motywacyjne — realistyczną i arealistyczną i podejmuje obronę zasadniczego i podstawowego znaczenia linii realistycznej. Może tylko polemiczne uwagi nasuwa stwierdzenie, że przyczyną wprowadzenia partii wizyjno-fantastycznych jest niemożność przeprowadzenia krytyki szlacheckiego rewolucjonizmu na płaszczyźnie realistycznej. Tej umiejętności, jak wskazuje wystąpienie Wysockiego, Mickiewiczowi w III cz. Dziadów nie brakło. Zawiodła natomiast na całej linii, jak niestety najczęściej u romantyków, realistyczna motywacja programu pozytywnego. Niedojrzałość politycznych pozycji poety każe mu się — jeśli nie wikłać w koncepcjach mesjanistycznych — to przynajmniej niebezpiecznie o nie ocierać, poszukiwać pozaziemskich, metafizycznych gwarancji dla wiary w postęp społeczny i wyzwolenie narodu. Na tym tle nieco innego charakteru nabiera też uzasadnienie roli epickiego Ustępu w dramacie; wskazuje on raz jeszcze, że Mickiewicz miał wówczas wszelkie możliwości przeprowadzenia realistycznej krytyki rzeczywistości, ale zamęt ideowy mącił i gmatwał widzenie społeczno-politycznego pozytywu.

Jedną z najbardziej interesujących, a przez Żółkiewskiego nie w pełni jeszcze rozwiązanych spraw, jest kwestia typu realizmu Pana Tadeusza, najdojrzalszego z punktu widzenia rozwoju realistycznej metody twórczej utworu Mickiewicza. Jest to realizm niewątpliwie daleki od właściwej Balladom mitologizacji konfliktów rzeczywistości, jak również i od heroizacji bohatera romantycznego, występującej jeszcze w III cz. Dziadów — a równocześnie zdaniem Żółkiewskiego jest to także realizm gatunkowo odrębny od realizmu krytycznego. Spór o Mickiewicza zostawia tu kwestię specyfikacji tej metody twórczej wciąż jeszcze otwartą, a nie jest to sprawa błaha w okresie, gdy wśród literaturoznawców toczy się dyskusja o charakterze realizmu w poezji romantycznej, gdy ścierają się koncepcje, pragnące upatrywać w nim zupełnie odrębny jakościowo typ sztuki realistycznej, z tezą, proponującą traktowanie go jako poszczególnego historycznego etapu procesu rozwoju realizmu krytycznego.

Problem realizmu został słusznie wysunięty przez Żółkiewskiego jako centralna dyrektywa metodologiczna, wyznaczająca problemy analizy artystycznej. Książka przyniosła też bardzo wiele słusznych i wnikliwych analiz realistycznych elementów twórczości Mickiewicza. Fakt, że wobec nieukończonych dyskusji, wymagających bardzo istotnego pogłębienia i wydoskonalenia istniejących pojęć teoretycznych i narzędzi analizy literackiej, autor powstrzymał się od precyzowania swego ostatecznego stanowiska w tej sprawie, wydaje się zrozumiały. Większe znaczenie praktyczne będą tu miały bowiem konkretne analizy utworów Mickiewicza, podsuwające oczywiście pewne teoretyczne rozwiązania tych spraw. O ile analizy Żółkiewskiego są zawsze nowatorskie i odkrywcze, zwracają też uwagę na nowe, niedostrzegane dotychczas lub niesłusznie lekceważone problemy, to jednak czasem budzić mogą pewne sprzeciwy. Nie tyle w przebiegu rozważań, ile w ostatecznych sformułowaniach ulegają niekiedy przesunięciu proporcje analizy ideologicznej i artystycznej na niekorzyść tej ostatniej, można też obserwować pewne przerosty niedostatecznie umotywowanej interpretacji politycznej (np. analiza Sonetów krymskich). Czasem w ferworze polemicznym pewne tezy autora uległy silnemu przerysowaniu (np. ocena postaci ks. Piotra w III cz. Dziadów) — co niewątpliwie w dal-

szej pracy Żółkiewskiego ulegnie korekcie.

Zarzuty wysuwane pod adresem książki Żółkiewskiego dotyczą szczegółów, które niewątpliwie autor zrewiduje, bądź lepiej uzasadni w toku dalszych studiów. Powinny one doprowadzić do stworzenia niezbędnej dla prawidłowego rozwoju naszych badań historyczno-literackich, pełnej monografii twórczości Mickiewicza. Niezależnie od tego waga Sporu o Mickiewicza, jako wstępnej syntezy wiedzy o pisarzu, jako sformułowania wyjściowego dla prac mających przygotować obchód setnej rocznicy śmierci Mickiewicza, jest bardzo poważna. Książka znamionuje w rozwoju naszej marksistowskiej polonistyki etap przejścia do formułowania wstępnych syntetycznych zarysów, pozwalających nam ogarnąć wielkość i piękno naszej tradycji literackiej.

Maria Żmigrodzka

HENRYK MARKIEWICZ: *O marksistowskiej teorii literatury*. Wrocław, 1952, Zakł. Narod. im. Ossolińskich; str. VI, 126.

Może najlepiej będzie zacząć rozważania o książce Henryka Markiewicza O marksistowskiej teorii literatury od znamiennego epizodu dyskusji toczonej nad nią na zebraniu Komisji Krytyki przy Związku Literatów Polskich. Gdy autor zabrał głos po zakończeniu dyskusji, był wyraźnie zażenowany jedną szczególnie opinią, określającą jego zbiór szkiców jako dorobek wieloletnich studiów, poszukiwań naukowych. Markiewicz „tłumaczył się", że dyskutowana książka jest rezultatem nieomal ubocznym praktycznego działania krytyka i historyka literatury. Mówił to bynajmniej nie w celu uchylenia się od krytyki, lecz aby określić właściwe proporcje książki. Czy je przez to umniejszył? Nie wydaje mi się. Książka jego jest ważnym wydarzeniem w naszej marksistowskiej nauce o literaturze. Uzasadnienie tego przekonania jest zupełnie proste: brak nam było dotychczas w języku polskim książki traktującej o podstawowych dyrektywach marksistowskiej metodologii badań literackich. Jeśli pominąć fragmentaryczne wypowiedzi w tej dziedzinie polskich krytyków, historyków literatury, pisarzy (Kierczyńska, Kott, Siekierska, Ważyk, Wyka), za pozycję bezpośrednio poprzedzającą szkice Markiewicza można chyba uważać tylko książkę Żółkiewskiego Stare i nowe literaturoznawstwo. Ale praca ta inne stawiała sobie cele i na inne orientowała się zadania. Była w zamierzeniu książką przede wszystkim atakującą pozycje burżuazyjnej, idealistycznej nauki o literaturze, obnażającą jej bankructwo i bezpłodność metodologiczną. Zagadnienia natomiast marksistowskiej teorii i metodologii badań literackich zaledwie szkicowała, pozytywny jej wykład bywał ledwie zarysowany. Książka Żółkiewskiego wyrosła z walki z burżuazyjnym literaturoznawstwem, książka Markiewicza wyrosła zaś z potrzeb pozytywnego wykładu podstawowych zagadnień marksistowskiej teorii literatury.

„Książka Henryka Markiewicza — pisze redaktor studiów historyczno-literackich IBL w notatce wstępnej — powstała z wykładów dla nauczycieli polonistów. Zrodziło ją bezpośrednie zamówienie społeczne, ogromny wzrost zainteresowania dla zagadnień marksistowskiej teorii literatury i jednocześnie brak opracowań, zarówno o charakterze czysto naukowym jak i popularyzatorskim."

W okresie między wydaniem obu tu wymienionych książek ukazały się pra-

ce Stalina o językoznawstwie, prace mające przełomowe znaczenie dla całej marksistowskiej nauki — tej pierwszej linii frontu ideologicznego. Przyczyniły się one do ogromnie płodnego ożywienia badań we wszystkich dziedzinach nauki, spowodowały też niezwykłe ożywienie badań nad literaturą. Znajduje to wyraz w wielu pracach uczonych marksistowskich, przede wszystkim oczywiście uczonych Związku Radzieckiego, w nieustającej płodnej dyskusji ogarniającej wszystkie ważniejsze zagadnienia teorii literatury. Książka Markiewicza przeznaczona jest przede wszystkim dla studentów i nauczycieli polonistyki, ale na pewno nie na tym wyczerpuje się krąg jej czytelników. Konsekwentne dążenie do popularyzacji problematyki i jasnego wykładu własnych przemyśleń autora zapewnia, a raczej zapewniło już książce nieporównanie szerszy krąg odbiorców.

Książka nie może przynieść, ani nie przynosi wyczerpującego wykładu marksistowskiej teorii literatury. Jest tylko zarysem wybranych zagadnień. Ale zagadnień centralnych. I to sprawia, że jest najpełniejszym dotąd ich zarysem napisanym w języku polskim. Szczególny jej walor odnajdzie czytelnik w tym, że rozważania teoretyczne wznoszą się nad bogatą egzemplifikacją zaczerpniętą z dziejów literatury polskiej. Gdy Markiewicz rozpatruje zagadnienia stosunku literatury do innych form ideologii, gdy zastanawia się nad specyfiką literatury, przejawami emocjonalnego wzbogacenia treści, czerpać będzie przykłady z Kochanowskiego i Mickiewicza, z Prusa i Żeromskiego. Gdy przedstawia właściwy charakter związków treści i formy, sięgnie do Sonetów krymskich, gdy analizuje problem fikcji literackiej, czy uogólnienia artystycznego uczyni to na przykładzie Emancypantek. Gdy wzmiankuje o problemach stylu, odwoła się do twórczości Żeromskiego i Wesela Wyspiańskiego. Gdy rozważa specyficzny charakter twórczości artystycznej, przytoczy obok poglądu Czernyszewskiego i opinie Prusa. Obok przykładu Majakowskiego pojawi się Broniewski itp. itp. Celowo wspominam o tej wartościowej stronie książki Markiewicza, gdyż wydaje mi się, że czytelnik zyskuje tu podwójnie; przykład konkretyzuje niełatwe problemy teoretyczne, a ponadto tego rodzaju wybór przykładów przynosi pewne wzory marksistowskiej analizy — oczywiście fragmentaryczne — ale równocześnie jakże istotne dla zrozumienia jej charakteru.

Powiedziałem, że książka jest zarysem centralnych problemów marksistowskiej teorii literatury. Świadczy o tym proste przytoczenie tytułów poszczególnych szkiców. Pierwszy z nich Literatura jako forma świadomości społecznej od razu wskazuje, że dotyczy kluczowego zagadnienia, którego drogi rozwiązania wskazała historyczna praca Stalina o językoznawstwie. Dotyczy istotnego zagadnienia specyfiki przedmiotu badań historyka i krytyka literackiego, istoty dzieła literackiego, jego stosunku do rzeczywistości, problemu uogólnienia i typowości, fikcji, „zmyślenia", procesu twórczego. Szczególnie cenne i nowatorskie, wydaje mi się, jest ujęcie zagadnienia stosunku formy i treści, jednego z najbardziej bodaj skomplikowanych i nie dość opracowanych zagadnień. „Nie dość opracowanym problemem naszej estetyki socjalistycznej — mówił przed trzema laty Aleksander Fadiejew na plenum zarządu Związku Pisarzy Radzieckich — jest zagadnienie ideowości i artyzmu, treści i formy." Markiewicz przeprowadza wnikliwą krytykę uproszczonego pojmowa-

nia związków treści i formy i wskazuje na konkretnych przykładach, „że ta sama lub podobna koncepcja ideowotematyczna może się konkretyzować w różnorodny sposób, że schematy fabularne i środki formalne mogą w różnym stopniu i kierunku wpływać na wartość tych konkretyzacji". (s. 28) Zbędną jest zapewne rzeczą przypomnieć, że takie rozumienie wzajemnych związków treści i formy w niczym nie neguje podstawowej zasady marksistowskiej estetyki głoszącej prymat treści i zasadę jedności obu wyabstrachowanych składników. Ale tej jedności analiza nie może zakładać, jest ona celem poczynań twórczych. Goethe mówił na ten temat: „Gdy chcemy powiedzieć o wielkim dziele sztuki najwyższą pochwałę, mówimy: mamy uczucie, że tak musi być."

Sądzę, że właściwe ukazanie stosunku treści do formy jest ważną zdobyczą książki Markiewicza, tym ważniejszą, że nawet wśród krytyków marksistowskich zagadnienie to obrastało w dyskusjach nieporozumieniami, że były objawy fetyszyzowania zagadnienia jedności jako przesłanki analizy i niedostrzegania, że jedność ta jest punktem „docelowym" sztuki.

Cenne jest również ujęcie przez Markiewicza zagadnienia uogólnienia artystycznego. Rozwijając wnioski Burowa (Estetyka marksistowsko-leninowska przeciw naturalizmowi w sztuce i O poznawczym charakterze uogólnienia artystycznego) Markiewicz podkreśla ideowy charakter każdego uogólnienia, wskazuje lapidarnie, jakie jest istotne kryterium prawdziwości uogólnienia. Pisze on: „Jeżeli dzieło literackie, oddziaływując na świadomość i postępowanie odbiorców służy postępowi, służy interesom przodujących sił społecznych, jest to najwyższe kryterium prawdziwości zawartych w nim uogólnień" (s. 23). W bezpośrednim związku z tym zagadnieniem pozostaje drugi z kolei szkic O genezie i funkcji społecznej dzieł literackich. Znowu punktem wyjścia staje się tu zagadnienie stosunku literatury do nadbudowy, zagadnienie w tym rozdziale najszerzej zresztą potraktowane. Nie jest ono zanalizowane bez błędów czy niejasności. „Nad bazą — stwierdza autor — wznosi się nadbudowa tj. polityczne, prawne, religijne, artystyczne, filozoficzne poglądy społeczeństwa oraz odpowiadające im instytucje polityczne, prawne i inne. Jak widzieliśmy, literatura stanowi specyficzny sposób wyrażania i przekazywania wymienionych tu poglądów, ponadto zaś urzeczywistniają się w jej dziełach poglądy artystyczne. O tyle utwory literackie należą do nadbudowy" (s. 29). Czy to nie zbyt pochopne sformułowanie? Czy tylko o tyle? Sprawa jest dość ważna, bo w książce Markiewicza przewija się nie do końca wypowiedziana tendencja do ograniczenia elementów ideowych i klasowych w literaturze. Zastrzegając się, że psychologia społeczna nie jest odizolowana od ideologii społecznej, czasem jednak „wydzielając" z dzieła literackiego elementy ideologii, skłonny jest Markiewicz traktować psychologię społeczną jako jakąś resztę klasowo nieokreśloną. Wydaje mi się to nie dość precyzyjne. W najlepszym razie można tylko mówić o pewnych cechach wspólnych układu psychicznego członków np. jednego narodu podzielonego na klasy, rozdartego przeciwieństwami klasowymi. Ta „reszta" w tym, co zawiera najistotniejszego, jest bez wątpienia zabarwiona ideowo, klasowo. Przecież jeśli brać zacytowane zdania dosłownie — grozi nam traktowanie moralności w

kategoriach „powszechnych", grozi nam np. traktowanie uczucia miłości komsomolca jako jednoznacznego z uczuciem rozwiązłego filistra lub obłudnie zakłamanego „purytanina". Ale dosłownie tego brać nie można.

W konkretnej analizie odróżnia Markiewicz utwory literackie dające „wzorce pełnej, bogatej, naprawdę ludzkiej indywidualności" np. w liryce miłosnej Kochanowskiego czy Puszkina, od utworów lirycznych o zubożonych, płytkich, małodusznych uczuciach. Jednym przypisuje trwałą wartość, drugim nie. Jest tu więc Markiewicz przy szczegółowej analizie na słusznej drodze, przy sformułowaniu uogólniającym natomiast budzi wątpliwości.

Szkic O genezie i funkcji społecznej dzieł literackich charakterystyczny jest również jako wyraz dążenia autora do przezwyciężenia wulgaryzujących pojęć o przynależności pisarza, pojęć utożsamiających nieraz niesłusznie obiektywną wymowę utworów literackich powstałych w przeszłości z świadomym zamierzeniem twórcy. Autor ostrzega słusznie przed mechanicznym przenoszeniem zjawisk świadomości współczesnej na świadomość dawnych epok historycznych.

Celna jest tu także obrona monizmu marksistowskiej teorii literatury. Nie ma on nic wspólnego z ciasnym ekonomizmem czy wulgarnym socjologizmem. Nie sprowadza genezy dzieła do jedynego wyznacznika determinującego. Na charakter i kształt dzieła literackiego wpływają wielorakie „czynniki", okoliczności. Ale wśród nich — i to różni marksistę od eklektyka — przeprowadza marksistowska estetyka właściwe zhierarchizowanie, zgodnie z materialistycznym poglądem na świat.

Najbardziej bodaj interesujący jest szkic Markiewicza O kryteriach oceny dzieła literackiego. Dotyka tu zagadnień najbardziej chyba dyskutowanych w nauce o literaturze po ogłoszeniu prac Stalina o językoznawstwie, zagadnień trwałych wartości dzieł sztuki, źródeł wartości trwałych. Markiewicz pisze: „Doniosłość i prawdziwość obrazu rzeczywistości zawartego w utworze, doniosłość i słuszność jej oceny, doniosłość i postępowość postulatów jej stawianych — oto podstawowe materialistyczne kryterium oceny utworu literackiego" (s. 57).

Nie poprzestając na tym słusznym ogólnym sformułowaniu autor analizuje bardziej szczegółowe przypadki, więcej: bardziej skomplikowane, trudne. Bo i to trzeba powiedzieć na korzyść Markiewicza, że nie stara się on „ułatwiać" sobie zadania, że wkracza w krąg skomplikowanych zagadnień usiłując je prześwietlić reflektorem marksistowskiej myśli badawczej. Stawia sobie i czytelnikom trudne pytania teoretyczne, stara się przejrzyście docierać do właściwych rozwiązań. Szczególnie trafne są rozważania autora na temat wartości formalnych utworów nie wchodzących do postępowego dziedzictwa. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że takie wartości istnieją. Ważną jest rzeczą, że autor skutecznie obala poglądy o rzekomej ich autonomii, jeszcze ważniejszą — krytyka ich fetyszyzacji. Krytykę tych przejawów słusznie przeprowadza Markiewicz od strony odbioru czytelnika, jego doznań estetycznych i wzruszeń. „Polemiści — pisze — powołując się tu na własne doświadczenia wewnętrzne, twierdzić będą, że sprawność formalna utworów ideologicznie obcych, a nawet wrogich stawała się dla nich źródłem przeżyć estetycznych. To prawda, niewątpliwie przeżycia takie powstają, ale po pierwsze, są to przeżycia niepełnowartościowe, po drugie — w pewnym stopniu wynaturzone: powstają na ogół na tle indeferentyzmu ideologicznego

pewnej części inteligencji burżuazyjnej, zwłaszcza inteligencji twórczej, która ze zrozumiałych względów jest szczególnie uwrażliwiona na wartości formalne i skłonna do ich fetyszyzowania. Dla zwykłego natomiast odbiorcy częściowe choćby solidaryzowanie się ideowe z utworem jest koniecznym — chociaż nie wystarczającym — warunkiem przeżycia estetycznego" (s. 59).

Tu chciałbym zwrócić uwagę na pewne zagadnienie, które, jak mi się wydaje, Markiewicz rozwiązuje w sposób fałszywy. Omawiając w pierwszym szkicu zagadnienie obiektywnej wymowy ideologicznej dzieła literackiego, która nieraz bywa nawet przeciwstawna intencjom ideowym pisarza (Słynny przykład „zwycięstwa realizmu" u Balzaka), a często bywa dzięki swym uogólnieniom bardziej postępowe, bardziej demaskatorskie (np. w dziełach realizmu krytycznego), niż to leżało w intencjach pisarza, Markiewicz słusznie podkreśla niebezpieczeństwo fałszywego często utożsamiania intencji ideowych pisarza z rezultatami twórczej praktyki. Równocześnie wskazuje na oczywiste, historycznie znane fakty „wieloznaczności czy wielofunkcyjności ideologicznej dzieł literackich." Ale wątpię, czy można te fakty sprowadzać, jak to czyni Markiewicz (s. 23), przede wszystkim nie do „różnych postaw ideowych odbiorców", lecz do „nieskrystalizowanej postawy autora", do „nietrafnego lub niejasnego skonkretyzowania poglądów przez pisarza".

„Przy jasnych założeniach ideowych — pisze autor — metoda realistyczna daje największą gwarancję jednoznaczności i komunikatywności utworu". Ostrzeżenie jest słuszne, wnioski zeń wyprowadzone przez Markiewicza — niezupełnie. Chodzi o to, że historycznie rzecz biorąc „wieloznaczność czy wielofunkcyjność ideologiczna dzieł literackich" w społeczeństwie klasowym bywa właśnie często (oczywiście nie zawsze) uzależniona od różnych postaw ideowych odbiorców, od ich aktywnego a nie kontemplacyjnego stosunku do różnych form przejawów ideologii, z których jedną jest sztuka, literatura. Pierwszy lepszy przykład z dziejów literatury potwierdza to zjawisko. Wyjątkowo trafnie zanalizował Kalinin ów problem na przykładzie Czernyszewskiego, a więc pisarza, który na pewno nie podpada pod przytoczone powyżej określenia twórcy dzieł wewnętrznie sprzecznych, nietrafnie lub niejasno konkretyzującego swe poglądy. Kalinin pisze na ten temat: „Czyta się np. Czernyszewskiego; można go czytać rozmaicie. Postępowy czytelnik lat sześćdziesiątych — siedemdziesiątych czytał po swojemu, i czytelnik liberalny owych czasów czytał go po swojemu, a my, jako marksiści - leniniści, czytamy też po swojemu. Nasze rozumienie będzie inne". Czy takie pojmowanie ma coś wspólnego z jakimś „absolutnym" relatywizmem w analizie dzieł literackich? Na pewno nie. Liczy się tylko z historycznym faktem istnienia różnic i przeciwieństw klasowych warunkujących odmienne postawy estetyczne, odmienne zainteresowania i upodobania, odmienną wrażliwość i odmienne cechy świadomości. I równocześnie ostro przeciwstawia się idealistycznej estetyce.

Ostatni z zamieszczonych w książce szkiców O realizmie w literaturze wyróżnia się jedną w szczególności cechą, której nie można przyznać pozostałym. Chodzi mi po prostu o ton wykładu, który znamionuje tu pasja zaangażowania ideowego odbiegająca korzystnie od zbyt „akademickiego" tonu rozważań pozostałych szkiców. Łącząc, jak we wszystkich innych częściach książki, zadania popularyzacji elementarnych przesłanek mar-

ksistowskiej teorii literatury z zadaniami pogłębienia problematyki metodologicznej, daje tu Markiewicz analizę pojęcia realizmu bazującą na gruncie leninowskiej teorii odbicia rzeczywistości w sztuce. Mając przed sobą jasny i precyzyjny wykład, recenzent, jak to czynił już powyżej nieraz, pragnie zwrócić uwagę tylko na sformułowanie i ujęcia, które stanowią *novum* w marksistowskiej teorii literatury. I z konieczności tylko na niektóre. Bardzo istotne wydaje mi się podjęcie przez Markiewicza wyjątkowo trudnego i nie opracowanego zagadnienia realizmu w liryce. Trafnie wskazuje on, „że w zasadzie za wyznacznik realizmu należy przyjąć (w liryce — przyp. S. S.) społeczną typowość artystycznie utrwalonych przeżyć »podmiotu lirycznego«." (s. 72).

Na uwagę zasługują również słuszne rozważania o narodowym i ludowym charakterze sztuki realizmu socjalistycznego. Narodowym i ludowym — bo jak słusznie wskazuje autor — w ustroju socjalistycznym oba te pojęcia stają się jednoznaczne. „Dzieło realizmu socjalistycznego jest częścią składową kultury socjalistycznej w treści, narodowej w formie. Narodowa forma oznacza tu nie tylko język utworu i nie tylko zużytkowanie środków wyrazu artystycznego, specyficznych dla literatury danego narodu. Sens tego sformułowania jest szerszy: idzie o to, że literatura ta odtwarza treści socjalistyczne w tych konkretnych i swoistych formach, w jakich występują one w życiu materialnym i duchowym danego narodu" (s. 82).

Ale i w tym szkicu nie obywa się bez wątpliwości czy pytajników, którymi recenzent opatruje niektóre sformułowania. Słusznie wskazuje Markiewicz, że pełnia realizmu osiągalna jest dopiero w literaturze socjalistycznej, której twórcy reprezentują najbardziej w dziejach postępowe idee i posiadają najbardziej precyzyjną metodę poznawania rzeczywistości. W przeszłości pełnia realizmu może być traktowana tylko jako wzór, „norma", do której pisarze mniej lub bardziej się zbliżają.

To bardzo słuszne. Fałszywe już jest twierdzenie Markiewicza, że „realizm krytyczny stanowi szczytowe osiągnięcie literatury przedsocjalistycznej, najbardziej zbliżając się do owej „normy realizmu" (s. 74). Zgłaszane tu wątpliwości są wielorakiej natury. Po pierwsze takie twierdzenie nie można formułować bez uwzględnienia specyfiki rozwoju literatury różnych narodów. Ale nawet odnosząc je do literatury, która jest najbliższa nam, do literatury polskiej—trudno przyznać szczytową rangę w literaturze przedsocjalistycznej realizmowi krytycznemu, a nie najwyższym osiągnięciom Mickiewicza czy Słowackiego. Ale tak ogólnikowe sformułowania trzeba zakwestionować i z innej strony: czy można przyjmować je bez prześledzenia dynamiki rozwoju w poszczególnych rodzajach i gatunkach literatury? Zastanówmy się tylko: czy realizm krytyczny jest szczytowym osiągnięciem literatury przedsocjalistycznej, najbardziej zbliżającym się do „normy" realizmu np. w liryce polskiej, w komedii i dramacie światowym, nie mówiąc już oczywiście o epice. Markiewicz jest tu wyraźnie zasugerowany dziejami jednego gatunku — powieści — i zbyt pochopnie uogólnia. Znakiem zapytania wypada także opatrzyć pogląd Markiewicza, że powieść zajmuje „centralne miejsce w systemie gatunków literackich realizmu socjalistycznego". Dlaczego? Czy rzeczywiście wynika to z założeń ideowych literatury realizmu socjalistycznego? Sądzę, że nie wynika ani z założeń, ani z doświadczeń praktyki.

„Centralne" miejsce np. w literaturze radzieckiej przynależy w równym stopniu Majakowskiemu jak Gorkiemu.

Nie są to wszystkie zastrzeżenia czy wątpliwości, które budzi uważna lektura książki Markiewicza. Ale powiedzmy gwoli prawdzie, że niepodobna było recenzentowi ukazać w jakimś pełniejszym wymiarze nieprzeciętnych walorów, jakie w książce tej się zawierają. Stanowi ona cenną pozycję, po którą sięgać będzie i student, i nauczyciel, działacz kulturalny i pisarz, krytyk i rzetelny miłośnik literatury. Wartości przydaje jej uzupełnienie w postaci sumiennie opracowanego sprawozdania z prac i wypowiedzi radzieckich uczonych w dyskusji o zagadnieniach nauki o literaturze i estetyce w świetle prac Stalina o jezykoznawstwie. Sprawozdanie to obejmuje pierwszy właściwie etap dyskusji, ale trafny referat poglądów i opinii daje czytelnikowi polskiemu dobrą orientację o przełomowym charakterze prac Stalina dla nauki, jak też o twórczym wykorzystaniu ich dla rozwoju marksistowskiej nauki o literaturze. Za najcenniejsze w książce Markiewicza uważam odważne i sumienne naukowe podchodzenie do wielu skomplikowanych zagadnień marksistowskiej estetyki, samodzielny wkład autora w rozwiązanie niektórych z nich. Dla celów natomiast popularyzacji podstaw marksistowskiej teorii literatury książka ta jest w języku polskim pracą niczym nie zastąpioną. I to przede wszystkim stanowi o jej ważkim znaczeniu.

Samuel Sandler

NA WIDNOKRĘGU

AWANTURNICTWO WIELKICH MONOPOLI

20 stycznia odbyła się w Waszyngtonie ceremonia objęcia władzy przez nowowybranego prezydenta Stanów Zjednoczonych gen. Dwighta Eisenhowera i jego ekipę rządową. Tygodnik wielkokapitalistyczny *Business Week* z lubością komentował to wydarzenie podkreślając, że „świat interesu wiele sobie obiecuje" po prezydencie Eisenhowerze i jego ludziach.

Trzeba przyznać, że amerykański tygodnik z całą słusznością mógł sformułować taki właśnie komentarz. W Stanach Zjednoczonych, kraju wielkich monopoli, kraju rządzonym przez monopole — nigdy jeszcze jednak kierownicze stanowiska w państwie nie były obsadzone tak jawnie i tak bezpośrednio przez ludzi wielkiego kapitału. „Gabinetem 8 milionerów" nazywa brytyjska agencja Reutera rząd Eisenhowera. Sekretarz Stanu, Dulles, minister obrony Wilson, ministrowie trzech rodzajów broni — armii lądowej, marynarki i lotnictwa — sekretarz skarbu, minister rolnictwa, minister handlu, minister spraw wewnętrznych, większość podsekretarzy stanu — to ludzie, którzy za ministerialne biurka przyszli prosto z gabinetów Wall Street. Głównym zastępcą Sekretarza Stanu jest dotychczasowy szef wywiadu, a szefem wywiadu jest brat Sekretarza Stanu.

Awanturnictwo monopolistów rośnie w miarę zwężania się sfery eksploatacji kapitalistycznej, w miarę jak rosną i grubieją mury ślepego zaułka, w którym znalazł się imperializm ze swoją polityką światowego podboju. Rządząca ekipa Eisenhowera jest dobitnym przykładem tego awanturnictwa. Świadczy o tym już chociażby dorobek pierwszych 15 dni rządów nowego prezydenta.

Sytuacja, w której obejmował władzę nowy rząd USA, nie była zaiste łatwa. Polityka przygotowań wojennych natrafia na coraz większe przeszkody zarówno w postaci rosnącej siły obozu socjalistycznego i narastającej ogólnoświatowej walki o pokój, jak i w postaci gwałtownego wzrostu wszystkich podstawowych sprzeczności rozdzierających światowy obóz kapitalizmu. W szczególności ostatni okres cechuje szybki rozwój przeciwieństw pomiędzy poszczególnymi państwami imperialistycznymi. Francuski trockistowski *Franc Tireur* komentując sytuację w atlantyckim obozie, z ubolewaniem zadawał retoryczne pytanie: „Czy Stalin przewidując nieunikniony konflikt pomiędzy krajami kapitalistycznymi, mógł przypuszczać, że wypadki tak szybko przyznają mu rację?".

Jednym z głównych węzłów przeciwieństw imperialistycznych stała się sprawa tzw. armii europejskiej, podstawowego elementu strategii amerykańskich podżegaczy wojennych w Europie. Armia europejska to twór, przy pomocy którego powstać ma nowy imperialistyczny Wehrmacht niemiecki, dowodzony przez amerykańskich generałów i korzystający z zaplecza gospodarczego i wojskowego w postaci potencjału produkcyjnego Francji, Włoch, Belgii, Holandii i Luksemburga, i w postaci sił zbrojnych tychże państw. „Scalone" oddziały armii europejskiej — jednolicie powoływane, ekwipowane i szkolone — byłyby w myśl artykułu 18 traktatu o armii europejskiej przekazywane po przeszkoleniu pod dowództwo tzw. SHAPE, tzn. atlantyckiej kwatery głównej w Europie. Armia europejska zawiera w sobie i zasadę rezygnacji z suwe-

renności narodowej, której przecież istotnym atrybutem jest prawo każdego państwa do dysponowania swoimi siłami zbrojnymi, i zasadę rezygnacji ze znacznej części swobód parlamentarnych, albowiem z chwilą utworzenia tej armii parlamenty zachodnio-europejskie tracą wszelkie kompetencje w sprawach takich jak powoływanie rekruta, rozmieszczanie sił zbrojnych i budżet wojskowy.

Traktat o armii europejskiej podpisany został w Paryżu 27 maja ub. roku i do tej chwili nie został ratyfikowany przez żadnego z sygnatariuszy. Co więcej, w ciągu grudnia i stycznia losy tego traktatu stanęły w ogóle pod znakiem zapytania. Główną tego przyczyną był bez wątpienia opór narodów, ale poważny wpływ odegrało również zaostrzenie sprzeczności między imperialistami Francji i Niemiec zachodnich. Coraz szersze kręgi wielkiej burżuazji francuskiej zdają sobie sprawę, że w „zjednoczonej Europie" zdane są na hegemonię monopolistów z Zagłębia Ruhry, albowiem — jak pisze dziennik tych kół, *Information* — „Niemcy zachodnie, a nie Francja, są uważane przez Amerykę za najważniejszego sojusznika w Europie zachodniej". Obok sprzeczności francusko-niemieckich w związku z planem armii europejskiej doszły również z całą siłą do głosu sprzeczności anglo-amerykańskie. Warto przypomnieć, że autorem koncepcji remilitaryzacji Niemiec zachodnich jest nie kto inny jak właśnie premier Churchill. Jednakże kapitał brytyjski wyobrażał sobie warunki tej remilitaryzacji inaczej, niż to formułuje program amerykański. W 1948 roku podpisany został agresywny tzw. traktat brukselski przewidujący współpracę wojskową Wielkiej Brytanii, Francji i państw Beneluxu pod hegemonią angielską. W oparciu o ten traktat zamierzali Anglicy przeprowadzić uzbrojenie Niemiec zachodnich. Jako „dysponent" sił zbrojnych całej Europy zachodniej chcieli Brytyjczycy uzyskać w ten sposób równoprawny sojusz z amerykańskimi agresorami. Koncepcja armii europejskiej pokrzyżowała ten program. Dyplomacja brytyjska nie pozostała jednak bezczynna. Zapewniając, zgodnie zresztą z prawdą, że są zwolennikami remilitaryzacji Niemiec zachodnich w imię przygotowań wojennych, politycy brytyjscy prowadzą zarazem od dwóch lat skomplikowaną grę, przy pomocy której wykorzystują obawy francuskie przed znalezieniem się „sam na sam" z potężnym Wehrmachtem. Dyplomacja brytyjska sugeruje francuskim sojusznikom, że należałoby zmienić koncepcję armii europejskiej tak, aby mogła się do niej przyłączyć również Wielka Brytania i to jako główny uczestnik — wówczas nowy Wehrmacht byłby w tej armii niejako zneutralizowany. Burżuazję niemiecką próbują jednocześnie brytyjscy politycy „kupić" perspektywą, że przy zasadzie armii niesfederowanej, ale tylko skonfederowanej, otrzymałaby większą samodzielność i nie musiałaby do tego stopnia jak w armii europejskiej, oddawać swych sił zbrojnych pod dowództwo amerykańskie. Dziennik niemiecki *Acht-Uhr Blatt* donosi 6 lutego o „poważnym zaostrzeniu sprzeczności między Londynem i Waszyngtonem również w kwestii armii europejskiej". Korespondent podaje, że w porozumieniu z Francuzami Anglicy opracowali „plan zastępczy": miano by zorganizować w miejsce armii europejskiej „prawdziwą armię koalicyjną z udziałem Wielkiej Brytanii i Trizonii". Propozycje brytyjskie — podaje dziennik — oznaczają właściwie rozszerzenie na Niemcy zachodnie paktu brukselskiego z 1948, stojącego pod hegemonią Wielkiej Brytanii, tego paktu, o którym — dodajemy — *New York Times* pisał w swoim

czasie, że wobec podpisania paktu atlantyckiego utracił rację bytu. Sugestie brytyjskie znajdują daleko idące zrozumienie u rządzących kół Francji (RPF i SFIO), a także wśród socjaldemokratycznej „opozycji" w Trizonii. Nie pozostały one również bez wpływu na fakt, że nowy rząd francuski René Mayera, przedkładając zresztą projekt o armii europejskiej do ratyfikacji przez parlament — nacisk amerykański jest bardzo silny — zapowiedział, iż będzie dążył do zawarcia „dodatkowych porozumień gwarantujących integralność armii francuskiej". Jednakże „integralność armii francuskiej" jest z koncepcją armii europejskiej nie do pogodzenia.

Drugim zagadnieniem zaostrzającym gwałtownie przeciwieństwa imperialistyczne w ostatnim okresie jest sytuacja na Dalekim Wschodzie i związana z nią polityka amerykańska. Sabotując wszelkie próby zakończenia wojny na Korei, imperialiści amerykańscy okazali się jednak niezdolni do pokierowania rozwojem tej wojny według swoich planów. Doborowe oddziały armii amerykańskiej drepcą w miejscu i ponoszą rosnące straty. Chiny Ludowe, których rozwojowi imperializm amerykański chciał zapobiec drogą tworzenia zarzewi wojennych na Dalekim Wschodzie — wzmacniają się coraz bardziej i przystępują do wielkiego budownictwa socjalistycznego. W Indochinach francuski korpus ekspedycyjny ponosi klęskę za klęską, a burżuazja francuska deklaruje, że bez rosnącej pomocy amerykańskiej nie podejmuje się prowadzić nadal wojny w Indochinach przy jednoczesnym kontynuowaniu zbrojeń w Europie. W państwach takich jak Indie, Burma, Indonezja i nawet Japonia, rośnie, obok ogólnonarodowego oporu wobec agresywnych koncepcji amerykańskich, również i niechęć wobec tych planów ze strony rządzących kół burżuazyjnych. Europejscy imperialiści, przede wszystkim zaś imperialiści brytyjscy, zdają sobie doskonale sprawę, że rozpętując konflikty wojenne na Dalekim Wschodzie mogą ponieść tam jedynie klęskę i utracić pozostałe pozycje. Jednocześnie rozumieją oni, że zaostrzenie wojennego kursu sprzyja rosnącej ingerencji amerykańskiej w sprawy daleko-wschodnie i przechwytywaniu przez Wall Street pozycji europejskich „sojuszników". Dobitnym tego dowodem był chociażby wojenny pakt Stanów Zjednoczonych, Australii i Nowej Zelandii, z którego Brytyjczycy, pomimo otwartych i publicznych nalegań, zostali niemniej otwarcie i publicznie wyłączeni na rozkaz Waszyngtonu.

Wspomniane na wstępie „osiągnięcia" pierwszych 15 dni rządów Eisenhowera dotyczą właśnie dwóch wyżej opisanych zagadnień.

Natychmiast po objęciu władzy Eisenhower oddelegował do Europy dwóch swoich ministrów: Sekretarza Stanu, tj. ministra spraw zagranicznych, Johna Fostera Dullesa i szefa MSA, urzędu „pomocy wojskowej", Harolda Stassena. Obaj ministrowie w bojowym tempie oblecieli główne stolice europejskie, stawiając wszędzie jedno i to samo ultimatum. Traktat o armii europejskiej winien być ratyfikowany w ciągu 75 dni, zbrojenia atlantyckie muszą być przyśpieszone.

W sprawie Dalekiego Wschodu zabrał zaś głos sam Eisenhower, który 2 lutego na łącznym posiedzeniu obu Izb Kongresu przedłożył zwyczajowe orędzie o „stanie państwa". W orędziu tym Eisenhower oświadczył, że położy kres tzw. polityce „neutralizacji" Formozy i że siły amerykańskie „nie będą stawiać przeszkód" Czang Kai-szekowi w atakowaniu kontynentu Chin. Te eufemistyczne określenia kryją w sobie otwartą agresywną treść. W lipcu 1950 Truman wydał rozkaz tzw. „neu-

tralizacji" Formozy, która polegała na tym, że VII flota USA otrzymała polecenie niedopuszczenia do zajęcia Formozy przez armię ludową. Dla zamaskowania tej otwartej aneksji części terytorium Chin, Truman posłużył się pretekstem, według którego VII flota miała jednocześnie zapobiec wypadom Czang Kai-szeka na kontynent. Rzecz jasna, ta część decyzji o „neutralizacji" nie miała żadnego realnego znaczenia. Czangkaiszekowcy mieli do tego stopnia połamany grzbiet, że w ogóle nie mogli marzyć o żadnym poważniejszym ataku na kontynent, podobnie jak zresztą nie mogą o tym marzyć w chwili obecnej, co otwarcie stwierdził i szef sztabu USA gen. Bradley i tzw. delegat Czang Kai-szeka w ONZ, komentując orędzie Eisenhowera. Z drugiej strony faktem jest, że VII flota nie tylko nie przeszkadzała drobniejszym wypadom czangkaiszekowców przeciw różnym wysepkom chińskim, ale że jej lotnictwo samo dopuszczało się wielokrotnie naruszenia obszaru powietrznego Chin. Stwierdził to m. in. amerykański senator Humphrey, oświadczając, iż „Eisenhower fałszuje historyczne fakty", jeśli twierdzi, że VII flota wywierała jakikolwiek „hamujący wpływ" na czangkaiszekowców.

Deklaracja Eisenhowera o „deneutralizacji" Formozy zawiera w sobie w tej sytuacji zapowiedź nie neutralnej postawy wobec ewentualnych wyczynów czangkaiszekowców, ale zapowiedź pomocy dla tych wyczynów. Można się pod tym względem powołać na taki autorytet, jak szefa sztabu wszystkich sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych, gen. Bradleya, który w odpowiedzi na pytania przyznał, że jeśliby Czang Kaiszek dokonał wypadu na kontynent i został rozbity, to siły zbrojne USA starałyby się nie dopuścić do likwidacji czangkaiszekowców przez armię ludową. Orędzie Eisenhowera zawiera w sobie zarazem zapowiedź realizacji na Dalekim Wschodzie dullesowskiej „dynamicznej polityki". Agencja UP referuje już nawet „plan" nowej administracji, do którego głównych punktów należy m.in. zbrojna blokada wybrzeży Chin i rozszerzenie wojny koreańskiej poprzez bombardowanie Mandżurii.

Eisenhower obwieścił ponadto w swym orędziu, że przedłoży Kongresowi wniosek o „nieuznawaniu" przez USA żadnych zawartych przez poprzednie rządy „tajnych porozumień", przez co — jak wyjaśnił sekretarz prasowy prezydenta — należy rozumieć „pewne części" układów z Jałty i Poczdamu. Londyński *Times* wskazuje, że nie bardzo wiadomo, w jaki to sposób Eisenhower może mówić o „tajności" tych układów. Dziennik podkreśla, że jedynym tajnym elementem było w tych układach zobowiązanie ZSRR do przystąpienia do wojny przeciw faszystowskiej Japonii w 3 miesiące po kapitulacji Niemiec —rzecz jasna, iż utrzymywano to zobowiązanie do czasu w tajemnicy, ale trudno przecież utrzymywać, jakoby udział ZSRR w wojnie z Japonią, udział, o którym nie kto inny jak gen. Mac Arthur, pisał w liście do prezydenta Roosevelta, że będzie „decydującym czynnikiem zwycięstwa" — był w chwili obecnej „ tajnym elementem układów". *Times* rozszyfrowuje jednak Eisenhowerowską wypowiedź, wskazując, że prezydentowi chodzi o niehonorowanie porozumiennia, na mocy którego po zwycięstwie nad Japonią, Południowy Sachalin i Wyspy Kurylskie zostały zwrócone Związkowi Radzieckiemu. W ten sposób deklaracja Eisenhowera podkreśla stawkę na najbardziej agresywne siły japońskie, dążące do rewanżu. Jakoż japoński premier Joszida oświadczył już, że „było błędem" zrzekać się południowego Sachalinu i Wysp Kurylskich, a jego minister spraw zagranicznych uznał z kolei, że „nie by-

łoby błędem" przeprowadzić bombardowania Mandżurii. Należy dodać, że prasa zachodnio-europejska, a przede wszystkim niemiecka, sugeruje również, iż oświadczenie Eisenhowera dotyczy także poczdamskiej decyzji zwrotu Polsce jej ziem zachodnich. Reakcyjny zachodnio-berliński *Der Kurier* komentując oświadczenie Eisenhowera i interpretując je właśnie w ten sposób, dodaje, że „nie mamy zastrzeżeń co do tego, aby zrobiono wreszcie koniec z paktami, które spowodowały granicę na Odrze i Nysie".

O ile wśród najbardziej agresywnych kół światowego obozu imperialistycznego posunięcia nowego rządu USA spotkały się z aprobatą, o ile Adenauer pośpieszył zapewnić Dullesa, że traktat o armii europejskiej postara się „przepchnąć przez parlament" do 15 marca, o ile rzecznicy rządu japońskiego mówią o przyśpieszeniu remilitaryzacji, o ile wreszcie tacy podopieczni jak Czang Kai-szek i Li Syn-man zachłystują się z zachwytu — o tyle jednak w kołach rządowych Anglii, Francji, Indii itd. i nawet wśród co rozsądniejszych warstw burżuazji niemieckiej i japońskiej posunięcia nowego rządu USA wywołały trwogę i sprzeciw.

Ta postawa jest wynikiem z jednej strony niewiary w pomyślne rezultaty awanturnictwa „dynamicznej polityki" Eisenhowera i Dullesa, z drugiej zaś wynikiem poczucia, że „dynamiczna polityka" jako integralny element zawiera w sobie lekceważenie wszelkich interesów amerykańskich „sojuszników". Wachlarz głosów jest bardzo bogaty. W Anglii minister Eden oświadczył, że uważa decyzję w sprawie Formozy za błąd. Jednocześnie Foreign Office opublikowało komunikat, w którym stwierdza, że Wielka Brytania w żadnym razie i pod żadnym naciskiem nie przyłączy się do armii europejskiej. W Indiach posunięcie rządu amerykańskiego — jak donosi *New York Times* — wywołały „przerażenie i konsternację". Z Paryża agencja UP donosi, że „rząd francuski poinformował ministra Dullesa, iż czuje się bardzo nieszczęśliwy w wyniku decyzji Eisenhowera". Tym bardziej „nieszczęśliwy", że, jak z kolei pisze *Information*, „samowola amerykańska " dziś dotyczy Formozy, a jutro „może to być odbudowa armii niemieckiej naszpikowanej hitlerowcami". W samej Ameryce nie brak głosów wskazujących, że „dynamiczna polityka" może przynieść bardzo kiepskie rezultaty. *Washington Post* przypomina prezydentowi, że czangkaiszekowcy nie od dziś otrzymują broń amerykańską i że „amerykański sprzęt dostarczony w swoim czasie Czang Kai-szekowi używany jest obecnie przez komunistów". Senator Fulbright wykazuje również pewną dozę trzeźwości. „Nie chciałbym — oświadczył senator — aby USA zostały zaangażowane w zakrojonej na szeroką skalę inwazji na kontynent chiński i mam wrażenie, że nowy rozkaz dla VII floty ma wątpliwą wartość. Mam wątpliwości co do zdolności Czang Kai-szeka do obrony Formozy o własnych siłach i wątpię w celowość dostarczania mu większych ilości sprzętu". Ba, nawet tacy awanturnicy jak redaktorzy cytowanego już zachodnio-niemieckiego *Der Kurier* mają wątpliwości: „Niezbędna jest pewna doza optymizmu, aby uwierzyć, że to wszystko dobrze się skończy" — tymi słowy zamyka *Der Kurier* swój komentarz do orędzia Eisenhowera.

Cała prasa burżuazyjna doszła jednogłośnie do wniosku, jak pisze *Times*, że posunięcia rządu Eisenhowera oznaczają „pogorszenie sytuacji międzynarodowej". Jednocześnie, w szczególności wśród zachodnio-europejskich sojuszników USA, rośnie przeświadczenie, że „dynamiczna polityka" amerykańska daje jak najgorsze perspektywy dla

podopiecznych. Toteż ich reakcję na posunięcia dyplomacji amerykańskiej paryski korespondent *New York Times* określa jako „zapowiedź decydującej rozgrywki" między Europą zachodnią a Stanami Zjednoczonymi. O co chodzi w tej „rozgrywce", wyjaśnia komentarz reakcyjnego publicysty *Monde* Duvergera z 5 lutego: „...Stany Zjednoczone zastępują koncepcją bezpieczeństwa zbiorowego ciasną i nacjonalistyczną koncepcję bezpieczeństwa indywidualnego. Innymi słowy, prawdziwie zbiorowej dyplomacji, określonej dzięki porozumieniu między prawdziwymi sprzymierzeńcami, Stany Zjednoczone przeciwstawiają dyplomację, określoną jednostronnie przez najmocniejszego alianta i narzucaną innym aliantom, którzy są stawiani przed faktem dokonanym i praktycznie nie mogą mu się przeciwstawić. Odpowiada to najdokładniej pojęciu protektoratu, przy którym zagraniczna polityka protegowanych jest ustalana wyłącznie na podstawie woli protektora.

Z drugiej strony dyplomacja roku 1953 łatwo może stać się dyplomacją nieograniczonego ryzyka (...) Nigdy Europejczycy nie mogą zgodzić się na podobną politykę. Nie mogą oni zgodzić się na dyplomację nieograniczonego ryzyka, bo ryzyko byłoby nieograniczone tylko dla nich samych. Trzecia wojna światowa przyniosłaby Ameryce wiele cierpień, zniszczeń i żałoby, przyniosłaby ona jednak ze sobą definitywne unicestwienie Europy. Nie ma nic wspólnego między tymi dwoma typami ryzyka. Wiedzą o tym wszyscy Europejczycy, którzy nigdy nie zgodzą się na wojnę światową, z wyjątkiem wypadku radzieckiej agresji. Żadna propaganda, żadna presja, żadna groźba nie będzie mogła zmienić tej postawy, która jest głęboko zakorzeniona w sercu narodów Starego Świata, bo wynika z samej natury rzeczy. Można ubolewać nad tą postawą, lecz nie można jej ignorować. (...) Jeśli Stany Zjednoczone będą trwać uparcie przy swojej obecnej orientacji dyplomatycznej, będą może mogły uzyskać pozorny sukces poprzez dostosowanie się rządów europejskich do ich stanowiska. Jednakże rządy europejskie będą niezdolne przeszkodzić rozwijaniu się w ich własnych państwach coraz potężniejszej opozycji, która przekroczy obecne ramy dzisiejszego komunizmu i neutralizmu (...) W ten sposób zostanie puszczony w ruch mechanizm rozkładu paktu atlantyckiego i osłabi on nie tylko bezpieczeństwo Europy, lecz i bezpieczeństwo USA. Wszystkie dolary świata nie zmienią tej fundamentalnej prawdy".

8.II.53

Krzysztof Wolicki

ZAGADNIENIA NOWELISTYKI RADZIECKIEJ

Ukazanie się w r. ub. nakładem Państwowego Wydawnictwa Literatury Pięknej (Goslitizdat) trzytomowego wyboru nowel i opowiadań radzieckich wzmogło zawsze żywe w Związku Radzieckim zainteresowanie dla małych form prozaicznych. Około 140 nowel i opowiadań pióra blisko 100 pisarzy radzieckich — od Gorkiego, Fadiejewa, Erenburga, A. Tołstoja, Gładkowa, Fiedina, Grossmana — do powojennych nowelistów: Fomienki, Antonowa, Dorosza, Łukaszewicza i in. — daje przekrój rozwoju nowelistyki radzieckiej.

Autorzy recenzji tej antologii zajmują się również zagadnieniami teoretycznymi nowelistyki radzieckiej. Zdaniem A. Tarasienkowa (T e m a t y k a ż y c i a, i d e e w a l k i, Nowyj Mir nr 10/52) — klasycy rosyjscy i najwybitniejsi prozaicy radzieccy — a przede wszystkim Gorki — umieli łączyć pracę w dziedzinie nowelistyki z twórczością prozaistyczną wielkiego formatu. Nie należy noweli przeciwstawiać innym ga-

tunkom prozy. „Nowelista — wywodzi Tarasienkow — powołany jest do rozwiązywania tych samych wielkich zadań, jakie realizuje powieściopisarz, dramaturg, czy też autor poematu epicznego, krótko mówiąc — jakie rozwiązuje literatura w ogóle".

Przed nowelistami, podobnie jak przed wszystkimi pisarzami stoi zadanie odtworzenia prawdy życiowej, uczuć i myśli człowieka. „Nowela radziecka — czytamy w artykule Tarasienkowa — to odtworzenie człowieka uspołecznionego w jego posuwaniu się naprzód do wielkiego celu — komunizmu. W noweli radzieckiej proces ten odzwierciedla się w sposób różny, zależny od zupełnie odmiennych upodobań właściwych poszczególnym pisarzom".

Na tym właśnie polega zaleta i przewaga metody realizmu socjalistycznego, iż dopuszcza on taką różnorodność i wielobarwność form artystycznego wyrazu. „Zawierająca niezwykle rozległe możliwości odtwarzania istotnych, charakterystycznych i typowych w naszych czasach konfliktów i sytuacji — nowela nakłada na autora wiele obowiązków także pod względem ściśle artystycznym"...

Zagadnienie artyzmu w nowelistyce zajmuje umysły nie tylko teoretyków, ale i pisarzy. Wybitny nowelista, pisarz młody i uprawiający ten gatunek literacki od 5 lat — S. Antonow*) od czasu do czasu publikuje artykuły omawiające zagadnienia nowelistyki. W rozmyślaniach o noweli (Litieraturnaja Gazieta nr 139/51) Antonow wystąpił przeciwko luźnej, bezwątkowej kompozycji opowiadań niektórych nowelistów, przeciwko tak zwanemu amorfizmowi wątka nowelistycznego. Z końcem ubiegłego roku Antonow opublikował na łamach Litieraturnej Gaziety (nr 152, 153, 154 i 155) w rubryce Omawiamy sprawy kunsztu, cykl artykułów pt. Listy w sprawie noweli. Pracę swą Antonow ujął w formę czterech listów do początkującego nowelisty, co urozmaiciło i zabarwiło polemicznie teoretyczne wywody autora i pozwoliło mu wysnuć wiele twórczych wskazówek z własnego doświadczenia i warsztatu pisarskiego.

W liście pierwszym, zatytułowanym Portret. Charakter. Typ. autor rozpoczął swoje rozważania od omówienia postaci nowelistycznych — wychodząc z założenia, iż idea noweli obleka się w postać bohatera i czytelnik przejmuje ją poprzez obrazy, postacie nowelistyczne. Z takiego pojmowania funkcji postaci noweli wypływa znaczenie, jakie Antonow przywiązuje do rysunku postaci.

„Im wyraźniej postać ta reprezentuje ideę — pisze Antonow — im mocniej zespala się idea z postacią, tym doskonalszy jest utwór pod względem artystycznym.

I na odwrót: charakter postaci „przesunięty" z płaszczyzny idei denerwuje mnie tak, jak irytują wielobarwne reprodukcje, na których przesunięto jeden z kolorów". Zdaniem Antonowa — zespolenie idei z postacią nie jest bynajmniej tak trudnym zadaniem twórczym, jak się to na pierwszy rzut oka wydaje. Należy tylko pamiętać o istocie procesu twórczego. „Przebieg procesu twórczego — pisze autor omawianej pracy — można w przybliżeniu wyobrazić sobie w taki sposób: zbadanie setek poszczególnych, jednorodnych zjawisk życiowych, ich przemyślenie, narodziny idei, przetworzenie idei w jeden uogólniony obraz artystyczny".

Antonow ostrzega nowelistów przed „wymyślaniem" charakterów bohaterów. Charakter człowieka — jak pisał Marks — kształtują warunki. Istota pracy twórczej nowelisty polega na

*) Za tomik nowel: Po drogach mkną maszyny Antonow otrzymał przed kilku laty Nagrodę Stalinowską.

tym, ażeby — skrzętnie badając życie — dostrzegać, oceniać i utrwalać przede wszystkim cechy zasadnicze, właściwe temu typowi społecznemu, który ma reprezentować zamierzona postać. Nowelista opracowuje twórczo takie cechy, jakie dają najpełniejszy wyraz istocie odtwarzanej grupy społecznej, opisywanym siłom społecznym. Nie należy natomiast wyszukiwać i odtwarzać przypadkowych, nieistotnych cech prototypu zamierzonej postaci bohatera noweli, nie należy uwypuklać przypadkowych, efektownych lub śmiesznych szczegółów jego powierzchowności.

Gdy mowa o opisie powierzchowności, pragnę przy sposobności zaznaczyć, że Antonow przykłada do niego dużą wagę — zwłaszcza u głównego bohatera noweli. „Mam wrażenie — pisze wybitny nowelista — iż autorzy lekceważący opisy powierzchowności postaci pomijają prosty i skuteczny środek wzmocnienia sugestywności idei opowiadania. Nieokreślonej, mglistej sylwetce głównego bohatera niemal zawsze towarzyszy mglistość idei". Bez— choćby lakonicznego — opisu powierzchowności głównego bohatera noweli, bez naszkicowania jego sylwetki — trudno uchwycić realność tej postaci, trudno ją scharakteryzować.

Po tej dygresji powracam do szeroko omówionej przez Antonowa sprawy sylwetki duchowej bohatera. By stał się on nosicielem idei noweli, autor powinien go wyposażyć w cechy charakterystyczne dla typowych przedstawicieli opisywanej grupy społecznej. Te właściwości charakterystyczne są oczywiście zmienne, zależne od epoki i środowiska; bywają one i dodatne, i ujemne. „Jestem przekonany — pisze Antonow — że tylko wówczas, kiedy czytelnik w nakreślonej przez was postaci może zobaczyć zaostrzone, celowo uwypuklone rysy określonej warstwy społecznej, i tylko w tym wypadku, kiedy cechy te są charakterystyczne dla postaci w określonym, opisywanym przez was okresie — tylko wtedy postać może stać się typowa i pretendować do tego, by być przedstawicielem określonych idei swojej epoki".

Odtwarzanie postaci typowych nie oznacza bynajmniej ograniczenia się do odmalowania jednej dominującej czy też więcej właściwości wspólnych danej grupie społecznej. Jeśli nowelista pozbawia bohatera rysów, nawyków i przyzwyczajeń indywidualnych, odrębnych cech narodowych, zawodowych, właściwości wieku itp. — skazuje go na schematyzm, jednowymiarowość, papierowość. Antonow cytuje sformułowanie Fr. Engelsa: „Każda jednostka — to typ, ale zarazem całkowicie ukształtowana, określona osobowość".

Rozwijając tę myśl Antonow wywodzi, że w ramach naczelnej cechy typowej dla danej grupy społecznej pisarz — dobry obserwator znajdzie taką różnorodność odcieni charakterów ludzkich, iż będzie mógł stworzyć całą galerię niepodobnych do siebie przedstawicieli tej grupy. Zdaniem Antonowa — nieszczęściem niektórych nowelistów jest to, że wyposażają głównych bohaterów opowiadań albo wyłącznie w cechy typowe, schematyzując ich, albo wyłącznie w rysy przypadkowe, indywidualne, pozbawiając ich tym samym głębi ideowej.

W celu pełnego wcielenia idei w postać — nowelista mobilizuje wszystkie dostępne środki artystyczne służące mu do zaostrzenia i uwypuklenia momentów charakteryzujących bohatera noweli. O jednym z tych środków — o szkicowaniu wizerunku — już wspomniałem. Na przykładzie szeregu nowel opublikowanych w roku ubiegłym w tygodniku Ogoniok, Antonow ilustruje różną manierę szkicowania sylwetki postaci przez rozmaitych noweli-

stów. Ważne jest, by szczegóły te nie były oderwane od charakteru postaci, by ją ilustrowały i pomagały czytelnikowi w jej poznaniu.

Krytyk literacki L. Bat' w recenzji wspomnianej na wstępie antologii nowel radzieckich (Oktiabr nr 1/53) pisze o konieczności skrupulatnego doboru środków artystycznych, albowiem „...w ramach noweli wszystko powinno dążyć konsekwentnie do jednego celu, wszystko powinno — według wyrażenia Czechowa — „strzelać".

To samo dotyczy krajobrazów, realiów, dialogów. Dużo uwagi poświęcił Antonow właśnie dialogom, postulując, by były krótkie i celne, jak u Czechowa. *(Nota bene* — Antonow świadomie kontynuuje i twórczo rozwija klasyczne tradycje nowelistyczne Czechowa).

Najgruntowniej, najpełniej postacie noweli charakteryzuje ich działanie, akcja. Sprawą wątka nowelistycznego zajął się Antonow w drugim liście, zatytułowanym: W ą t e k. M o t y w a c j a. L i n i a m i ł o s n a. Zastrzegając się, iż wątka fabularnego nie uważa za cel sam w sobie, Antonow formułuje funkcję fabuły nowelistycznej w taki sposób: „Zadanie wątka polega na tym, ażeby możliwie jak najplastyczniej oddać ideę noweli. Zadanie polega na tym, ażeby postacie postawić w takie sytuacje, jakie dają im możność przejawienia ich właściwości typowych w całej pełni, najwyraziściej". Antonow cytuje wypowiedź I. Kramskiego o takiej sytuacji, w której „wszystkie cechy wewnętrzne najobficiej wypływają na powierzchnię".

Z tego bynajmniej nie wynika, iż wątek fabularny należy komponować dopiero wówczas, gdy jasny stał się obraz głównego bohatera. Pisarz widzi i studiuje ludzi żywych, biorących udział w typowych wydarzeniach i sytuacjach, nie może więc obrazu bohatera odrywać od życia. Antonow pisze o własnej metodzie twórczej: „Mnie, na przykład, najczęściej zdarzało się, że pierwsze wyobrażenie, wyczucie moich przyszłych bohaterów nawiedzało mnie nie w związku z ujrzeniem ich na własne oczy, ale kojarzyło się z przypadkowymi opowiadaniami o ich czynach. I właśnie czyny te niemal zawsze dostarczały mi kanwy wątkowej. Gdy będziecie „przesadzać" bohatera do noweli i tworzyć z niego postać literacką, nie będziecie mogli wyrwać go z jego rodzimego gruntu, ale postąpicie tak, jak postępuje ogrodnik przy przesadzaniu ulubionego drzewa na nowe miejsce: ostrożnie wykopiecie je wraz z otaczającą korzenie ziemią".

Zdarza się jednak, że — jak to bywa w rzeczywistości — ziemi tej okaże się zbyt mało, by drzewo na nowym miejscu przyjęło się i zakwitło w pełnej krasie. Wówczas — zdaniem Antonowa — trzeba ją uzupełnić glebą stworzoną syntetycznie: brakujące ogniwa wątkowe należy wypełnić skomponowanymi dodatkowo sytuacjami. Takie wymyślanie sytuacji fabularnych bywa często niezbędne, tak samo jak konieczne jest, by autor odrzucał niektóre rzeczywiste wydarzenia i sytuacje, jeśli są przypadkowe i nieistotne dla idei noweli. Przy wymyślaniu nowych sytuacji należy zachować daleko idącą ostrożność.

O trudnościach, piętrzących się przed autorem na tej drodze, Antonow tak pisze do początkującego nowelisty: „Usterki i braki w przysłanym przez was utworze bardzo podobne są do braków moich pierwszych (chwała Bogu, nigdzie nie drukowanych!) opowiadań. Pisząc je kierowałem się wyłącznie jedną „teoretyczną" zasadą, która — chociaż nawet słuszna — początkowo oddała mi jednak kiepską przysługę. Ta prosta zasada polegała na tym: nowela powinna być zajmująca — za wszelką cenę. Gwoli tej zasadzie przetrząsałem jedne za drugimi karkołomne historie, za-

gadkowe wydarzenia i — wreszcie — tak splątywałem fabułę, iż nie mogłem związać końca z końcem, nie wiedziałem, gdzie podziać napłodzonych bohaterów...".

Różnorodność i wielokierunkowość przejawów charakteru zależy od sytuacji, w jakie autor stawia bohatera noweli. W odróżnieniu od dzieł prozy wielkich form i utworów dramatycznych — nowela wymaga raczej jednej sytuacji, jednego wydarzenia, w którym najpełniej, najbardziej charakterystycznie i typowo przejawia się postać. Takie jedyne sytuacje, wydarzenia umiał znajdować Czechow. Z tego, że jedno wydarzenie jest idealnym rozwiązaniem wątka nowelistycznego, nie wynika, iż nowela nie może zawierać kilku związanych kompozycyjnie wydarzeń lub sytuacji.

„W takim wypadku — wywodzi Antonow — trzeba tylko przestrzegać, aby sytuacje, w jakich może znaleźć się bohater, nie były do siebie podobne, nie były monotonne... Monotonia następujących po sobie sytuacji spowoduje niechybnie to, że i charakterystyka bohatera będzie monotonna, i sama nowela okaże się nudna". By tego uniknąć, należy dbać o urozmaicenie węzłów wątkowych. „Łańcuch wydarzeń w noweli — pisze Antonow — będzie umotywowany tylko wówczas, gdy w każdym następnym wydarzeniu postać bohatera nie będzie się niezmiennie powtarzać, lecz pogłębiać i uwypuklać coraz wydatniej.

W łańcuchu wydarzeń każda scena spełnia dwie funkcje. Zasadnicza funkcja każdej sceny polega na charakteryzowaniu bohatera w ten czy inny sposób. Jednocześnie jednak każda scena spełnia także funkcję służebną, zawiera umotywowanie sceny następnej".

W utworach prozy większych form może się zdarzyć, że dany epizod spełnia tylko jedną z tych funkcji. W noweli to jest nie wskazane. Dlaczego? O ile poszczególna scena spełnia tylko funkcje pogłębiania charakterystyki bohatera, ale nie motywuje zarazem biegu fabuły — o tyle nowela rozpada się kompozycyjnie, rozbija na oderwane epizody. Gdy zaś poszczególny epizod zawiera jedynie umotywowanie scen następnych, natomiast do charakterystyki bohatera nie wnosi nic nowego, nie pogłębia jej — opowiadanie przewleka się, zaczyna nużyć.

W związku z wywodami o wątku i motywacji wątkowej w noweli, Antonow pisze o swoich aspiracjach twórczych. „Marzę o tym, by napisać krótkie opowiadanie odtwarzające tylko jedno jedyne wydarzenie, które ukazywałoby bohatera, a więc ideę — w postaci wyrazistej, przejrzystej, uwolnionej od przypadkowości. W opowiadaniach tego rodzaju naczelne miejsce powinno zająć przygotowanie czytelnika do trafnego wyczucia tego wydarzenia. Przy pomyślnym rozwiązaniu tego zadania na samą akcję odtwarzającą typową istotę bohatera może wystarczyć zaledwie kilka końcowych wierszy".

Za pomocą analizy porównawczej dwóch nowel o takim samym wątku fabularnym (służący przygarnia z litości bezdomnego psa, a później na żądanie „chlebodawców" topi swego ulubieńca) napisanych przez różnych pisarzy w różnych środowiskach — a mianowicie noweli Turgieniewa Mumu i Panny Kokotki Flauberta — Antonow pokazuje, jak wielkie znaczenie posiada właściwe, trafne i typowe umotywowanie akcji dla przedstawienia typowych charakterów, dla oddania idei utworu.

W pracy swej (dwa ostatnie listy zatytułowane: Punkt widzenia i Pozycja pisarza. Intonacja autorska — omawiają te podstawowe zagadnienia twórczości nowelistycznej) Antonow porusza rów-

nież sprawę języka opowiadania. Język noweli — pisze Antonow — tym właśnie różni się od języka potocznego, iż w noweli używa się nie pierwszego lepszego słowa, jakie przychodzi na myśl, ale tego jedynego, najcelniejszego i najtrafniejszego wyrazu zastępującego niekiedy całe zdanie „potoczne", wyrazu wybranego szczęśliwie spośród synonimów. A kiedy znajdziecie taki jedyny wyraz, wzmocnijcie go jedynie właściwym odcieniem morfologicznym i postawcie między inne wyrazy tak, by niejako odmłodniał, zajaśniał, nieoczekiwanie obnażył ukrytą siłę. Wówczas celem wzmożenia wyrazistości nie potrzeba wam będzie ani dodatkowych epitetów, ani metafor, ani porównań".

Wprowadzenie do narracji punktu widzenia postaci nowelistycznej wpływa również na język bezpośredniej narracji autorskiej: zmienia go, odpowiednio zabarwia, nadając mu odmienny koloryt w słownictwie, frazeologii, morfologii, a nawet semantyce. Pod wpływem tego zmienionego kolorytu stylistycznego i językowego punkt widzenia postaci tym łatwiej udziela się czytelnikowi.

Tak samo uważnie i z zainteresowaniem, jak za postaciami noweli, czytelnik śledzi za inną jeszcze osobą — za autorem. „Prawdziwy pisarz — wywodzi Antonow — czy pragnie tego, czy nie, daje się poznać w swoich utworach jako przedstawiciel określonej klasy, określonego światopoglądu, jako określona indywidualność. Poznajemy go tak samo jak odtworzonych przez niego bohaterów, tym wyraziściej, tym głębiej — im plastyczniej maluje otaczającą go rzeczywistość, im wybitniejszy i bardziej samoistny jest jego talent".

Analizując pytanie, czy nowelista ma świadomie, aktywnie dążyć do przedstawienia swojego stosunku wobec odtwarzanej rzeczywistości, Antonow daje szereg przykładów z utworów klasycznych nowelistów rosyjskich na dowód, iż klasycy nie gardzili wyrażaniem swojej pozycji i oceny. Jeżeli nowelista nawet nie wypowiada swojej oceny wprost, nie „feruje swojego wyroku nad odtwarzanymi zjawiskami" (Czernyszewski), to jednak pozycję autorską wyczuwa się z autorskiej intonacji utworu. Antonow wyraża pogląd, że „im bardziej żarliwy i partyjny jest utwór prawdziwego artysty, który stoi na pozycjach światopoglądu marksistowsko-leninowskiego, tym bardziej jest obiektywny w najwznioślejszym i najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa, tym plastyczniej odbijają się w nim procesy życiowe, tym bardziej prawdziwie i wyraziście odzwierciedla się w nim rzeczywistość.

Ze swej strony uważam, że świadome odsłonięcie swojego ustosunkowania do odtwarzanego przedmiotu nie zuboża, lecz wzbogaca utwór artystyczny..." Wymaga to oczywiście szczególnie pieczołowitego doboru środków artystycznych, służących zarówno sprawie przekazania czytelnikowi poglądów autora, jego pozycji — jak i intonacji autorskiej.

Intonacja autorska brzmi najpełniej wówczas, gdy autor dokonuje doboru faktów i układa je w taki sposób, iż dla czytelnika staje się jasna i przejrzysta logika rozwoju rzeczywistości, staje się uchwytna i zrozumiała więź i współzależność między poszczególnymi faktami, a tym samym — autorska ocena rzeczywistości. Wzmocnieniu intonacji autorskiej służy typizowanie i zaostrzanie w postaci bohatera takich cech, jakie najgłębiej i najdobitniej wyrażają ideę noweli i kierują myśl czytelnika na właściwe tory.

„Pozycja autorska — pisze Antonow — jego poglądy, jego intonacja — wszystko to przejawia się w tym, co uważa on za typowe, co potępia, a co głosi, jakie cechy i rysy postaci zaostrza i świadomie wyolbrzymia". Prawdziwy artyzm wymaga od nowelisty, by właś-

nie zaostrzał to, co typowe, ażeby czytelnik wyczuwał intonację autorską. L. Tołstoj pisał w swoim dzienniku: „...Należy zaostrzyć utwór artystyczny, by przejmował do głębi. Zaostrzyć — to właśnie znaczy: udoskonalić go artystycznie".

Najważniejsze w tym procesie twórczym jest jasne uświadomienie sobie celu twórczego, zasadniczej idei noweli. W zakończeniu swojej pracy Antonow ostrzega: „Jeśli brak wam jasnego celu, nie będziecie wiedzieli, jakie cechy typowe macie zaostrzać, wyolbrzymiać. A gdy mimo wszystko spróbujecie to czynić, to niechybnie rozpoczniecie typizować i zaostrzać cechy przypadkowe, nieistotne. Takie „zaostrzenie doprowadzi jedynie do bezbarwności, sztuczności i nieprawdopodobieństwa postaci i sytuacji".

Józef Spinc

CEZAROPAPIZM IMPERIALIZMU

Dwaj papieże

Pierwsze osiedla w Ameryce Północnej powstawały z oporu i ucieczki przed uciskiem społecznym i religijnym. William Penn zakładał Pennsylwanię dla gnębionych kwakrów angielskich, z Europy kontynentalnej napływała fala uchodźców spod władzy książąt i królów, utrwalających swe jedynowładztwo polityczne i religijne pod hasłem *cuius regio, eius religio*. Tolerancja była ową żyzną glebą, z której tryskała żywotność zjednoczonych niebawem kolonii, późniejszych Stanów Zjednoczonych.

Treść rewolucji amerykańskiej daleka była co prawda od dorównania jej frazeologii. Kiedy Patrick Henry wznosił swój słynny okrzyk: „Dajcie nam wolność, albo dajcie nam śmierć!" — handel czarnymi niewolnikami prosperował ku pełnemu zadowoleniu plantatorów i kupców, buntujących się przeciw zamorskiej tyranii, nie zaś tyranii w ogóle. Bolał ich wyłącznie monopol handlowy metropolii, natomiast równość społeczną uznawali tylko we własnej klasie. Lecz jako dobrze kalkulujący byznesmeni zdawali sobie sprawę, że wolność przekonań — skądinąd obca im i zbyteczna — sprzyja ich interesom. Toteż zawarowali ją — nie bez oporów i wahań — w konstytucji, razem z wolnością od ceł eksportowych na zboże i wolnością handlu — w tym także i handlu żywym towarem.

Jednocześnie zastrzegli się przeciw wszelkiej formie religii państwowej. W praktyce był to cios wymierzony głównie w Kościół Anglikański, którego hierarchia wiązała się podówczas bez reszty z feudalizmem. Ideologicznie zasada uderzała jednak w Kościół Katolicki, znienawidzony wśród szerokich mas amerykańskich jako synonim „religii panów". W owym czasie katolików było w Stanach niewielu i mieli jeden tylko kościół, w Filadelfii. Ale corocznie w „Dniu Papieża", 5 listopada, przez ulice miast i miasteczek Północnej Ameryki przeciągał barwny korowód, po czym uroczyście palono na rynku podobiznę papieża — symbol Antychrysta i zaprzeczenia nauk ewangelii w oczach maluczkich, którzy nauki te brali dosłownie — personifikację feudalnego ucisku kolonii w oczach burżuazji.

Polip watykański zajęty był na razie wysysaniem Ameryki Łacińskiej. Pobił ją w całości i miał tam nawet własne państwo, założone przez jezuitów, Paragwaj. Ale dławiące macki sięgały już na kontynent północny. O miedzę, we francuskiej Kanadzie, istniały potężne ekspozytury. A kiedy trzynaście sfederowanych stanów kupiło od Napoleona Luizjanę, nabyło równocześnie za niewygórowaną sumę 4 centów od morgi także i znaczną liczbę ludności katolickiej z pokaźnym zastępem hierarchów kościoła rzymskiego.

Przeciw dobrodziejstwom tego inwen-

tarza, przeciw nowym zależnościom zamorskim, broniła się rosnąca w siły republika burżuazji Stanów: nakazami testamentu Waszyngtona, rygorami ustawowych przepisów, tradycją. Aż u schyłku imperializmu, sama zmieniona w pasożyta jeszcze straszliwszego niż Watykan, zawarła z nim sojusz na śmierć i życie. Był to wynik długiej ewolucji, w której klucze Piotrowe wpasowano do safe'ów Wall Street, duch Torquemady zamieszkał w Białym Domu, a w Wiecznym Mieście, wśród stanz Rafaela i fresków Michała Anioła rozpanoszyła się księgowość amerykańska.

Dziś, gdy na stolicy Lincolna zasiadł generalski prokurent imperializmu, a na stolicę Grzegorzów i Innocentych wstąpił bratanek Banco di Roma, zjednoczenie stało się zupełne. Papież w mundurze i papież w sutannie, Amerykanin i Amerykanoid, Pontifex Maximus imperialistycznych krucjat i atlantycki Patriarcha Zachodu — podali sobie ręce.

J. P. Morgan podbija Watykan

Wybór Eisenhowera wzniecił niepokój, a nawet popłoch wśród wszystkich satelitów z wyjątkiem Watykanu. Tam uznano to za hasło i znak. Wzmożona działalność znalazła wyraz w atakach prasy papieskiej na wiedeński Kongres Narodów, przybrała pełną wymowy postać nowych mianowań kardynalskich: faszyści amerykańscy, włoscy, francuscy, hitlerowcy, aż trzech falangistów — łącznie 24 kapelusze.

Nie po raz pierwszy zwycięstwo reakcji wywołuje gorączkę radosnej twórczości w siedzibie samowładcy katolickiego świata. Tak było po marszu na Rzym Mussoliniego. Tak było i później, gdy przy czynnej pomocy „polskiego papieża", Piusa XI — który w tym celu wymusił rozwiązanie katolickiej partii niemieckiego Centrum — do władzy dyktatorskiej doszedł Hitler.

Esencja działań papiestwa, poprzez wieki, ustroje i państwa, polegała zawsze na szukaniu trwałego oparcia dla materialnej potęgi, wpływów i dochodów. Zawsze — to znaczy od kiedy Konstantyn Wielki uczynił chrześcijaństwo religią państwową i współczynnikiem swej władzy. Kościół w tej epoce — jak później w kolonialnej Ameryce i Stanach Zjednoczonych XIX stulecia — wielbił niewolnictwo jako zasadę uświęconą wyrokiem Opatrzności, nietykalną i — mówiąc słowami św. Augustyna — „upragnioną przez Boga". W wiekach średnich, gdy możne rody władały Wiecznym Miastem, gdy rzymska baronessa, kochanka, matka i babka papieży, wynosiła na tron apostolski nieletnich chłopaczków, czy strącała dojrzałych mężów i sędziwych starców — papiestwo wiązało swe losy z wszechpotężną klasą feudalną. Aż Hildebrand, szorstki mnich niemiecki, zdobył pierścień Rybaka i, wsparty o szkatułę i siłę zbrojnego ramienia jurnej hrabiny toskańskiej, rzucił do swych stóp najwyższy majestat ówczesnego świata. Tiara zwyciężyła koronę. Odtąd władza papieży zdawała się niewzruszona — dopóki absolutyzm monarchów arcychrześcijańskich, arcykatolickich i apostolskich nie złamał potęgi panów lennych, a wraz z nimi nie wprzągł w swą służbę teokraty rzymskiego.

Watykan bowiem przez cały ciąg swego istnienia świecił światłem odbitym i był pasożytem podwójnym. Wiązał się z klasą rządzącą, ale i na niej żerował. W epoce feudalnej był panem wielkich dominiów, a jednocześnie ściągał niezliczone daniny z posiadłości swych pobratymców klasowych. Dziś, w erze monopoli, sam reprezentuje potężną grupę kapitałową. Ale jest także czymś więcej i ma aspiracje, które przewyższają znacznie jego czysto giełdową wartość. Swój tytuł do władzy i do udziału w zyskach opierał i nadal opiera na imponderabiliach . Na wpływach politycznych,

na owych „środkach duchowych", jakimi chwalił się przed Hitlerem kardynał Pacelli, na zależności — mocnej, w zaświaty sięgającej — milionów ludzi ze wszystkich wyzyskiwanych klas i narodów. Gwarancją tej zależności jest ciemnota i nędza, wzajemnie się warunkujące. W wieku XX nie są to łatwe do spełnienia warunki.

*

H. G. Wells utrzymuje, że papież jest człowiekiem o bardzo niskim wykształceniu. Jest to mało prawdopodobne. Częściej co prawda zdarzały się doły niż szczyty, 10-letni Jan XI nie był cudownym dzieckiem — był po prostu dzieckiem wszechwładnej Marozzii. Ale minęły już czasy mroków średniowiecza, gdy wiara była prawdziwie ślepa. Według programu Watykanu teraźniejszość wymaga nie tylko cynizmu, oschłości, zimnego wyrachowania i okrucieństwa twardych serc — tego tam nie brak. Ale wymaga też sprawnych mózgów, wybitnych inteligencji, doskonałego wyszkolenia. Toteż trzeba przyznać z całym obiektywizmem, że polityka watykańska jest majstersztykiem działania. I klęski ponosi tylko dlatego, że walczy o dawno przegraną sprawę.

Plany Watykanu, choć w obliczu doniosłych wydarzeń ulegają taktycznym zmianom, układane są nie pod kątem doraźnych koniunktur i nie na lata, ale na całe epoki. Chcąc więc ujrzeć we właściwych proporcjach główne wytyczne dzisiejszej polityki, chcąc zobaczyć korzenie poruszających nią bodźców imperialistycznych i rodowód związków z Wall Street, trzeba się cofnąć wstecz co najmniej o parę pokoleń. Od miotania bezsilnych gromów z ostatniej reduty średniowiecza po obronę ostatniej linii okopów imperializmu, od pierwszego kapitalisty na tronie Piotrowym, Leona XIII, po faszyzm Piusa XI i Piusa XII wiodła ewolucja — różnice i podobieństwa, przemiany i ciągłość polityki papieskiej.

*

Imperializm stał już za progiem. W Nowym Jorku odsłonięto właśnie Statuę Wolności, ulicami miasta krążyły pierwsze elektryczne tramwaje, a krzesło elektryczne dokonało ingresu do więzienia Sing-Sing jako symbol kapitalistycznego humanizmu: *sedia gestatoria* sprawiedliwości Kaufmanów. We Francji przygotowywano proces Dreyfusa, jakby dla ukazania, nazajutrz po wystawie światowej, całej pełni rozkładu burżuazyjnego świata. Hrabia Joachim Pecci, bardziej znany jako Leon XIII, ujmował syntezę swego pontyfikatu w słynnej encyklice Rerum Novarum, prekursorskiej wizji faszyzmu.

Po Piusie IX objął dymiące jeszcze zgliszcza świeckiej władzy papieży. W Rzymie i okolicy rozlegały się ostatnie bolesne echa poświstów bata, który przez wieki spadał szczodrze na karki poddanych Jego Świątobliwości. Pełen goryczy i żalu następca przeklinał kapitalizm za prądy liberalistyczne nurtujące współczesność. Odtrącał dumnie pieniądze ofiarowane mu przez burżuazję włoską i z niezwykłą, a zapewne bezwiedną autoironią wskazywał na papiestwo jako na „źródło postępu".

Jednakże kapitalizm szybko asymilował coraz to nowe ośrodki reakcji. Sięgnął na wieś, wchłonął arystokrację obszarniczą, a wkrótce potem i złoty tron papieski, który stopił się z zasobami Hirszów i Rotszyldów.

Nie bez inicjatywy własnej. Oczarowany nową perspektywą Leon XIII ogarnął przenikliwym spojrzeniem dalsze jeszcze konsekwencje kapitalistycznego rozwoju i, pod postacią filozofii neotomistycznej, ogłosił pierwszy ujęty w system program faszystowskiego państwa korporatywnego. Tylko że zrosty z burżuazją były nazbyt świeże, by dawne tęsknoty i sympatie nie prze-

trwały w jakiejś postaci. Do końca życia bliższy był sercu wychowanka Collegium Nobilium Aleksander III i Bismarck niż Sadi-Carnot i William Mc Kinley. I w specjalnej encyklice o Katolicyzmie w Stanach Zjednoczonych potępiał rozdział Kościoła od państwa i powtarzał zaciekłą doktrynę inkwizycji, że „błąd nie ma tych samych praw co prawda". Błędem zaś było wszystko, cokolwiek za błąd uznała Stolica Apostolska.

*

Ów dialektyczny anachronizm, brzmiący jak absurdalne wyzwanie czasom, nie był jednak tylko partyjską strzałą odchodzącego w zaświaty feudała. Kryła się za nim znacznie głębsza treść. Kryła się *ultima ratio* Watykanu, który może się cofać, jak wąż zmieniać skórę, paktować z diabłem, a nawet ślubować cnoty kardynalne i teologiczne, lecz nie wyrzeknie się swych ostatecznych celów. Co najwyżej osłoni je taktyką milczenia.

Papież był dotąd władcą absolutnym na kształt Filipów hiszpańskich czy Katarzyny Wielkiej. Jego wola tworzyła prawa, a osąd nie podlegał dyskusji. Teraz okazał się monarchą bez ziemi. Co więcej, uschło *bracchium seculare*, odpadł miecz świecki egzekwujący nakazy papieskie w najdalszych zakątkach świata. Schła władza, a wraz z nią wysychały dochody. Lecz papież nie na darmo jest „źródłem postępu". Idzie z duchem czasu. W dobie imperializmu podstawą władzy, potęgi i dochodów stał się wielki kapitał. Toteż w obliczu bankructwa konsorcjum watykańskie zmieniło metody drenowania swych dóbr zaświatowych, jak również teren i system lokat doczesnych. A siłą rzeczy wzrok kierował się w stronę, gdzie kapitalizm święcił największe tryumfy — za ocean.

Kości zostały rzucone. W słońcu wielkich finansów inkubacja jest szybka. Kapitalistyczna poczwarka Watykanu przeobraziła się w imperialistycznego motyla. Wyfrunął, błyskając tęczą wszystkich akcji świata, od akcji Suezu (dar nieboszczki cesarzowej Eugenii) i kasyna gry w Monte Carlo po udziały w boliwijskich kopalniach cyny i — rzecz najcenniejsza — w holdingowych koncernach Morgana.

Schyłek zeszłego wieku i początek XX stulecia były świadkami burzliwej i gwałtownej wędrówki nad tamten brzeg Atlantyku. Emigracja przybrała kształty lawiny, rosły katolickie parafie w USA. Liczba katolików wynosiła w 1880 r. niecałe siedem milionów, w 1900— już dwanaście milionów, by dojść w 1920 do dwudziestu, a dziś sięgnąć dwudziestu siedmiu milionów.

Za ocean wędrowali nie tylko emigranci. Za ocean podążało i złoto, zwożone z całego globu do skarbca św. Piotra. Rosło w podziemiach morganowskich, pęczniało na procencie składanym, aż wykwitło wspaniałą, prawdziwie niebosiężną cyfrą 11 miliardów dolarów. Lecz dysponentem miliardów i władcą państwa, gdzie mieszkały miliony, był innowierca — Morgan, Rockefeller, Ford. Watykan wysnuł należyte wnioski, trafnie skalkulowane na nieomylnej szali. Za aprobatą Piusa XI poszły w zapomnienie tezy inkwizycji i Leona XIII (odżyły dopiero teraz, ogłoszone przez biskupa Ryana jako Katolickie zasady polityki, New York, 1940). Gdy zabrakło dawnych apostolskich dynastów, umiłowanym synem został nowy protektor wsparty o dolarową opokę. Za pełną aprobatą katolickiej hierarchii kandydat prezydencki w wyborach 1928, Alfred E. Smith, głosił *urbi et orbi:* „Określam moje wyznanie wiary amerykańskiego katolika zgodnie z zasadami i praktyką Kościoła Rzymsko-

Katolickiego. Uznaję prawo mego Kościoła do wglądu w praktykę konstytucyjną Stanów Zjednoczonych i w stosowanie ustaw tego kraju. Wierzę w wolność wyznania, równouprawnienie wszystkich Kościołów, całkowity rozdział Kościoła od państwa...".

Wgląd w konstytucję i rozdział — rozdział, na który można już było się zgodzić, odkąd Waszyngton i Watykan mają wspólnego władcę — imperializm finansowego kapitału. Odkąd Watykan sam stanął w szeregu wielkich monopoli i wszedł do najwyższego synhedrionu Wall Street. Odkąd cezaropapizm powrócił do życia w nowym, imperialistycznym kształcie — morganopapizmu.

Siły, cele i środki

Kardynał Francis Spellman, arcybiskup New Yorku i niekoronowany zwierzchnik całego Kościoła katolickiego w USA, stoi na czele aparatu, wobec którego blednie potęga i karleją wymiary największych potentatów — Chase National, grupy Clevelandzkiej, czy samego Morgana. 22 arcybiskupstwa, 138 biskupstw, 30 opactw, ponad 40.000 księży. 268 seminariów duchownych kształci z górą 22.000 kleryków. Zakony kontemplacyjne liczą 6.700 mnichów i 38.000 mniszek; zakony „czynne" męskie — blisko 7 tys., żeńskie — ok. 140 tys. Mimo sekularyzacji szkolnictwa, a dzięki zasadzie „prywatnego" nauczania, w ręku kleru katolickiego znajduje się ponad 11 tys. szkół i zakładów naukowych, znacznie powyżej 4 milionów uczniów, 216 szkół wyższych i uniwersytetów z blisko 200 tys. uczniów. W armii USA monsignor Spellman, mianowany Wikariuszem Sił Zbrojnych, zbudował prawdziwą drugą armię kapelanów, których liczba wzrosła z 60 na 4.500. Gorliwy prozelityzm daje rocznie ok. 100.000 konwertytów. Prasa katolicka w Stanach liczy ponad 300 czasopism o nakładzie blisko 10 milionów. Działalność niezliczonej ilości związków i stowarzyszeń — od charytatywnych i quasi-charytatywnych do zdecydowanie politycznych, mimo odmiennych przeważnie szyldów — oraz nadzór nad szeregiem analogicznych instytucji koordynuje Narodowa Katolicka Konferencja Dobroczynności (NCWC), dawniej — i bodaj słuszniej — nazywająca się Nar. Kat. Radą Wojenną. Hierarchia amerykańska ma tam głos doradczy. Ale jest to zarazem głos decydujący. Zadaniem NCWC jest rozbijanie klasy robotniczej, wbijanie klina między nią i farmerów, a także drobnomieszczaństwo, oraz opanowanie na tyle licznych odłamów tych klas, by — obok i niezależnie od wyznaniowej podstawy — stworzyć masową bazę społeczną dla władzy i wpływów hierarchii katolickiej w USA. Taki jest „program socjalny" Watykanu, taka jest jego klasowa treść.

Ośrodkiem tej całej akcji jest „trust mózgów" skupiony wokół kardynała Spellmana. Trust rekrutuje się z najtęższych głów episkopatu i jezuitów. Akcja toczy się wielopłaszczyznowo, rozgrywana na wielu szachownicach. Każdy krok, każde podjęte ryzyko ma dwustronne co najmniej pokrycie, podwójną asekurację. Tak chcą zasady dobrze prowadzonego przedsiębiorstwa. Tak np. w działaniu na Murzynów — a jest to odcinek wdzięczny i obiecujący, gdyż 8.000.000 Murzynów nie należy formalnie do żadnego Kościoła — głosi się „prawa ras upośledzonych". Ku pognębieniu rasistów Murzyni wykazali jednak niezwykłą przenikliwość, gdyż tylko nieznaczny odsetek przyjął za dobrą monetę to hasło dziwnie brzmiące w ustach gorliwych wyznawców „mitu XX stulecia". Jest ono zresztą propagowane nieśmiało i ukradkiem. W rezultacie liczba Murzynów-katolików nie przekracza 300 tysięcy; czyli niecałe 2%.

Za to z wielkim hałasem prowadzona jest propaganda faszyzmu. Faszyzm

jawny uprawia pod egidą episkopatu szereg związków takich, jak „Rycerze Kolumba“ (650.000 członków), „Sprawiedliwość Społeczna“ (liczba zwolenników bliżej nieznana, ma rzekomo sięgać milionów) itd. Na czele „Sprawiedliwości Społecznej“ stoi osławiony o. Coughlin, o którym jego zwierzchnik, biskup Gallagher, wyraził się po powrocie z Rzymu, gdzie jego sprawę omawiał z papieżem: „Ojciec Coughlin jest wybitnym duchownym. Jego głos jest głosem Boga“. A głos ów pisał w chwili wybuchu II wojny światowej: „Przepowiadamy, że narodowi-socjaliści Ameryki, zorganizowani pod tą czy inną nazwą, obejmą w swe ręce rząd tego kontynentu... Przepowiadam koniec demokracji w Ameryce...“

Przyznajmy, gwoli obiektywizmu, że gdy chodzi o faszyzm jawny hierarchia ogranicza się do takiego „życzliwego poparcia“. Wzorem amerykańskim Watykan unika na ogół całkowitego z nim utożsamiania się na zewnątrz. Podobnie jak unika z zasady bezpośredniego organizowania morderstw. I z rzadka tylko tego rodzaju wypadki dochodzą do wiadomości opinii. Tak w roku 1928 został zamordowany z polecenia hierarchii meksykańskiej liberalizujący „nadmiernie“ prezydent Obregon. „Działałem z natchnienia matki przeoryszy klasztoru św. Ducha“ — zeznał sprawca zabójstwa Leon Toral. Częstsza o wiele jest pochwała zbrodni. Czy mamy przypomnieć uroczyste pienia żałobne za duszę Eligiusza Niewiadomskiego? Czy podobna zrachować błogosławieństwa zlewane na głowę Oswalda Pohla i innych oprawców za mordowanie Polaków i Żydów — bo za cóż innego?

Najbardziej jednak ulubioną formą jest cicha spółka i agitacja pośrednia. Mac Carran i Mac Carthy, J. Parnell Thomas i Fred A. Hartley, republikanie i demokraci, tajniacy i prokuratorzy, komisje Kongresu i milionerskie fundacje — wszystko, co bierze udział w łowach na każdy przejaw postępu, każdą odważną myśl, działa w ścisłym związku, we wzajemnym natchnieniu, przenikając się osmotycznie z katolicką hierarchią USA.

Dla większej skuteczności w propagandzie wstecznictwa hierarchię i wyższy kler, jak również zaufaną grupę osób świeckich, zaprawia się na specjalnych kursach, które odbywają się co roku pod nazwą „Duszpasterska Szkoła Akcji Społecznej“. Pierwszy taki kurs odbył się w 1938 w Milwaukee z udziałem 35 biskupów, 750 księży i ponad 2 tysięcy laików. Hierarchia stara się zresztą rozciągnąć swój wpływ na organizacje formalnie wcale z nią nie związane i nie przebiera w środkach, gdy widzi możliwość opanowania jakiejś dziedziny życia, jakiegoś odcinka usług socjalnych i kulturowych. Tak więc, obok katolickiego „Legionu Obyczajności“, w orbicie episkopatu pozostaje osławiony „Legion Amerykański“. Wiemy o istnieniu prasy katolickiej w Ameryce — nie zawsze zdajemy sobie sprawę z bratniego sojuszu, z głębokich związków łączących spellmanowski trust mózgów z całą reakcyjną prasą USA. Jedyny — dosłownie — wyjątek stanowi dziwaczny i na swój sposób wspaniały mamut ciemnoty — Chicago Tribune. Lecz o Chicago Tribune można napisać książkę.

A już nikt prawie nie wie, że władcą najwyższym Hollywood, panem absolutnym i bezapelacyjnym, nie jest Fox, ani żaden z braci Warner, nie jest Paramount, ani Metro-Goldwyn-Mayer, nie jest nawet Mr. Eric Johnson, ale ksiądz Francis Spellman. Francis kardynał Spellman dobiera tematykę i „myśl“ przewodnią, jego dziełem jest ideologia i poziom, on każe Lanie Turner mdleć w ramionach Gary Coopera, nie zaś Clive Brooka, określa długość jej pocałunków i spotkań miłosnych, stopień jej

nagości. On wreszcie jest *spiritus movens* filmowej gloryfikacji Hitlera.

Bitwa była długa. W 1930 r. ks. Daniel A. Lord T. J. ułożył Kodeks Produkcyjny. Mimo jednak wspólnych celów politycznych i zgodnych marzeń o zupełnym otępieniu ludzkości, magnaci z Hollywood mieli własne poglądy, własne recepty i metody. Bitwa była długa i zakończyła się klęską słabszych rynkowo milionerów. Bojkot szedł za bojkotem, padały anatemy, wystąpił Pius XI w specjalnej encyklice Vigilante Cura. Dziś Kodeks Produkcyjny obowiązuje w całości, a każdy film *made in USA* jest owocem żywej współpracy z cenzurą duchowną. Powody? Hollywood obsługuje ok. 50.000 kin w świecie. I z tyluż srebrnych ekranów płynie co wieczór na znękaną publiczność zdrój łask, zdrój słów, myśli i natchnień watykańskich.

*

Watykan tym różni się od wielu innych grup imperialistycznych, że — mając tereny operatywne rozrzucone po całym świecie — rezerwy kapitałowe przechowuje niemal bez reszty w USA. Dla realizacji swych celów Watykan potrzebuje, oczywiście, środków olbrzymich. Jeszcze niedawno dostarczał ich każdy z krajów podbitych. Sam opłacał rękę, co go wyzyskiwała, sam finansował własny i cudzy ucisk. Zdobywano dochody siłą, nieraz orężem, pompowano je przy pomocy „środków duchowych", które w cudownej transfiguracji przybierały namacalny, materialny kształt. Za naszych dni wiele się zmieniło. W podziemiach wszystkich biskupich pałaców szeleszczą dolary. Środków na nowe podboje i odzyskanie krajów utraconych dostarcza teraz Ameryka, która nie będąc jeszcze siedzibą urzędową papiestwa jest już jego siedzibą finansową, ostoją i producentem jego sił napędowych. W zamian otrzymuje poparcie każdego aktu agresji, gorliwe wykonawstwo zamysłów imperialnych, w zamian otwarto przed nią przebogate archiwum watykańskiego wywiadu. Niegdyś papież słał spowiedników panującym, by trzymać ich w ryzach posłuszeństwa następcy Księcia Apostołów. Dzisiaj olbrzymia sieć kazalnic i konfesjonałów szerzy posłuch dla panów dolara i zapewnia im wiedzę o najdrobniejszych poruszeniach społeczeństw.

Krąg się zamyka. Papież zdobywa Amerykę i sam się amerykanizuje. A jako wiano w tym nowym, mistycznym i dosłownie morganatycznym małżeństwie przynosi zastęp swych zdobnych purpurą sług. Purpura i złoto tworzy mosty poprzez Atlantyk. Cita del Vaticano staje się filią Wall Street.

Julian Stawiński

CZY KOLONIA AMERYKAŃSKA?

„Widzimy, że naszej długiej i wspaniałej tradycji niezawisłości narodowej zagraża niebezpieczeństwo. Z niebezpieczeństwem tym musimy walczyć". Słowa te wypowiedział z trybuny Trzeciego Kongresu w Wiedniu delegat brytyjski, Percy Belcher, stary przywódca Związków Zawodowych i od 33 lat członek Partii Pracy.

Kiedy w ostatniej ćwierci XVIII stulecia uparci rolnicy i sklepikarze Ameryki zepchnęli brytyjskich imperialistów do Atlantyku, okupacja wojskowa była jedyną formą narzucania zależności, znaną ówczesnym kolonizatorom. Od tego czasu koło obróciło się o pełny obrót i dzisiaj okupowanie W. Brytanii przez 50-tysięczną armię amerykańską jest tylko jednym z przejawów niebezpieczeństwa, jakie zagraża „długiej i wspaniałej tradycji niezawisłości narodowej W. Brytanii". Gdyby bowiem wszyscy żołnierze amerykańscy co do jednego opuścili wyspę,

a *comicsy* zostały spalone w składach i portach, naród brytyjski mógłby co prawda odetchnąć z ulgą, zasadnicza jednak walka, do której nawiązywał Percy Belcher, oczekiwałaby go jeszcze. Walka ta jest o tyle trudniejsza, że korzenie jej ukryte są głęboko pod powierzchnią toczących się spraw.

Byłoby oczywiście przesadą twierdzić, że począwszy od 1777 r. Ameryka nie myślała o niczym innym jak o wzięciu rewanżu na W. Brytanii. Nie ulega jednak wątpliwości, że byznesmeni i generałowie St. Zjednoczonych z nieukrywanym zadowoleniem powitali fakt kolejnego podporządkowania się naciskowi Waszyngtonu owych podstaw wolności, z których Brytyjczycy byli tak dumni. Publicysta Ludwell Denny w książce pt. A m e r y k a p o d b i j a B r y t a n i ę pisze: „Kiedyś my byliśmy kolonią brytyjską. Teraz ona, zanim upadnie, będzie naszą kolonią: nie nominalnie może, ale faktycznie". Chociaż proroctwa nie należy brać dosłownie, złośliwość jest widoczna. Przemawiając w Bankowym Towarzystwie Inwestycyjnym 10 grudnia 1940 r., Virgil Jordan, Prezydent Narodowej Izby Przemysłowej, głównej organizacji wielkiego kapitału amerykańskiego, powiedział: „Jakikolwiek będzie wynik wojny, Ameryka weszła na drogę imperializmu... W najlepszym wypadku Anglia może być jej młodszym partnerem... Berło przechodzi w ręce St. Zjednoczonych."

Ameryka wyszła z wojny nie poniósłszy żadnych strat materialnych; jej kapitaliści według oficjalnych danych wzbogacili się o 52 tysiące milionów dolarów. Pod koniec wojny ogromne przestrzenie dawnych rynków W. Brytanii przeszły w ręce monopolistów amerykańskich. Pod kontrolę kapitału amerykańskiego dostało się 60 procent produkcji całego świata kapitalistycznego. Wystarczy przytoczyć cyfry obrazujące eksport. Przed wojną Anglia obsługiwała 28% światowego eksportu tekstylii, a Ameryka 4 procent. W roku 1947 liczba ta dla Ameryki wzrosła do 40 procent, dla Anglii spadła do 14 procent.

Pozycja morskiego transportu, która przez tyle lat pozwalała wyrównywać zachwianą ekonomikę W. Brytanii, spadła poniżej 18 tys. ton, podczas gdy amerykański tonaż wzrósł z 15 milionów przed wojną do 32 mil. w roku 1947. Amerykański tonaż morski stał się więc przeszło dwa razy większy od tonaży W. Brytanii, niegdyś „królowej mórz". Te zdobycze uzyskane kosztem sojusznika nie zadowoliły amerykańskich władców pieniądza.

Zaledwie padł ostatni strzał w II Wojnie Światowej, Stany Zjednoczone zawiesiły pożyczkę *lend-lease* i zniosły kontrolę cen. Ceny poszły w górę i W. Brytania stanęła wobec konieczności płacenia gotówką dolarowych należności za dokonane zakupy. Był to nóż na gardle. W zamian za nową pożyczkę W. Brytania musiała się zgodzić na ograniczenie swego handlu z krajami Europy wschodniej i Imperium.

Zgodnie z polityką Torysów ministrowie labourzystowscy zgodzili się te straty przerzucić na lud brytyjski. Głosy City londyńskiej, zainteresowane w natychmiastowych zyskach, gorliwie poparły propozycje Wall Streetu. To, że prawdziwym interesem ludu brytyjskiego jest uwolnienie się od zależności finansowej St. Zjednoczonych, odwołanie wojsk ekspedycyjnych do kraju i rozwój handlu na jak najszerszą skalę — nie jest odpowiednim argumentem dla arystokratycznych milionerów, którzy jak papugi powtarzają za prezydentem amerykańskiego koncernu, Bethlehem Steelem: „Patriotyzm jest pięknym uczuciem, nie możemy jednak dopuścić, aby stanowił dla nas prze-

szkodę w wypełnianiu obowiązków wobec naszych udziałowców". Przyjęcie Planu Marshalla w 1948 r. nałożyło jeszcze silniejsze pęta na handel W. Brytanii, aniżeli te, przeciw którym amerykańscy farmerzy i kupcy podjęli w XVIII w. walkę na śmierć i życie. Amerykański administrator ekonomiczny założył swoją placówkę w Londynie; ilość i rozmiary jego biur ciągle wzrastają. Już w lutym 1949 r. czytamy w jego raporcie do Senackiej Komisji dla spraw zagranicznych: „program budownictwa mieszkaniowego został poważnie obcięty, podobnie przedstawia się sprawa programu służby zdrowia oraz program szkolnictwa".

Nie mające nic wspólnego z próbą rozwiązania trudności ekonomicznych poddanie się Torysów i socjal-demokratów dyktatowi Wall Streetu pogorszyło tylko sytuację mas ludowych. Dochody wprawdzie wzrosły, ale realne płace zmniejszyły się, co wskazuje wyraźnie, kto zyskuje na tej wyprzedaży W. Brytanii wielkiemu kapitałowi amerykańskiemu.

Ministrowie brytyjscy powracając do domu z kolejnych przetargów w Waszyngtonie mogą jedynie podać do wiadomości ogółu, że pod naciskiem Wall Streetu zgodzili się, by standart życiowy robotników uległ dalszym ograniczeniom, import stał się bardziej kosztowny. Waszyngton pozwala brytyjskim mężom stanu na niezależną linię jedynie od czasu do czasu, kiedy ich gest w stosunku do brytyjskiej opinii publicznej wydaje się konieczny i jeśli to nic Ameryki nie kosztuje. Tak było, kiedy W. Brytania uznała rząd Chin Ludowych. Następnego jednak kroku — wypływającego logicznie z poprzedniego — którym byłoby głosowanie za przyjęciem Chin do ONZ, nie mogła już uczynić. Podobnie było w wypadku, kiedy jawne oburzenie ludu brytyjskiego na masakrę jeńców wojennych w Korei zmusiło rząd Torysów do zażądania, aby brytyjski oficer sztabowy został przydzielony do kwatery głównej gen. Mark Clarka. Pusty gest, ponieważ oficer taki jest odpowiedzialny nie przed brytyjskim Ministerstwem Wojny, lecz przed Najwyższą Komendą Sił Zbrojnych Pentagonu na Dalekim Wschodzie.

Departament Stanu nie ma żadnych skrupułów, jeśli idzie o upokorzenie brytyjskich mężów stanu przez zmuszanie ich do zupełnej zmiany oblicza. Zmarły minister spraw zagranicznych Ernest Bevin, przemawiając w Izbie Gmin 29 marca 1950 r. na temat polityki labourzystów w sprawie odradzania Wehrmachtu, powiedział:

„Wszyscy jesteśmy temu przeciwni. Powzięcie tego rodzaju decyzji jest straszne... Jesteśmy zdecydowani przeciwstawiać się remilitaryzacji Niemiec. Tego musimy się trzymać".

Ale w Waszyngtonie oficjalna polityka uległa zmianie. Zmienił się więc i oficjalny kurs na Downing Street. Dokładnie osiem miesięcy po cytowanym przemówieniu Mr. Bevin powiedział: „Stany Zjednoczone wysuwają sprawę udziału Niemiec... Jeżeli Niemcy zachodnie mają być bronione, rzeczą jedynie rozsądną i słuszną wydaje się, aby ludność Niemiec zachodnich w tym dopomagała".

A w r. 1952 na manewrach w brytyjskiej i amerykańskiej strefie Niemiec zachodnich, na rozkaz amerykański brytyjscy oficerowie składali raporty zachodnio-niemieckiemu dowódcy, generałowi Geise!

Nacisk Waszyngtonu na Downing Street przejawia się szczególnie w podrzędnej roli, jaką ambasady brytyjskie odgrywają w stosunku do amerykańskich w stolicach poszczególnych krajów, przy których są akredytowane.

Pułkownik lotnictwa Henry Turner w czasie swego procesu w Warszawie oświadczył, że jeśli idzie o ambasadę brytyjską i amerykańską w Polsce, to „amerykańska odgrywała dominującą, można nawet powiedzieć kierowniczą rolę".

W. Brytania odgrywa rolę drugorzędną w amerykańskim systemie politycznym, toteż Stany Zjednoczone liczą się z dobrem W. Brytanii jedynie w granicach wytyczonych przez własne interesy. A interesy monopolistów amerykańskich wymagają zdławienia wzrostu interesów brytyjskich w każdej dziedzinie.

Praktycznie biorąc, w każdej niemal dziedzinie przejawiają się sprzeczności, jakie zachodzą między realnymi interesami ludu brytyjskiego a Stanami Zjednoczonymi. Zarówno pewne koła kapitalistyczne jak i szeregowi członkowie partii Torysów wyrazili w Izbie Gmin pogląd, że cena płacona za dolary jest zbyt wysoka, gdyż równa się utracie niezależności politycznej i swobody działania.

Odbudowa konkurencyjnych przemysłów japońskiego i zachodnio-niemieckiego niemile dotknęła tych przemysłowców, których główne dochody nie miały bezpośredniego związku z kierowanym przez Amerykę wyścigiem zbrojeń.

Tak zwany układ anglo-amerykański jest typowym układem złodziejskim o podział zagrabionych łupów; nic dziwnego, że konflikt między kontrahentami jest nieunikniony. Stare powiedzonko o „złodziejskim honorze" nie daje się zastosować do imperialistów. I tak amerykańskie towarzystwa naftowe, wyraźnie zachęcone przez Departament Stanu, próbują położyć łapę na perskiej nafcie, mimo kategorycznych oświadczeń Downing Street, że stanowi ona własność Anglo-Irańskiego Towarzystwa Naftowego. Co więcej, Ameryka zaczyna wypierać W. Brytanię z jej własnych rynków w Australii, Południowej Afryce i koloniach. Wielkie koncerny amerykańskie jak Kaizer Motors lub General Motors ogarniają swoim zasięgiem państwa Imperium. Amerykańskie inwestycje w Kanadzie są w tej chwili dwa razy większe od brytyjskich, co znaczy, że na grudniowej konferencji Wspólnoty Brytyjskiej w Londynie, która odsłoniła istotną walkę o odmienny punkt widzenia między brytyjskimi i amerykańskimi imperialistami — głos Kanady był właściwie głosem Ameryki.

Podczas gdy imperialiści brytyjscy usiłują zachować strefę szterlingową, kapitał amerykański dąży do ustalenia światowego panowania dolara. Dalszym zagrożeniem niezawisłości brytyjskiej w tej dziedzinie było wyznaczenie przez Eisenhowera na stanowisko ambasadora Stanów Zjednoczonych w Londynie Winthropa Aldricha, przewodniczącego Banku Narodowego, który jest ściśle związany z naftowym koncernem Rockefellera. Jest on również dyrektorem amerykańskiego koncernu Telegrafu i Telefonu, Metropolitan Life Insurence, i innych wielkich koncernów. Aldrich był zawsze wybitnym rzecznikiem poglądu, że W. Brytania powinna zachęcić prywatny kapitał amerykański do czynienia inwestycji — przez dopuszczenie wolnej wymiany funtów na dolary, obniżenie podatków i zniesienie nacjonalizacji dokonanych przez rząd labourzystowski. Gdy Aldrichowi uda się to osiągnąć, główna zapora chroniąca W. Brytanię i Imperium przed zalewem towarów amerykańskich zostanie obalona i bezrobocie w W. Brytanii wzrośnie. Dalsza dewaluacja funta, nieodłącznie związana z wolnym rynkiem walutowym obniży realną wartość płac. Jest rzeczą zrozumiałą, że taki środek mógłby być przyjęty tylko w połączeniu z nową pożyczką amery-

kańską, co oznacza rozciągnięcie jeszcze ściślejszej kontroli Wall Streetu nad życiem gospodarczym W. Brytanii.

Ameryka dąży do obalenia niezależności W. Brytanii nie tylko poprzez opanowanie jej rządu, finansistów i przemysłowców. Prawe skrzydło amerykańskich Związków Zawodowych hojnie wspomaga akcję, której celem jest wprowadzenie, przy pomocy — o ile się da — przywódców brytyjskiego Kongresu Związków Zawodowych o pokrewnej ideologii, amerykańskich teorii do organizacji brytyjskich. Od czasu kiedy delegacja brytyjskiego Kongresu Związków Zawodowych stwierdziła antysocjalistyczny i prokapitalistyczny charakter amerykańskich Związków Zawodowych, stało się rzeczą jasną, że celem tej akcji jest zniszczenie ducha rewolucyjnego wśród robotników brytyjskich i ich rewolucyjnej dążności do opanowania władzy politycznej i ekonomicznej.

Z atakiem amerykańskich reakcyjnych Związków Zawodowych na związkowców brytyjskich idzie w parze dążenie amerykańskiego przemysłu do opanowania Brytyjczyków za pomocą takiej idejki jak „psychologia przemysłowa". Amerykanie na przykład wystąpili z teorią, według której strajki są rezultatem neurozy, jaka panuje wśród robotników. Amerykańscy psycholodzy przemysłu posunęli się w swoim szaleństwie do twierdzenia — powiedział Sam Aaronovitch, przewodniczący wydziału kultury Partii Komunistycznej W. Brytanii — że odpowiedzialność za wrzenia w kopalniach kapitalistycznych ponosi „kompleks Edypa". Górnik kocha swoją matkę i nienawidzi ojca. W symbolice freudowskiej matka oznacza matkę ziemię — czarny węgiel, ojcem zaś jest właściciel kopalni. Nienawidzi swego ojca, dlatego tak łatwo podburzyć go przeciwko właścicielowi kopalni. Zdaniem psychologów rozwiązanie leży w odwróceniu kompleksu. Należy sprawić, aby górnik nienawidził matki, a kochał ojca. Wtedy będzie rąbał węgiel z zapałem i darzył miłością właściciela kopalni!

Tego rodzaju brednie usiłuje się zaszczepić W. Brytanii za pośrednictwem książek i „wyszkolonych" psychologów.

Tymczasem Stany Zjednoczone wydały zarządzenie, że wszyscy marynarze brytyjscy, przybywający do amerykańskich portów, muszą przejść przez polityczne „sito", zanim uzyskają pozwolenie zejścia na ląd. Zamiast zębami i pazurami walczyć z tym bezczelnym ograniczeniem, brytyjskie towarzystwa okrętowe, uczyniwszy dla ratowania pozorów gest łagodnego protestu, ofiarowały amerykańskim urzędnikom luksusowe kabiny na swoich liniowcach, aby ułatwić im wykonywanie ich szpiegowskich funkcji w czasie, kiedy okręt znajduje się na morzu. Objęci tym zarządzeniem marynarze niewątpliwie przyłączą się do zdania Józefiny Baker, znanej amerykańskiej śpiewaczki urodzonej w St. Louis, która na odmowę zezwolenia jej na powrót do kraju, oświadczyła: „nie mieć prawa wstępu do Stanów Zjednoczonych jest rzeczą zaszczytną".

Przytoczone fakty stanowią oczywiście tylko znikomą cząstkę tego, do czego prowadzi zdrada interesów ludu brytyjskiego na rzecz finansistów Wall Street. Nędza mas ludowych wzrasta z każdym dniem. Młodych Anglików zaprawia się, aby walczyli za Amerykę. Lud brytyjski żyje pod grozą nędzy, bezrobocia. Słowa napisane przez Toma Paina prawie 200 lat temu na temat panowania W. Brytanii nad Ameryką są na nowo aktualne w tej odwróconej sytuacji:

„Niesprawiedliwości i szkody, jakich doznajemy przez ten związek, nie mają miary; naszym obowiązkiem zarówno

wobec ludzkości jak nas samych jest zerwanie tego aliansu".

Dla W. Brytanii nie jest jeszcze za późno na zerwanie aliansu.

Angielska opinia publiczna zaczyna się bronić przed amerykańskim niebezpieczeństwem, jakie zagraża brytyjskiej niezawisłości. Pod naciskiem wzrastającego niezadowolenia Brytyjczyków, wywołanego militarną okupacją, nawet New York Times musiał zwrócić uwagę na „niechęć, która wzrasta pomiędzy amerykańskimi żołnierzami za granicą oraz miejscową ludnością miast, w których są zakwaterowani". Zresztą w pewnych sprawach, dotyczących zagrożenia ich interesów, nawet kapitaliści brytyjscy zdobywają się na protesty, co jednak bynajmniej nie oznacza, aby byli oni skłonni kruszyć kopie w imię interesów narodowych. Woleliby raczej sprzedać kraj trustom amerykańskim aniżeli widzieć go pod panowaniem klasy robotniczej. Ekonomiczne i polityczne rozbieżności między imperialistami St. Zjednoczonych i imperialistami brytyjskimi są niewątpliwie źródłem słabości tzw. Paktu Anglo - Amerykańskiego. Faktem jest niezbitym, że imperializm doprowadził naród brytyjski do niebezpieczeństwa utraty niepodległości. Obrona tej niepodległości zależy od klasy robotniczej.

George Bidwell

KORESPONDENCJA

Do

Redakcji „Twórczości"

W recenzji Adolfa Sowińskiego z Ludzi z Seldwili Gotfryda Kellera, zamieszczonej w Nrze 12 Twórczości znajdują się na str. 167 następujące mylne wyjaśnienia recenzenta:

„Wiosna Ludów zastała dwudziestosiedmioletniego Kellera w Heidelbergu... Tylko że — inaczej niż utrzymuje krótka przedmowa do PIW-owskiego wyboru Kellerowskich nowel — nie mógł w tym mieście słuchać Ludwika Feuerbacha, ponieważ znany filozof materialista nigdy (wyróżnienia nasze — PIW) w Heidelbergu wykładowcą nie był, a zresztą już w 1836 musiał poniechać kariery uniwersyteckiej wobec niezgodności swych poglądów z panującą na katedrach oficjalną filozofią idealistyczną".

W związku z tym wyjaśniamy, że aczkolwiek Feuerbach istotnie w Heidelbergu oficjalnej katedry uniwersyteckiej nie miał, prowadził tam w zimie 1848/9 dla szerokiego kręgu słuchaczy (wśród nich był Gotfryd Keller) znane wykłady na temat istoty religii. Prelekcje te ukazały się następnie drukiem w r. 1851 pt. Vorlesungen über das Wesen der Religion.

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Sekretarz Odpowiedzialny

(—) E. Szrojt

Warszawa 24.I.1953

KSIĄŻKI NADESŁANE

PROZA

Ajni Sadridolin — Niewolnicy. Oryg. w jęz. tadżyckim. Z przekł. ros. tłum. Mikołaj Dąb. Słownik i Komentarz wyd. ros. oprac. L. Klimowicz. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 554 i 3 nlb.

Antonowska Anna — Wielki Mourawi. Tom III. Przekł. z ros. Aleksandra Męczyńskiego. Teksty archaizowane oprac. dr Stanisław Skorupka. Ilustr. Mai Berezowskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 485 i 3 nlb.

Babajewski S. — Światło nad ziemią, tom I (c. d. powieści pt. „Kawaler Złotej Gwiazdy"). Przekł. z ros. Tadeusza Łopalewskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 238 i 2 nlb.

Balzac Honoré — Ojciec Goriot. Przekł. Tadeusza Żeleńskiego (Boya). Oprac. Jana Nowakowskiego. Nasza Biblioteka. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. 299 i 1 nlb.

Banaś Sylwester — Przebudzenie. Dwa opowiadania. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 377 i 3 nlb.

Braun Andrzej — Lewanty. Powieść. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 466 i 2 nlb.

Encyklopedia (Wybór) albo Słownik rozumowany nauk, sztuk i rzemiosł. Przekł. i przypisy Ewy Rzadkowskiej. Wstęp Jana Kotta. Biblioteka Narodowa, seria II, Nr 73. Z prac Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. XLII, 272 i 2 nlb.

Fenikowski F. — Pierścień z łabędziem. Ilustr. Andrzeja Heidricha. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 160 i 3 nlb.

Hercen Aleksander — Opowiadania. Przekł. z ros. Krystyny Bilskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 437 i 2 nlb.

Kowalska Anna — Wielka próba. Wyd. II. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 164 i 1 nlb.

Koźniewski Kazimierz — Piątka z ulicy Barskiej. Powieść. Wyd. II. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 283 i 2 nlb.

REPORTAŻE

Karpiński Bolesław — Na własne oczy. Zdjęcia: A. Banduch i T. Wójcik. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 118 i 2 nlb.

HISTORIA LITERATURY I HISTORIA

Nikitin Anastazy — Wędrówka za trzy morza. Przekł. z ros. Heleny Willman-Grabowskiej. Wstęp i objaśnienia Wiktora Jakubowskiego i Heleny Willman-Grabowskiej. Mapy w tekście wykonała Elżbieta Willman. Biblioteka Narodowa, seria II, Nr 72. Str. CXXVII, 55 i 1 nlb.

Smoleński Władysław — Szkoły historyczne w Polsce (Główne kierunki poglądów na przeszłość). Oprac. Marian H. Serejski. Biblioteka Narodowa, seria I, Nr 142. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. XC, 155 i 3 nlb.

PUBLICYSTYKA

Bołtin E. — Rozgromienie Kołczaka 1919 r. Przekł. z ros. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1952. Str. 172 i 3 nlb.

O ideologii wojennej imperializmu amerykańskiego. Zbiór artykułów. Przekł. z ros. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1952. Str. 173 i 2 nlb.

LITERATURA NAUKOWA

Tarasow N. — Morze żyje. Przekł. z ros. Stanisława Mioduszewskiego. Ilustr. z oryginału. Na zlecenie Ligi Morskiej Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1952. Str. 318 i 2 nlb.

MUZYKA

Almanach Moniuszkowski 1872—1952. Opracowali: kronikę życia — Witold Rudziński, pozostałe działy — Jan Prosnak. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 394, 1 nlb. i 3 fotogr.

FILM, SCENARIUSZE FILMOWE

Bądkowska Stefania — Z filmem przez świat. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 158 i 2 nlb.

Kozincew G., Sławin L. i Trauberg L. — Trylogia o Maksymie. Przekł. z ros. Danuty Ścibor-Rylskiej. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1952. Str. 244 i 3 nlb.

SPIS TREŚCI

Str

Od Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Rady Ministrów Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i Prezydium Rady Najwyższej ZSRR I

Do Robotników, Chłopów i Inteligencji Pracującej. Do Kobiet Polskich i Młodzieży, Do Żołnierzy Polskich, Do Narodu Polskiego VI

Do Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Do Rady Ministrów Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, Do Prezydium Rady Najwyższej ZSRR VI

Władysław Broniewski — Ze „Słowa o Stalinie" 1

Jerzy Putrament — List do Stalina 3

Adam Ważyk — Rzeka 5

Krzysztof Gruszczyński — Stalin, inżynier naszych marzeń 6

Zofia Nałkowska — Mój ojciec 7

Kazimierz Brandys — Obywatele 23

Bohdan Czeszko — Żołnierz gospodarzem 102

Zofia Bystrzycka — Astry 107

Teokryt: Charytki czyli posłanie do Hierona; Magia, przeł. Artur Sandauer . 126

Piotr Grzegorczyk — Jakiego Gogola znamy? 134

Marian Muszkat — Na marginesie dylematu atomowego 142

Z SEKCJI ZLP: Tadeusz Breza — Wypowiedź autora o „Uczcie Baltazara" . 155

WŚRÓD KSIĄŻEK: Jacek Trznadel — Wisława Szymborska „Dlatego żyjemy"; Lech Budrecki — Federico Garcia Lorca „Wiersze i dramaty"; Henryk Bereza — Kazimierz Koźniewski „Otwarte wrota"; Włodzimierz Maciąg — Tadeusz Felis „Życie za dniówkę"; Salomon Łastik — Na marginesie Czytelnikowskiej serii reportaży; Jan Kott — Dziennik Samuela Pepysa; Marceli Ranicki — Henryk Mann „Podwładny"; Maria Żmigrodzka — Stefan Żółkiewski „Spór o Mickiewicza"; Samuel Sandler — Henryk Markiewicz „O marksistowskiej teorii literatury" 164

NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki, Józef Spinc, Julian Stawiński, George Bidwell 208

KORESPONDENCJA 230

KSIĄŻKI NADESŁANE 231

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 7-52-50/52, wewnętrzny 2
Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50
Cena zeszytu zł 7.—. Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna — 42.—.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca

Od dnia 16. V. 1952 r. indywidualne zamówienia i wpłaty na prenumeratę pism przyjmować będą tylko urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy. W związku z tym bezpośrednich zamówień i wpłat do PPK „Ruch" kierować nie należy. Prenumerata zbiorowa, tzw. zakładowa, pozostaje jak dotychczas, tzn zamówienia i wpłaty kierowane są bezpośrednio do PPK „Ruch".

CZYTELNIK

NOWOŚCI I WZNOWIENIA

Jan Lam
ROZMAITOŚCI I POWIASTKI
Humoreski postępowego pisarza i publicysty z drugiej połowy XIX wieku
Wstępem opatrzył Zbigniew Mitzner
s. 308 zł 12.—

* * *

Andrzej Braun
LEWANTY
Powieść o Stoczniowcach Gdańskich twórcach i bohaterach przemysłu budowy okrętów
Debiut prozatorski
s. 468 opr. płócienna zł 19.—

* * *

Bolesław Karpiński
NA WŁASNE OCZY
Reportaż z wycieczki chłopów woj. kieleckiego do spółdzielni produkcyjnych w Zielonogórskim.
s. 120 zł. 2.—

* * *

Igor Newerly
PAMIĄTKA Z CELULOZY
wyd. 3
powieść
Państwowa Nagroda Literacka I stopnia 1952 r.
s. 520 opr. płócienna zł. 16.—

* * *

Jorge Amado
ŚWIT BRAZYLII
Laureat Międzynarodowej Stalinowskiej Nagrody Pokoju 1951 r.
wyd. 2
powieść
s. 280 opr. płócienna zł. 11.—

F. Czestnow
W ŚWIECIE FAL RADIOWYCH
ilustrowana książka dla młodzieży o zagadnieniach radiofonii
s. 224 zł. 10.—

* * *

Jean Laffitte
DZIEWCZYNA WALCZY
wyd. 2
Powieść o francuskim Ruchu Oporu
s. 288 zł 8,40

* * *

Anna Seghers
SIÓDMY KRZYŻ
wyd. 3
powieść
Posłowie Marcelego Ranickiego
s. 424 opr. płócienna zł. 16,50

* * *

André Stil
PIERWSZE STARCIE
T. I. Pod wieżą ciśnień
Powieść o Francji dzisiejszej ukazująca walkę dokerów z okupacją amerykańską i przygotowaniami wojennymi
Nagroda Stalinowska 1952 r.
s. 288 opr. płócienna zł. 13,50

* * *

Wasilij Żukowski
POEZJE
Wybór wierszy wybitnego klasyka rosyjskiego XIX wieku
Pod redakcją Anatola Sterna
s. 234 zł. 12.—

„CZYTELNIK"

CZYTELNIK

Paweł Kalina
SŁOWNIK NIEMIECKO - POLSKI
i
POLSKO - NIEMIECKI
Wydanie nowe, przejrzane i uzupełnione
Cz. I: niemiecko-polska S. 752 zł 33.—
Cz. II: polsko-niemiecka S. 732 zł. 33.—
Oprawa płócienna
„CZYTELNIK"

CZYTELNIK

OD FONWIZINA DO ALEKSIEJA TOŁSTOJA
ANTOLOGIA DRAMATU ROSYJSKIEGO
Fonwizin — Gribojedow — Puszkin — Lermontow — Gogol — Ostrowski — Aleksiej Tołstoj
s. 760 oprawa płócienna Zł 45.—
„CZYTELNIK"